

DOROTA PONIŃSKA

PODRÓŻ  
PO MIŁOŚĆ

*Maria*



WTK

Dorota Ponińska

Podróż po miłość.  
Maria

## Rozdział I

### Kim ja jestem?

Moja mama uwielbiała tajemnice. Skrywała przeszłość za woalem niedomówień i uników, które irytowały mnie i niepokoiły.

Mieszkałam z nią i z ciocią Nadire w drewnianym domu nad morzem. Nie miałam rodzeństwa, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. A dookoła – same zagadki.

Na przykład język. Prawie wszyscy wokół mnie mówili po rosyjsku. W języku Puszkina bawiłam się z innymi dziećmi. Ale mama rozmawiała ze mną tylko po polsku, a ciocia Nadire po francusku. Gdy zwracałam się do nich po rosyjsku, nie reagowały. A do tego, kiedy nie chciały, żebym rozumiała, rozmawiały między sobą w jakimś przedziwnym języku, niepodobnym do żadnego z tych, które znałam. Dużo później dowiedziałam się, że to był turecki.

Albo imię. Mama powiedziała mi kiedyś, że obiecała swojemu ojcu na łożu śmierci, że jeśli będzie miała córkę, to nazwie ją Maria, na cześć jego żony, a swojej matki. I tak zrobiła. Więc mam na imię Maria, mama mówiła do mnie Maryniu, ciocia Nadire nazywała mnie po francusku Marie, a dzieci i dorośli z naszej ulicy wołali na mnie Masza. Więc jak powinnam się przedstawiać?

Moi koledzy i koleżanki z sąsiedztwa mieli większe rodziny: babcie, dziadków, ciocie, wujków, kuzynów. To dawało im silne poczucie, że są stąd, że stoi za nimi duża grupa krewnych. A my byłyśmy tylko we trzy, jakby przypadkiem rzucone w ten zakątek krymskiego wybrzeża. Żadnych śladów rodzinnej przeszłości wokół. Do tego moja mama i ciocia Nadire wcale nie wyglądały na spokrewnione. Mama miała jasne włosy, jasną cerę i smukłe, miękkie ciało. Ciocia Nadire była niższa, smagła, krzepka, o czarnych i sztywnych włosach. Patrzyła tymi swoimi migdałowymi oczami jakby z głębi jakiegoś mroku.

Oczywiście, próbowałam wyjaśnić te niewiadome.

– Mamo, kim ja właściwie jestem? Polką, Rosjanką, Francuzką? – pytałam.

– A jakie to ma znaczenie, Maryniu? – odpowiadała pytaniem. –

Rumi, ulubiony poeta twojego ojca, i mój także, mówił, że wszyscy ludzie są jak fale jednego oceanu. Tylko się im wydaje, że różnią się od siebie tak bardzo, a tak naprawdę są jednym.

Nie mogłam już słuchać o tym oceanie. Mama lubiła to powtarzać, chociaż brzmiało to zbyt abstrakcyjne jak dla dziecka, którym wtedy byłam. Uważałam za oczywiste, że każdy jest inny, a już szczególnie inna od pozostałych dzieci byłam ja. Ale lubiłam, kiedy mama mówiła o tym poecie, bo wtedy wspominała o ojcu.

No właśnie, mój ojciec. Nigdy go nie widziałam. Podobno zginął przed moim urodzeniem, na froncie wielkiej wojny, która toczyła się tuż obok nas, na Krymie, i została nazwana wojną krymską. Moje dzieciństwo przypadło na czas, kiedy cała Rosja była wstrząśnięta poniesioną klęską i wciąż analizowała jej przyczyny. Choć od zawarcia pokoju upłynęło już kilka lat, ludzie nie mogli się otrząsnąć z porażki, jak gdyby przegrana z wojskami Anglii, Francji i Turcji naznaczyła każdego jakimś osobistym wstydem. A jednocześnie weteranów tej wojny, szczególnie obrońców Sewastopola, otaczano szczególnym szacunkiem, niemalże kultem. Ich bezprzykładne bohaterstwo działało jak balsam na zszargane klęską poczucie narodowej godności Rosjan.

Ja także byłam dumna ze swojego ojca, który zginął pod Sewastopolem. Oczywiście, wołałabym, żeby żył, ale skoro już go nie było, to przynajmniej zostawała mi duma, że jestem córką bohatera. Andrzej Konarski – tak się musiał nazywać, ponieważ moje pełne nazwisko wpisane w dokumentach brzmiało: Maria Andriejewna Konarska. Musiał być Rosjaninem albo Polakiem. Nawet tego nie byłam pewna! Chciałam wiedzieć o nim jak najwięcej, to, jakim był człowiekiem, poznać szczegóły jego służby wojskowej i śmierci. Ale mama, choć zapewniała mnie, że bardzo go kochała, mówiła o nim niechętnie. Słyszałam wielokrotnie, jak rozmaici goście naszego pensjonatu pytają ją, w którym pułku ojciec służył, kto był jego dowódcą. Zawsze wykręcała się od odpowiedzi. Nie odebrała nawet zapomogi od państwa przyznawanej sewastopolskim wdowom. Tego zupełnie nie mogłam zrozumieć. Mówiła, że damy sobie radę bez niej, że ojciec zostawił jej dość pieniędzy i że zyski z prowadzenia pensjonatu spokojnie wystarczą nam do życia.

Bo naszym domem był pensjonat. Mama nazwała go zwyczajnie – U Emilii. Piękna drewniana willa, zbudowana na wysokiej podmurówce, stała tuż przy nadmorskim bulwarze. Na parterze mieściły się rozległy salon z fortepianem, jadalnia i kuchnia. Z boku, wzdłuż całego domu biegła drewniana rozłożysta weranda, ulubione miejsce naszych gości. Pod ścianą stał drewniany kredens z ogromnym mosiężnym samowarem z Tuły, pod którym zawsze żarzyły się gorące węgielki, żeby goście o każdej porze mogli sobie nalać herbaty. Na kredensie rozstawiono piękny serwis rosyjskiej porcelany z wizerunkami carskiej rodziny. Do tego cukier, konfitury, miód i srebrne łyżeczki. Z werandy można było oglądać morze i port, a nawet czuć ich słony zapach. Na tyłach domu mieścił się obszerny ogród, w którym rosły morele, jabłonie, wiśnie i pigwy. Ciocia Nadire robiła z nich latem słodkie konfitury, które potem podawałyśmy gościom do herbaty.

Mama powtarzała, że dzięki pięknemu otoczeniu człowiek jest szczęśliwszy. Dlatego dbała o każdy detal. Nie zamierzała sprowadzać do swego pensjonatu mebli z zagranicy, uważała, że lokalne wyroby rzemiosła i sztuki użytkowej będą ciekawsze i naturalniejsze. Dlatego nasz dom wypełniły rosyjskie malowane meble, rosyjska porcelana, tatarskie hafty i kilimy, stare ikony i kilka pejzaży morskich. Całość sprawiała miłe i przytulne wrażenie, a zapach mocnej herbaty i słodkich wypieków dopełniał całości.

Nie narzekałyśmy na brak gości – niektórzy przychodzili tylko na herbatę, żeby posiedzieć na werandzie i popatrzeć z niej na morze. Inni jadali obiady – nasza służąca Anuszka gotowała wyśmienicie. Jej pielmieni i czeburiki nie miały sobie równych w całym mieście. Zdarzali się też tacy, którzy przyjeżdżali z daleka, z północnych miast, czasem nawet z Petersburga lub z Moskwy – ci zostawali na dłużej, zachwyceni łagodnym klimatem krymskiego wybrzeża i tym, co nazywali lokalną egzotyką, a co dla mnie było zwyczajnym otoczeniem. Wynajmowali pokoje na tydzień lub miesiąc, jadali posiłki i płacili za pobyt srebrnymi rublami, które pozwalały nam żyć dostatnio. Wielu z nich przyjeżdżało do wujka Iwana, ale żeby go nie krępować swoją obecnością na co dzień, mieszkali U Emilii, czyli u nas.

Mama mówiła, że mieszkamy w pensjonacie dzięki wujkowi

Iwanowi. To on wymyślił, że młoda wdowa w ciąży, która pojawiła się w Teodozji jeszcze przed zakończeniem wojny i rozpaczliwie szukała pomocy, mogłaby wynajmować pokoje i z tego utrzymywać siebie i dziecko. Wszyscy w naszym mieście wiedzieli, że wujek Iwan ma nie tylko wielki talent, lecz także wielkie serce. Kupił drewnianą willę, która stała niedaleko jego domu i właśnie została wystawiona na sprzedaż. Uznał, że nada się idealnie do przyjmowania odwiedzających go przyjaciół i artystów, których częste wizyty stały się uciążliwe dla jego żony.

Moja pamięć rodzinna sięgała jedynie tego momentu, kiedy owdowiała mama w ciąży ze mną przyjechała do Teodozji i z pomocą wujka Iwana rozpoczęła nowe życie, podejmując i karmiąc jego gości. Ale co było wcześniej? Długo nie zadawałam sobie tego pytania, przyjmując zastaną rzeczywistość jak coś naturalnego. A jednak czasem towarzyszyło mi dziwne poczucie, że gdzieś, w jakimś odległym miejscu, muszą żyć inni bliscy mi ludzie, dalsza rodzina, której wprawdzie nie znam, ale która z pewnością przyznałaby się do mnie i przyjęła jak swoją. Tęskniłam za nimi. Czasami przed snem, kiedy nie mogłam zasnąć, wyobrażałam sobie, kim mogliby być. Ale nie rozmawiałam o tym z nikim.

Mama czasem była smutna bez wyraźnego powodu. A czasem zamyślała się głęboko, zapatrywała gdzieś w dal, aż za horyzont, gdzie morze stapiało się z błękitem nieba, i milkła na długo. Jakby przenosiła się w jakiś inny świat, o którym oczywiście nigdy nie chciała mi powiedzieć. To tylko wzmagало moją ciekawość. Bo przeczuwałam, że te odległe rejony mogą mieć coś wspólnego ze mną.

Ale wtedy, w pierwszej dekadzie mojego życia, zależało mi przede wszystkim na zdobyciu przyjaciół. Nie miałam ojca, nie miałam rodzeństwa, nie miałam zastępów krewnych, moja tożsamość narodowa była niejasna, więc chciałam się przynajmniej przyjaźnić z innymi dziećmi i zyskać ich akceptację.

W tamtym czasie Teodozja była niezbyt dużym nadmorskim miastem z własnym portem i bogatą przeszłością, sięgającą czasów starożytnych. Nie upłynął jeszcze wiek od dnia, kiedy caryca Katarzyna przyłączyła Krym do Rosji. Wcześniej półwysep należał do zależnego od

Turków chanatu krymskiego i mieszkali tu głównie Tatarzy. Ani oni, ani sułtan turecki nie byli w stanie obronić półwyspu przed potężnymi wojskami naszej imperatorowej, kiedy zapragnęła przesunąć granice na południe, aż do Morza Czarnego. Wielu Tatarów wyjechało wtedy do Turcji, by żyć w kraju wyznających tę samą religię – islam. Ale niektórzy zostali. I właśnie z takiej tatarskiej rodziny pochodzili moi pierwsi przyjaciele, Ira i Dajdżan. Ich rodzice mieli rozległą winnicę na stokach wzgórz ponad miastem. Moja mama brała od nich jesienią dojrzałe winogrona, a potem zamawiała kilka beczek słodkiego wina, które produkowali. Nasi goście nie mogli się go nachwalić.

Kiedy miałam siedem lat, wszyscy dorośli zaczęli nagle mówić o polskim buncie na zachodzie. Mama co rano wyszukiwała w gazetach artykuły na ten temat, czytała je i kręciła głową z niedowierzaniem, mrużąc pod nosem, że „niczego się nie nauczyli...”. Nie wiedziałam, kto i czego miałby się nauczyć. Nie czułam też, by ten bunt w zachodnich guberniach jakoś się ze mną wiązał, ale szybko się okazało, że było inaczej.

Któregoś wiosennego dnia bawiłam się na plaży z innymi dziećmi. Ciocia Nadire siedziała na kocu w pewnej odległości, z francuską powieścią na kolanach. Zerkła na nas od czasu do czasu, ale właściwie zatopiła się w lekturze. Byli ze mną moi przyjaciele – tatarskie rodzeństwo. Oboje mieli czarne proste włosy i twarze pulchne, okrągłe jak księżyc, roześmiane. W domu mówili po tatarsku, ale znali też rosyjski, jak wszyscy. Ira była dziewczynką w moim wieku, wesołą i energiczną. Zawsze traktowała mnie serdecznie. Jej brat, o rok starszy, otrzymał imię Dajdżan, które oznacza „wielki, ogromny człowiek”. Nadano mu je, bo urodził się bardzo duży i zawsze przewyższał o głowę swoich rówieśników.

Tamtego dnia bawił się też z nami Pietia, syn diakona z pobliskiej cerkwi, starszy ode mnie o rok. Miał rumianą, trochę piegowatą twarz i jasną czuprynę. Niższy od brata Iry, sylwetką trochę przypominał swego wychudzonego ojca – diakona z długą brodą, ale gęste, jasne włosy odziedziczył po matce Praskowi, która nosiła chustę na głowie i nuciła wysokim głosem podczas mycia podłogi w cerkwi albo odkurzania ikonostasu. Nie chodziłam na ich nabożeństwa, ale

w niedzielę słuchałam cerkiewnych śpiewów, które dochodziły aż na naszą werandę. Wydawało mi się wtedy, że głos Praskowi wybijał się i brzmiał najdonośniej. Pietia nie miał rodzeństwa, więc nudził się trochę w domu, dlatego lubił się stamtąd wyrwać i spotykać z nami.

Od września mieliśmy pójść do szkoły – my z Irą do pierwszej klasy, a Dajdżan z Pietią do drugiej. A teraz bawiliśmy się razem na plaży w rzucanie do celu kamykami i muszelkami. Pietia narysował patykiem duże koło i w jego środku zrobił wgłębienie, do którego mieliśmy celować. Wygrywał ten, kto z pewnej odległości wrzuci kamyk w sam środek koła. Dajdżan był najlepszy – prawie zawsze trafiał w dołek.

– Właściwie to powinniśmy celować kamieniami w wasze ręce, dziewczynki – stwierdził Dajdżan z poważną miną.

– Dlaczego?

– Żebyście się oswoiły. Jak pójdziecie do szkoły, nauczyciel będzie was walił linijką po rękach za każdy błąd w czytaniu, więc lepiej zahartować dłonie – odrzekł.

Popatrzyłyśmy na siebie z Irą z przestraszeniem, ale zaraz zobaczyłam, że oczy Pieti się śmieją. Dajdżan znowu nas nabierał.

– A może ty byś chciał się trochę zahartować, to porzucamy w ciebie? – zaproponowałam.

– O, ja jestem dość zahartowany. Nauczyciel się na mnie wziął i ćwiczy mi ręce codziennie. Już się przyzwyczailem – odpowiedział z taką powagą, że nie byłam wcale pewna, czy żartuje, czy nie.

Znowu wcelował kamieniem w sam środek zagłębienia.

– To może naucz się wreszcie dobrze czytać – zaproponował kpiąco Pietia. – Ja czytam płynnie, więc mnie nie rusza.

– Ciebie nie rusza, bo jesteś synem prawosławnego diakona – odparował Dajdżan. – Teraz Rosjanie tu rządzą, ale Krym to ziemia Tatarów.

– Dawno temu za to Tatarzy rządzą w Rosji, więc tylko wyrównujemy rachunki – odpowiedział mu szybko Pietia.

Popatrzyłyśmy z Irą na siebie i obie podniosłyśmy oczy do góry, bo znałyśmy już na pamięć te ich utarczki słowne. Dla Pieti Tatarzy byli dawnymi ciemiężycielami Rosjan, dla Dajdżana – bohaterami



i niezwyciężonymi wojownikami, a za to Rosjan uważał za najeźdźców i okupantów Krymu, co jednak nie przeszkadzało obu chłopcom bawić się razem, przyjaźnić i uganiać konno po stepach i górskich bezdrożach. Zrozumiałam więc dość wcześnie, że każdy ma własną opowieść, ale wciąż męczyło mnie to, że moja historia jest tak niejasna, niespójna i niekompletna, że nie mam pewności, kim właściwie jestem.

Po chwili zobaczyliśmy, że biegną w naszą stronę dwaj bliźniacy, rudzi i piegowaci synowie piekarza. Byli do siebie tak podobni jak dwa bochenki chleba wypiekane przez ich ojca, więc nigdy nie mogliśmy ich rozróżnić i nazywaliśmy ich Piekarczykami. Chyba mieli do mnie jakiś uraz, choć nie wiedziałam dlaczego. Zdarzało się, że zaskakiwali mnie gdzieś na rogu ulicy, obrzucali szyszkami albo żwirem znad morza i wołali za mną: „Bękart! Bękart!”. Długo nie wiedziałam, co to znaczy, ale i tak się ich bałam i wracałam potem do domu biegiem, połykając łzy. Teraz nie byłam sama, więc przekonywałam siebie w duchu, że nic mi nie zrobią. Oni jednak najwyraźniej znowu chcieli mnie zaatakować – mieli garście pełne wodorostów.

– Polska buntowniczką! Nasz Judasz! – wykrzyczeli mi w twarz nowe wyzwiska i obrzucili tym morskim zielskiem.

Moją białą sukienkę powlekały zielonobrazowe mokre rośliny. Chciało mi się płakać, ale wstrzymywałam łzy.

– Ej, Piekarczyki, zostawcie ją! – krzyknął do nich Dajdżan i wziął kij do ręki z ostrzegawczą miną.

Ale to Pietia, choć mniejszy i chudszy od Dajdżana, podbiegł do pierwszego z bliźniaków, wziął zamach i z całej siły uderzył go zaciśniętą pięścią. Rudzielec krzyknął, złapał się za nos, a spod jego palców wyciekła krew. W odwecie jego brat rzucił się na Pietię, podciął go i jednocześnie popchnął na ziemię, po czym zaczął go kopać. Wtedy Dajdżan przyskoczył do niego, złapał rudzielca od tyłu, podniósł jak worek mąki i odrzucił. Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie krzyk cioci Nadire, oderwanej od lektury przez hałas, a zwłaszcza gdyby nie gwizdek żandarma, który dostrzegł nas z bulwaru i już biegł w naszym kierunku. Bliźniacy, widząc go, poderwali się i zaczęli uciekać co sił w nogach – wiedzieliśmy, że ich ojciec ma ciężką rękę, i nieraz wieczorami słyszeliśmy krzyki urwisów albo ich matki, więc nic

dziwnego, że woleli uniknąć kary.

Straciliśmy ochotę do zabawy. Pietia podniósł się trochę obolały. Podziwiałam jego odwagę, bo rudzi bliźniacy byli znani ze swej siły i bezwzględności.

– Dziękuję... – szepnęłam, a on uśmiechnął się do mnie, jakby zobaczył przed sobą puchar owocowych lodów w upalny dzień.

Musiałam się przebrać, więc wróciłam z ciotką Nadire do pensjonatu.

Mama przywitała nas w progu – widziała całą scenę z balkonu pokoju na piętrze, który sprawdzała przed przyjazdem gości. Patrzyła na mnie z troską w oczach.

– O co poszło? – zapytała, strzepując resztki wodorostów z mojej sukienki.

– O mnie. Oni mnie nazwali Judaszem! Dlaczego? – zapytałam, a łzy zakręciły mi się w oczach. Wiedziałam już, że Judasz zdradził Pana Jezusa, ale co to może mieć wspólnego ze mną?

Mama westchnęła głęboko.

– Dobrze, powinnaś to wiedzieć. Idź się przebrać, a potem przyjdź do kuchni.

Włożyłam czystą sukienkę i szybko wróciłam do mamy, ciekawa, czy w końcu wyjaśni się któraś z tajemnic. W kuchni czekała na mnie filiżanka herbaty i talerzyk z konfiturami, a do tego gruby kawałek domowego ciasta.

– Posłuchaj... – Mama posadziła mnie przy stole, naprzeciwko siebie. – Wiesz, że pochodzimy z Polski, prawda?

– Przecież Polski nie ma.

– Tak, ale są Polacy, którzy chcą ją odzyskać.

– Uda im się?

– Dotąd się nie udało. Ale wciąż próbują... Mój ojciec był jednym z nich. Walczył z Rosjanami, ale go pojмали i za karę wcielili do swojego wojska.

Zamyśliłam się, mocząc kawałek ciasta w filiżance z herbatą.

– Przecież wiadomo, że Rosjanie są silniejsi. – Nie chodziłam jeszcze do szkoły, ale tyle wiedziałam: bez trudu zajęli tatarski Krym.

– No właśnie. Dlatego Polacy przegrywają. Ale niektórzy z nich

tak bardzo pragną wolności, że teraz, po trzydziestu latach od tamtej klęski, znowu urządzili powstanie. Rosjanie nazywają je polskim buntem. I uważają za zdradę i niewdzięczność. Dlatego mówią o Polakach „nasz Judasz”.

– Przecież są silniejsi, nie powinni się bać.

– Tak, ale Polacy zrobili coś, co Rosję oburza. Poprosili o pomoc państwa zachodnie.

– I co, pomogą Polakom?

Teraz mama się zamyśliła, trochę posmutniała.

– Nie sądzę... choć Polacy od lat się tym łudzą. Ale Rosjanie i tak boją się nowej wojny krymskiej. Dlatego teraz tak nie lubią Polaków... Nawet piekarz podniósł mi ceny chleba i bułek.

Analizowałam te informacje w swojej siedmioletniej główce i zastanawiałam się, co to wszystko może dla mnie znaczyć.

– Wiesz co, mamusiu? – powiedziałam wreszcie. – Ja wcale nie chcę być Polką. Wolę być Rosjanką, jak wszyscy. Nie chcę, żeby mnie nazywali Judaszem.

– Nigdy nie będziesz Rosjanką – odparła mama z cieniem rozbawienia w oczach.

– Dlaczego? Przecież urodziłam się i mieszkam w Rosji.

– Tak, ale masz polską duszę. – Pogładziła mnie po włosach i pocałowała w czoło.

Nie wiedziałam dokładnie, co to znaczy.

I choć mama lubiła powtarzać za tym swoim Rumim, że wszyscy ludzie są jednym, to kiedy mówiłam do niej po rosyjsku, nie reagowała tak długo, aż nie powiedziałam tego samego po polsku. W języku mojej duszy.

## Rozdział II

### Blask księżycy przypominał jej Bosfor

Emilia szczególnie lubiła te wieczory, kiedy w pensjonacie nie przebywało zbyt wielu gości. Gdy położyła Marynię spać, mogła usiąść na drewnianej werandzie przy filiżance gorącej herbaty z konfiturami, słuchać szumu samowara i patrzeć na spokojne morze, na którym księżyc kładł swoją srebrzystą poświatę. Była już kobietą dojrzałą, skończyła czterdzieści lat, i w ciszy tych samotnych wieczorów wspominała zmienne koleje swojego losu. Rzadko sięgała pamięcią do czasów wczesnej młodości, którą spędziła w podwileńskim klasztorze. Nie rozpamiętywała zbyt często wyprawy do Konstantynopola i dalej, przez anatolijski step, która zawiodła ją za bramę tureckiego haremu. Ale blask księżycy odbity w wodach Morza Czarnego nieodmiennie przypominał jej Bosfor i szczęśliwe lata, które spędziła na azjatyckim brzegu jako żona Zakira, wybitnego polityka sułtańskiego dworu. Ileż to razy siadywała z nim wieczorami nad brzegiem, w ogrodzie ich posiadłości! Patrzyli razem na spokojne wody, słuchali cykad i słowików i rozmawiali cicho o sprawach rodziny albo o polityce.

W ciągu kilkunastu lat małżeństwa jej ciało zaokrągliło się, a duszę ogarnęło poczucie spokojnego szczęścia. Czuła się spełniona jako kobieta, żona i matka uroczego chłopca Kemala. Pragnęła tylko jednego: by czas stanął w miejscu i niczego nie zmieniał. No, może z jednym wyjątkiem – chętnie miałyby więcej dzieci. Starali się o to z Zakirem z wciąż niewygasłą namiętnością, ale pierwszy poród był tak trudny i długi, że akuszerka wyraziła wątpliwość, czy będą mogli mieć kolejne dziecko. Wprawdzie Gülşen, matka Zakira, patrzyła na synową z dezaprobatą i dopytywała z przekąsem o rodzeństwo Kemala, ale Emilia nauczyła się nie przejmować jej uwagami. Co wieczór dziękowała Bogu, którego czasem nazywała Allahem, za dobre życie, jakie wiodła w tureckim domu. I za miłość męża, która uczyniła ją szczęśliwą.

Siedząc po latach na werandzie swojego pensjonatu, Emilia zastanawiała się często, w którym momencie łaskawy los zaczął się odwracać, kiedy wstąpili na wiodącą ku nieszczęściu ścieżkę, z której

nie było już odwrotu.

Czy było to tego wieczoru, gdy Zakir wrócił wzburzony z sułtańskiego pałacu później niż zwykle? Jego twarz okolona ciemną, równo przyszyżoną brodą nosiła jeszcze ślady niedawnego gniewu. Nawet Kemal nie zdołał go wciągnąć do zabawy. Tuż przed powrotem męża Emilia siedziała na jedwabnej otomanie i patrzyła z uśmiechem na kędzierzawe włosy i drobne paluszki swojego synka, który ustawiał na dywanie armię ołowianych żołnierzyków w tureckich, francuskich i rosyjskich mundurach. Rdzawoczerwony kobierzec jak co wieczór zamieniał się w pole bitwy, a kilkuletni generał zawiązywał sojusze i obmyślał strategię. Emilia lubiła obserwować dziecko podczas zabawy. Podziwiała jego żywiołowość i wyobraźnię. Jednocześnie żałowała, że bliski związek z synem niebawem się skończy. Mały Kemal, pierworodny syn jej i Zakira, rósł w oczach. Wkrótce miał zostać obrzezany i przejść pod wyłączną opiekę ojca, do męskiej części domu. Emilia odwlekala ten moment tak długo, jak tylko mogła.

Kemal zastygł z francuskim kapitanem w rękę, po czym poderwał się z okrzykiem „tata” i podbiegł do drzwi. Po chwili szybował w silnych ramionach ojca. Zakir uśmiechnął się do syna zdawkowo, a Emilia od razu wyczuła jego napięcie. Wstała z otomany, podeszła do męża i przytuliła się do niego na powitanie. Miała wrażenie, że jest nieobecny duchem.

– Stało się coś szczególnego, mój drogi? – zapytała, pomagając mu zdjąć sztywny mundur.

– Tak! Ci Rosjanie chyba postradali zmysły. Są tak aroganccy i bezczelni! – Zaczął chodzić po pokoju. Gniew nie pozwalał mu usiąść.

– Przyjmowaliśmy dziś na dworze rosyjskie poselstwo z księciem Mieńszykowem – powiedział wreszcie.

Emilia słuchała z uwagą. Od lat była jego powierniczką, nieomal doradcą. Często rozmawiali o dyplomatycznych kwestiach, które zaprzętały myśli męża.

– Czego chcieli tym razem?

Zakir nabrał powietrza w płuca i przytrzymał je na chwilę.

– Zażądali od sułtana przyznania Cerkwi prawosławnej praw do opieki nad miejscami świętymi w Palestynie.

– Więc nie ma końca tego kuriozalnego sporu! Chyba sułtan nie zamierza się na to godzić. Dlaczego to Cerkiew ma pilnować grobu Chrystusa, a nie Rzym i papież? – zapytała Emilia.

– To nie wina sułtana, że chrześcijanie się podzielili. Tu sułtan byłby nawet gotów im ustąpić. Ale jest coś gorszego.

– Tak?

– Książę Mieńszykow powiedział, że car chce objąć swoim protektoratem wszystkich wyznawców prawosławia w naszym imperium! – Krew napłynęła Zakirowi do twarzy, gdy to mówił, jak gdyby odczuł słowa rosyjskiego posła jako osobistą zniewagę.

– Protektoratem?

– Nazywają to opieką, ale chodzi im o prawo do sądenia chrześcijan według własnego kodeksu, a nie według zasad Koranu. Rozumiesz, co to znaczy?

– To znaczy tyle, że sułtan miałby oddać władzę nad częścią swoich poddanych carowi – odpowiedziała.

– Właśnie! Żaden władca nie może na to przystać. Prawosławnych Słowian jest u nas więcej niż muzułmanów: Bułgaria, Bałkany... Od tego tylko krok do przyłączenia ich terenów do Rosji.

– Sułtan odmówił?

– Oczywiście! Gdyby nie odmówił, to tak, jakby podarował Rosji swój kraj na srebrnej tacy.

– Czy z tego może być wojna? – zapytała, patrząc mężowi w oczy. Zakir stanął naprzeciwko niej. Popatrzył poważnym wzrokiem w jej twarz – piękną i drogą twarz kobiety, która urodziła mu syna.

– Wiesz, że tego nie chcę – odrzekł. – Ale tak, z tego powodu może wybuchnąć konflikt.

Wtedy po raz pierwszy poczuła niepokój, że jej poukładany świat może runąć, jednak wciąż miała nadzieję, że nadal będzie mogła żyć tak jak dotąd. Zakir był przecież przeciwnikiem wojny, a jego zdanie liczyło się na sułtańskim dworze. Uważał, że Turcję trzeba umacniać od wewnątrz, a wojna tylko ją osłabi. Chociaż nawet jego własny ojciec Murat się z nim nie zgadzał.

– Nie masz racji, synu – mówił. – Tylko wojna udowodni zachodnim państwom, że jesteśmy wiarygodni. Jeśli nie pokażemy im

swojej siły, gotowi są podzielić nasze imperium między siebie, tak jak kiedyś Polskę.

Widocznie sułtan zgadzał się z Muratem, bo pomimo zastrzeżeń Zakira Turcja wypowiedziała wkrótce wojnę Rosji.

Emilia była przygnębiona tą perspektywą. Łudziła się, że konflikt uda się jeszcze rozwiązać na drodze dyplomatycznej, ale logika rozpoczętego procesu była nieubłagana.

Minęło kilka gorączkowych tygodni, w czasie których Zakir wracał do domu coraz później i z coraz bardziej zatroskaną miną. Emilia na próżno próbowała wieczorami odciągnąć uwagę męża od spraw państwa. Jej wypiełgnowane ciało, natarte wonnymi olejami, jej gorące szeptu i czuły dotyk straciły nagle swą moc – Zakir pozostawał zamknięty, zamyślony i spięty. Pierwszy raz od lat opuścił nawet sypialnię Emilii. Długo w nocy siedział i rozmawiał z ojcem w męskiej części domu.

Wreszcie któregoś dnia wrócił z pałacu – trupio blady, z zaciśniętymi zębami. Minął Kemala, jakby syn był powietrzem, usiadł obok Emilii i zanurzył twarz w dłoniach. Emilia bała się zapytać, co się stało, a może bała się złych nowin. Kemal usiadł cichutko w kącie i czekał. Siedzieli tak w pełnej napięcia ciszy.

– Mówiłem im, że wojna to zły pomysł – rzekł wreszcie Zakir. – Miałem rację. To katastrofa.

– Jaka katastrofa? Co się stało? – zapytała Emilia.

– Rosjanie zniszczyli całą naszą flotę pod Synopą. Całą! Rozumiesz? – Na jego twarzy malowały się jednocześnie ból i bezradność.

– Pod Synopą? To przecież wody Turcji.

– Oczywiście. Ale udowodnili, że mogą przepłynąć Morze Czarne i dopaść nas w naszym własnym porcie. A my byliśmy bezsilni...

Emilia rozważała przez chwilę, czy to rzeczywiście jest aż tak zła wiadomość. Bo może po zniszczeniu floty rozstrzygnięcie konfliktu nastąpi szybciej i będzie można nadal spokojnie żyć?

– To znaczy, że Turcja nie ma teraz czym walczyć na morzu, tak? – zapytała, starając się, żeby mąż nie wyczuł nadziei w jej głosie.

– Tak. Nie ma czym, bo wszystkie okręty spłonęły, i nie ma kim, bo większość marynarzy utonęła albo dostała się do niewoli. Nawet

dowódca Osman Pasza.

– Więc to on dowodził?

– Tak, on. Wiesz, ile dla mnie znaczył.

Emilia współczuła Osmanowi, choć nie znała go osobiście. Już zaczynała oddychać z ulgą, że nastrój Zakira był spowodowany tylko tym przykrym incydem, gdy jej mąż oznajmił:

– Dlatego muszę iść na tę wojnę, żeby go pomścić.

Jęknęła w duchu.

– Nie. Nie zgadzam się – zaprotestowała. – Przecież zawsze byłeś przeciwnikiem wojny.

– Nadal jestem. Ale muszę iść. Nawet bez twojej zgody.

Nogi się pod nią ugięły. Usiadła na niskiej otomanie i mówiła cicho, patrząc na męża:

– Błagam cię, nie idź, Zakirze. Przecież nie jesteś żołnierzem, tylko politykiem. Doradcą sułtana. Twój kraj potrzebuje cię żywego. Tak jak my...

Zakir przechadzał się po pokoju z rękami założonymi do tyłu.

– Nie zamierzam dać się zabić tym rosyjskim psom – obiecał. – Ale muszę pomścić Osmana. To on był moim patronem na dworze sułtana. Byłbym tchórzem, gdybym siedział tu, kiedy on gnije w rosyjskiej niewoli.

Emilia się załamała. Przez chwilę brakowało jej tchu.

– Turcja jest takim ogromnym krajem. Dlaczego właśnie ty musisz walczyć?

Zakir zatrzymał się przed nią i odparł:

– Każdy powinien. Mam tu siedzieć i czekać, aż Rosjanie zrobią z mojego miasta Carogród?

Czuła ucisk w gardle. Była pełna złych przeczuć. Patrzyła długo na jego twarz, tak jej bliską i drogą, jakby chciała zapamiętać na zawsze jego rysy.

– Czy to nie ty mówiłeś mi kiedyś, że wszyscy jesteśmy falami jednego oceanu? Nie pamiętasz już słów swojego mistrza, Rumiego? – Próbowała sięgnąć po ostateczny argument. – Wszyscy jesteśmy jednym, więc wojny nie mają sensu. Nie pamiętasz?

Zakir stał na środku z kamienną twarzą. Patrzył jej w oczy bez



uśmiechu.

– Pamiętam – zapewnił ją twardo. – To dobre na czas pokoju. Ale teraz Osman Pasza jest w niewoli. Muszę go pomścić – powtórzył.

I Emilia, tak jak tyle kobiet przed nią i po niej, musiała patrzeć, jak jej mężczyzna zmienia się z czułego kochanka, męża i ojca w wojownika gotowego zabijać i umrzeć. I serce jej pękało.

Emilia zapamiętała też dobrze jeden z ostatnich wieczorów, który spędzili przed wybuchem wojny w towarzystwie pary najbliższych przyjaciół. Byli to jej rodacy rzućeni do Stambułu, Ludwika Śniadecka i Michał Czaykowski, wytrwali działacze emigracyjni w służbie księcia Czartoryskiego. To głównie dzięki nim wciąż czuła się Polką.

Michał Czaykowski, przy wsparciu Ludwika, poświęcił wiele lat swego życia na walkę z potęgą cara Mikołaja II. Stworzył siatkę agentów działających od Bałkanów po Kaukaz, których zadaniem było zbieranie informacji i podburzanie lokalnych narodów przeciw rosyjskiej dominacji. Stał się w tym tak skuteczny, że Rosja zażądała wydania go, głównego agenta księcia Czartoryskiego na Wschodzie. Car Mikołaj własnoręcznie napisał w tej sprawie list do sułtana. Wtedy jedynym sposobem na kontynuowanie rozpoczętego dzieła w Stambule wydało się Czaykowskiemu przyjęcie islamu i oddanie się w służbę na tureckim dworze. Sułtan osobiście wybrał mu imię: Sadyk, czyli wierny, i obdarzył go łaskawymi względami. Tureccy dostojnicy byli pod wielkim wrażeniem jego energii, rzutkości i zdolności organizacyjnych. Został gwiazdą sułtańskiego dworu! Ale zarazem miał gorzką świadomość, że polscy emigranci plotkujący po kawiarniach Paryża i Konstantynopola byli mu nieprzychylni i nazywali go poturczeńcem. Szczególnie bolała go chłodna niechęć księcia Adama i generała Zamoyskiego. Wciąż pragnął wiernie im służyć, ale oni wyraźnie dystansowali się od poczynań Czaykowskiego.

W tamtym czasie Emilia, Zakir, Ludwika i Michał spotykali się często. Wbrew tureckiemu obyczajowi jadal kolację we czworo, najczęściej w europejskim salonie Emilii i Zakira. Czasem, jak tamtego wieczoru, towarzyszył im ojciec Zakira Murat, dawny ambasador turecki we Francji, wciąż zainteresowany polityką.

– Poznałem waszego księcia przed laty w Paryżu. Zawsze miałem

dla niego wiele uznania – powiedział. – Co mu pan radzi w tych trudnych czasach?

Michał Czaykowski skierował wzrok na Murata i zaczął mówić tonem wytrawnego polityka:

– Przede wszystkim, żeby naciskał na cesarza Napoleona III, by ten dał gwarancję poparcia Turcji przez Francję w razie wybuchu wojny. Bo wyczuwam, że sułtan boi się sam wystąpić przeciw Rosji bez takich gwarancji.

– A pan by się nie bał? – zapytał Murat.

– Ja nie. Już raz wystąpiłem, z górą dwadzieścia lat temu – odparł Sadyk zdecydowanie. Należał przecież do tych uczestników powstania listopadowego, którzy wybrali emigrację.

– Wam, Polakom, nie brakuje odwagi ani zapалу do boju. Przydaliby nam się tacy żołnierze w naszej armii – powiedział Murat.

– Toż powtarzam wam od lat: nie mielibyście chętniejszych od Polaków żołnierzy do walki z Rosją. Tylko dajcie znak, a wystawimy wam piękny legion. Masa żołnierzy polskich z rewolucji węgierskiej siedzi beczynnie po stambulskich kafejkach, pali fajki i gra w karty. A reszta w Paryżu tylko czeka na sygnał. No i Polacy w armii rosyjskiej: dam głowę, że dezercerowaliby masowo i przekraczali linię frontu!

Michał mówił coraz zapalczywiej, zawsze łatwo popadał w uniesienie, snując podobne plany. Teraz ogarnęła go prawdziwa gorączka. Czuł, że nadchodzi jego czas. Wreszcie wieloletnie wysiłki miały wydać oczekiwane owoce. Wojna między Turcją a Rosją była tym, na co środowisko Hôtelu Lambert czekało od dawna. Nad Paryżem unosiło się wspólne marzenie setek emigrantów o tym, jak polskie legiony u boku armii tureckiej walczyć przeciwko Rosjanom o wolną Turcję i o wolną Polskę. Marzenie podsycane prorocstwem Wernyhory, który wieszczył pojenie tureckich koni w ukraińskich rzekach, z czego miała się odrodzić Rzeczpospolita.

– Może już niedługo doczeka się pan ziszczenia tych marzeń – stwierdził Murat. – Wydaje mi się, że sułtan przychyła się ku pańskim wizjom.

Oczy Sadyka zapłonęły jeszcze mocniej.

– Byłoby najlepiej, gdyby Turcja powołała do swojej armii

polskich oficerów. Nie brak wśród naszych emigrantów i doświadczonych generałów. Najlepsze rozwiązanie i dla was, i dla nas to utworzenie odrębnych formacji wojskowych Kozaków. Zawsze wierzyłem, że kozaczyzna będzie mostem, który połączy sprawę wolnej Polski z interesami Turcji.

– Dlaczego akurat kozaczyzna? – zapytał Murat.

– Michał urodził się na Ukrainie – wyjaśniła Ludwika. – Od dziecka nasiąkał legendą wolnych Kozaków i wierzy, że to z ich umiłowania wolności powstanie wolna Polska.

Niedługo po tej rozmowie Turcja wypowiedziała Rosji wojnę, a rosyjska eskadra pod dowództwem admirała Pawła Nachimowa zniszczyła turecką flotę pod Synopą.

Od tej chwili wypadki potoczyły się szybko. Sadyk otrzymał sułtański firman nakazujący mu powołanie pułku kozackiego. Został mianowany paszą mirmiranem i dowódcą wszystkich kozaków. Miał zebrać jedną sotnię i ruszyć nad Dunaj, w pobliże Mołdawii i Wołoszczyzny, gdzie wkroczyli Rosjanie. Cieszył się, że zostanie atamanem, wyprawi się w pole i niebawem będzie już o krok od swojej rodzinnej Ukrainy. Uzyskawszy dekret sułtański, od razu przystąpił do organizacji pułku, topiąc w nim swój skromny majątek. Pozyskał kilkunastu polskich oficerów, żołnierzy i dezerterskich rosyjskich. Poza tym wcielał do pułku, kogo się dało: Bułgarów, Ormian, Żydów, a nawet więźniów z Bałkanów siedzących za rozboje. To były prawdziwe diabły wojny: dumni, zuchwali, jakby żywcem wyjęci z dawnej siczy zaporoskiej. Omer Pasza, naczelny wódz, powtarzał, że Sadyk posuwa odwagę do zuchwałości, powierzając się takim zbójcom. W ciągu dwóch miesięcy posadził na koń dwie sotnie kozackie. I otrzymał rozkaz wymarszu do Szumli.

Po drodze, w Adrianopolu, zorganizował przysięgę na wierność sułtanowi – na Ewangelię, Koran i Talmud. Żołnierze podjeżdżali konno po jednym i przysięgali – każdy na swoją księgę. Byli przy tym obecni: imam mużulmański, wielki rabin religii mojżeszowej, ksiądz katolicki i grecki. Tym aktem uroczystym Sadyk zadokumentował pełną tolerancję religijną w swojej sotni. Pułk kozacki otrzymał pamiątkowy sztandar zaporoski, z polskim orłem i tureckim półksiężycem. Wódz

naczelnym Omer Pasza przemówił i wyraził nadzieję, że kozacy odnowią sławne czyny dawnego Zaporozża i poniosą swój sztandar do Polski i na Ukrainę

Wkrótce i Zakir zgłosił się do wojska i wyjechał na Krym, by uczestniczyć w oblężeniu Sewastopola.

Przez kolejne samotne miesiące Emilia popadała w przygnębienie. Ogarniały ją nuda i samotność. Bała się o męża i tęskniła za nim. Puste wieczory dłużyły jej się w nieskończoność, dlatego lubiła, kiedy czasem odwiedzał ją Murat, przynosząc wieści z pałacu. Tak jak owego wieczoru, który także przetrwał wyraźnie w jej wspomnieniach.

– Stawił się dziś u mnie twój rodak, Emilio. Powoływał się na pełnomocnictwa waszego księcia, którego Ludwika i Sadyk tak admirują – poinformował ją teść od wejścia.

– Tak, a kto taki? – spytała.

– Przedstawił się jako hrabia generał Zamoyski.

– O, więc wreszcie przyjechał. Sadyk nie mógł się go doczekać.

– Właśnie, powiedziałem mu, że Sadyk już wojuje z Rosjanami, ale chciał rozmawiać ze mną.

– I cóż? Z czym przyjechał?

– Jeszcze nie wiem. Zaprosiłem go na kolację do nas. Pomyślałem, że chętnie zobaczysz rodaka.

Przyjęli go w europejskim salonie, przy stole. Emilia miała na sobie suknię o europejskim kroju, zamówioną u francuskiej krawcowej z Pery.

Zamoyski przyszedł punktualnie. Wysoki, szczupły, trzymał się sztywno i miał takie spojrzenie, jakby na wszystkich patrzył trochę z góry. Był nieco zdezorientowany, gdy Emilia przemówiła po polsku:

– Witamy serdecznie w naszym domu, panie hrabio.

– A to niespodzianka. Nie uprzedzono mnie, że to polski dom – powiedział nieco zmieszany. Ucałował podaną przez Emilię dłoń i szybko przywołał na twarz swój zwykły beznamiętny wyraz, niezdradzający żadnych emocji.

– To dom turecki, ale ja przyjechałam z Polski – wyjaśniła Emilia, przechodząc na francuski, aby Murat mógł się włączyć do rozmowy.

Hrabia uniósł lekko brwi.

– Spodziewałem się spotkać tu rodaków, zwłaszcza tych walczących w powstaniu węgierskim, ale, dalibóg, nie kobietę – odparł z uśmiechem, ale jego oczy pozostały chłodne. Emilii się nawet zdawało, że zobaczyła w nich cień dezaprobaty. – Cóż, niezbadane są wyroki boskie.

Wiedziała doskonale, że przyjęcie islamu przez Sadyka i Ludwikę wywołało pogardę i wrogość Zamoyskiego. Musiał podejrzewać, że ona także przeszła na islam. Ale jakie żalosne wydawało jej się teraz to ślepe przywiązanie do doktryny przyjętej w dzieciństwie, jej – wiernej czytelniczce Rumiego! Żyjąc od tylu lat z Zakirem, prawie nie pamiętała o religijnych różnicach między nimi – oboje przyjmowali z obu religii ich sedno: miłość do Boga i miłość do ludzi. Jednak hrabia nie potrafił zostawić tej sprawy na boku.

– Wybaczy pani moją ciekawość, ale czy jest pani katoliczką? – zapytał po polsku.

– Przez dziesięć lat wychowywałam się w katolickim klasztorze. A teraz jestem żoną muzułmanina – odpowiedziała. – Uważam, że wyznanie nie powinno być powodem sporów między ludźmi, bo więcej nas wszystkich łączy, niż dzieli.

Po pergaminowej twarzy Zamoyskiego przemknął uśmiech, ale był to uśmiech wyższości, jeden z tych, które mówią: „Nie wypada mi z panią polemizować, ale to, co pani mówi, uważam za głupstwo i niedorzeczność”. Emilia pochwyliła ten wyraz.

Do pokoju weszła Nadire i oznajmiła, że kolacja gotowa. Gdy Emilia zaprosiła gościa do stołu, zobaczyła kątem oka, że śnieżnobiałe obrus i francuska porcelana zrobiły na nim dobre wrażenie. Jakby się obawiał, że każą mu jeść, siedząc na dywanie. Jagnięca pieczeń z rozmarynem i bakłazanami pachniała wyśmienicie, a francuskie czerwone wino w karafce zapowiadało dobry nastrój przy stole.

– Przyjechałem tu jako reprezentant Polski na wychodźstwie – oznajmił hrabia po wymianie grzeczności z Muratem.

– Drogi panie, Sadyk Pasza już od dziesięciu lat z górą reprezentuje polskie interesy w Stambule. Wszyscy go tu znamy i szanujemy. O ile wiem, pozostaje w kontakcie z waszym księciem.

– Kiedy właśnie chodzi o to, że panu Sadykowi nie staje

kompetencji. To szczerzy człowiek, oddany sprawie, ale gorączka. A dyplomacja jest grą subtelnej natury. Dyplomacja jest, rzekłbym, dla ludzi innego formatu. – Zawiesił głos i złączył swoje długie palce, jakby chciał słuchaczom dać do zrozumienia, że to jego format jest jedynym właściwym.

Emilia zauważyła, że ta sugestia zirytowała Murata.

– Wiem, że panowie od lat politykujecie w Paryżu – powiedział. – Rozumiem trudne położenie Polaków i całym sercem sympatyzuję z waszą sprawą. Ale, za pozwoleniem, to Sadyk przekonał sułtana do tworzenia kozackich pułków, które mają waszego orła na sztandarach. A dziesięć lat wcześniej utworzył polską osadę.

Hrabia Zamoyski skrzywił się lekko, co w zamierzeniu miało być chyba uśmiechem.

– Nikt mu nie ujmuje tych zasług – skwitował. – Szczerze mu wdzięczni jesteśmy. Książę Czartoryski i cała Polska doceniają jego pracę. Ale to ja zostałem wysłany przez księcia z Paryża do prowadzenia dalszych rokowań i do pracy dyplomatycznej tu, w sercu tej wojny.

Murat popatrzył na niego chłodno.

– A czemuż to pan hrabia przybył do Stambułu dopiero teraz, gdy Sadyk ze swymi sotniami już dawno w polu? – zapytał. – Czy nie godziło się przybyć wcześniej i wesprzeć jego wysiłki? Przecież zapraszał pana jako jednego z generałów.

Zamoyski wydał wargi w pogardliwym uśmiechu.

– Ja przyjechałem tu tworzyć prawdziwe wojsko polskie – odrzekł.

– A cóż to, wojsko Sadyka nie jest dość prawdziwe?

– To kozackie zbiegowisko trudno nazwać polskim legionem.

Pełno w nim żydów, prawosławnych i innej hołoty.

Emilia przysłuchiwała się ich rozmowie i zrozumiała, że celem hrabiego było przekonanie Murata do poparcia pomysłu utworzenia kolejnego, tym razem czysto polskiego, pułku. Ale widziała wyraźnie, że pomimo wysiłków hrabia nie zdołał przekonać ojca Zakira.

– Jeśli twoi rodacy chcą, by sułtan, wielki wezyr i dywan traktowali ich poważnie, to powinni się zjednoczyć, wspierać i występować razem, a nie dyskredytować wzajemnie! – zauważył po kolacji, gdy zostali sami.

Musiała przyznać mu rację.

Hrabia odszedł, nie uzyskawszy poparcia Murata.

Od początku tej wojny Emilia z Ludwiką Śniadecką zbliżyły się jeszcze bardziej. Dawna przyjaciółka, która pomogła Emilii w początkach jej tureckiego życia, była przy niej i teraz, gdy ich mężowie wspólnie służyli na froncie pod rozkazami generała Omera Paszy. Obie osamotnione kobiety spotykały się chętnie i wymieniały wiadomościami od mężów. Na szczęście listy z frontu przychodziły regularnie.

Kilka dni po rozmowie z Zamoyskim Emilia z Ludwiką siedziały razem w salonie willi w Beszyktaszu, którą sułtan podarował Sadykowi po pożarze dawnej posiadłości. Dom zbudowany na wzgórzu, z widokiem na rozległą dolinę i drogę dojazdową. Ludwika prawie nie opuszczała swojej samotni, ale z okien salonu często było widać pielgrzymujących do niej działaczy emigracyjnych i rozmaitych posłańców z listami i wiadomościami. Wydawać by się mogło, że wobec nieobecności Sadyka to ona była teraz głównym agentem księcia na Wschodzie.

Kobiety siedziały przy stole i piły herbatę z konfiturami, jak na Litwie.

– Wiesz, Emilio, dostałam list od brata z Polski – oznajmiła Ludwika. – On jedyny w rodzinie się mnie nie wyrzekł... Pisze mi, że w Polsce wszyscy czekają na sygnał do powstania. Bo kiedyż lepiej wystąpić przeciw Rosji, niż wtedy, kiedy jest związana wojną na południu? Więc wyobraź sobie, że tu, w Turcji, polskie wojsko pod Sadykiem walczy z Rosją, a tam, w kraju jednocześnie powstanie! – Białe policzki Ludwiki zaróżowiły się lekko, co było niechybnym znakiem jej niezwyklej ekscytacji.

Emilia patrzyła na nią z uśmiechem, ale nie podzielała jej zapału. Może kiedyś modliłaby się z innymi o kolejną szansę dla Polski. Ale teraz, przeszło dziesięć lat po śmierci swojego ojca – powstańca, niewolnika i tułacza – nie umiała marzyć o powstaniu. Wciąż miała w pamięci jego gorzkie wyznania – człowieka, który czuł się przegrany.

– Czy książę zamierza wydać rozkaz przystąpienia do powstania w kraju? – zapytała.

– Niestety, ani Anglia, ani Francja nie zgadzają się na to. Każą czekać! Cała polska emigracja się niecierpliwi, bo jest wielu chętnych, żeby wracać do Polski i walczyć.

– Myślisz, Ludwiko, że kolejna ofiara krwi w czymkolwiek pomoże?

Ludwika popatrzyła na Emilię z taką miną, jakby miała dla niej dobrą nowinę.

– Pisał mi niedawno przyjaciel z Paryża, że Napoleon III zapewnił Polaków: „Polska, ta siostrzyca Francji, zawsze tak oddana, zawsze tak wielkoduszna, może mieć nadzieję na bliskie zmartwychwstanie”. Oby cesarz Francuzów rzeczywiście wierzył w te słowa!

– A ty w nie wierzysz? I Michał? – zapytała Emilia.

– Oczywiście. Michał jest uszczęśliwiony. Po tylu latach służby na sułtańskim dworze, po czasie chłodnego milczenia księcia wreszcie może działać. Walczy i bije Rosjan o krok od swojej Ukrainy. Widzisz, już się ziściło to, że polskie wojsko u boku armii tureckiej będzie walczyć z carem. I kto wie, może się spełni też reszta przepowiedni Wernyhory i z pomocą turecką odrodzi się wolna Polska. Ach, co to za czas nastał! Dobrze, żeśmy tego doczekali.

Emilia podziwiała optymizm Ludwiki, ale go nie podzielała. Z całego serca życzyła dobrze dziełu Sadyka, ale była świadoma intryg snutych przeciw niemu pod jego nieobecność.

Wypiła łyk herbaty z wiśniową konfiturą.

– Przykro mi to mówić, Ludwiko, ale lepiej, żebyś wiedziała – odezwała się po dłuższej chwili. – Był u nas hrabia Zamoyski i strasznie oczerniał Sadyka przed Muratem. Oczywiście, Murat nie dał wiary jego słowom, ale rzecz zrobiła na nim niemiłe wrażenie. Dziwił się, jak przedstawiciel księcia, w którego imieniu Sadyk działa, może tak szkalować i szkodzić Sadykowi.

Ludwika zmarszczyła brwi.

– Wiem i boleję nad tym – wyznała. – Kiedy Zamoyski pojawił się w Stambule, przyszedł i do mnie. Próbowałam ze wszystkich sił łagodzić napięcia między nim a Sadykiem. Ba, polubiłam go prawie... – Ludwika się zamyśliła. – Otacza go powietrze, które było moim, a tu rzadkie bardzo: atmosfera wyższego wykształcenia i wielkiego świata. Trzeba



było wiele, by zniszczyć moją dla niego sympatię. Ale sam na to zapracował, niestety.

– To dwulicowy człowiek. Tobie nadskakiwał, a za plecami nazywał Michała odszczepieńcem, a jego kozaków hołotą.

– Wiem. Nasze największe nieszczęście to ciągle emigracyjne spory. Sadyk stworzył sam wielkie dzieło: polskie wojsko z orłem na sztandarach, które walczy z Rosją. A Zamoyski, zamiast docenić to i wspomóc, tylko judzi przeciw niemu. Czasem myślę, że to z zazdrości... A teraz siedzi tu sam i politykuje, a Michał dawno dowodzi kozakami pod Szumlą... – Twarz Ludwika rozjaśniła się na chwilę. – I zobacz, co to za przypadek! – powiedziała. – Ja przecież przyjechałam do Turcji po to, by dotrzeć pod Szumlę i odnaleźć drogą mi mogiłę dawnego ukochanego. Och, i teraz gotowa bym tam pojechać, ale już nie do mar przeszłości, tylko do Sadyka!

– Naprawdę odważyłabyś się pojechać za nim na front? – spytała Emilia z niedowierzaniem.

– Gdybym tylko wiedziała, że nie będę mu ciężarem, pojechałabym choćby dziś – odparła Ludwika żarliwie. – Ale on i tak ciągle zajęty, prawie nie śpi. Ja też mam mnóstwo pracy z korespondencją, raportami dla księcia.

– Myślałam, że kobiet nie ma na froncie. A jeśli są, to tylko, no wiesz... sprzedajne.

– O, nie tylko. Czytałam, że w brytyjskim szpitalu pod Sewastopolem służą siostry: ochotniczki, pragnące ulżyć doli rannych.

– Naprawdę? – zapytała Emilia i nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Przecież pod Sewastopolem jest Zakir!

Sięgnęła po filiżankę herbaty, wypila łyk i w milczeniu długo wpatrywała się w okno.

### Rozdział III

#### Chłopcze, masz wielki talent!

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski wiedział doskonale, że ma pełne prawo uważać się za człowieka szczęśliwego. Bóg nie tylko obdarzył go wielkim, niepospolitym talentem, lecz także postawił na jego drodze ludzi, którzy pomogli mu ten talent rozwinąć, oszlifować jak diament. I to jeszcze nie wszystko: mógł podróżować po świecie, poznać najwybitniejszych artystów swoich czasów, zaznać światowej sławy, zaszczytów i bogactwa. To niemało jak na syna ubogiego ormiańskiego kupca, osiadłego w Teodozji.

Dlatego Iwan Konstantynowicz miał serce przepełnione wdzięcznością, którą można było zobaczyć w jego dużych, łagodnych oczach. Zresztą łagodność emanowała z całej jego postaci, z powolnych ruchów, nieśmiałego uśmiechu i dłoni o długich palcach. Miękkich dłoni malarza.

Jako chłopiec uwielbiał morze. Mógł się godzinami gapić na jego ruch, grę kolorów i światła, poznawać jego naturę i moc. I nurkować w odmętach. Gorący klimat krymskiego wybrzeża sprawiał, że woda zachęcała do kąpieli od wiosny do wczesnej jesieni. Nie odpuszczał ani jednego dnia w sezonie, codziennie od nowa zawierał przymierze z wodą, irytując tym ojca, który uważał, że kąpiele i spacer po plaży to marnowanie czasu.

Ojciec Iwana Konstanty przybył do Teodozji z polskiego Stanisławowa w poszukiwaniu lepszej przyszłości dla swojej rodziny. Znalazł tu życzliwą otwartość sporej diaspory ormiańskiej. Był człowiekiem dobrze wykształconym, władał sześcioma językami, więc wkrótce zdobył znaczącą pozycję w życiu handlowym miasta. Doskonale się odnajdywał w wielonarodowym portowym zgiełku, dlatego jego magazyny w krótkim czasie wypełniły się zamorskimi towarami, a kiesa – pieniędzmi. Niestety, w pamiętnym 1812 roku, gdy Rosja na północy triumfowała po pokonaniu pogromcy Europy – Napoleona, na południu imperium epidemia dżumy zmiotła prowincjonalną Teodozję, wyróciła rodzinny biznes i na długie lata pogrzyła rodzinę Ajwazowskich w biedzie. Wydarzenie to wywarło

wpływ na Iwana Konstantynowicza, choć nastąpiło pięć lat przed jego urodzeniem. Ojcu nie było łatwo podźwignąć się z biedy, więc chłopiec od wczesnych lat musiał mu pomagać. Pracował w kosmopolitycznych kawiarniach Teodozji, wśród gwaru wielu języków regionu – włoski, grecki, turecki, ormiański, tatarski brzmiały wokół niego częściej niż oficjalny rosyjski. Roznosząc gościom kawę, herbatę, wino i wódkę, mały Ajwazowski od dziecka nasiąkał kolorowymi obrazami i dźwiękami, które oferowała Teodozja.

Iwan miał muzykalne ucho i wkrótce nauczył się wygrywać na skrzypcach rozmaite ludowe melodie. Ale to obrazy najbardziej pochłaniały jego wyobraźnię. Z braku innych narzędzi rysował węglem drzewnym na papierowych serwetkach z kawiarni albo na białych ścianach budynków miasta. Szkicował z pamięci widok portu, żaglowców na horyzoncie i skłębionych chmur.

Któregoś dnia po wyjściu z kawiarni sięgnął do kieszeni po kawałek węgla, stanął przed upatrzoną wcześniej białą ścianą i z rozmachem zaczął szkicować kolejny rysunek. Ten widok miał przed oczami już od wczoraj: zakole portowej zatoki w Teodozji, cisza spokojnego wieczoru i łódź rybaka, który wypływa na wieczorny połów. Rysował szybko, z zapamiętaniem, jakby musiał wyrzucić z siebie ten obraz. Nadał mu większy rozmiar niż dotąd rysowanych szkiców. Choć miał tylko jeden kolor, czarny, powierzchnia wody zdawała się lśnić. Nagle usłyszał kroki. Spojrzał w tę stronę, niechętnie odrywając wzrok od ściany. Nadchodził dobrze ubrany jegomość w średnim wieku. Iwan rozpoznał w nim burmistrza Teodozji, który przemawiał do mieszkańców w czasie świąt państwowych. Chłopiec się przestraszył. Było jednak za późno, żeby uciekać. Lewą ręką zdjął czapkę, ścisnął ją w dłoni i czekał na słowa reprimendy za niszczenie miejskich budowli.

– Więc to ty jesteś autorem tych rysunków, których pełno w naszym mieście... – powiedział burmistrz, przyglądając mu się uważnie.

– Ja... – przyznał Iwan ze skruchą w głosie i zastanawiał się, jaka kara może za to grozić.

Burmistrz długo milczał, oglądając świeży szkic.

– Kim jest twój ojciec, chłopcze? – zapytał.

– Kupcem, panie burmistrzu.

– Podaj mi wasz adres, jutro wieczorem was odwiedzę.

Chłopiec popatrzył na niego z przestraszeniem.

– Przepraszam, panie burmistrzu, to tylko do pierwszego deszczu.

Jesienne ulewy wszystko zmyją i nie będzie śladu...

Burmistrz położył mu ręce na ramionach i popatrzył dziecku prosto w oczy.

– Chłopcze, masz niezwykły talent – powiedział. – Muszę porozmawiać z twoim ojcem.

Następnego wieczoru cała rodzina ubrana odświętnie czekała w skromnych progach swojego domu. Matka przygotowała dolmę – liście winogron faszerowane ryżem z migdałami, rodzynkami i miętą. Znakomity gość przybył, przywitał się i wyłożył sprawę krótko: chłopiec ma niepospolity talent, dar od Boga, należy koniecznie go kształcić. Trzeba go wysłać najpierw do gimnazjum w Symferopolu, a potem do Akademii Sztuki w Petersburgu. Czy ojciec ma pieniądze na jego naukę? Nie. Więc burmistrz pomoże i pokryje koszty częściowo z kasy miejskiej, częściowo dzięki zamożnym przyjaciołom. Bo wie, że ten chłopiec rozśławi kiedyś imię Teodozji.

Kiedy burmistrz wyszedł, oczy ojca były pełne dumy, a z oczu matki płynęły łzy. Iwan nie wiedział, czy matka płacze z radości, czy z żalu, że jej syn ma opuścić dom. Ale on sam ucieszył się bardzo. Wprawdzie kochał rodzinną Teodozję, ale ciągnęło go w świat, uśmiechała mu się nowa przygoda.

W symferopolskim gimnazjum uczył się dobrze, a nauczyciel rysunku zawsze dawał mu celujące noty, mówiąc, że dla jego talentu nie starcza szkolnej skali ocen.

Potem, gdy Iwan miał zaledwie szesnaście lat, burmistrz zaopatrzył go w listy polecające i wysłał w pierwszą podróż do stolicy.

Monumentalne budynki miasta i dostojne mury Akademii Sztuki trochę onieśmieliły chłopca, ale petersburscy akademicy od razu zobaczyli w nim diament. Nikt z nich nie potrafił oddać lśnienia światła na falach morza tak jak on.

Kiedy Iwan studiował w Akademii, wciąż jeszcze trwało upojenie zwycięstwem nad wielką armią Napoleona, które dodało Rosjanom

skrzydeł i pozwoliło uwierzyć w niepokonaną siłę ich imperium. Choć wielu uważało cara Mikołaja za tyrana, to jednak na fali euforii rosyjska kultura rozkwitała, pojona poczuciem narodowej dumy i potęgi. Młody ormiański malarz znalazł się w samym centrum swojej rosyjskiej ojczyzny, która wyciągnęła do niego rękę. I pokochał tę ojczyznę z całego wdzięcznego serca, jak się miało okazać – z wzajemnością. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, gdy jego obrazy zdobiły wnętrza Pałacu Zimowego, budząc podziw carskiego dworu. Chętnie poznawali go i ofiarowywali swą przyjaźń najwybitniejsi ludzie tych czasów: Gogol, Puszkina, Glinka, Lermontow.

Jako dwudziestolatek ukończył Akademię Sztuki odznaczony złotym medalem, który uprawniał go do kontynuowania studiów za granicą na koszt Akademii. Ruszył na południe Europy, do krajów, których piękno malarze od wieków zaklinali na płótnach. Jego łagodne, miłe obejście i niezwykły talent połączony ze skromnością zapewniały mu sympatię i podziw wszędzie, gdzie zagościł, czy to w Petersburgu, czy w Rzymie. Malował dużo, jego prace regularnie pojawiały się na wystawach, zapewniając mu wielką sławę, która dotarła aż do Petersburga. W rosyjskich gazetach pisano, że drzwi włoskich willi i pałaców stanęły przed nim otworem, że nikt inny nie potrafi oddać tak przekonująco światła, powietrza i wody, że widoki Zatoki Neapolitańskiej o zachodzie słońca nie mają sobie równych w całej włoskiej sztuce, a obraz zatytułowany Chaos nabył sam papież Grzegorz XVI i zawiesił go w Watykanie pośród największych arcydzieł. Wszystko to było prawdą.

Angielski malarz Joseph Turner był tak poruszony jego Zatoką Neapolitańską w księżycową noc, że zadedykował mu wiersz pochwalny. Nie mniejszy sukces osiągnął, gdy wystawił swoje obrazy w Paryżu. Delacroix go podziwiał, a Turner uważał za geniusza.

W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat został członkiem pięciu europejskich akademii sztuki. Po powrocie do Rosji otrzymał tytuł akademika, a car Mikołaj specjalnym edyktem włączył go do dowództwa floty z tytułem oficjalnego malarza i z prawem do noszenia munduru Ministerstwa Marynarki Wojennej.

Wrócił z Europy jako malarz światowej sławy. Mógł się cieszyć

splendorem i światowym życiem w stolicy. Ale tęsknił do ciepła i słońca Krymu. Północny Bałtyk spowity szarymi mgłami nie mógł mu zastąpić gorącego Morza Czarnego. Tak jak światowy Petersburg, pełen zbytku, dworskich intryg i knowań ludzi łgnących do najwyższej władzy, nie mógł mu zastąpić spokoju i uroku cichego miasteczka na krymskim wybrzeżu. Dlatego wolał osiąść w rodzinnej Teodozji. Wybudował dom tuż przy plaży i każdego dnia robił to, co kochał najbardziej – malował morze.

## Rozdział IV

### Najpiękniejszy prezent

Moja wczesna edukacja była dość różnorodna i powiększała tylko zamęt dotyczący tego, kim jestem. Chodziłam do rosyjskiej szkoły, jak prawie wszystkie znane mi dzieci. Kiedy Rosjanie zajęli Krym niecały wiek wcześniej, książę taurydzki Potiomkin od razu zarządził rusyfikację całego półwyspu. Nie tylko sprowadził tysiące chłopów pańszczyźnianych z Rosji, nie tylko zamienił wiele meczetów na cerkwie, ale też stworzył sieć rosyjskich szkół, w których dzieci mniejszości narodowych miały się uczyć czytania i pisania w języku nowej ojczyzny oraz miłości do cara i jego rodziny. A wśród nich i ja.

Ale gdy pytałam mamę, czy powinnam kochać cara, odpowiadała, że nie, niekoniecznie. Nie chciała, żebym czuła się Rosjanką. Sentencja Rumiego o falach oceanu dawno przestała mi wystarczać – nie wierzyłam, że to wszystko jedno, kim jestem. Ale przecież nigdy nie odwiedziłam tego dalekiego kraju pełnego buntowników, którego zresztą nie było na mapie, bo stanowił zachodnią gubernię naszego imperium. Jak miałam go uważać za swoją ojczyznę? Zresztą nie widziałam nic złego w byciu Rosjanką. Mama jednak z uporem żywiła moją „polską duszę”. Opowiadała mi dużo o polskiej historii i domu swojego dzieciństwa, położonym gdzieś daleko na północy. Miała też trochę polskich książek, które czytała mi wieczorami. Do jej ulubionych należały wiersze Adama Mickiewicza – podobno jej ojciec spotkał go kiedyś osobiście. Dostała je od swojej znajomej, która na pierwszej stronie wpisała dedykację:

Kochana Emilio, niech na krymskiej ziemi, którą sobie wybrałaś na nową ojczyznę, towarzyszą Ci słowa naszego wieszca, zachwycającego się kiedyś tą krainą, tak jak ja. Ludwika Śniadecka.

Były to Sonety krymskie. Polski poeta opisywał swoje wrażenia z podróży po Krymie – pisał pięknie o miejscach, z których wiele znałam i których nazwy brzmiały znajomo: Akerman, Ajudah, Czatyrdah, Baczysaraj.

Nauczyciele w szkole pokazywali mi rosyjską kulturę, mama

uczyła mnie polskiej historii i polskich wierszy, a ciocia Nadire czytała mi francuskie bajki i opowiadki i rozmawiała ze mną po francusku, bo nie mówiła ani po polsku, ani po rosyjsku. Dlatego jeszcze zanim poszłam do szkoły, mówiłam płynnie w trzech językach.

Do tego rodzice moich tatarskich przyjaciół opowiadali mi własne bajki i legendy. Szczególnie ojciec Iry miał talent do snucia barwnych opowieści o dumnych i wolnych stepowych wojownikach, którzy przemierzali wielkie obszary, byli nieustraszeni, kochali konie, przestrzeń i szum wiatru w uszach. Kiedy patrzyłam na jego syna Dajdzana, wierzyłam, że jest ich potomkiem. Świetnie trzymał się w siodle, był silny, zręczny i wydawało się, że niczego się nie boi. Chętnie brał udział w konkursach i pojedynkach organizowanych w czasie świąt i często w nich zwyciężał; zapasy, strzelanie z łuku, rzut kamieniem w dal i wyścigi konne były jego ulubionymi dyscyplinami. Odnosiłam wrażenie, że lubił się popisywać zręcznością i siłą, ale wszyscy Tatarzy bardzo cenili te przymioty. Jak gdyby w każdej chwili chcieli być gotowi do ruszenia w pole na rozkaz swego chana.

Bardzo lubiłam ich dom – różnił się od naszego, niski, otoczony kamiennym murem. Nie leżał tuż nad morzem tak jak nasz, tylko nieco wyżej, na wzgórzu, w dzielnicy tatarskiej, w pobliżu winnicy. Mama pozwalała mi tam chodzić, szczególnie kiedy pensjonat był pełen gości i nie chciała, żebym się plątała pod nogami. Brałam wtedy kawałek świeżego ciasta z kuchni, zawijałam go w czystą ściereczkę i biegłam pod górę, aż do cienistego ogrodu ukrytego za kamiennym murem. Tam mama Iry, ubrana w haftowaną suknię, witała mnie zawsze ciepło i zapraszała do zjedzenia czegoś dobrego.

Widziałam ją najczęściej, jak gotowała płow – w wielkim żeliwnym rondlu, ustawionym wprost na ogniu, skwierczał barani tłuszcz, a w nim dusiło się razem mięso, ryż i pokrojona cebula z marchewką, w bogatym aromacie kuminu, pieprzu i innych przypraw. Smakowity zapach płowu unosił się nad ich domem, a właściwie nad całą tatarską dzielnicą, bo było to ulubione i najpopularniejsze danie. Uwielbiałam je!

Kiedy mama Iry nie gotowała, najczęściej zajmowała się polerowaniem miedzianych naczyń („Błysk rondli najlepiej świadczy



o gospodyni” – mawiała ze ściereczką w dłoni) albo haftowała na tamborku. Ich dom od podłogi do sufitu ozdabiały jej hafty – ręczniki, obrusy, zasłonki, poduszki i makatki z pięknym dwustronnym haftem o barwach żywych jak krymskie kwiaty pokrywały wszystkie ściany i sprzęty. A na podłogach ścieliły się grube dywany i chodniki z owczej i wielbłądziej wełny.

Dom Iry najbardziej różnił się od mojego nie tyle haftami na ścianach zamiast obrazów, ile obecnością mężczyzn. Przede wszystkim był w nim ojciec, Agabej, postawny, pełen godności, a jednocześnie wesoły i energiczny człowiek. Nosił tradycyjny tatarski strój: bufiaste spodnie, długą koszulę przepasaną wełnianym pasem, haftowaną krótką kamizelkę i kaftan, a na głowie – okrągłą czapkę. Lubił siadać na drewnianej ławce w cieniu morwy, palić fajkę i opowiadać nam stare tatarskie legendy i bajki.

– Czy krymscy Tatarzy są potomkami armii Dżyngis-chana? – zapytałam go kiedyś.

– Wielu tak myśli. Ale to nieprawda. Tatarzy stepowi są rzeczywiście potomkami Mongołów. Ale my, Tatarzy krymscy, znaleźliśmy się tu, na Krymie, jeszcze przed Mongołami i przed Dżyngis-chanem, chociaż pierwsi chanowie rządili tu z jego nadania. – W głosie Agabeja brzmiała duma z tej starożytnej genealogii, którą mógł się poszczycić. Mówił o tym, że Dżyngis-chan stworzył największe imperium w dziejach świata.

Chciałam wiedzieć, czy to ten sam wódz, przed którym musiał uciekać z domu Rumi, ulubiony poeta moich rodziców. W opowieściach mamy był to jakiś straszliwy barbarzyńca, który szedł na zachód i mordował wszystko, co żyło, budząc przerażenie w całym ówczesnym świecie. Gdy zapytałam o to Agabeja, oczy mu zabłyśły, uśmiechnął się i odpowiedział, że tak, to ten sam wódz. Na początku dziwiłam się trochę, jak mógł takiego okrutnika czcić jak bohatera, ale to Agabej nauczył mnie, że każdy ma własną opowieść i widzi świat po swojemu.

Z kolei matka Pieti, u którego też czasem bywałam, starała się mnie przekonać do prawosławia. Zabierała mnie czasem do cerkwi, opowiadała o ikonach i mówiła, że religia prawosławna jest jedyną prawdziwą, bo zachowała zasady pierwszych chrześcijan, które katolicy

i protestanci pozmieniali i nagięli do swoich potrzeb. Mówiła, że prawosławie jest zdrowe, naturalne i prawdziwe, a pozostałe chrześcijańskie wyznania – zgniłe jak cały Zachód. Że batuszka car tak kocha swój lud jak sam Bóg Ojciec i dlatego trzeba się za niego modlić. No i uważała, że nigdzie na świecie nie śpiewa się tak pięknie jak w cerkwi, i na dowód tego nuciła pod nosem psalmodie i śpiewy liturgiczne.

Ale najważniejsze z całej mojej dziecięcej edukacji okazało się dla mnie to, czego nauczył mnie wujek Iwan. Bywałam często w tym wielkim, eleganckim domu, bo przyjaźniłam się z jego czterema córkami: Aleksandrą, Marią, Eleną i Żanną. Dziewczynki miały zawsze czyste, wyprasowane sukienki z białymi kołnierzykami, gładko uczesane włosy z równiutkimi przedziałkami pośrodku głów i czyste ręce pachnące wykwintnym angielskim mydłem. Bawiły się mnóstwem zabawek, w tym pięknymi porcelanowymi lalkami w przeróżnych strojach, kupowanymi w Moskwie i Petersburgu, a może nawet w samym Paryżu. W ich pokojach stały białe łóżka tonące w falbankach i poduszkach, domki dla lalek i pozytywki wygrywające piękne melodyjki. Nie chodziły do szkoły, bo miały własną guwernantkę, grały na fortepianie, a ich mama (której nie śmiałam nazywać ciocią) mówiła do nich po angielsku. Wychowywano je na prawdziwe damy, dlatego też nie mogły same biegać po ulicach tak jak ja. Kiedy nie słuchały lekcji, mogły się bawić tylko w swoich pokojach albo w ogrodzie za wysokim parkanem, zza którego w ogóle nie widziały, co dzieje się w mieście. Może dlatego zapraszały mnie chętnie – stanowiłam dla nich atrakcję z zewnętrznego świata, źródło nowin i opowieści.

Uwielbiałam ten dom. Nie tylko pełne zabawek i falbanek pokoje córek, nie tylko zadbany ogród i cienisty taras, na którym wystawiano owoce i słodycze, ale przede wszystkim salon i korytarze obwieszone obrazami w złożonych ramach. Bo wujek Iwan był sławnym malarzem. Jego płótna wydawały mi się po prostu niesamowite – morskie fale wyglądały jak żywe. Kiedy miałam tylko kilka lat, dziwiłam się, że dotykając ich, nadal mam suche ręce. Podziwiałam te pejzaże i mogłam się im przyglądać godzinami. Zwłaszcza że wciąż pojawiały się kolejne. Wujek Iwan pracował każdego dnia i gdy ktoś kupił któryś z obrazów

wiszących na ścianach, natychmiast zastępował go nowy.

Uwielbiałam też jego pracownię. Najświeższe obrazy wisiały lub stały oparte o ściany, a na sztalugach było rozłożone płótno, które wkrótce miało się stać kolejnym zachwycającym widokiem. W pracowni nie było bocznych okien, tylko przeszklony sufit, przez który wpadało dzienne światło. Unosił się w niej zapach farb i zagruntowanego podłoża. Wujek Iwan był tak dobry, że pozwalał mi tam przychodzić, czasem nawet wtedy, kiedy pracował. Chyba czuł, że szczerze podziwiam jego obrazy i interesuję się nimi bardziej niż jego własne córki. Lubiałam zniknąć moim przyjaciółkom i siadać cichutko na podłodze w kącie pracowni. Patrzyłam, jak delikatnymi muśnięciami pędzla wyczarowuje spienione bałwany albo spokojną, przejrzystą toń. Wydawało mi się to wtedy czystą magią, a on – czarodziejem z bajki. Mogłam tak siedzieć i podziwiać godzinami.

Któregoś dnia odważyłam się zapytać:

– Wujku Iwanie, dlaczego ty zawsze malujesz zamknięty w pracowni? Masz dom obok plaży, ale nawet nie widzisz morza z okien. Dlaczego nie weźmiesz sztalug i nie ustawisz nad brzegiem?

– Kiedyś próbowałem tak malować. – Uśmiechnął się do mnie.

– I jak ci szło, wujku?

– Obrazy wychodziły ładne, ale pozbawione życia – odpowiedział.

– Widzisz, Masza, woda wciąż się zmienia; patrząc na morze, nie da się go uchwycić w danej sekundzie, co chwila wygląda inaczej.

– Dlaczego? – dopytywałam. – Przecież wtedy morze widać wyraźnie. Powinno być łatwiej malować z natury.

– Ale ruchu wody, słońca i powietrza nie można dokładnie uchwycić pędzlem, nie jest możliwe namalowanie z natury blasku światła, powiewu wiatru, bryzgu fali. Za szybko się zmieniają. Artysta musi przywołać wspomnienie wrażenia, jakie to na nim wywarło. Gdy zamykam oczy, mam przed sobą samą istotę morza i mogę je odtworzyć we własnej niepowtarzalnej wizji.

Rzeczywiście, morze namalowane przez niego z wyobraźni i wspomnień miało tak pienisty szum i chłodną wilgoć, że zdawało się wylewać z obrazu.

Westchnęłam głęboko.

– Chciałabym umieć malować tak pięknie jak ty, wujku. Ale to niemożliwe, ty jesteś jeden jedyny na świecie. – Moja powaga musiała być dla niego komiczna, bo się roześmiał.

– Każdy jest jeden jedyny, niepowtarzalny – zauważył. – Ty też. Jeżeli naprawdę chcesz się nauczyć malować, to kupię ci farby. Na początek akwarele.

Zabrakło mi słów z przejęcia. Czy chciałam się nauczyć malować? Oczywiście, marzyłam o tym! Pragnęłam robić dokładnie to, co ten mężczyzna, najbliższy mi w życiu. Jeśli ktoś mógł zastąpić mojego ojca, to tylko on. A przy tym szczerze podziwiałam tę magię zmieniającą wyciśnięte z tubki farby w przepiękny, zwiewny morski pejzaż. Byłoby cudownie potrafić tak czarować kolorami jak on. Objęłam go rękami w pasie, nie zważając na poplamiony farbą fartuch malarski, i mocno uścisnęłam.

Wujek Iwan dotrzymał słowa. Po kilku dniach, w czasie popołudniowego spaceru wstąpił do naszego pensjonatu, ledwie skinął mamie głową w holu i skierował się wprost na werandę, gdzie bawiłam się najczęściej.

– Masza, oto twoje farby, papier i pędzle – powiedział, podając mi pięknie zapakowane pudło z zestawem przyborów do malowania. – Jeśli zamierzasz malować codziennie to, co widzisz, i to, co czujesz, twoje obrazy będą coraz lepsze.

Pisnęłam z zachwytu. Byłam dumna, że ten powszechnie podziwiany człowiek, o którym wszyscy wyrażali się z szacunkiem, potraktował mnie tak poważnie. Podziękowałam mu gorąco i od razu rozpakowałam prezent. Z wypiekami na twarzy pobiegłam do kuchni po miseczkę z wodą. Rozłożyłam papier na stole i natychmiast zaczęłam wypróbować wszystkie kolory. Błękitny był czysty i chłodny jak woda o poranku, żółty pulsował ciepłem jak słońce, a czerwony krzyczał z daleka jak płomień. Otwierałam kolejne słoiczki i zaglądałam do środka. Następne były: brązowy, zielony, pomarańczowy i fioletowy. A także biały i czarny. Razem dziewięć słoiczków, ułożonych równo w drewnianym pudełku w trzech rzędach po trzy. Przyjrzałam się im uważnie.

– Wujku, to tylko dziewięć kolorów, a ty używasz o wiele więcej

odcieni – zauważyłam skonsternowana.

– Rzeczywiście – odrzekł. – Ale każdy malarz potrafi uzyskać dowolny odcień, mieszając zaledwie trzy kolory, no, może z białym i czarnym. Wiesz jakie?

Pokręciłam głową.

– Trzy pierwsze, które otworzyłaś. Niebieski, żółty, czerwony. Spróbuj mieszać każdy z nich z innym i zobacz, co będzie. – Uśmiechnął się do mnie i włożył na głowę swój słomkowy kapelusz.

– Wujku, nie odchodź! Zostań ze mną, zaczynamy zabawę! – zawołałam, widząc, że zbiera się do wyjścia.

– Nie mogę, Maszeńko. Jestem umówiony z burmistrzem, już na mnie czeka. Ale ty maluj!

– Dziękuję, wujku. Nigdy w życiu nie dostałam piękniejszego prezentu! – zawołałam gorąco.

Chyba nie musiałam tego mówić. Moje płonące, zachwycone oczy zdradzały uniesienie i wdzięczność. Gdy tylko wyszedł, natychmiast zaczęłam mieszać kolory i patrzyłam zafascynowana, jak czerwony z błękitnym złączone w różnych proporcjach dają odcienie fioletu, a żółty z niebieskim – zieleni. Siedziałam tak do wieczora, nie reagując na wołanie mamy ani cioci Nadire. Jeśli dobrze pamiętam, tego dnia ominęła mnie nawet kolacja. Ale nie czułam głodu. Przerwałam pracę dopiero wieczorem, kiedy się ściemniło, a światło świecy było zbyt nikłe, by odróżnić odcienie.

W ten sposób rozpoczęła się moja wielka przygoda z malowaniem.

Może dlatego tak polubiłam język sztuki, że do wszystkich przemawiał tak samo – narodowość i religia nie miały znaczenia przy oglądaniu pięknych obrazów.

## Rozdział V

### Na front!

Zakira nie było w domu już od miesiący, a Emilia tęskniła za nim jak za powietrzem. Haremowe życie, które dotąd tak lubiła, zaczęło jej się wydawać jałowe i próżne. Owszem, nadal chodziła do hammamu, pozwalała się szorować i namaszczać olejami, ale bez oczekiwania na wieczorną wizytę męża te rytuały traciły sens. Po raz pierwszy uświadomiła sobie irytującą beczynność tego trybu życia. Drażniły ją kobiety, którym dbanie o swoje ciała i przyjemności wypełniało bez reszty czas. Teraz, gdy zabrakło codziennych rozmów z Zakirem, czuła wokół siebie pustkę. Wiele by dała za to, by móc się znaleźć obok niego, choćby na froncie. Być może służba pielęgniarska mogła się okazać środkiem, który zbliży ją do tego celu. Był jednak jeden problem – Kemal. Nigdy dotąd nie zostawał bez niej. Na myśl, że miałyby go opuścić na dłużej, chciało jej się płakać. Ale tęsknota za Zakirem też była nie do zniesienia. Przez kilka dni po rozmowie z Ludwiką Emilia chodziła milcząca i rozdarta pomiędzy miłością do męża i do syna. Chciała mieć ich obu przy sobie. Skoro jednak nie było to możliwe, uznała, że teraz Zakir potrzebuje jej bardziej, a mały Kemal mógłby pozostać bezpieczny pod opieką dziadków. Serce ścisnęło jej się na myśl o rozstaniu z synkiem, jednak tęsknota za mężem była równie silna. Miała nadzieję, że szpital frontowy jest bezpiecznym miejscem.

– Jak to zamierzasz jechać na front? – zapytała z furią Gülşen. Z wiekiem jej włosy posiwiały, ale temperament nie łagodniał. Przeciwnie, była jeszcze bardziej skłonna do nagłych wybuchów złości.  
– Oszalałaś zupełnie? Masz tu syna, wariatko!

Emilia sądziła, że jeśli powie o swoich planach w hammamie, pośród zapachów olejku cedrowego i czarnego mydła, odprężona Gülşen przyjmie nowinę spokojnie. Myliła się.

– Gülşen, nie nazywaj mnie wariatką – zaprotestowała. – Na froncie pod Sewastopolem są szpitale dla rannych, w których ochotniczki pracują jako pielęgniarki. Jeśli Zakir zostanie ranny, chcę przy nim być. Nie mogę tu siedzieć beczynnie.

– Ochotniczki! Wyobrażam sobie te ochotniczki, które dotykają

obcych mężczyzn. – Gülşen skrzywiła się z odrazą. – Chrześcijanki są bardziej bezwstydne niż my, ale nie wierzę, że rodziny puszczają do tej pracy zamężne kobiety!

– Nie widzisz naprawdę nic szlachetnego w opiece nad tymi, którzy zostali ranni, walcząc za sułtana?

Gülşen podniosła się z kamiennej ławy i stanęła przed swoją synową. Emilia zauważyła po raz kolejny, że z biegiem lat ciało Gülşen nieubłaganie traci swoją jędrność i dawny powab. Czasem myślała, że matka Zakira nie może się z tym pogodzić, dlatego tak często wybucha złością.

– Nie widzę nic szlachetnego w tym, by zamężna kobieta dotykała obcych mężczyzn. I pokazywała im swoją twarz. Podsuwała im nocniki i oglądała ich nagie ciała. Och, Emilie, powiedz, że sobie ze mnie żartujesz i że nie chcesz tego zrobić!

Emilia wytrzymała jej gorejące spojrzenie.

– Nie żartuję. I zrobię to – odparła spokojnie. – To lepsze niż nacieranie ciała olejkami i haftowanie serwetek. – To mówiąc, owinęła się ręcznikiem, po czym opuściła zaparowany hammam.

Przed laty, kiedy zaczynała swoje życie w haremie, każde gniewne słowo i spojrzenie Gülşen przyprawiało ją o dreszcz. Za wszelką cenę starała się pozyskać przychylność matki swojego męża. Ale odkąd sama została matką, wszystko się zmieniło. Zrozumiała, że jej światem są mąż i syn, a Gülşen to tylko dodatek. Dlatego Emilia nie przejmowała się już jej dezaprobatą. Spokojnie powiadomiła Nadire o swoich planach i obie zaczęły się szykować do drogi.

Nadire miała wtedy dwadzieścia cztery lata. Gülşen chciała znaleźć jej męża i ofiarować hojny posag w nagrodę za lata służby. Ale Nadire nie miała ochoty wychodzić za mąż, powiedziała, że woli zostać przy Emilii i służyć jej rodzinie. Dla Emilii stała się najbliższą osobą w haremie, wierną i lojalną. Teraz też bez wahania zgodziła się z nią jechać. Emilia wiedziała, że zwycięski pochód sojusznicznych wojsk utknął pod Sewastopolem. Bez zdobycia tego miasta nie można było opanować Krymu. Oblężenie trwało już miesiącami, francuskie i brytyjskie gazety nadały tej obronie miano rosyjskiego cudu. Gdzieś tam, pośród gór i stepów, między tysiącami żołnierzy znajdował się jej

mąż, bez którego obecności jej życie stało się jałowe. Była gotowa nieść pomoc rannym, byle tylko móc się zobaczyć z Zakirem i choć przez chwilę poczuć jego ciało blisko siebie. Miała dość samotnych nocy.

Po tygodniu przygotowań obie były gotowe do drogi. Gülşen patrzyła na nie z odrazą i nieskrywaną pogardą. Emilia uścisnęła ostatni raz Kemala; powierzyła go opiece babci, nie zważając na jej obrażoną minę. Wiedziała, że matka Zakira przepada za swoim wnukiem i nie pozwoli, by działa mu się krzywda. Kazała eunuchowi Alemu zawieźć siebie i Nadire do portu w Stambule, z którego regularnie odpływały na Krym statki z zaopatrzeniem dla sojusznicznych wojsk.

Po dwóch dniach żeglugi parowiec ze Stambułu zbliżył się do portu w Bałakławie. Statek należał do brytyjskiej marynarki wojennej, która zaopatrywała armię walczącą pod Sewastopolem.

Morze wydawało się spokojne, płaskie jak stół, osnute szarą mgiełką. Jego przytłumiony błękit stapał się z rozświetlonym, białawym kolorem nieba. Linii horyzontu nie było widać wyraźnie, rozmywała się w oddali w szarobiałych tonach wody i powietrza.

Wysokie skały krymskiego wybrzeża wyrastały z wody pionowo, twardym kamiennym klifem. A ponad nimi w oddali unosił się lekki dym. Znak, że Sewastopol wciąż nie został zdobyty.

Emilia stała na dziobie z Nadire u boku i z kufrem podróжным w ręku. Dziwiła się, że nie widać żadnego portu, choć statek wyraźnie przybliżał się do lądu. Dopiero z bliska zobaczyła, że morze wdziera się między dwa łańcuchy gór ostrym językiem zatoki. To tam ulokowany był port – zacisznie osłonięty przed wiatrem i sztormem masywami gór.

Kiedy statek wpłynął pomiędzy skaliste wzniesienia, oczom Emilii ukazał się las masztów stłoczonych ciasno okrętów. Wydawało się, że były ich setki. Cumowały po obu stronach zatoki, tak że brytyjski parowiec ledwo się między nimi przeciskał. Emilia zastanawiała się, czy zatoka przypomina Bosfor. Ale nie – była mniejsza i węższa. Bosfor miał po obu stronach piękne pałace z ogrodami, a tu – tylko port, parę lichych domków i suche wzgórze przechodzące w step.

Choć teraz na nabrzeżu panował taki ruch, tłok i zamieszanie jak w stambulskim porcie. Tylko zamiast kupców i handlarzy w turbanach i białych szatach kręcili się tu żołnierze w brytyjskich i francuskich



mundurach.

Statek przycumował do jednego z pomostów. Marynarze opuścili trap, po którym Emilia z Nadire szybko zeszły na ląd, zanim przejście zablokowały skrzynie z aprowizacją dla wojska. Pierwsze, co przykuło ich wzrok po postawieniu stóp na lądzie, to ogromny skład amunicji ulokowany na nabrzeżu. Wielkie żelazne kule armatnie leżały złożone w stertach jak melony na targu. Nie pozwalały zapomnieć, że tuż obok toczy się wojna. Zresztą z oddali słychać było odbity echem od ścian wąwozów i przełęczony odgłos artyleryjskiego ostrzału.

– Jak daleko stąd jest Sewastopol? – zapytała Nadire.

– Zaledwie osiem mil – odpowiedziała Emilia, która przed wyjazdem odnalazła w tureckich i francuskich gazetach potrzebne informacje. – Ale główna baza, dowództwo sztabu i szpital polowy są tutaj. Dlatego zostaniemy w Bałakławie, nie będziemy się pchać pod kule i rosyjskie bagnety.

– To jak chcesz odszukać Zakira?

– Znajdę sposób. Ale najpierw musimy zlokalizować szpital.

Szły nabrzeżem w stronę głównego placu miasteczka w tłumie żołnierzy i handlarzy sprzedających papierosy, alkohol, chleb i różne drobiazgi, które mogły się przydać walczącym: scyzoryki, zapalniczki, naczynia. W powietrzu unosił się zapach świeżych ryb, przepoconych ciał i palonego tytoniu. Emilia zapytała o szpital mijanego oficera we francuskim mundurze. Odpowiedział uprzejmie i wskazał ręką na rzędy białych namiotów rozbitych wysoko na wzgórzu ponad prawym brzegiem zatoki. Poszły więc z Nadire we wskazanym kierunku. Kamienista ścieżka pięła się w górę zbocza. Kobiety wspinały się po stromiźnie pełnej kamieni, na które wdzierały się rude jak rdza porosty. Spoglądając w dół, widziały zielone wody zatoki, wyglądające teraz jak rzeka w dolinie.

Kiedy dotarły zdyszane na szczyt wzgórza, gdzie rozbite białe namioty szpitala polowego, zastały tam spore zamieszanie – właśnie przywieziono transport rannych angielskich żołnierzy po kolejnej potyczce pod murami miasta. Emilia z Nadire rzuciły się do pomocy. Nikt ich nie pytał, kim są, bo każda para rąk była przydatna. Przed namiotami kręciły się trzy pielęgniarki w szarych sukniach i białych

fartuchach. Ambulanse, czyli drewniane wozy zaprzężone w muły, przywoziły dziesiątki rannych i umierających. Dwaj francuscy lekarze dokonywali szybkiego przeglądu: poważniej rannych opatrywano i odsyłano do szpitala w Skutari pod Stambułem – parowiec już na nich czekał. Lżej ranni i niewymagający amputacji mieli zostać na miejscu, w namiotach. Krzyki i jęki żołnierzy przejęły Emilię grozą. Od strony ambulansów buchał żelazisty zapach krwi, pomieszany z wonią spoconych ciał ludzi i zwierząt. Wykrzywione bólem, brudne twarze leżących mężczyzn spieczonymi wargami prosiły o wodę. Emilia podniosła z ziemi blaszany kubek, zaczerpnęła trochę wody ze stojącej opodal beczki i zaczęła podawać ją kolejno żołnierzom leżącym na noszach wprost na ziemi. God bless you – szeptali niektórzy. Inni ściskali ją za rękę. Jeszcze inni wrzeszczeli rozdzierająco.

– Laudanum! – krzyknął francuski lekarz w zakrwawionym białym kitlu. – Dajcie im wszystkim laudanum.

Jedna z pielęgniarek wzięła z namiotu ciemną butelkę i mały kieliszek. Chodziła pomiędzy noszami i materacami, odmierzała trzydzieści kropli i po kieliszku wlewała płyn do rozchylonych ust żołnierzy. O dziwo, wszyscy po chwili milkli. Niektórzy zasypiali. Po dwóch godzinach układania cierpiących na materacach w namiotach kolejne ambulanse przestały przyjeżdżać. Ciężko ranni zostali zniesieni do portu przez służby medyczne i załadowani na statek odpływający do Stambułu. Lekarze badali pozostałych w namiotach, wyjmowali kule i odłamki z ran, robili opatrunki.

Emilia przysiadła na kamieniu. Ogarnęło ją zmęczenie. Ręce i plecy bolały od dźwigania noszy. Nigdy w życiu nie widziała naraz tyle krwi, cierpienia i bólu. Wstrząsnęło nią to, co zobaczyła, ale jednocześnie czuła jakąś dziwną, nieznaną dotąd satysfakcję. Wyrwana z haremowej beczynności była wreszcie przydatna i potrzebna innym. Potrafiła ulżyć obcym ludziom w cierpieniu. Nieoczekiwanie poczuła, że dwie ostatnie godziny jej życia miały większe sens i wartość niż poprzednie beczynne miesiące.

– Nie widziałem tu pani wcześniej. Kim pani jest? – zapytał ją po francusku lekarz, który wyszedł właśnie z namiotu, żeby zapalić papierosa. Miał ręce pobrudzone krwią i zmęczony wzrok.

Emilia wstała z kamienia.

– Przyjechałam ze Stambułu dziś rano. Chciałabym pracować w szpitalu jako pielęgniarka. Przyjmie mnie pan do pracy? Jesteśmy we dwie – odparła, wskazując głową na Nadire, która siedziała na sąsiednim kamieniu.

Lekarz przyglądał jej się, wypuszczając błękitne kółka dymu.

– Służbą pielęgniarską kieruje lady Florencja Nightingale. Z nią proszę rozmawiać. Ma pani szczęście, właśnie przyjechała tu ze szpitala w Skutari. Na inspekcję! – powiedział, wznosząc oczy do nieba.

Po krótkich poszukiwaniach Emilia i Nadire stanęły przed obliczem przełożonej pielęgniarek szpitala polowego, lady Florencji Nightingale. Była to kobieta w wieku Emilii, wysoka, postawna, o wąskiej twarzy, może nie pięknej, ale łagodnej i emanującej dobrocią. Miała małe szare oczy i krótkie włosy w kolorze kory dębu. Nosiła się tak jak pozostałe pielęgniarki – szara suknia z bufiastymi rękawami i długi biały fartuch na szelkach. Przyjęła Emilię i Nadire w jednym z namiotów, który służył jako skład materiałów opatrunkowych. Bandaże, białe płótna i suchy gips leżały ułożone w drewnianych skrzyniach, a nad nimi unosił się zapach szpitalnych specyfików. Na środku stał mały stolik ze świecą i trzy rozkładane krzesła, na których kobiety usiadły.

– A więc pragną panie pełnić służbę pielęgniarską – rzekła po francusku Florencja. – To pięknie, ale zapytać muszę dlaczego.

– A czy to ma znaczenie? – Emilię zaskoczyło to pytanie.

– Owszem, ma. W pracy pielęgniarskiej szacunek do chorego i postawa osoby zajmującej się pacjentami mają wielką wagę. A front to miejsce szczególne... Panie wybaczą, ale jest tu wielu mężczyzn. Muszę wiedzieć, co wami powoduje.

Nadire wyduła usta w gniewnym grymasie. W czasie całego pobytu w haremie nigdy nie wykazała zainteresowania żadnym mężczyzną. Emilia wiedziała o tym, dlatego sugestia Florencji wydała jej się zarazem obraźliwa i absurdalna.

– Nie jesteśmy amatorkami pokątnych przygód z żołnierzami, jeśli tego się pani obawia. Mój mąż służy tu na froncie. Chciałam być bliżej niego, a jednocześnie przydać się na coś.

Florencja spojrzała na nie nieco przychylniej.

– Dobrze, to mi wystarczy. A więc przyjmuję was do pracy – zawyrokowała.

Dostały dwie szare suknie i dwa białe fartuchy na szelkach. Wskazano im dwa łóżka w kwaterze dla pielęgniarek w niewielkim domku stojącym na zboczu wzgórza, trochę poniżej szpitalnych namiotów.

Kiedy Emilia i Nadire rozlokowały się w małym pokoju, przyszedł czas obiadu. Dwie pielęgniarki nalewały zupę z dużego kotła i roznosiły żołnierzom leżącym w namiotach. Niektórych musiały karmić. Emilii i Nadire jako nowo przybyłym pozwolono zjeść posiłek przy stole, razem z resztą służb medycznych.

Stoły i składane krzesła stały pod gołym niebem. Ze szczytu wzniesienia widać było jednocześnie port w zatoce i otwarte morze. Poranna szarość powietrza dawno się rozwiała, wyszło słońce i góry załśniły w całym swym majestacie, a morze błyszczało błękitem. Przyroda Krymu ukazała się w swoim surowym pięknie.

Przy obiedzie siedzieli dwaj francuscy lekarze, Florencja Nightingale, Emilia, Nadire i jeszcze jedna angielska pielęgniarka.

– Muszę przyznać, że odkąd pani pielęgniarki wzięły się do gotowania, szpitalna kuchnia znacznie się poprawiła – pochwalił Florencję lekarz znad talerza z zupą.

– Konserwa mięsna i suchary to nie jest dobra dieta dla rannych. Potrzeba im pożywnej ciepłej zupy z warzywami. Na szczęście warzywa nie są drogie i można je łatwo kupić w okolicy.

– Rannym to dobrze zrobi, ale i my zjemy prawie jak w domu. – Lekarz się uśmiechnął i zagadnął: – Słyszałem, że wciąż robi pani notatki i prowadzi jakieś statystyki. Cóż to za badania? – Powiedział to lekkim tonem, ale Emilia wyczuła w jego głosie cień obawy, że jego praca podlega ocenie tej kobiety.

Florencja ożywiła się, odłożyła łyżkę i spojrzała mu w oczy.

– Tak, doktorze. Rzeczywiście, prowadzę statystyki, z których wynika, że szerzące się w obozach wojskowych choroby zakaźne powodują więcej zgonów niż rany wojenne. Odizolowani od chorych ranni szybciej odzyskują zdrowie niż położeni obok zainfekowanych.

Dlatego w szpitalu w Skutari mamy osobne sale dla chorych na cholere i dyzenterie i osobne dla rannych. Odkąd wprowadzilam te zmiany, smiertelnośc spadła.

– Pani mnie zadziwia. Nie studiowała pani przecieź medycyny.

– Nie, ale zawsze interesowała mnie opieka nad chorymi. Uważam, że pielęgnowanie chorych jest sztuką.

Emilia słuchała Florencji z podziwem. Imponowała jej niezłomnośc tej kobiety, która potrafiła z pasją urzeczywistniać to, w co wierzyła, i to na przekór przyjętym zwyczajom.

– Kiedy przyjechałam do szpitala, każdego dnia umierało stu żołnierzy, ponieważ leżeli w brudzie – ciągnęła Florencja. – Pili brudną, śmierdzącą wodę. W ich materacach grasowały szczury. Chorowali z powodu braku higieny i umierali wskutek chorób zakaźnych częściej niż wskutek odniesionych ran. To trzeba zmienić. Dlatego uważam, doktorze, że i tutaj powinien pan oddzielić namioty dla rannych od tych dla chorych zakaźnie. I dbać o czystość. Ma pan więcej sił, ochotniczek przybywa. – Florencja uśmiechnęła się do Emilii.

– Pani do mnie mówi tak, jakby była pani członkiem komisji sanitarnej. Chociaż nawet oni nie żądali tak daleko idących zmian. Pani robi nam tu rewolucję, panno Nightingale.

Emilia miała wrażenie, że lekarz nie może się zdecydować, czy bardziej podziwia działania Florencji, czy się ich obawia.

– Być może – odpowiedziała panna Nightingale. – Może to wyda się panu dziwne, doktorze, ale uważam, że szpital przede wszystkim nie powinien szkodzić choremu. A teraz zbyt często tak się dzieje.

Lekarz pochylił się niżej nad talerzem z zupą i zajął się jedzeniem. Skończył szybko i wrócił do swoich zajęć.

– Jak to się stało, że zdecydowała się pani na służbę pielęgniarską? – zapytała Emilia Florencję ze szczerą ciekawością.

– Zawsze interesowali mnie chorzy – odpowiedziała Florencja z pasją w głosie. – I zawsze chciałam być do czegoś przydatna. Życie kobiet z klas wyższych w Anglii jest takie bezużyteczne! Nic nie może się równać z tyranią dobrego angielskiego domu. Kiedy byłam młodą dziewczyną, czułam się kompletnie niepotrzebna. Te wieczne swaty i polowanie na męża. Nie chciałam zmarnować życia w ten sposób.

– Nie kochała pani nikogo?

– Kochałam. Ale nie chciałam wyjść za niego za męża, chociaż mnie o to prosił. Nie chciałam życia takiego, jakie wiodła moja matka, uległa mężowi i konwenansom. Udusiłabym się, żyjąc w ten sposób. Wolę pomagać chorym, wtedy wiem, że moje życie ma sens.

Słowa Florencji wydały się Emilii dziwnie bliskie, choć przecież sama była szczęśliwą żoną. Pomyślała, że turecki harem tylko pozornie bardzo się różni od angielskiego salonu. Podziwiała lady Nightingale za jej odwagę przeciwstawienia się rodzinie i pójścia własną drogą.

Po południu ranni i chorzy w namiotach dostali kolejną porcję laudanum. Leżeli cicho, tylko niektórzy jęczeli albo majaczyli w gorączce. Emilia poczuła się w obozie tak pewnie, jakby spędziła tu już tydzień. Zaczepnęła wody blaszanym kubkiem i weszła do pierwszego namiotu, by sprawdzić, czy któregoś z żołnierzy nie męczy pragnienie. Kiedy podeszła do materaca francuskiego żołnierza z pytaniem o wodę, ten skinął głową i wypił łąpczywie z podanego mu kubka, rozlewając trochę. Jego wzrok płonął, a czoło było gorące. Gdy Emilia chciała przejść do następnego chorego, żołnierz chwycił jej rękę i zaczął mówić gorączkowo:

– Och, Sofie, Sofie, nareszcie! Już się bałem, że nie wrócę do domu i was nie zobaczę. Jak to się stało, że wróciłem tak szybko? A gdzie dzieci, gdzie dzieci? Przyrowadź je do mnie. Tak za wami tęskniłem...

Emilia chciała mu powiedzieć, że to pomyłka, że nie jest jego żoną Sofie, ale zobaczyła, jak oczy mężczyzny zasnuwają się mgłą, a twarz wypogadza błogi uśmiech.

– Och, Sofie, Sofie, jak dobrze, że jesteś – powtarzał z przymkniętymi oczami. – W domu na pewno wyzdrowieję...

Otarła mu spocone czoło wilgotnym ręcznikiem i napiła herbatą. Nie miała serca, by wyprowadzać go z błędu. Wieczorem już nie żył. Kiedy sanitariusze wynosili jego ciało na noszach, by złożyć je na wozie, który muły miały pociągnąć na cmentarz, Emilia stała z boku i cicho płakała.

W kolejnych dniach podobnych sytuacji widziała wiele. Stopniowo przyzwyczajała się do widoku krwi, poszarpanych odłamkami ciał,

oderwanych kończyn. Początkowo robiło jej się słabo od tych obrazów i zapachów, ale po pewnym czasie myślała tylko o tym, by jak najszybciej ulżyć cierpiącym. Podawała im laudanum – po nim zdawali się mniej cierpieć, poila wodą, karmiła tych, którzy nie mogli sami jeść. Nauczyła się zmieniać opatrunki i przemywać rany. Czy podawała nocniki, jak przepowiadała jej Gülşen? Tak, bo wielu rannych nie mogło wstać do latryny o własnych siłach. W szpitalnych warunkach wydawało się to tak naturalne jak oddech. Wszystkie czynności dawały Emilii poczucie głębokiego sensu, a w głowie brzmiały jej słowa Florencji: „Żołnierzom trzeba nie tylko operacji, amputacji i leczenia, ale też współczucia”. Dzieliła się więc swoim współczuciem z tymi nieszczęśnikami, którzy często przywodzili jej na myśl ojca skazanego na lata żołnierskiej służby. Przypominały jej się wtedy słowa Ludwiki Śniadeckiej, mawiającej, że gdyby pozwolono kobietom rządzić światem, to na pewno urządziłyby go mądrzej. Emilia była pewna jednego – kobiety z całą pewnością nie dopuściłyby do wojen. Odbieranie życia jednym mężom i ojcom przez drugich wydawało jej się zupełnie absurdalne.

Po kilku dniach pracy w szpitalu Emilia uznała, że już czas osiągnąć główny cel przyjazdu na Krym – odnaleźć Zakira. Nie wiedziała, gdzie dokładnie stacjonują tureckie jednostki. Lekarze i pielęgniarki, z którymi pracowała, nie interesowali się tym. Poszła pieszo na najwyższe pobliskie wzgórze, z którego rozciągał się rozległy widok na obozowiska walczących armii. Białe spiczaste namioty wojsk sprzymierzonych rozrzucono po całym terenie. Były ich tysiące. Skąd mogła wiedzieć, w którym z nich jest jej mąż? Zrozumiała, że odnalezienie go pośród setek tysięcy żołnierzy będzie trudniejsze, niż wcześniej sądziła.

Nazajutrz, gdy miała wolną chwilę, postanowiła zejść do bazy, by kupić kilka sprawunków. I może odnaleźć jakiś trop, który zbliży ją do męża. Pobiegła na dół, odnalazła sklep, kupiła mydło, herbatę, cukier i świece. Zauważyła, że ceny są trzykrotnie wyższe niż w najlepszych sklepach Stambułu. Spojrzała na handlarza jak na hienę żerującą na nieszczęściu innych.

Wyszła na główną ulicę miasta i postanowiła się przejść wzdłuż

zatoki, by wyrzucić z pamięci krwawe szpitalne obrazy. Ulicą chodzili żołnierze, marynarze, sprzedawcy, a także trochę cywili związanych z armią.

Nagle zobaczyła sylwetkę mężczyzny, który wydał jej się dziwnie znajomy. To przecież niemożliwe... A jednak. Mężczyzna był wysoki i przygarbiony. Jego ramiona opadały ku ziemi, jakby nie starczyło mu już sił na walkę z przeciwnościami losu. Miał zgaszony wzrok, przerzedzone siwiejące włosy i bliznę na skroni.

– William... – wyszeptała Emilia do siebie. Była zdumiona jego widokiem; po ślubie wyrzuciła tego człowieka z pamięci i kompletnie zapomniała o jego istnieniu.

Lord Gainful przystanął i przyglądał jej się długo, mrużąc oczy.

– Emily – powiedział. – Któż by się spodziewał zobaczyć cię tutaj.

Wyciągnął do niej rękę. Zawahała się, ale po chwili podała mu swoją. Ostatecznie w obliczu wojny i śmierci wokół pielęgnowanie dawnych animozji byłoby małostkowe.

– Masz przed sobą człowieka skończonego – rzucił głosem wypranym z emocji. – Straciłem zamek, straciłem posadę rządową, straciłem poważanie w otoczeniu. Z twojego powodu. Możesz czuć satysfakcję.

Emilia czuła tylko żal i współczucie. I litość dla jego zimnego, samotnego serca. Gdy spotkała go przed laty, wydawało jej się, że miał wszystko, a ona nie ma nic. Dziś było odwrotnie. Mimowolnie spojrzała na bliznę na jego skroni.

– Ta blizna jest jak piętno – mówił William, patrząc jej w twarz pustym wzrokiem. – Co rano, gdy widzę ją w lustrze, przypomina mi o mojej porażce. I to wszystko przez ciebie, Emily... Ale dość o mnie. Jak twoje życie? Jesteś szczęśliwa z tym swoim Turkiem wybawcą? Siadujecie wieczorem na dywanie i śmiejecie się z tego, jak zniszczyliście życie starego lorda?

– Nikt z nas nie chciał ci zniszczyć życia, Williamie. Wtedy w ambasadzie powiedzieliśmy przecież prawdę. A skoro wspominasz mojego męża: właśnie do niego tu przyjechałam. Czy wiesz może, gdzie stacjonują tureckie jednostki?

– Nie mam pojęcia. Nikt z pracowników cywilnych bazy nie jeździ



na front, pod wybuchające pociski.

Emilia już chciała go pożegnać i odejść, gdy usłyszała:

– Może usiadziemy? Trudno tak stać na środku drogi.

Zgodziła się. Poszła za nim do drewnianego domku z wymalowanym szyldem przedstawiającym butelkę, kieliszki i pieczonego kurczaka na półmisku. Po chwili siedzieli w mrocznym wnętrzu przy drewnianym, niezbyt czystym stole, w oparach alkoholu, mięsa i dymu z papierosów. Gwar rozmów prowadzonych w kilku językach zlewał się w jednolity szum.

– Rosyjska wódka jest piorunsko mocna. Ale może napijesz się wina albo herbaty? – zagadnął lord, jakby byli parą starych przyjaciół.

Emilia wybrała herbatę i po chwili gruba właścicielka tego interesu, który tak niespodziewanie kwitł od miesiący, przyniosła dwie parujące szklanki w ozdobnych uchwytych i kostki cukru na spodeczkach.

– Od dawna tu jesteś, Williamie? – zapytała Emilia, grzejąc dłonie na szklance.

– Od samego początku oblężenia – odpowiedział znużonym głosem. – Wszyscy spodziewali się szybkiego zwycięstwa. Przecież przewaga królewskiej floty nie podlega dyskusji. A teraz patrz: ta flota stoi tu stłoczona i bezużyteczna. A Rosjanie już blisko od roku nie oddają nam swojej twierdzy. Nikt tego nie przewidział. Nie wiem, co w nich wstąpiło.

Ależ się postarzał! Czy to ten niecały rok frontowego życia odebrał mu siły i dawny wigor, czy też poprzednie dziesięć lat przeżuwania doznanych upokorzeń?

– Czym się tu właściwie zajmujesz, Williamie? Nie jesteś przecież żołnierzem.

– Nie, ale służę armii. Wojsko potrzebuje nie tylko żołnierskiej krwi, ale także dobrego zaopatrzenia. Broń, mundury, żywność dla ludzi i koni, namioty, leki, bandaże, to wszystko musi być na miejscu w odpowiednich ilościach. Jeśli przyłynęłaś tu ze Stambułu, to zapewne razem ze skrzyniami, które przybyły z Londynu na moje zamówienie.

– Rzeczywiście. A co w nich było?

– Głównie konserwy. Musimy dobrze karmić naszych żołnierzy.

Mięso i jarzyny w puszkach, fasola, groch. I gin. Nie żałujemy im ginu ani papierosów.

To dziwne. Emilia uświadomiła sobie, że ten człowiek, którego mogłaby nienawidzić, nie budził w niej już żadnych żywych emocji. Kimże był dla niej teraz mężczyzna, którego pierścionek zaręczynowy nosiła kiedyś (zbyt długo!) na palcu? Nikim więcej, jak tylko sojusznikiem. A jako sojusznik zyskiwał niemal cień sympatii, a przynajmniej solidarności.

Gawędzili chwilę o sytuacji na froncie i o obozowym życiu. William wyraził nawet uznanie dla jej decyzji wstąpienia do służby pielęgniarskiej.

W pewnej chwili odszedł do nich tęgawy jegomość z brodą, w surducie przypominającym mundur, ale pozbawionym wojskowych dystynkcji. Uchylił kapelusza i powiedział coś po angielsku, czego Emilia nie zrozumiała. Z kieszeni surduta wystawał mu notes i ołówek. Wyglądało na to, że chciał się do nich przysiąść, ale William odpowiedział coś ostro i mężczyzna się wycofał, składając Emilii lekki ukłon.

– Kto to był? – zapytała, kiedy odszedł.

– Russell – odparł William wyraźnie zirytowany. – Nie znoszę tego pismaka. Ciągle węszy. Wciąż chce mnie skompromitować!

– Skompromitować ciebie? Dlaczego?

Lord machnął ręką, jakby nie warto było o tym wspominać. Ale po chwili zaczął mówić. Emilii wydawało się, że pomimo wszystko William czuł do niej jakąś sympatię. Może dlatego, że przypominała mu czasy jego świetności, gdy jako pracownik brytyjskiego wywiadu wypełniał sekretne misje ku chwale imperium. Obecne zajęcie było dużo bardziej prozaiczne.

– Russell jest korespondentem gazety „The Times”, która wychodzi w Londynie – zaczął opowiadać. – Wysłali go tutaj, by za pomocą telegrafu nadawał relacje bezpośrednio z frontu. Żeby każdy kupiec w Anglii przy porannych jajkach z bekonem mógł przeczytać, jak się spisują nasi chłopcy na froncie wschodniej kampanii.

– Uważasz, że ludzie nie mają prawa wiedzieć, co się dzieje z ich bliskimi na wojnie? – zapytała Emilia, wspominając, jak sama zaczynała

każdy dzień w haremie od czytania francuskich i tureckich dzienników relacjonujących działania frontowe.

– Uważam, że nie ma powodu denerwować ich i martwić rzeczami, na które i tak nie mają wpływu. A Russell notorycznie pisał o tym, jak fatalne jest dowodzenie i organizacja zaopatrzenia wojska na Krymie. To uderzało w autorytet naszej armii, a także w moje dobre imię.

Emilia pomyślała, że dobre imię lorda Gainfula zostało zszargane już dawno temu, ale przemilczała to taktownie. Zamiast tego zapytała:

– Czy Russell pisał nieprawdę?

William się skrzywił.

– Może nie tyle nieprawdę, ile przedstawiał sytuację w zbyt czarnych barwach. Łatwo sypać oskarżeniami, kiedy się za nic nie odpowiada – prychnął. – To miała być błyskawiczna wojna, na Boże Narodzenie wszyscy mieli być wrócić do domów i świętować zwycięstwo przy puddingach dobrze podlanych brandy. Tymczasem utknęliśmy pod Sewastopolem na zimę. Żołnierze zabrali tylko letnie mundury i buty. Kiedy się okazało, że Rosjanie zdążyli okopać i ufortyfikować miasto, że nie ustąpią szybko, już w listopadzie zamówiłem w Londynie zimowe płaszcze, ciepłe buty, dodatkowe koce i zapasy jedzenia. Ale jesienią Morze Czarne burzy się jak szalone; przyszedł potężny sztorm i cały transport roztrzaskał się o skały i zatonął. Wichury porwały część namiotów. A ten pismak od razu telegrafował do Londynu z wiadomością, że nasi chłopcy siedzą w okopach przemoczeni i przemarznięci. Pisał o nieogrzewanych szpitalach, w których ranni, zamiast zdrowieć, chorują i umierają, a to z powodu bałaganu i braków w zaopatrzeniu. Nawet moja matka staruszka przysłała mi list, w którym mnie strofuje, że nie sprowadziłem na czas zimowych płaszczy i leków! Bo przeczytała w „Timesie”, że brytyjscy chłopcy na froncie cierpią. Ale nie interesuje jej, czy ja tu nie cierpię!

Emilia słuchała go i prawie zaczynała mu współczuć.

– Po jego artykułach przysłali tu tę lady Nightingale – ciągnął William. – Jest chuda i zasadnicza. Nie lubię jej. Przyjechała, policzyła rannych i wyszło jej, że więcej żołnierzy umiera na cholera i tyfus niż wskutek odniesionych ran. Podnieśli larum. Ale czy to moja wina, że

ludzie chorują? Wojna nie jest zdrową rzeczą. Chociaż konieczną.

– Po tym wszystkim, co widzisz tu dookoła, Williamie, uważasz wojnę za konieczną? Do czego?

– Oczywiście! – odpowiedział lord z mocą. – Choćby do tego, by Rosjanie nie odebrali nam Indii i by nie przenieśli swojej stolicy do Konstantynopola. A co, tobie jest wszystko jedno, czy Hagia Sophia będzie meczetem czy cerkwią?

Może nie było jej wszystko jedno, ale wojnę uważała za największe i najgłupsze marnotrawstwo ludzkiego życia, zdrowia, czasu i pieniędzy. Rozumiała jednak, że baza wojskowa nie jest najlepszym miejscem do wygłaszania takich sądów.

William uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– I jeszcze jedno – wytknął jej. – Słyszałem, że ta wasza „sprawa polska” wciąż wraca. Rosja w końcu przegra tę wojnę, ale jednego możesz być pewna: żadnej Polski z tego nie będzie. Nikt jej nie potrzebuje w Europie. Polacy to tylko mięso armatnie dla Anglików, a Napoleon III mami waszego księcia, by grać kartą Polaków rewolucjonistów wobec Austrii. Wasz książę przegrał z kretelem. Polacy się nie liczą.

Nagle Emilia straciła ochotę na rozmowę.

– Muszę już iść, Williamie – powiedziała. – Czekają na mnie w szpitalu.

Wyszła z gospody na powietrze. Musiała ochłonać po tym spotkaniu, więc zamiast do szpitala poszła w przeciwnym kierunku – w stronę otwartego morza, w górę zbocza, do ruin starej genueńskiej twierdzy. Chciała pobyć przez chwilę sama, uporządkować myśli i usłyszane informacje. Popatrzeć z góry na morze. Ale po chwili poczuła, że ktoś za nią idzie krok w krok. Odwróciła się i zobaczyła za sobą brodatego jegomościa, którego lord odprawił w gospodzie.

– William Howard Russell – przedstawił się dziennikarz, uchylając znów kapelusza. – Usiadłem za wami w ciemnym kącie i przysłuchiwałem się waszej rozmowie – powiedział po francusku. – Pozwoli pani, że przez chwilę będę jej towarzyszył w przechadzce?

– Chce pan sprostować słowa lorda Gainfula i przedstawić mi swoją wersję? – zapytała, przystając.

– Nie. Moja wersja jest w gazecie, to wystarczy.

– A zatem?

– To pani mnie interesuje, nie lord Gainful – powiedział Russell, ruszając wolno. Emilia szła obok niego. – Jak pani już wie, jestem dziennikarzem. Zbieram informacje o tym, jak naprawdę wygląda ta wojna. Uważam, że prawda jest ważniejsza od samochwalcznych deklaracji generałów.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Wiele. Świetnie mówi pani po francusku, ale zorientowałem się, że jest pani Polką. Tak?

– Tak, rzeczywiście.

– Czy pani pochodzi z zaboru rosyjskiego?

– Tak, urodziłam się niedaleko Wilna – potwierdziła Emilia coraz bardziej zaintrygowana.

– A zatem mówi pani pewnie po rosyjsku?

– Tak, bez problemu.

– Wobec tego jest pani osobą, której szukam od dawna. Mam dla pani propozycję.

Pokonali już połowę drogi do ruin twierdzy. Kamienista ścieżka okazała się stroma, dlatego Russell przystanął, aby zaczerpnąć tchu. Rozejrzał się, by się upewnić, że są zupełnie sami i nikt ich nie usłyszy. Port i ruchliwe miasteczko z bazą wojskową zostały daleko w dole.

– Chcę pani zaproponować, by przedostała się pani za mury Sewastopola i zebrała dla mnie informacje, co się dzieje po drugiej stronie. Cena nie gra roli. Mogę pani zapłacić albo pomóc w dowolny sposób.

– Pan chyba oszalał...

Dziennikarz popatrzył na nią łagodnie, prawie dobrotliwie. I zaczął tłumaczyć jak dziecku:

– Nie. Mówi pani po rosyjsku. Sewastopol nie jest zamkniętym miastem, na północy ciągnie się otwarta droga, którą wjeżdżają zapasy i nowi rekruci. Wszystko przemyślałem. Nasi żołnierze mogą panią bezpiecznie dostarczyć w okolice tej drogi, najlepiej nocą, a stamtąd po prostu wejdzie pani do miasta, jakby była jego mieszkanką.

Sprawdziłem, że to możliwe. Sam bym tam poszedł, gdybym znał

rosyjski. Niech pani pomyśli, czego chce pani w zamian, a ja to załatwię. Znajdę sposób.

„Chcę Zakira” – przemknęło jej przez myśl. Jednak zaraz zganiała się w duchu; propozycja Russella była absurdalna i zbyt ryzykowna. Rosjanie są przecież wrogami z drugiej strony linii okopów.

– Chcę zobaczyć swojego męża. Jest jednym z dowódców tureckiej piechoty. – Emilia usłyszała swój głos wypowiadający te słowa, zanim zdążyła cokolwiek postanowić.

Przestraszona podniosła prawą rękę do ust. Ale wypowiedzianych słów nie dało się już cofnąć. Zobaczyła, jak dziennikarz uśmiecha się szeroko i wyciąga do niej rękę.

– Wiedziałem, że rozsądna z pani kobieta. Dogadamy się. Znam tu kogo trzeba. Zobaczy się pani z mężem, obiecuję.

I Russell uchylił kapelusza, ukłonił jej się, po czym zostawił ją samą, ruszywszy z powrotem ścieżką w dół do bazy.

Emilia była oszołomiona tym zajściem. Z wrażenia usiadła na kamieniu. Majowe słońce grzało jej twarz, wiatr rozwiewał włosy wystające spod białego czepka. Na chwilę przestała myśleć. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w swoim ogrodzie nad Bosforem.

## Rozdział VI

### Decyzja artysty

Gdy rozpoczęła się wojna krymska, Iwan Konstantynowicz Ajwazowski zaniepokoił się od razu o bezpieczeństwo dwóch bliskich mu osób: swojej żony Julii i swojego przyjaciela admirała Kornułowa.

Żona... Kiedy przed laty, po powrocie z Europy, Iwan pomieszkiwał w Petersburgu, pewna bogata wdowa, arystokratka, zatrudniła go jako nauczyciela rysunku swoich dwóch córek. Panny były miłe, dobrze ułożone, uczone muzyki i angielskiego, a do tego – na wydaniu. Garnęły się do lekcji rysunku, zwłaszcza że ich nauczyciel był sławnym i podziwianym artystą. Wdowa przyjmowała go nadzwyczaj serdecznie. Nalegała, by zostawał na herbatę, a nawet na kolację. Iwan czuł przez skórę, że matka baczy, która z córek bardziej przypadnie mu do gustu. Panny chętnie organizowały wieczory muzyczne, w których brali udział malarz i angielska guwernantka. On grał na skrzypcach, ona na fortepianie, a panny śpiewały. Wieczory przeciągały się do późna w nocy, pod łaskawym okiem wdowy, która wciąż zakładała się sama ze sobą, o rękę której z córek artysta poprosi. Jakież było jej zdumienie, gdy malarz wkrótce oświadczył się... guwernantce! Dziewiętnastoletnia Julia, uboga Angielka bez posagu, która sama zarabiała na swoje utrzymanie, oczarowała go wdziękiem i olśniła urodą. Jej czarne włosy falowały jak wody Morza Czarnego nocą, a kształty przypominały greckie posągi. Iwan zupełnie stracił dla niej głowę. Nie minęły dwie niedziele, jak wywiózł ją na Krym i urządził huczne wesele, poprzedzone uroczystym ślubem w ormiańskiej cerkwi. Chciał jakoś wyrazić Bogu swoją wdzięczność, więc wymalował ściany i sufit starej ormiańskiej cerkwi w Teodozji. Gdy wierni zapalali świece przed ołtarzem i świętymi obrazami, nad ich głowami błyszcząły złote gwiazdy, a postaci świętych spoglądały z miłością ze ścian. Matka Boska z Dzieciątkiem patrzyła na lud boży czarnymi oczami młodej żony artysty.

Julii spodobał się wygodny dom malarza, otoczony zadbanym ogrodem. Z zapalem zajęła się urządzaniem i upiększaniem wnętrza. Wybierała meble, tkaniny i bibeloty, obrazy dostarczał jej mąż. Dlatego

na każdej niemal ścianie ze złożonych ram dosłownie spływała morska woda – spokojna lub wzburzona, uchwycona o świcie, o zmierzchu lub nocą. Julia żartowała, że kiedyś ta woda zaleje im podłogi. Najpiękniejsze i największe obrazy umieścili w salonie. Zaprzyjaźniony z rodziną Ajwazowskich burmistrz, dobroczyńca i protektor Iwana, podarował im fortepian do salonu, by mogli organizować przyjemne wieczory przy muzyce i pięknych obrazach. Julia uwielbiała towarzystwo, więc chętnie zapraszała gości na wieczorne przyjęcia, na których grali wspólnie z mężem, jak dawniej w Petersburgu. Szybko stali się podziwianą parą, którą odwiedzały i podejmowały u siebie najznakomitsze rodziny. Kilka razy odwiedził ich także serdeczny przyjaciel admirał Kornilow.

Iwan poznał go przed laty, jeszcze w czasie studiów w Akademii, kiedy profesor w klasie batalistyki polecił mu obejrzenie manewrów floty bałtyckiej. Ajwazowskiego z miejsca urzekła dumna uroda żaglowców i romantyzm morskich bitew. Manewry zrobiły na nim kolosalne wrażenie. Poznał wybitnych admirałów Łazariewa i Nachimowa, a z Kornilowem od razu połączyła go nić sympatii, która szybko przerodziła się w przyjaźń. Rosyjska marynarka wojenna przyjęła go z otwartymi ramionami i traktowała z uszanowaniem. A kiedy po latach zamieszkał na Krymie, wciąż był podziwiany przez dowództwo floty, jak żaden artysta przed nim. Gdy w 1846 roku marynarka świętowała dziesiątą rocznicę kariery artystycznej Ajwazowskiego, admirał Kornilow wysłał specjalny szwadron okrętów wojennych z Sewastopola, by pogratulować artyście. Był wielkim admiratorem jego talentu.

Obawy malarza o bezpieczeństwo przyjaciela były uzasadnione, Kornilowa mianowano bowiem głównodowodzącym obrony Sewastopola. I bronił swojego miasta tak zaciekle, że sam poprowadził żołnierzy do starcia z Francuzami, którzy atakowali od południa Małachowski bastion. Zginął na lądzie w pierwszym tygodniu walk, trafiony francuską kulą w skroń. On, który tak kochał morze, któremu największe żaglowce były posłuszne jak dzieci. Ech!...

Więc trochę dlatego, że ministerstwo marynarki zamówiło obraz dokumentujący walki w Sewastopolu, a trochę przez wzgląd na pamięć



o przyjacielu Ajwazowski postanowił tam jechać. Pomimo niebezpieczeństwa. Bo przecież kula armatnia, spadając na miasto, nie pyta, czy nie ma tu czasem wybitnego artysty, by go oszczędzić...

Iwan Ajwazowski stał w swojej pracowni i wybierał płótna na wystawę. Minał swoje wczesne obrazy z podróży po Europie. Słodkie widoki włoskiego wybrzeża czy wód Wenecji o zachodzie słońca nie wydały mu się odpowiednie do pokazywania w oblężonym Sewastopolu. Tchnęły spokojem letniego wieczoru i nosiły w sobie jeszcze ślady akademizmu. Marynarzom z okopów musiały się wydawać równie odległe jak słońce, które rozlewało na płótnach złocistą poświatę.

Teraz stał na środku pracowni i przyglądał się swojemu Widokowi Odessy w świetle księżyca. Dumny rosyjski żaglowiec na pierwszym planie imponował swoją siłą. Gęsty las żagli na horyzoncie mówił o potędze rosyjskiej floty. Morze było wzburzone, białe grzywy fal uderzały o odeski brzeg, ale mieszkańcy domów widocznych na klifie mogli spać spokojnie – chronieni przez swoją marynarkę i opiekuńczy blask księżyca. Ten obraz nadawał się znakomicie na wystawę w Sewastopolu. I dalej. Może Nocny sztorm? Samotny żaglowiec przechyla się niebezpiecznie na lewą burtę. Morskie fale smagane wiatrem biją w niego bryzgami białej piany. Pełnia księżyca nadaje wodzie niezwykły kolor: sinozielony, z miedzianym odcieniem chmur, które na horyzoncie zlewają się z pianą fal. Chcemy wierzyć, że mimo zagrożenia statek dopłynie do portu.

O, to też nada się idealnie: Przegląd floty czarnomorskiej. Pięciu admirałów w czarnych galowych mundurach patrzy z pokładu statku na stojące w równym szeregu bojowe okręty pod pełnymi żaglami. Mewy latają nisko, jakby wystraszone ich potęgą. Błękitne morze lśni. Żaglowce prężą się w stronę swoich dowódców białym płótnem żagli, jakby stały na baczność i salutowały. Tak, Iwan Ajwazowski wiedział, że ten obraz wycisnie łzę wzruszenia z niejednego oka. Prawdziwi marynarze kochają swoje okręty. A słyszał – takie wieści rozchodzą się szybko – że admirał Nachimow, głównodowodzący floty czarnomorskiej, wydał rozkaz zatopienia prawie wszystkich rosyjskich okrętów u wejścia do portu w Sewastopolu. Po to, by zagrozić drogę nieprzyjacielskim statkom i ocalić miasto. Ściągnięto tylko armaty

i amunicję. Wszyscy marynarze zeszli na ląd i stali się zwykłymi żołnierzami, broniącymi miasta w okopach. Niektórzy, patrząc, jak ich okręty szły na dno, płakali.

Iwan Konstantynowicz na myśl o tym też się wzruszył. Wybrał dwadzieścia obrazów, polecił je zabezpieczyć i poszedł osobiście spakować swoje farby, pędzle, palety i zagruntowane płótna. A także szkicownik, z którym nigdy się nie rozstawał.

## Rozdział VII

### Bakczysaraj

Czas mijał, moi przyjaciele i ja zaczęliśmy dojrzewać, nasze ciała rosły i powoli się zmieniały. Skończyliśmy szkołę elementarną. Pietia wyjechał na dalszą naukę do gimnazjum w Symferopolu, a do domu wracał tylko na niedziele, święta i wakacje. Ira i Dajdżan mieszkali w rodzinnym domu i od rodziców uczyli się tego, co powinni umieć młodzi tatarscy chłopcy i dziewczęta. Dajdżan pomagał ojcu w winnicy, a Ira gotowała z mamą i całymi godzinami wyszywała na tamborku różne cuda równiutkim, dwustronnym haftem. Mówiła, że cała sztuka polega na tym, żeby prawa strona nie różniła się niczym od lewej i żeby nie było widać żadnego supelka. Była przekonana, że im piękniej wyszyje swoją wyprawę ślubną, tym lepszego męża będzie mogła wybrać.

Siostry Ajwazowskie miały już dwie guwernantki, które uczyły je w domu, pod nadzorem ich matki, dawniej nauczycielki. Wujek Iwan poprosił ją, żebym i ja mogła uczestniczyć w tych lekcjach, na co niechętnie przystała. Zatem razem z Aleksandrą, Żanną, Marią i Eleną poznawałam wiersze Puszkina i Lermontowa, historię carów oraz dzieje rosyjskich zwycięstw i triumfów. Te treści nie zawsze pokrywały się z tym, czego uczyła mnie mama o przeszłości Polski, w każdym razie punkt widzenia był zupełnie inny. Ale już wtedy rozumiałam, że nie tylko każdy człowiek, ale i każdy naród ma własną opowieść.

Którejś soboty Ira przybiegła do mnie zdyszana, z błyszczącymi oczami. Jak wszystkie tatarskie dziewczyny nosiła małą haftowaną czapeczkę z długim białym welonem. Na plecy spływały jej dwa ciasno splecione czarne warkocze.

– Jedziemy, jedziemy! – krzyczała od progu, zaróżowiona, a jej biały welon falował. – Jutro jedziemy do Bakczysaraju. Wybierzesz się z nami?

Następnego dnia wypadła niedziela, więc nie miałam lekcji. Mogłam jechać.

Nigdy tam nie byłam, choć słyszałam o tym miejscu od dziecka. W rodzinie Iry słowo „Bakczysaraj” wymawiano zawsze uroczystym

tonem, jakby oznaczało największą świętość. Kiedyś myślałam, że to jakieś sanktuarium albo miejsce kultu, ale ojciec Iry szybko wyprowadził mnie z błędu, mówiąc, że to dawna stolica i siedziba chanów. Materialny dowód minionej potęgi i siły państwa Tatarów krymskich. Oczywiście, że chciałam to zobaczyć. Zanim zdążyłam otworzyć usta, na werandę, gdzie siedziałyśmy z Iry, weszła mama, niosąc świeżo upieczone ciasto drożdżowe.

– Ciociu Emilio, czy pozwolisz Maszy jechać z nami do Bakczysaraju? Proszę, proszę, tam jest cudownie! – prosiła Ira mamę, łapiąc ją za ręce i próbując okręcić wokół siebie.

Na szczęście moja mama, inaczej niż żona wujka Iwana, nie miała nic przeciwko temu, żebym się spotykała i przyjaźniła z tą tatarską rodziną. Powiedziała mi kiedyś, że przed wielu laty pewien Tatar oddał za nią życie, dlatego ceni tę nację, a nawet czuje, że ma wobec niej pewien dług wdzięczności. Oczywiście, chciałam wiedzieć więcej o tym zdarzeniu, ale jak zwykle zbyła mnie i wykręciła się od odpowiedzi. Cała mama. Teraz przynajmniej popatrzyła na mnie i odpowiedziała jasno:

– Dobrze, Maryniu, możesz jechać.

Ucieszyłam się, a Ira pisnęła z radości i uściśnęła mamę w podziękowaniu.

Ciocia Nadire naszykowała mi na drogę koszyk smakołyków z domowymi wypiekami i owocami z ogrodu, mama Iry upiekła mnóstwo czeburieków z mięsem jagnięcym i z serem, które dosłownie rozpływały się w ustach, i tak zaopatrzeni wyruszyliśmy o świcie wozem zaprzężonym w trzy konie, czyli trojką. Ten tradycyjny rosyjski zaprzęg przyjął się już na Krymie, oczywiście w wersji letniej, na kołach, a nie płożach, jak na zaśnieżonej północy. Trojka mknęła błyskawicznie – dwa boczne konie galopowały, a środkowy biegł szybkim klusem. Siedzieliśmy wygodnie na miękkich pledach i poduszkach. Agabej wziął woźnicę do powożenia zaprzęgiem, a sam siedział z nami na wozie. Widziałam, że ta wyprawa także dla niego ma duże znaczenie.

Jechaliśmy ubitą drogą pośród pól, winnic, suchych stepów i lasów, widząc w oddali góry. Mijaliśmy meczety i tatarskie gospodarstwa. Na samym wybrzeżu i w miastach mieszkało już wielu

Rosjan i wiele innych nacji, ale w głębi półwyspu wciąż dominowali Tatarzy. Agabej patrzył na ich kamienne domki otoczone cienistymi ogrodami z czułością i wtedy opowiedział mi o swojej rodzinie. Jego dzieci na pewno znały tę historię, ale siedziały zasłuchane tak jak ja.

– Wiesz, Maszeńko, że mój dziadek ze strony ojca pracował na dworze Szahina Gireja, ostatniego chana w Bakczysaraju? – zapytał, a jego oczy zaszyły mgłą wzruszenia.

Nie słyszałam o tym.

– Tak, zarządzał jego końmi... Chan miał piękne konie i piękne kobiety. Myślał, że utrzyma władzę, ale stał się marionetką w rękach carycy Katarzyny. Czy podobny los nie spotkał ostatniego polskiego króla? W końcu wojska carycy zajęły cały Krym i już go nie opuściły. Szahin Girej zrzekł się tronu i złożył przysięgę na wierność imperatorowej. Ale i tak musiał wyjechać do Turcji, tak było dla niego bezpieczniej. Prawie cały dwór pojechał z nim: jego kobiety, jego dzieci, służba. – Zamyślił się. – Rosjanie chcieliby, żebyśmy wszyscy wyjechali, ale to nasza ziemia; dlaczego mielibyśmy ją opuścić? Mój dziadek postanowił zostać, przeniósł się do Teodozji i szukał nowego zajęcia, aż założył naszą winnicę. Wprawdzie sam wina nie pił, ale wiedział, że wśród chrześcijan wina znajduje wielu nabywców i pozwoli rodzinie spokojnie i dostatnio żyć. Mój ojciec urodził się już w Teodozji, tak samo ja i moje dzieci. Ale to stolica mogła być naszym domem...

Dojechaliśmy do Bakczysaraju po pięciu godzinach jazdy. Jakbym się znalazła w innym świecie. W naszej Teodozji też spotykaliśmy wielu Tatarów, ale mieszały się na ulicach z Ormianami, Rosjanami, Karaimami, Żydami, Grekami i wieloma innymi nacjami. Tu, w cieniu ruin pałacu chanów, w dostojnej ciszy otaczającej opuszczony dwór, wydawało się, że na ulicach są sami Tatarzy – godni, milczący, owładnięci cichą nostalgią. Ira zapraszała mnie czasem do udziału w tatarskich świętach, zawsze pełnych śmiechu, wesołości, zabawy, w ich ramach często organizowano zawody zręcznościowe dla młodych mężczyzn; jednak tutaj ludzie byli poważni i wyciszeni, jakby ciążyła im gorycz utraty dawnego życia.

Gdy dotarliśmy pod bramę pałacu, zastaliśmy ją zamkniętą. Starzec w tatarskim stroju, podpierając się sękatym kijem, podszedł do nas

i powiedział coś po tatarsku. Agabej wdał się z nim w rozmowę, a ja popatrzyłam pytająco na moich przyjaciół. Dajdżan stanął obok mnie i zaczął mi tłumaczyć na rosyjski.

– On mówi, że pałac jest zamknięty, bo teraz należy do cara i czasem przyjeżdża tu carska rodzina – szeptał mi nad głową. Nawet on, zwykle roześmiany, był teraz wyciszony i poważny. – To własność państwowa. A mój tata mówi mu, że jego dziadek był wielkim koniuszym ostatniego chana i że chciałby pokazać nam pałac.

Widziałam, jak starzec z kijem popatrzył po tych słowach na Agabeja jak na członka swojej rodziny. Coś mruczał pod nosem i kazał nam iść za sobą. Ruszyliśmy. Starzec prowadził nas wzdłuż muru, aż do miejsca, gdzie przepływał strumień. Tam mur przechodził łukiem ponad lustrem wody, tak że ryzykując nieznaczne zamoczenie butów i ubrania, można się było przeczołgać pod łukiem, wejść do środka i po ułożonej nad wodą kładce dostać się na wewnętrzny dziedziniec. Ta droga bywała wykorzystywana regularnie, gdyż od kładki wiodła wydeptana w trawie ścieżka. Bez wahania skorzystaliśmy z niej, nie przejmując się wilgotnym ubraniem.

Kiedy stanęłam pośrodku pałacowego kompleksu i rozejrzałam się po opuszczonych budynkach, natychmiast zadźwięczały mi w uszach słowa jednego z sonetów Mickiewicza, które mama czytywała mi czasem wieczorami:

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!

Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,

Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,

Przeskakuje sarańcza, obwija gadzina.

Skrós okien różnofarbnych powoju roślina,

Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,

Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia

I pisze Balsazara głoskami „RUINA”.

Wiedziałam, że polski poeta znalazł się tu prawie pół wieku temu. Może wtedy to była ruina, ale potem, gdy pałac chanów zaczął służyć rodzinie carskiej, odnowiono go i przystrojono sprowadzonymi z Petersburga meblami i obrazami. Starzec nie mógł nas wpuścić do środka, ale oglądaliśmy wnętrza przez okna.

Chodziliśmy od budynku do budynku. Wyczuwałam głębokie wzruszenie rodziny moich przyjaciół. Agabej, jego żona i Ira dotykali murów, gładzili kamienne zdobienia, jakby były główkami dzieci. Starzec mówił o przeznaczeniu kolejnych pomieszczeń. Dajdżan trzymał się przy mnie i szeptał mi do ucha po rosyjsku. Przysuwał się coraz bliżej, czułam jego gorący oddech. Stał trochę za blisko mnie, więc się odsuwałam, ale wtedy przestawałam go słyszeć. Zauważył to, uśmiechnął się i zaczął mówić jeszcze ciszej, żebym musiała się jednak przysunąć. Obejrzeliliśmy meczet, kuchnię, gdzie gotowano posiłki dla całego dworu, hammam, pomieszczenia dla służby, stajnie, wreszcie – harem. Miejsce, gdzie setki młodych dziewcząt sprowadzanych z północy żyły uwięzione i czekały beczynn timer na zainteresowanie chana. Albo na śmierć. Ich życie w niewoli wydawało mi się nieludzkie. Oddech Dajdżana nad moim uchem stawał się coraz gorętszy. Jego rodzice i siostra poszli przodem, a wtedy chwycił mnie za rękę, przyciągnął do siebie i wyszeptał:

– Gdybym to ja był chanem, a ty moją niewolnicą z dalekiego kraju, to zrobiłbym z ciebie swoją pierwszą żonę!

Owionął mnie jego zapach, ostry i niepokojący. Roześmiałam się trochę nerwowo. Na twarz Dajdżana wystąpił rumieniec, a jego oddech przyspieszył. Oczy dziwnie mu błyszczały. Nie chciałam się z niego śmiać ani go urazić, ale myśl, że mogłabym być jego niewolnicą, wydała mi się niedorzeczna i absurdalna. Moja mama była wolną kobietą, niezależną od nikogo, sama zarabiała na utrzymanie, i to mi się podobało. Nie zamierzałam nigdy zostawać niczyją niewolnicą. Co za pomysł!

– A gdybym to ja była królową, a ty moim niewolnikiem, tobym

cię uwolniła. Ludzie powinni być wolni – rzekłam z przekonaniem i pobiegłam do Iry.

Po zwiedzaniu Agabej zaprosił nas na obiad do pobliskiej gospody, położonej nad tym samym strumieniem, który przepływał przez tereny pałacowe. Usiedliśmy na zewnątrz, pod płóciennym zadaszeniem, na rozłożonym wprost na ziemi kobiercu i poduszkach. Jakiś chłopiec przyniósł nam na tacy szklaneczki z chłodną krystaliczną wodą, z dodatkiem miodu, cytryny i mięty. Była cudownie orzeźwiająca i pyszna. Zamówiliśmy płow.

– To jak to właściwie było z tymi niewolnikami za czasów chana?  
– zapytałam Agabeja, ignorując gorące spojrzenia Dajdżana.

– Cóż, Masza, wielu Tatarów żyło z łupów wojennych i z tego, że porywali młodzieńców i dziewczęta z północy w jasyr, prowadzili na południe i sprzedawali.

Dziwiłam się, że Agabej mówi o tym tak spokojnie, jakby chodziło o polowanie na zające. Wyobraziłam sobie siebie, jak porywają mnie Tatarzy, zabierają z domu od mamy i prowadzą całymi kilometrami na południe, by mnie sprzedać na targu jak zwierzę. Przestraszona, jakiego poczułam, musiałam się odbić na mojej twarzy, bo Dajdżan się roześmiał i wyjaśnił:

– Nie bój się, Masza. Takie ładne panny jak ty trafiały do najlepszych haremów i mogły tam wieść bardzo przyjemne życie...

Jego mama zgromiła go w ich języku, więc zamilkł, ale oczy dalej mu się śmiały.

Od czasu tej wycieczki czułam, że Dajdżan zaczął się mną interesować. Wpadał do naszego pensjonatu pod różnymi pretekstami i przynosił mi podarunki: polne kwiaty, winogrona, muszelki. Któregoś dnia poszłam odwiedzić Irę i zastałam ją, jak zwykle, z igłą w ręku. Tym razem nie wyszywała na tamborku kawałka białego płótna, który miał się stać ręcznikiem albo ściereczką. Trzymała w palcach aksamitną purpurową czapeczkę i ozdabiała ją złotą nicią, tworząc wijący się roślinny wzór.

– Co robisz? – zapytałam.

– Haftuję podarunki dla męża – odpowiedziała, rumieniąc się lekko.



– Wychodzisz już za mąż?! Za kogo? Nie masz jeszcze szesnastu lat!

– Jeszcze nie... Ale wczoraj był u mojego taty ojciec Timura. – Ira zniżyła głos do szeptu. – Podśluchałam, o czym mówili. Pytał, czy ojciec ma już dla mnie kandydata na męża, bo on byłby chętny!

– On czy Timur?

– No, Timur, oczywiście!

Trochę się zdziwiłam, bo Timur był znanym nedorajdą. Miał tylko jedno oko, bo drugie uszkodził sobie sam, bawiąc się łukiem. Stał się obiektem kpin i żartów, a do tego nigdy nie zwyciężył w żadnych zawodach: ani w zapasach, ani w rzucie kamieniem w dal, ani w wyścigach konnych, ani w strzelaniu z łuku. Ale chciałam być delikatna, więc nie dawałam wyrazu zdziwieniu.

– I to dla niego ta czapka? – spytałam.

– Nie, nie żartuj sobie ze mnie. Nie chcę jednookiego niedojdy za męża. Ale skoro jego ojciec już przyszedł, to zjawią się też inni. A kiedy wybierzemy najlepszego kandydata, będę mieć dla niego gotowe podarunki.

– Czy to raczej nie on powinien przynosić podarunki dla ciebie? – zdziwiłam się.

– Och, Masza, znowu nic nie rozumiesz! U nas każda młoda panna powinna wyhaftować dla męża dziewięć podarunków, na przykład: kołpak, czapkę, sakiewkę na machorkę, pantofle, i dać mu je jeszcze przed ślubem, żeby mógł poznać i ocenić jej serce.

– I ile już masz gotowych prezentów od serca?

– Dopiero dwa. Kończę tę czapkę, a mam już uszytą sakiewkę.

Chcesz zobaczyć?

– Tak.

Ira wyciągnęła z drewnianego pudełka istne cudo, prawie dzieło sztuki – ciemnozielony woreczek w kształcie kobiecej kibici ozdobiony wzorem wyszytym srebrną nicią.

– Piękny... – pochwalłam szczerze.

– A umiesz go przeczytać?

– Przeczytać? Przecież tu nie ma liter, tylko same roślinne ornamenty.

– Tak, ale każdy z nich coś symbolizuje. Zobacz, na samym dole jest trójkąt: oznacza dom. Dalej potrójny listek, to symbol męski, i róża, symbol żeński. A wyżej dwie młode gałązki znaczą, że chciałabym mieć dwoje dzieci, tak jak jest u nas w domu...

– I twój przyszły mąż to wszystko odczyta i zrozumie?

– Oczywiście. Jego ojciec na pewno nadal ma taką sakiewkę od jego matki.

– Róża to rozumiem. Ale dlaczego potrójny listek jest męskim symbolem?

Ira zachichotała i jednocześnie oblała się rumieńcem.

– Nie wiesz dlaczego? Obejrzyj sobie w stajni naszego ogiera, to się domyślisz dlaczego. – Kiedy przestała chichotać, popatrzyła na mnie poważnie i powiedziała: – Lepiej zacznij się uczyć haftować. Dajdżan już czeka na podarunki wyszyte twoją ręką.

– Wiesz, że wolę pędzel od igły – odpowiedziałam. – Zamiast wyszywać, wolę malować obrazki: góry, kwiaty, waszą winnicę.

– Malujesz bardzo ładnie, tylko że to jest takie... bezużyteczne. Sztuka jest ważna, ale powinna czemuś służyć tak jak ozdobny dwustronny haft. Mówię ci, Dajdżan czeka...

Wiedziałałam, że Dajdżan czeka. Lubiłam go, ale nie zamierzałam uczyć się haftować, żeby mu podarować sakiewkę na machorkę pełną męskich i żeńskich symboli. Zdecydowanie wolałam malować pod mistrzowskim okiem wujka Iwana, który coraz częściej chwalił moje kompozycje i kolorystykę obrazków. Ale nie tylko dlatego. Choć Dajdżan był moim przyjacielem i często włóczyliśmy się razem pieszo albo konno po okolicach Teodozji, to moje myśli coraz częściej zajmował Pietia, który wyrósł, zmężniał i nabrał nowego sznytu po nauce w symferopolskim gimnazjum.

## Rozdział VIII

### W oblężonym mieście

W ciągu kolejnych dni ostrzał artyleryjski pod Sewastopolem się wzmógł. Wojska sojusznicze szturmowały zaciekle bastiony, ale opór Rosjan nie słabł. Ich armaty wypluwały pociski, które rozrywały ziemię i ciała atakujących Francuzów, Anglików i Turków. Szpital polowy wypełnił się rannymi. Pielęgniarki sypiały na zmianę po parę godzin na dobę, bo nowych rannych dowożono nawet nocą. Emilia była tak zmęczona, że ledwo stała na nogach. Jej fartuch, dawniej biały, zaczerwienił się teraz od krwi. Otoczona jękami żołnierzy, zajęta opatrywaniem ran i podawaniem wody oraz leków zupełnie zapomniała o umowie z Russellem. Dlatego gdy jedna z pielęgniarek wywołała ją ze szpitalnego namiotu na zewnątrz, wyszła, niczego nie podejrzewając.

Było słoneczne popołudnie, ciche i spokojne – trwało właśnie zawieszenie broni, uzgodnione, by obie strony mogły zabrać rannych spod murów miasta. Emilia wyszła z namiotu i odetchnęła głęboko słonym nadmorskim powietrzem. Zobaczyła przed sobą zarośniętego mężczyznę, z brodą i przydługimi włosami. Na prawym policzku miał źle zagojoną bliznę. Postrzępiony i brudny mundur wisiał na jego wychudzonym ciele. Sylwetka była znajoma, ale dopiero kiedy otworzył szeroko ramiona, zrozumiała, że to naprawdę on – jej mąż Zakir. Wpadła w te ramiona i zanosła się krótkim, urywanym szlochem. Ten zabiedzony żołnierz tak mało przypominał jej zadbanego, eleganckiego męża, pachnącego szałwią i olejkiem sandałowym. Ale kiedy poczuła ciepło jego ciała, kiedy usłyszała szept jego warg zanurzonych w jej włosach, wiedziała, że to on, ten sam Zakir, który uszczęśliwiał ją już swoją bliskością. Stała tak wtulona twarzą w zagłębienie między jego szyją a obojczykiem i wdychała jego zapach. Zakir pierwszy rozluźnił uścisk. Cofnął się o krok i spojrzał uważnie w jej twarz.

– Marzyłem, żeby cię zobaczyć, ale, na Allaha, nie tutaj – powiedział cicho.

– Nie mogłam już wytrzymać w domu bez ciebie. Bezczynność mnie zabijała.

– I wolałaś narazić się na to, że zabije cię prawdziwa kula?

- Och, tu, w Bałakławie, nikt przecież nie strzela.
- Żadna muzułmanka by się na to nie porwała – rzekł.

Emilia chciała wierzyć, że więcej było w tym stwierdzeniu podziwu niż potępienia. Ale nie miała pewności.

– Przejdźmy się – zaproponowała i ruszyła ścieżką w kierunku twierdzy genueńskiej.

Samotna baszta górowała nad sąsiednim wzniesieniem na tle bezkresnego morza. Kiedy Zakir ruszył obok niej, zobaczyła, że utyka.

- Co z twoją nogą? – zapytała.
- Dostałem odłamkiem. Miałem szczęście, że mi jej nie ucięli.

Wielu nie przeżywa tu amputacji.

– Mój Boże... Siedzicie tu od tyłu miesiące i nic się nie zmienia. Tylko więcej śmierci. Widzisz jeszcze jakiś sens w tej wojnie?

- Na wojnie nie myślisz o sensie. Myślisz, żeby przeżyć.

I wykonujesz rozkazy. Tyle.

Przeżyć. Jak to dobrze, że przeżył. Emilia wzięła go za rękę, czego nie zrobiłaby nigdy na ulicy w Stambule, i dziękowała Bogu za to, że jej mąż żył.

Szli grzbietem wzniesienia. Po lewej stronie mieli otwarte morze, po prawej zatokę i port, a przed sobą ruiny twierdzy, zawieszane, zdawałoby się, nad wejściem do zatoki. Kamienna wieża przypominała czasy świetności republiki genueńskiej, która bogaciła się tu wieki temu na handlu niewolnikami. Teraz z dawnej potęgi zostało tylko trochę nadkruszonych kamieni.

Emilia z Zakirem stanęli u stóp baszty. Można było wejść do środka przez wyrwę w murze. Weszli więc. Pomiędzy kamienie wdzierało się zielsko i porosty. Grube ściany dawały cień i miły chłód. Ruiny stały na odsłoniętym zboczu i były dobrze widoczne z portu na dole i ze szpitala na sąsiednim wzniesieniu, ale solidny mur chronił ich przed ludzkim wzrokiem.

Emilia patrzyła na swojego męża, tak odmienionego przez minione miesiące. Serce jej się ścisnęło na myśl o tym, co musiał wycierpieć. Podeszła do niego. Opuszkami palców pogładziła jego dłonie. Na lewym policzku, tym bez blizny, złożyła delikatny pocałunek. I drugi. I trzeci, schodząc coraz niżej, do ust. Wtedy Zakir chwycił ją za ręce, oparł

o ścianę baszty i podciągnął szarą spódnicę i białe halki. Emilia zarzuciła mu ręce na szyję, zamknęła oczy i rozchyliła nogi. Kochali się gwałtownie, mocno, inaczej niż w domu. Tam, pośród jedwabnych poduszek, wonnych kadzideł i miękkiej przytulności haremu, ich miłość była jak wykwintna uczta w blasku świec. Teraz, w tych nagich skałach, oboje zaspokajali głód. „Prawie jak zwierzęta” – pomyślała Emilia i poczuła skurcz, który rozchodził się gdzieś z głębi brzucha i objął po chwili całe ciało. Wkrótce leżeli przytuleni na gołej ziemi porośniętej trawą. Więc to już? Po to zostawiła syna, zносиła obozowe niewygody i narażała życie? By poczuć tych kilka spazmatycznych ruchów i ten skurcz na końcu? Emilia oparła głowę na ramieniu Zakira. Wsunęła rękę pomiędzy guziki munduru, żeby dotknąć ciepłego ciała męża. Długo milczeli. Jakby pomimo tego aktu największej bliskości dzieliła ich jakaś przepaść, niemożliwa do zasypiania.

– Słyszałam, że zima była ciężka. Bardzo tu marzłeś? – zapytała.

– Kiedy pisałem do ciebie listy, musiałem najpierw długo trzymać kałamarz w ustach, bo atrament zmieniał się w twardy lód. Kilku moich ludzi zamarzło w okopach podczas nocnych wart. Inni odmrażali sobie nogi i ręce, które trzeba im było obcinać. Więc tak, marzliśmy.

Jego ciało, mimo wychudzenia, było tym samym ciałem, które Emilia знаła dawniej. Ale po raz pierwszy zastanawiała się, czy Zakir po wojnie nadal będzie tym samym człowiekiem. Jego oczy straciły dawny blask, jakby widziały zbyt wiele okropnych scen.

Nie zadawała już więcej pytań. Wstali, poprawili ubrania, otrzepali je z trawy i piachu. Wrócili tą samą drogą. Coś dławilo ją w gardle.

– Przyjdę jutro wieczorem. Czekaj – powiedział Zakir na pożegnanie i się odwrócił.

Emilia patrzyła, jak idzie szybkim krokiem do uwiązane go opodal konia, wskakuje na siodło i odjeżdża na zachód, w kierunku tysięcy białych namiotów. Powinna być szczęśliwa, że zdołała go odnaleźć, ale po jej policzkach spływały łzy.

Gdy miała już wrócić do pracy, została wezwana przed oblicze panny Nightingale. Przełożona szpitala patrzyła na nią surowo.

– Pani Emilio, mówiłam pani pierwszego dnia, że reputacja personelu pielęgniarskiego jest dla nas sprawą największej wagi.

Tymczasem widziano panią, jak oddala się pani z obcym mężczyzną w kierunku samotnych ruin. I do tego z Turkiem! Czy zdaje sobie pani sprawę, że takie eskapady podważają naszą wiarygodność? Już i tak starzy wyjadacze wojenni patrzą na służbę pielęgniarską z niechęcią. Naraża nas pani na plotki i niewybredne komentarze. – Twarz Florencji przybrała surowy wyraz. Dawny uśmiech zniknął. – Jeśli chce pani nadal pracować w szpitalu, musi mi pani obiecać, że to się więcej nie powtórzy.

– Nie mogę tego obiecać.

– Proszę?

– Nie mogę tego obiecać, ponieważ ten mężczyzna jest moim mężem. To ze względu na niego tu przyjechałam.

– Ach tak... – Florencja mierzyła Emilię chłodnym spojrzeniem, jakby poślubienie Turka samo w sobie było jakimś wykroczeniem. Westchnęła. – No cóż, w takim razie proszę panią przynajmniej o zachowanie dyskrecji.

Zakir przyjeżdżał do niej w kolejne wieczory, tuż po zapadnięciu zmroku. Szli do swojej baszty, kochali się i rozmawiali. Emilia starała się, żeby choć w tym krótkim czasie poczuli się jak dawniej w domu, ale niezbyt się to udawało. Czasem miała wrażenie, że Zakira krył jakiś pancerz. Trudno jej było zapomnieć, że jest teraz wojownikiem, nawet gdy był nagi. Jakby otaczał go szczególny zapach. Zapach śmierci?

Któregoś dnia do szpitala wspiał się z bazy w dole Russell. Obszedł szpital, długo rozmawiał z Florencją i z lekarzami, zadał parę pytań rannym. Wszystko notował. Gdy zobaczył Emilię, uchylił kapelusza i się uśmiechnął. Zrozumiała, że przyszedł czas na spłatę długu.

– Dziękuję panu. Jestem gotowa – zapewniła go.

Tego wieczoru oznajmiła Zakirowi, że przez kilka dni nie będą się mogli widywać. Skinął głową, nie pytał dlaczego. Przy pożegnaniu uścisnęła go mocniej i dłużej niż zwykle.

Przed północą zajechał drewniany wóz zaprzężony w muły. Siedział na nim Russell z wiklinowym koszykiem na kolanach. Powoził żołnierz, okryty dla niepoznaki tatarskim płaszczem i czapką. Emilia weszła na wóz i usiadła naprzeciwko dziennikarza.

– Mam dla pani alibi – powiedział. – W tym koszu są młode buraki, cebula i szczaw. Jeśli żołnierze będą o coś pytać przy wejściu do miasta, powie pani, że wraca z jarzynami ze swojej podmiejskiej daczy. Mieszkańcy mogą wchodzić do miasta i wychodzić z niego bez przeszkód. Boi się pani?

– Tak.

– Niepotrzebnie. Znam neutralne miejsce pomiędzy naszymi wartami a ich strażą, gdzie można przejść bez przeszkód. Byłem tam nieraz. Kiedyś nawet rosyjski żołnierz o coś mnie zapytał, ale udałem niemowę. Na pewno sobie pani poradzi.

Emilia próbowała sobie przypomnieć, jak są po rosyjsku buraki i szczaw.

– Co pana interesuje? – zapytała.

– Właściwie wszystko: jak żyją ludzie, co mówią, czy chcą się poddać, bo mają dość, co się dzieje w mieście, co myślą o tej wojnie. I w ogóle wszystko, co się pani wyda ciekawe. Aha, mam dla pani trochę rubli, żeby się pani czuła swobodnie. – Russell wcisnął jej do ręki plik rosyjskich banknotów. – Na północy miasto żyje w miarę normalnie, może się pani zatrzymać w gospodzie albo w hotelu.

Jechali wolno górską drogą przez zupełne pustkowia. Żołnierz postawił na wozie latarnię zrobioną z grubej świecy osłoniętej szkłem. Noc była bezchmurna, księżyc dodatkowo oświetlał okolicę. Daleko przed nimi widziały jasne punkciki ognisk palonych przez żołnierzy trzymających warty. Muły szły pewnie, ale wolno. Ich ciężkie kroki i jednostajny turkot wozu usypiały Emilię. Zapadła w stan pół jawy, pół snu, w którym widziała przed oczami twarze umierających żołnierzy, niezliczone operacje, odcięte kończyny, zakrwawione bandaże i opatrunki. Potem zobaczyła wychudzoną twarz męża z blizną i długą brodą, z oczami, w których zgasła radość. Zasnęła na dobre i dopiero we śnie spotkała dawnego Zakira – pięknego, dobrego i czulego mężczyznę, który od lat był jej kochankiem i przyjacielem. Tęskniła do niego. Poczowała przez sen silne postanowienie, że zrobi wszystko, by Zakir znów stał się taki, gdy tylko skończy się ta przeklęta wojna.

Zbudziła się, kiedy wóz stanął. Otworzyła oczy. Był już wczesny majowy świt. Wokół roztaczał się teren inny niż w Bałakławie – bardziej

płaski, zabudowany podmiejskimi chatkami, które tonęły w kwitnących bzach. Stali ukryci w kępie zielonych drzew. Jakies dwieście metrów przed nimi biegła droga, która prowadziła prosto do rogatek Sewastopola. Droga ciągnęły wozy wyładowane kapustą i beczkami z kwasem chlebowym. Szli nią także ludzie – wieśniacy albo mieszkańcy miasta, trudno było orzec. Stara kobieta prowadziła na postronku dwie mlecze kozy, a mała dziewczynka podążała za nią, podśpiewując i plotąc wianek z żółtych mleczy, które zrywała po drodze. Emilia, widząc je, pomyślała, że może jej zadanie nie będzie tak trudne, jak się obawiała.

Wzięła kosz, schowała dobrze ruble. Była gotowa do drogi.

– Mam dla pani coś jeszcze – powiedział Russell, sięgając do wewnętrznej kieszeni surduta. Wyjął z niej posrebrzany prawosławny krzyż na łańcuszku i zawiesił go Emilii na szyi. – To panią uwiarygodni.

Emilia spojrzała na krzyżyk. Widywała wcześniej takie na Litwie i na Ukrainie. Miał trzy poprzeczne belki, z których najniższa biegła ukośnie.

– Niech pani wymyśli jakąś historię na swój temat i powtarza ją każdemu, kto zapyta. Ludzie bywają podejrzliwi – dodał dziennikarz. – Będę tu czekał na panią za trzy dni, o zmroku.

– Aż trzy dni? – zapytała. – Myślałam, że wrócę dziś wieczorem.

– Musi się pani dobrze rozejrzeć. To duże miasto. Tylko niech pani nie podchodzi do południowych murów, jeszcze pani oberwie naszym pociskiem i z relacji nici. – Uśmiechnął się.

Pomógł jej zejść z wozu, uścisnął jej rękę i posłał ostatni uśmiech otuchy.

Emilia ruszyła w kierunku drogi. Weszła na trakt i skierowała się w stronę rogatek. Kobieta z kozami była już daleko z przodu. Droga jechał konno oficer w rosyjskim mundurze, ale nie zwrócił na Emilię najmniejszej uwagi. Poprawiła srebrny krzyż na piersi, chwyciła mocniej koszyk i poszła przed siebie.

Sewastopol w swojej północnej części wydawał się zwykłym miastem. Na rogatkach stali znudzeni wartownicy i wpuszczali za mury wszystkich przybyszów, nawet nie zadając im pytań. W przeciwną stronę wyjechał właśnie drewniany wóz, na którym siedzieli rosyjscy



żołnierze. „Pewnie jadą na urlop” – pomyślała Emilia. Kiedy zrównała się z ich wozem, zobaczyła, że prawie wszyscy są kalekami – mieli obandażowane kikuty zamiast ręki lub nogi. Ale twarze były radosne – dla nich wojna już się skończyła i uszli z życiem. Ich towarzysze zostali pod ostrzałem, w mieście pełnym pocisków, ognia i zgliszcz. Dymy unoszące się nad południową, wysuniętą ku nieprzyjacielowi stroną miasta żegnały szczęśliwców.

Emilia ścisnęła mocniej koszyk z warzywami i przeszła obok wartowników, starając się wyglądać tak zwyczajnie, jakby pokonywała tę drogę wielokrotnie. Wydawało jej się, że jeden z nich przyglądał jej się szczególnie długo. Spuściła oczy. Chciała go minąć jak najszybciej.

– A ty kto? – usłyszała nagle młody głos.

Zamarła. Podniosła wzrok i zobaczyła, że żołnierz wpatruje się w jej krzyż na piersi. Albo w biust.

– Anastazja Pietrowna – odrzekła, podając pierwsze imię, które przyszło jej do głowy.

– A co tam niesiesz w koszyczku? – pytał żołnierz, ale jego głos nie był wrogi, raczej żartobliwy.

– A ot, trochę buraków na zupę – odpowiedziała, starając się nadać głosowi lekki ton.

– To może nas zaprosisz na obiad po służbie? Bardzo lubimy barszcz! – rzucił młody wartownik, a drugi, starszy, zaśmiał się głośno.

Emilia zdobyła się na zalotny uśmiech.

– Może zaproszę – obiecała, odwróciła się i na ugiętych nogach weszła za mury miasta.

Szła wolno ulicą. Północna dzielnica wyglądała zwyczajnie. Białe budynki tonęły w bujnej zieleni, a ludzie zajmowali się swoimi sprawami. Tylko na południu widać było dymy nad miastem, a wiatr niósł łoskot ostrzału karabinowego.

Emilia uświadomiła sobie, że od lat nie rozmawiała z innymi mężczyznami niż jej mąż, teść i przyjaciel domu Michał Czaykowski, nie licząc domowych eunuchów. W Stambule nie było też mowy o tym, by kobieta z zasłoniętą twarzą rozmawiała na ulicy z obcymi. Zakir tak szczelnie wypełniał świat Emilii, że nigdy nie stanowiło to dla niej problemu. Ale teraz, choć była na Krymie zaledwie od dwunastu dni,

miała więcej rozmówców mężczyzn niż przez ostatnie dwanaście lat: lekarzy, żołnierzy w szpitalu, Williama, Russella, i tego wartownika. Chociaż wokół toczyła się wojna, Emilia czuła, że oddycha tu swobodniej. Po raz pierwszy pomyślała, że powrót do zamknięcia w haremie może nie okazać się dla niej łatwy.

Zacząła się przyglądać ludziom na ulicy. Szukała na ich twarzach śladów zwątpienia i desperacji albo chociaż strachu. Wydawało jej się, że widziała głównie upór. Jakby chcieli powiedzieć: „Nie oddamy nikomu naszego miasta. Nigdy”. Szli spokojnie za swoimi sprawami.

Emilia zmierzała w milczeniu ku centrum. Ulice były szerokie, dobrze wybrukowane, wysadzone kasztanami i pełne okazałych budynków. Wiedziała, że Sewastopol to główna siedziba floty czarnomorskiej i armii rosyjskiej na Krymie. Pośród zwykłych mieszkańców przewijali się też marynarze i żołnierze, którzy wykorzystywali akurat wolny od służby dzień. Emilia łowiła uchem strzępki rozmów – męskie głosy mówiące o wczorajszej potyczce, w której zginął Kola, a Sasza stracił wzrok. I kobiecy głos, posyłający Zinę do okopów z jedzeniem dla męża i syna. Śpiewna rosyjska mowa, której nie słyszała od tak dawna, wydała jej się nieoczekiwanie bliska, śpiewna i miła. Przyglądała się mijanym ludziom. Ich słowiańskie rysy, miękkie i łagodne, spowodowały, że poczuła się jak w domu. I ona, która żyła dawniej jako Polka i Turczynka, nieoczekiwanie dla siebie poczuła jakąś dziwną więź z tymi ludźmi, których powinna przecież uważać za wrogów.

W oddali zobaczyła targ. Skreśliła tam. Na rozległym placu ustawiono stragany, a na nich rozłożono świeże ryby, kartofle, chleb, rozmaite pieczone pierożki, kwas chlebowy, jabłka. Poczowała głód. Kupiła parę kruchych pierożków nadziewanych mięsem i serem, a do tego butelkę kwasu chlebowego.

– A nie wiecie, gdzie tu można przenocować? – zapytała starą kobietę w chuście, płacąc za zakupy.

– A co, dom wam ostrzelali, swołocze jedne? – Kobieta pokiwała głową. – Możecie pójść do Jewdoti, u niej wolne pokoje, bo męża jej zabiła bomba, a syn daleko.

I wytłumaczyła Emilii, jak trafić do domu Jewdoti, całkiem

niedaleko stąd. Emilia znalazła swoją kwaterę, ustaliła cenę, zostawiła koszt, obdarowując gospodynię zieleniną od brytyjskiego żurnalisty, i poszła oglądać miasto.

Doszła do reprezentacyjnego bulwaru nad morzem. Przeszła przez nienaruszony park pełen kwitnących drzew. Zeszła po schodach na nabrzeże. Bezchmurne niebo odbijało się w morzu czystym szafirowym błękitem. Portowa zatoka była spokojna i cicha, tylko u jej wejścia jeżyły się wystające z wody maszty zatopionych okrętów. Na linii horyzontu, na otwartym morzu majaczyły brytyjskie i francuskie statki, którym rosyjskie wraki zagroziły wejście do portu. „Jakie to piękne miasto, biało-zielone – przemknęło Emilii przez myśl. – Jak można rzucać bomby na kwitnące parki, na domy i cerkwie?” – zastanawiała się, rozglądając wokół siebie. Spodziewała się tu dramatycznych widoków zniszczeń, a zobaczyła normalne miejskie życie. Ale wobec tej normalności dochodzący z oddali łoskot karabinów był jeszcze bardziej przerażający.

Usiadła na ławce w parku i patrzyła na zatokę i martwy port. Zastanawiała się, czy jej relacja nie rozczaruje brytyjskiego dziennikarza. Wiedziała, że będzie musiała się także przedostać do południowej części, bliżej okopów i prawdziwych walk. Tam będzie zupełnie inaczej. Teraz mogła się jeszcze rozkoszować spokojem parkowej atmosfery. Zaczęła słuchać rozmowy dwóch dobrze ubranych kobiet, siedzących na sąsiedniej ławce.

– To wielki artysta, moja droga! – mówiła z egzaltacją jedna z nich. – Widzieliśmy już z Wołodią jego obrazy w Moskwie, a teraz, pomyśl tylko, przyjechał tu mimo niebezpieczeństwa. Uwielbiam go i podziwiam!

– A gdzie dokładnie jest ta wystawa? – zapytała druga. – Słyszałam o nim, oczywiście, ale obrazów na żywo jeszcze nie widziałam.

– Więc musisz tam iść, koniecznie! Otwierają wystawę dziś właśnie! Słyszałam, że nie ma drugiego takiego malarza w całej Europie. Jeśli chcesz, możemy wybrać się razem.

– Więc chodźmy. Tylko gdzie to jest?

– W salach wystawowych. Chodźmy!

Kobiety wstały i skierowały się ku głównemu bulwarowi. Po

krótkim namyśle Emilia poszła za nimi. Pomyślała, że warto zobaczyć to miejsce, może Russella zainteresuje wystawa malarska pod bombami. Przyspieszyła kroku, żeby kobiety nie zniknęły jej z oczu.

## Rozdział IX

### Wystawa pod bombami

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski przybył do Sewastopola jak wszyscy – drogą lądową. Starannie zapakowane obrazy przyjechały w skrzyniach na dachu jego powozu. Sam admirał Nachimow, bohater spod Synopy, pogromca tureckiej floty, który po śmierci Kornułowa dowodził obroną miasta, wyszedł na chwilę ze swojego sztabu w ziemiance, by powitać artystę. Uścisnął mu rękę i podziękował za przybycie. Przydzielił do pomocy uczynnego kapitana Wawiłowa. Kochany, drogi Paweł Stiepanowicz Nachimow... Iwan Ajwazowski zawsze wysoko go cenił. Pamiętał jego życzliwość jeszcze z czasów studiów w Petersburgu, kiedy dzisiejszy admirał zaczynał karierę we flocie bałtyckiej.

Kapitan Wawiłow wyszukał malarzowi wygodną kwaterę i pomógł przy wyładowaniu płócien. Rozkazał swoim żołnierzom rozwiesić obrazy w salach wystawowych. Kiedy wszystko było już gotowe, kapitan chciał koniecznie oprowadzić gościa po okolicy, niczym gospodarz prezentujący swój wzorowy folwark. Szczególną dumą napawał go system artyleryjsko-saperski. Zabrał więc Ajwazowskiego na linię frontu, w pobliże baterii, przy której uwijali się jak w ukropie artylerzyści, ładując i odpalając kolejne pociski. Huk i dym ledwie pozwoliły malarzowi oddychać. Potem kapitan pokazał mu labirynt podkopów i ziemianek, tłumacząc, że podziemne korytarze służą zarówno ochronie przed pociskami i odłamkami, jak i umieszczeniu pod ziemią min, które wysadzają oddziały atakującego nieprzyjaciela. Usilnie namawiał malarza na oddanie na płótnie i pokazanie publiczności tego inżynieryjnego osiągnięcia, jakim był labirynt podziemnych przejść pod Sewastopolem. Ale Iwan Konstantynowicz czuł się źle w ciasnych, wilgotnych i dusznych korytarzach. Miał wrażenie, że ziemia osypie się zaraz i pogrzebie ich żywcem. Przecież kochał przestrzeń, powietrze i otwarte morze. Dlatego mimo nalegań kapitana, który chciał go zabrać w najdalszy kraniec podkopu, poprosił o powrót do miasta i z ulgą wyszedł na świeże powietrze.

Nazajutrz odbyło się uroczyste otwarcie ekspozycji. Sale

wystawowe wypełniły się ludźmi. Sam admirał Nachimow znalazł czas, by przyjść na początek uroczystości.

– Szanowni mieszkańcy bohaterskiego Sewastopola, panowie oficerowie, żołnierze, marynarze! – przemówił admirał, otwierając wystawę. – Odwiedził nas wielki artysta, piewca urody morza i dawnych żaglowców. Na jego obrazach zobaczycie statki, na których wielu z nas pływało i zwyciężało wrogów Rosji. Dziś nadal służą naszej ojczyźnie: leżą na dnie morza i bronią przed wrogami dostępu do portu. I nie ustąpią przed obcą siłą, tak jak my nie ustąpimy. Iwanie Konstantynowiczu, dziękujemy! Za to, żeś uwiecznił na płótnach chwile wielkości i triumfów naszej floty. I za to, żeś tu do nas przyjechał, tak blisko prawdziwego frontu. Złóżcie uszanowanie wielkiemu artyście, bo on kocha morze i żaglowce tak samo jak my.

Zerwały się oklaski. Malarz uklonił się ze swym łagodnym, skromnym uśmiechem. Po chwili, na znak admirała, publiczność zaczęła krążyć między obrazami pośród gwaru rozmów i okrzyków.

Iwan Ajwazowski, w galowym mundurze marynarki wojennej, stał obok swego Przeglądu floty czarnomorskiej i obserwował publiczność. Zazwyczaj na jego wystawy przychodziły elity: arystokraci i trochę zamożnych mieszczan. Tu było inaczej. Oprócz kilkunastu dowódców i wyższych oficerów, oprócz garstki mieszkańców miasta przez sale wystawowe przewijał się tłum prostych żołnierzy i marynarzy. Iwan Konstantynowicz miał wrażenie, że niektórzy z nich przyszedli tu prosto z okopów. Zazwyczaj sale wystawowe pachniały perfumami eleganckich pań i panów. Teraz nad obrazami unosił się zapach potu, dymu i krwi. Ale malarzowi wydawało się, że nigdy dotąd widzowie nie odbierali jego prac tak szczerze jak ci zaprawieni w walce mężczyźni.

Iwan Konstantynowicz zobaczył, że zbliża się ku niemu młody oficer z ciemną, zadbaną brodą. W jego postawie i ruchach była ta sama powściągliwa elegancja, która cechowała zwykłą publiczność wystaw artystycznych. Malarz przyjrzał się jego twarzy; widział go chyba po raz pierwszy.

– Widywałem już pańskie płótna w Petersburgu i w Moskwie. Rzadko można obcować z tak wielkim talentem. To wspaniałe, że nie wahał się pan przyjechać tu i pokazać swoich obrazów prostym

żołnierzom. To poświęcenie godne podziwu. Hrabia Tołstoj – przedstawił się oficer, wyciągając rękę.

– Witam pana, hrabio. Moje poświęcenie jest niczym wobec tego, co przeżywają ci żołnierze. Widziałem już okopy z bliska. To raczej ludzie, którzy ryzykują życie dla ojczyzny, zasługują na podziw. Jak pan – odparł uprzejmie Ajwazowski, ściskając dłoń rozmówcy.

– Tak pan sądzi? Rozczaruję pana: jeśli przeżyję to oblężenie, wystąpię z wojska. Wolę żyć sztuką, niż patrzeć co dzień na śmierć. I na podłość ludzi. O, doktor Pirogow tu jest.

W tej chwili podszedł do nich naczelny lekarz Pirogow.

– Panowie także mają dosyć patrzenia na śmierć? Trzeba przyznać, zbiera obfite żniwo.

– Miło pana widzieć, doktorze.

– Przyjechał pan malować statki i światło na falach? A może wolałby pan pokazać ludziom, jak naprawdę wygląda ta wojna? Z bliska. Zapraszam do mojego szpitala. O ile można to nazwać szpitalem.

– Dziękuję za zaproszenie. Rzeczywiście nasza admiraliczka liczy na to, że namaluję jakiś „dokumentalny obraz”. Odwiedzę pana jutro ze szkicownikiem.

– Niech pan weźmie dużo czerwonej farby. Bardziej się panu przyda niż błękitna.

Ajwazowski uśmiechnął się ciepło.

– Szkicuję ołówkiem.

Młody Tołstoj popatrzył na Pirogowa.

– Sugeruje pan, że w pobliżu frontu nie ma miejsca dla sztuki?

– Wręcz przeciwnie. Sztuka inspiruje, czasem bardzo praktycznie.

Patrząc na pracę rzeźbiarza, wymyśliłem kiedyś użycie gipsu przy leczeniu złamanych kończyn.

– Leczenie ludzi też jest rodzajem sztuki – odrzekł Ajwazowski. – Ja tylko maluję ładne obrazki, pan przywraca ludzi do życia. To więcej niż sztuka.

I tak Iwan Konstantynowicz Ajwazowski gawędził z publicznością swojej wystawy, zawsze uprzejmy, elegancki, rozdający wokół nieśmiałe uśmiechy. Mężczyźni podchodzili do niego, by wyrazić swój podziw, i pozostawali pod urokiem jego skromności i talentu. Kobiet było

niewiele. Iwan zwrócił uwagę na jedną, jasnowłosą, ze srebrnym krzyżem na piersi. Stała przed obrazem zatytułowanym Bitwa pod Synopą i wpatrywała się weń szeroko otwartymi oczami. Iwan Konstantynowicz lubił ten obraz. Namalował go na gorąco, pod wrażeniem wiadomości o wspaniałym zwycięstwie. Czarną, bezksiężycową noc na morzu rozświetla tylko ogień płonących tureckich okrętów. Wydaje się, że zapala się od nich i woda, i niebo. Dominują dwa kolory: czerń nocy i ognista czerwień. Malarz widział, że to płótno zrobiło na kobiecie kolosalne wrażenie. Stała przed nim już od dłuższego czasu. Postanowił podejść do niej i zagadnąć.

– Wygląda pani na przejętą. Czy to płótno budzi w pani jakieś szczególne wspomnienia? – zapytał.

Spojrzała na niego zaskoczona i jakby przelękniona.

– Tak.

– Mam nadzieję, że nikt z pani bliskich nie zginął w tej bitwie?

– Nie – odpowiedziała z wahaniem. – Ale mój mąż... mój mąż zdecydował po niej, że wstąpi do wojska.

– Rozumiem. Więc jest teraz na froncie?

Kobieta skinęła głową. Jej sposób mówienia wskazywał, że mogła być mieszkanką zachodnich guberni. Iwan lubił Polaków, jego ojciec znał ich i dobrze wspominał.

– Musi być pani ciężko. Dla kobiety wojna to ciężka próba. Zresztą wyznam pani, że i ja nie czuję się zbyt dobrze z tą ciągłą strzelaniną w tle.

Popatrzyła na niego ze zrozumieniem. I z sympatią. Tak mu się przynajmniej wydawało. Miała miłą twarz i delikatne, szlachetne rysy. Chętnie by ją namalował.

– Mój mąż mówił, że wszyscy ludzie są jak fale jednego oceanu – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Więc dlaczego wciąż toczą się wojny na świecie, czemu jedni wciąż walczą z drugimi? Ciągle się nad tym zastanawiam.

– Fale jednego oceanu... ładnie powiedziane. Wojna nie dotyczy poszczególnych ludzi, tylko narodów. To naród wierzy w swoją wielkość i pragnie panować nad innymi – powiedział malarz. – Ale każda osoba, która patrzy na obraz z rozbitkiem uczepionym belki



statku, miotanym falami, widzi w nim człowieka, z którym może się utożsamiać, a nie jego narodowość. Nikt nie zapyta, czy to Rosjanin, Ormianin, Turek czy Polak, tylko czy człowiek przeżyje, czy dopłynie do brzegu. Widząc blask księżyca rozlany nocą na spokojnym morzu, w otoczeniu cyprysów i gór, każdy człowiek podziwia ten widok tak samo. A jeśli ma wrażliwą duszę, zobaczy w nim obecność boskiego światła, nieważne, czy nazywa tego Boga Allahem, Gospodinem, czy jeszcze inaczej.

– Pięknie pan mówi. Jak artysta. Myślałam podobnie jak pan. Tylko skąd na świecie ta ciągła gotowość do wojen?

– Nie wiem skąd. Też tego nie rozumiem. Ale wiem, że najlepsze, co możemy robić, to słać piękno boskiego stworzenia i czynić dobro. Dlatego próbuję robić jedno i drugie.

Iwan patrzył z łagodnym uśmiechem w błękitne oczy tej kobiety, która w jakiś dziwny sposób wydała mu się bliska. Sama, w tym tłumie obcych mężczyzn w mundurach, przypominała polny kwiat rosnący pośród kamieni. Iwan wiedział, że ci mężczyźni prosto z wystawy wrócą do swych okopów i będą dalej zabijać wrogów i ginąć. Ta kobieta kwestionująca sens wojny zdawała mu się po stokroć bliższa od nich.

– Była pani kiedyś w Teodozji? – zapytał.

– Teodozja? Dawno temu znałam kogoś o tym imieniu.

– Mam na myśli miasto, nie osobę.

– Nie, nie byłam tam nigdy.

– Jeśli będzie pani kiedyś w Teodozji, proszę mnie koniecznie odwiedzić. To ledwie parę godzin jazdy stąd, na wschodzie Półwyspu Krymskiego. Ludzie pani powiedzą, gdzie mieszkam.

## Rozdział X

### Pietia

Skończyłam szesnaście lat i zaczęłam uważniej przyglądać się sobie w lustrze. Moja twarz się zmieniała – stawałam się coraz bardziej podobna do mamy, ale kolor włosów i oczu miałam zupełnie inny: czarnobrzązowy, jak mocna kawa. Byłam już wzrostu mamy i mogłam patrzeć z góry na ciocię Nadire. Moje piersi urosły i przeżyły się pod batystową bielizną i jasnymi sukniami, które zaczęłam nosić jak dorosła kobieta, bo powyrastałam już z moich dziewczęcych sukienek do kolan. Ira coraz więcej uwagi poświęcała swojej ślubnej wyprawie i chciała ze mną rozmawiać głównie o tatarskich chłopcach i rozważać w nieskończoność, który z nich byłby najlepszym mężem. Siostry Ajwazowskie, zwłaszcza te starsze, pod czujnym okiem matki wchodziły w świat i debiutowały na balach i przyjęciach dla dorosłych. Zajmowały je głównie nowe suknie balowe i kapelusze. Bez ustanku paplały o tym, kto poprosił je do tańca na którym wieczorze tanecznym. Wujek Iwan odwiedzał nas chętnie, wciąż pojawiałam się regularnie w jego pracowni i uczyłam się od niego malarstwa, ale nie należałyśmy z mamą do najlepszego towarzystwa Teodozji, więc nie bywałyśmy na tych samych balach. Nie brakowało mi tego. Wiedziałam doskonale, że te wszystkie towarzyskie rytuały są dla moich przyjaciółek niczym innym jak tylko polowaniem na dobrą partię.

Dajdżan wyrósł, zmężniał, lecz nadal był tym samym Dajdżanem, który kochał konie i szybką jazdę po stepie. Nawet jeśli rzeczywiście czekał na wyhaftowane przeze mnie sakiewki i pantofle, nie przeszkadzało mu to bawić się wesoło w gronie tatarskich młodzieńców.

Ale Pietia... Pietia zmienił się najbardziej. Ukończył gimnazjum w Symferopolu z dobrym wynikiem i zamierzał rozpocząć studia w Petersburgu. Kiedy wrócił do nas na wakacje, prawie go nie poznałam. Ostatnio przestał przyjeżdżać do domu na niedziele, więc nie widziałam go od dawna. Nie tylko wyrósł i wysmukłał, nie tylko zaczął się golić i nosić ciemne męskie ubrania zamiast marynarskich koszulek, ale także w jego oczach pojawił się jakiś nowy zapał, determinacja, jakiej wcześniej nie spostrzegłam. W Symferopolu poznał nowych przyjaciół,

z którymi spotykał się na wspólne lektury i dyskusje. Jego matka załamywała ręce – marzyła o tym, by posłać syna do seminarium duchownego, by poszedł w ślady ojca i przejął kiedyś jego funkcję diakona, a może i został popem. Ale Pietia nie chciał o tym słyszeć. Gdy matka zaczęła go namawiać na studia religijne, krzyknął jej w twarz, że to stare przesady, na które nie ma miejsca w nowoczesnym świecie, że współczesna nauka umie wyjaśnić świat lepiej niż Pismo Święte. Praskowia załżała się łzami i zaczęła się żegnać.

Ten nowy Pietia pojawił się u nas w czerwcu, ze świadectwem ukończenia gimnazjum w kieszeni. Akurat malowałam w ogrodzie kwitnący krzew jaśminu. Miałam na sobie za duży fartuch malarski, cały poplamiony farbą. Wujek Iwan chciał go już wyrzucić, bo sprawił sobie nowy, ale uprosiłam, by mi go dał; zgodził się i mogłam z dumą malować w fartuchu mistrza.

– Masza! Widzę, że w naszej Teodozji nowa moda! Nie widziałem takich kreacji w Symferopolu! – zawołał Pietia od progu.

Powinnam machnąć ręką i malować dalej. Ale jego niski, męski głos, świeżo nabyta pewność siebie i widoczny w słońcu jasny zarost sprawiły, że się zarumieniłam. Odłożyłam pędzel, zdjęłam fartuch i rzuciłam go na gałąź jabłoni.

– No, teraz dużo lepiej – powiedział Pietia, lustrując moją smukłą kibić i kształty widoczne w „dorosłej” sukience.

– Witaj, Pietia. Napijesz się herbaty? – zaproponowałam, żeby pokryć zmieszanie tym niezawodnym pytaniem.

– Nie ma nic lepszego niż dobry rosyjski czaj! – wykrzyknął. – Inne rzeczy trzeba pozmieniać, ale czaj musi zostać. Tak, napiję się chętnie, jeśli i ty wypijesz ze mną.

Poszliśmy na werandę, wzięłam porcelanowy czajniczek, wsypałam trzy łyżeczki najlepszej herbaty, załżałam wrzątkiem i umieściłam na szczycie samowara. Przygotowałam dwie najładniejsze filiżanki, te z podobiznami cara, położyłam kostki cukru na spodeczkach, a kiedy esencja naciągnęła, wlałam trochę i dopełniłam wrzątkiem. Pietia rozsiadł się na ławce pod ścianą werandy, tak że mógł patrzeć i w lewo na morze, i w prawo na ogród. Ale kiedy postawiłam przed nim filiżankę i usiadłam naprzeciwko niego, patrzył tylko na mnie.

– Ech, Masza, żyjesz tu sobie spokojnie, malujesz kwiatki i nie wiesz nawet, co się dzieje w wielkim świecie!

– Ten wielki świat to Symferopol?

– Nie chodzi mi o Symferopol, tylko o Petersburg, o Moskwę, o całą Rosję!

– Więc co takiego się tam dzieje? Na pewno mi powiesz, Pietia.

– Powiem ci: ferment, ferment! Stary świat się trzęsie w posadach, nadchodzi nowy, lepszy i sprawiedliwszy!

– A co jest niesprawiedliwego w naszym świecie?

– Prawie wszystko! Ten świat jest skostniały, przestarzały, skuty okowami tradycji jak łańcuchem. Nowi ludzie, tacy jak my, muszą zerwać ten łańcuch.

– Dlaczego uważasz, że ten świat trzeba zmienić? – zapytałam.

Oczy mu błyszczały, wyglądał pięknie, jak jakiś młody heros gotowy do wielkich czynów.

– Despotyzm! Masza, despotyzm i zniewolenie. W Rosji nie można swobodnie oddychać. Potrzebujemy tu więcej wolności! – powiedział i pstryknął palcami w podobiznę cara na swojej filizance.

Słuchałam go jak zaczarowana. Nikt dotąd nie mówił do mnie w ten sposób. Owszem, wielokrotnie słyszałam rozmowy dorosłych na naszej werandzie i w ogrodzie wujka Iwana o reformach Aleksandra II, o uwolnieniu chłopów, o dyskusjach i sporach w prasie literackiej, ale puszczałam je mimo uszu, nie czułam, że mnie dotyczą. A Pietia był moim rówieśnikiem i te nowe idee zdawały się dla niego tak ważne, jakby od nich zależało jego życie.

Wywody Pieti zawróciły mi w głowie. Otworzył przede mną zupełnie nowe perspektywy. Poczulałam się przy nim prowincjonalną gąską, która wprawdzie maluje i studiuje sztukę pod okiem prawdziwego mistrza, ale nie ma pojęcia o tym, czym żyje naród, a przynajmniej jego myśląca część. Zapal Pieti okazał się zaraźliwy. Wcześniej nie zastanawiałam się szczególnie nad rzeczywistością, która mnie otaczała. Żyłam wśród ludzi kilku narodowości, wyznających różne religie. Jedni byli bogaci, inni biedni, jedni wykształceni i bywali w świecie, jak wujek Iwan, inni skromni i przywiązani do swoich tradycji jak Agabej. Czułam, że ja z mamą i ciotką Nadire znajdujemy się gdzieś pośrodku, i to

miejsce mi odpowiadało. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że system, w którym żyjemy, należy zmienić. Teraz Pietia przekonywał mnie, że nasz świat jest anachroniczny i niesprawiedliwy. Że Rosję trzeba zreformować, wprowadzić konstytucję i ustrój republikański, że samodzierżawie jest przeżytkiem, który nie pozwala Rosji stanąć na nogi i się rozwijać.

Chłonełam jego słowa jak sucha trawa letni deszcz. Pietia rozbudził mój umysł i zaczął mnie uczyć krytycznego myślenia. W czasie tej pierwszej rozmowy i wielu kolejnych odtwarzał słynne spory okcydentalistów, którzy chcieli modernizować Rosję na wzór Europy Zachodniej, ze słowianofilami wierzącymi w niepowtarzalność rosyjskiej drogi i w moralne walory prawosławnego ludu. I pytał o moje zdanie.

Ponieważ nie chodziłam do cerkwi, tylko do katolickiego kościoła, a czasem do świątyni ormiańskiej, prawosławie nie było mi szczególnie bliskie. Dlatego skłaniałam się raczej ku okcydentalistom, zwanym też zapadnikami. Pietia, widząc moje zainteresowanie, przychodził do nas prawie codziennie, przynosił mi i czytał artykuły ze starych numerów pism literackich „Sowriemiennika” i „Kołokoła”. Zachwycił się Czernyszewskim, podziwiał Bielińskiego, cytował Hercena. Mówił, że wobec cenzury tłumiącej swobodny przepływ myśli to pisarze i krytycy literaccy stali się prawdziwymi przywódcami narodu, podsuwającymi mu nowe myśli i idee. Dlatego zamierzał zostać pisarzem. Albo krytykiem literackim, jeszcze nie był pewien. W każdym razie zamierzał studiować literaturę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Petersburskiego. Miał tam wkrótce pojechać, żeby się zapisać na wydział, znaleźć stancję i trochę się rozejrzeć w mieście. Tymczasem rozgrzewał się, robiąc mi wykłady z historii rosyjskiej myśli polityczno-społecznej.

– Rosja już wkroczyła w rewolucyjny okres swojego istnienia – mówił z zapalem. – Dokonanie prawdziwej rewolucji jest tylko kwestią czasu.

– Pietia, czy właśnie tego uczyli cię w gimnazjum w Symferopolu?

– Oczywiście, że nie, głuptasie. – Roześmiał się. – Takich rzeczy w szkole jeszcze nie uczą. Ale mieliśmy wyjątkowego nauczyciela.

Studiował w Petersburgu i należał do jakiegoś tajnego kółka, za co go aresztowali i skazali na katorgę. Spędził rok na Syberii, ale miał ustosunkowaną ciotkę, która wybłagała dla niego zamianę kary na zesłanie na południe.

– Więc uczył was za karę?

– W ciągu dnia, oficjalnie: tak. Ale wieczorami i w niedziele zapraszał wybranych uczniów do siebie, by z nami czytać i dyskutować o tekstach, które, jak mówił, bardziej nam się przydadzą niż ta sztampa z podręczników. Więc czytaliśmy pisma Czernyszewskiego, Bielińskiego, Hercena, a nawet Bakunina.

Byłam tak zafascynowana tym nowo odkrytym światem wielkich idei, że prawie przestałam malować. Kiedy poszłam na umówioną lekcję całkiem nieobecna duchem, wujek Iwan zauważył mój stan, popatrzył na mnie wyrozumiale i sam zaproponował, żebyśmy zrobili sobie małe wakacje.

Mogłam więc dzielić swój czas między pomaganie mamie w pensjonacie i rozmowy z Pietią.

– Pietia, rozumiem, że rewolucjoniści chcą zmienić obecny porządek. Ale co ze sztuką? Czy w nowym świecie będzie miejsce dla sztuki? – zapytałam go kiedyś podczas spaceru za miastem.

Popatrzył na mnie poważnie i zastanawiał się przez chwilę.

– Tak. Ale sztuka ma obowiązek mówienia prawdy o świecie, zwłaszcza brutalnej prawdy – odpowiedział.

– Dobra sztuka jest prawdziwa – odparłam. – A piękno? Czy dla rewolucji liczy się samo piękno?

Pietia się skrzywił.

– Nie lubimy samego estetyzowania, bo jest puste – rzucił pogardliwie.

To mnie trochę ukłuło. Czy pejzaże wujka Iwana też nazwałby pustym estetyzowaniem? I moje obrazki?

– Sztuka musi być użyteczna, żeby była coś warta. Musi pokazywać sprawy ważne społecznie, a nie tylko ładne kwiatki i motylki.

Zrozumiałam aluzję, bo na moim ostatnim, nieukończonym obrazie, przedstawiającym krzew jaśminu, fruwały dwa wielobarwne

motyle (miały przełamać monotonię biało kwitnących kwiatów). Było mi trochę przykro, bo uważałam ten obraz za udany.

– To co powinnam malować? – zastanowiłam się głośno.

– niesprawiedliwość. Nędzę. Uciemienie. Wyzysk. Wszystko to, co jest złe i co trzeba zmienić, żeby ludzie zrozumieli konieczność rewolucji.

Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Popatrzyłam na niego bezradnie. A wtedy Pietia pochylił się nade mną i szybko, trochę niezdarnie, pocałował mnie w usta.

## Rozdział XI

### Wiadomości

Trzeciego dnia wieczorem Emilia z ulgą opuściła miasto. Wyszła przed zmrokiem, mówiąc wartownikowi, że wybiera się do swojego podmiejskiego ogrodu po warzywa na kolację. Pod powiekami miała mnóstwo okropnych obrazów z ostatnich dwóch dni, które przesłoniły, niestety, piękne morskie pejzaże uwiecznione przez Ajwazowskiego. Marzyła tylko o jednym – by znów znaleźć się w ramionach Zakira i zapomnieć o toczącej się wokół wojnie. Czowała, że spłaciła swój dług wobec dziennikarza. Russell czekał na nią w umówionym miejscu. Emilia zeszła z drogi i zanurzyła się w kępie drzew. Zobaczyła wóz, ten sam, którym tu przyjechała. Russell wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej wejść. W oczach miał radość i ulgę.

– Dzięki Bogu, jest pani cała i zdrowa. Nie zabili mi pani – powiedział. – I jak tam było?

Emilia usiadła. Wóz ruszył powoli w powrotną drogę.

– Pięknie. I strasznie zarazem. Wszystko panu opowiem. Ale może jutro?

– Oczywiście, zwłaszcza że mam jeszcze jednego słuchacza.

– Dowódcy chcą mnie wysłuchać?

– Nie, oni mnie nie cierpią i unikają jak zarazy. Ale pojawił się pewien Amerykanin, korespondent dziennika z Nowego Jorku. Podróżuje po Rosji, spisuje wrażenia, to i zajechał na front. Bardzo chciałby poznać pani relację.

– Nie obawia się pan konkurencji?

– Przez ocean? Nie. Moje relacje są ważne w moim kraju, bo walczą tu tysiące Brytyjczyków. Podobno moje artykuły w „The Times” obaliły rząd. – Roześmiał się. – A on spisuje opowieści z końca świata, które Amerykanów nie muszą szczególnie obchodzić.

Emilia była zmęczona emocjami i napięciem ostatnich dni, więc szybko zasnęła kołysana powolnym rytmem.

Dojechali pod szpital jeszcze przed świtem. Emilia położyła się spać. Umówiła się z Russellem w gospodzie w południe.

Idąc na spotkanie, zobaczyła przelotnie Nadire. Błądą jak papier.



Ale nie miała czasu z nią porozmawiać. Zbiegła ścieżką do portu.

W gospodzie już na nią czekali. Russell wybrał stół pod oknem. Obok niego siedział chudy, piegowaty mężczyzna, z rudą czupryną spadającą na oczy. Miał bladą skórę, trochę zaczerwienioną od słońca, i druczane okulary na nosie. Na widok Emilii obaj wstali i uścisnęli jej rękę na powitanie.

– Fred O’Brian. Cudownie, że dała się pani namówić Russellowi. Będziemy mieć niezwykle materiał! – wykrzyknął rudzielec entuzjastycznie.

– O, nie wiedziałam, że Amerykanie mówią też po francusku. Myślałam, że biedny pan Russell będzie musiał panu tłumaczyć – powiedziała Emilia, słysząc bezbłędne francuskie powitanie z ust rudzielca.

– Urodziłem się w Quebecu, w Kanadzie. Moja matka ma francuskie korzenie. Ale mój ojciec jest Irlandczykiem. A teraz mieszkam w Nowym Jorku.

– Miałam kiedyś przyjaciółkę, która wybierała się do Ameryki, wie pan? – powiedziała Emilia, siadając przy stole. – Bardzo jestem ciekawa, co u niej. Ale nie słyszałam o niej od lat.

– Nowy Świat to wspaniałe miejsce, zwłaszcza dla silnych i odważnych ludzi. Jeśli była odważna, na pewno sobie poradziła – skwitował.

Emilia uśmiechnęła się na wspomnienie Malwiny. O tak, była dość odważna, by uciec z klasztoru, przerwać nowicjat i wbrew woli rodziców połączyć się ze swym ukochanym.

Siedzieli przy stole. Gospodyni podała im gorącą herbatę w szklankach z ozdobnymi uchwytami, takich samych jak poprzednio. Emilia rozejrzała się bezwiednie, jakby spodziewała się zastać tu Williama.

– Co, szuka pani lorda Gainfula? – Russell się domyślił. – Dziwna rzecz, zaginął w czasie pani nieobecności.

– Jak to: zaginął?

– Nikt nie wie, co się stało. Widziano go rankiem i w południe, ale wieczorem już nie.

– Niemożliwe. Może sprawdza aprowizację?

– Nigdzie go nie ma. Podobno dowódcy zastanawiają się, czy przydzielić już jego obowiązki komuś innemu.

– Ech, na pewno się znajdzie. Zdarzało mu się tak zniknąć już wcześniej – rzekła Emilia lekko i przestała o nim myśleć.

– No dobrze, ale wracajmy do Sewastopola. – Russell przeszedł do sedna sprawy. – Co pani zobaczyła? Jacy są ci Rosjanie?

Emilia się zastanawiała. Jeśli liczył na opis odrażającego, okrutnego wroga, to może być zawiedziony.

– Są zwyczajni, jak pan i ja – odpowiedziała. – Chcą żyć normalnie i przetrwać tę wojnę. Ale kochają cara i swoje miasto. Nie zamierzają się poddać.

– Co panią najbardziej uderzyło?

– Pierwszego dnia widziałam coś niezwykłego: wystawę świętego malarstwa. Wyobraźcie sobie, panowie, że słynny malarz marynista przyjechał do Sewastopola ze swymi obrazami specjalnie po to, by podnieść na duchu walczących żołnierzy i marynarzy. Przychodzili na wystawę prosto po służbie w okopach, niemalże z krwią na rękach. I patrzyli na okręty, widoczne już tylko na tych płótnach. Oglądali dawne triumfy swojej floty. I mieli łzy w oczach. To było wspaniałe widzieć, jak ci prości żołnierze reagowali na wielką sztukę. A obrazy Ajwazowskiego są naprawdę niezwykłe. Ten człowiek ma duszę poety: woda dosłownie wylewa się z jego płócien, wydaje się, że jak dotkniesz ich ręką, to zamoczysz palce. Nigdy nie widziałam tak pięknych dzieł.

– Tak pani słucham i zastanawiam się, po czyjej jest pani stronie w tej wojnie – zdumiał się O'Brian.

Emilia popatrzyła mu w oczy.

– Jestem po stronie pokoju – odparła. – Nie wiem, jak panowie, ale ja uważam wojnę za najgłupszą i najgorszą z rzeczy, którymi zajmują się mężczyźni.

– To co pani tu robi?

– Przyjechałam do męża.

– Szczęściarz z niego – skwitował O'Brian.

– Pani Emilio, to wszystko pięknie. Ale moi czytelnicy nie będą teraz czytać o uzdolnionych rosyjskich malarzach. Jest wojna. Czy odniosła pani wrażenie, że Rosjanie mają dość i zechcą się poddać?

– Zupełnie nie. Przeciwnie, mają w sobie niezwykłego ducha. Poza tym bronią swojego miasta, co daje im pewną siłę moralną.

– Była pani w pobliżu bastionów?

– Podeszłam tak blisko, jak się dało.

– Co pani widziała?

– Okopy umocnione workami z piaskiem. System podziemnych korytarzy i ziemianek. Widać, że mieli dość czasu, by się porządnie okopać i ufortyfikować. Widziałam częściowo naruszony przez naszą artylerię bastion, który Rosjanie rankiem odbudowali i umocnili.

W okopach mają kapliczki z ikonami, przed którymi palą świece. Jest tam obecny pop, który ich błogosławi, rozgrzesza i dodaje ducha.

I siostry miłosierdzia, które opiekują się rannymi w szpitalu. Lekarze też pracują z oddaniem, a chorych przed operacją nie poją ginem, tylko znieczulają jakimś chloroformem, choć nie wiem dokładnie, co to takiego. Podobno ranni zasypiają po tym i niczego nie czują. A poza tym, jak zawsze: śmierć, krew, krzyki i ból.

– Jak się pani udało podejść tak blisko działań frontowych?

– Wielu żołnierzy i marynarzy walczących w okopach ma w Sewastopolu rodziny. Ich żony przynoszą im świeżą wodę i domowe jedzenie. Wzięłam wiadro z wodą i poszłam razem z innymi kobietami.

– I co, częstowała pani wodą rosyjskich żołnierzy?

– Taki miałam zamiar. Ale wyobraźcie sobie panowie, że kiedy podeszłam do linii okopów, usłyszałam oficerów rozmawiających po polsku!

– Myślałem, że Polacy są po naszej stronie, przeciwko Rosji.

– To nie takie proste. Wielu tak. Ale też wielu Polaków służy w rosyjskiej armii. Często pod przymusem.

– I cóż mówili ci Polacy, którym dała pani wodę?

– Dziwna rzecz. Odniosłam wrażenie, że byli sercem po stronie rosyjskiej. Mój przyjaciel ze Stambułu jest przekonany, że gdyby dać im szansę, to Polacy masowo dezercerowaliby z rosyjskiej armii i walczyli przeciw carowi. Ale ci oficerowie wcale nie wydawali się do tego skłonni. Przeciwnie, byli zaprzyjaźnieni z rosyjskimi kolegami.

Dlaczego mieliby nagle do nich strzelać?

– Przecież to okupanci ich ojczyzny.

– Opowiem panom historię, którą usłyszałam od jednego z tych oficerów. Otóż kiedy na początku marca zmarł nagle car Mikołaj, wiadomość o tym dotarła najpierw do dowództwa naszych wojsk, z racji lepszej sieci telegraficznej. Głównodowodzący Omer Pasza postanowił powiadomić o tym Rosjan, więc wysłał jednego z oficerów, Polaka w służbie tureckiej, hrabiego Kościelskiego. Gdy hrabia na czele swego oddziału spotkał oddział rosyjski, nawiązał rozmowę i obie strony dały sobie słowo honoru, że nie będą atakować. Dowódca rosyjski odebrał wiadomość, podziękował, a wtedy Kościelski spytał go, z kim ma przyjemność. „Generał książę Radziwiłł” – usłyszał. Obaj panowie uświadomili sobie, że choć dziś walczą po przeciwnych stronach frontu, to ledwie trzy lata wcześniej w Paryżu jedli wspólnie kolację przy jednym stole u hrabiego Ksawerego Branickiego. W tym spotkaniu na ośmiu uczestników brało udział ośmiu Polaków: czterech po stronie osmańskiej i czterech po rosyjskiej.

– Rzeczywiście, dziwne są losy pani narodu – zauważył w zamyśleniu O’Brian.

Emilia odpowiedziała jeszcze na kilka pytań dziennikarzy, opisując szczegółowo topografię miasta, stopień zniszczeń i relacjonując kilka zasłyszanych rozmów. Na koniec Russell podziękował jej serdecznie i obiecał, że wspomni o jej wyczynie w swojej relacji, ale O’Brian wyraźnie nie chciał jeszcze kończyć rozmowy z Emilią.

– Wie pani, znam pewną polską parę z Rosji. Mieszkają niedaleko mnie w Nowym Jorku. To bardzo mili i porządni ludzie.

– Wielu Polaków szuka swojego miejsca na obcej ziemi – rzekła Emilia. – To lepsze niż skończyć na Sybirze czy w carskim wojsku.

– U nas każdy jest przybyszem albo potomkiem przybyszów. To normalne. Dzięki temu trafiają do nas najdzielniejsi lub najbardziej zdesperowani ludzie. Jak ten mój znajomy Polak choćby... Da pani wiarę, że uciekł pieszo z zesłania w głąb Rosji? Szedł miesiącami na zachód, aż wrócił do domu, do swojej ukochanej.

Emilia popatrzyła na niego uważnie.

– To dziwne. Znam bardzo podobną historię. Jak się nazywa ten pana znajomy?

– John. John Pol.

Emilia poczuła przyspieszone pulsowanie krwi.

Czy to możliwe, że January Polesiński stał się w Ameryce Johnem Polem?

– A jego żona? Jak ma na imię jego żona?

– Ma piękne imię: Malwina.

Emilia roześmiała się serdecznie. To oni! To muszą być oni.

Wreszcie, po trzynastu latach od wspólnej ucieczki z klasztoru, Emilia trafiła na trop swojej przyjaciółki Malwiny! Miała ochotę uściskać Freda O'Briana.

– Czy jest drobna, ma niebieskie oczy i kasztanowe loki? –  
upewniała się jeszcze.

– Skąd pani wie? Może była drobna, ale urodziła dwóch synów i trochę nabrała kształtów. Ale tak, ma długie, ciemne włosy. To jest ta pani przyjaciółka sprzed lat?

– Chyba tak. Nawet pan nie wie, ile to dla mnie znaczy.

– No cóż, może się jakoś odwdzięczę za pani opowieść. Może jej coś przekazać? Chociaż uprzedzam panią, że planuję zostać w Europie jeszcze przez rok.

– Nie zna pan ich adresu, żebym mogła wysłać list?

– Wiem, w którym domu mieszkają, ale adresu nie pamiętam.

Będzie bezpieczniej, jeśli zaniosę im list osobiście. Ale dopiero za rok.

– Chyba nie mam wyboru. Nie widziałam jej od trzynastu lat, więc kolejny rok to nie tak dużo.

Emilia pożegnała się z Russellem, poprosiła O'Briana, by został, i kupiła od właściciela gospody papier, pióro i kałamarz. Usiała przy oknie i czując radosne pulsowanie krwi, zaczęła pisać:

Bałakława, maj 1855 roku

Moja Najdroższa Malwino!

Niezwykły przypadek zrządził, że siedzę teraz w ponurej gospodzie w Bałakławie, na tyłach frontu wojny krymskiej, a obok mnie siedzi Twój amerykański znajomy, niejaki Fred O'Brian, który zaoferował się dostarczyć Ci ten list. Matka Teodozja powiedziałaaby pewnie, że to

dzieło Opatrzności.

Kochana Malwino, nie wiesz nawet, jak mnie ucieszył ten trop, który – mam nadzieję – pozwoli nam nawiązać kontakt. Przez te minione lata myślałam o Tobie często i wielokrotnie żałowałam, że nie ma Cię przy mnie. Martwiłam się, jak też udało się Twoje spotkanie z Januarem i jak potoczyły się Wasze losy. I proszę, słyszę oto od Twojego znajomego, że nie tylko połączyłaś się z narzeczonym, nie tylko dotarliście do Ameryki, ale też macie dwóch synów i własny dom w Nowym Jorku. Cieszę się bardzo, że los był dla Ciebie łaskawy. Opisz mi, proszę, wszystko ze szczegółami i wyślij list na turecki adres, który podaję na końcu.

Dlaczego turecki? To długa historia. Jeśli jesteś ciekawa, co działo się ze mną przez te lata, muszę się cofnąć do samego początku swojej podróży z Selimem...

I tak Emilia, prosząc co jakiś czas amerykańskiego dziennikarza o cierpliwość, przywoływała obrazy z kilkunastu ostatnich lat swego życia, by przelać je na papier. Zobaczyła przed oczami swoją wyprawę z Selimem, pierwszą podróż statkiem, uroczą Jacqueline de Verneille, fałszywe zaloty Williama, napad na stepie, Zakira – niespodziewanego wybawcę, turecki harem, Adampol Ludwika i Michała, swój ślub, słodkie życie z Zakirem, narodziny syna i wiele, wiele szczęśliwych chwil. Zapisała drobnym pismem kilkanaście arkuszy papieru. Kiedy skończyła tę relację, poczuła się tak, jakby wróciła z dalekiej podróży.

O'Brian patrzył na nią z podziwem.

– Pani powinna pisywać do gazet! – powiedział, gdy postawiła ostatnią kropkę.

– Błagam, niech pan nie zapomni. Rok to niezwykle długo. A mnie tak bardzo na tym zależy.

– Nie zapomnę, obiecuję. Złożę im wizytę zaraz po powrocie do domu.

Kiedy Emilia w radosnym nastroju wróciła na górę do szpitala, przed jednym z namiotów natknęła się na Nadire, która wciąż była trupio

blada. Emilia zauważyła łzy w jej oczach, z trudem powstrzymywane.

– Co się stało? – zapytała.

Nadire milczała. Dwie duże krople spłynęły po jej policzkach.

– Co ci jest, Nadire?

– Wybacz, Emilio... to cholera – wyszeptała ledwo słyszalnym głosem.

– Nie wyglądasz na chorą na cholere. Jesteś trochę blada, ale nie sina – stwierdziła Emilia, która z praktyki szpitalnej знаła doskonale objawy cholery.

– Ja nie. Zakir...

Emilia poczuła nagły skurcz w sercu. Tylko nie Zakir! Nie może pozwolić mu umrzeć. Wielu żołnierzy umierało na cholere, ale przecież niektórzy zdrowieli. Właśnie po to tu przyjechała, żeby go uratować w chorobie. Któż zająłby się nim lepiej?

– Gdzie on jest, szybko! – powiedziała, zdecydowana działać natychmiast. Znała dobrze remedia, które dawały szansę na wyleczenie, a których nie stosowano powszechnie w leczeniu wszystkich chorych. Ale Nadire wskazała głową odległe wzgórze, na którym mieścił się cmentarz.

Emilię przeszył nagły skurcz bólu. Silny i niespodziewany jak grom.

Upadła na wydeptaną ścieżkę przed namiotem. Przestała czuć.

## Rozdział XII

### Kolos na glinianych nogach

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski z ulgą powrócił z Sewastopola do swojej ukochanej Teodozji. Zbliżał się czas największych upałów, kiedy bliskość morza okazywała się prawdziwym błogosławieństwem. Co za szczęście, że mógł wybudować dom tuż przy plaży! Wystarczyło o świcie z niego wyjść, przejść przez nadmorską aleję wysadzaną topolami i już można było bosymi stopami poczuć drobniutkie kamyczki i łaskotanie szklistej, chłodnej wody. Iwan wciąż lubił poranne kąpiele i nie odmawiał sobie tej przyjemności. Wstawał wcześnie, przed żoną, i wychodził na spotkanie z morzem. Pozdrawiali go rybacy wypływający na połów i piekarz, który rozwoził świeże bułki i rogaliki do cukierni i pensjonatów.

Iwan był przekonany, że żadne morze nie dorównuje Morzu Czarnemu pod względem urody wybrzeża i przyjemności kąpieli. Malownicze skały i łagodne wzgórza wychylały się z krystalicznej wody pośród bujnej zieleni, kwiatów i ziół. Wysokie zasolenie sprawiało, że łatwo było utrzymywać się na powierzchni, a czystość błękitnej toni dawała niezrównaną przyjemność w kontakcie z rozgrzaną skórą. Co rano, stojąc nad brzegiem, Iwan zrzucał płócienną koszulę i spodnie i w samej bieliźnie wchodził do wody. Brzeg był w tym miejscu płaski, łagodny, więc trzeba było przejść kilkanaście metrów. A potem wystarczyło się odbić i rzucić gibkim ciałem w cichą toń wody, grzanej gorącym słońcem krymskiego lata. I płynąć energicznie, szybko, chlapiąc dookoła tysiącem słonych kropli.

Daleko od brzegu zawsze się zatrzymywał i patrzył z wody na panoramę rodzinnego miasta, przycupniętego u stóp masywu górskiego Tepe-Oba. Łagodne południowe stoki, wystawione ku morzu, porastała bujna winorośl, dająca przepyszne krymskie wina. A niżej, na niewielkich pagórkach, widział ślady starożytnej przeszłości tego miejsca – kamienne kolumny greckich osadników oraz mury obronne i baszty wzniesione przez Genuńczyków, którzy nazwali ten port Kaffą. Patrząc z tej perspektywy na swoje miasto, Iwan zawsze postanawiał zająć się kiedyś badaniem jego historii – w czasie spacerów po



wzgórzach napotykał nieraz dawne greckie, bizantyjskie i tatarskie płyty kamienne i nagrobki.

Iwan Ajwazowski wracał znad morza zmęczony, ale odprężony i szczęśliwy. Gotowy na spotkanie z żoną i na nowy dzień pracy. Przy śniadaniu, które o tej porze jedli razem z Julią na tarasie, przeglądał poranne gazety i śledził z uwagą doniesienia z frontu. To czasem mąciło jego nastrój, ponieważ wieści nie były dobre. Ku zaskoczeniu mnóstwa obywateli, przekonanych o niezwyciężonej sile swojej ojczyzny, Rosja przegrywała wojnę i z każdym dniem zbliżała się do klęski. Wielu przeżyło szok. Co więcej, pokazanie słabości armii, głównego atrybutu wielkiego mocarstwa, stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo dla systemu. Iwan był zawsze lojalnym poddanym i nigdy nie pozwalał sobie na najmniejsze słowo krytyki wobec oficjalnej polityki carskiego dworu, ale docierały do niego głosy rozczarowanych i niezadowolonych. „Nieudolne samowładztwo przestaje być legalne” – mówiono na przykład i brzmiało to groźnie, jak gdyby wraz z poniesioną klęską monarcha absolutny, idealny samowładca, tracił uzasadnienie swej władzy.

Sewastopol bronił się jeszcze przez kilka tygodni. Dopiero we wrześniu, po paru krwawych szturmach, które pozostawiły na przedpolach miasta tysiące zabitych, dowódcy obrony otrzymali ze stolicy rozkaz o poddaniu miasta. Mało kto rozumiał, czemu tak zdecydowano, po blisko roku ciężkich walk, w których życie oddało tak wielu żołnierzy i mieszkańców. Ale przecież rozkazy nie są po to, by je podważać. Dlatego ostatnim aktem obrony była organizacja ewakuacji – zbudowany pośpiesznie most pontonowy, przerzucony przez zatokę na północ, pozwolił pozostałym przy życiu umęczonym żołnierzom i mieszkańcom opuścić miasto i udać się na bezpieczną północ. Okupanci zastali za murami tylko zgliszcza, ruiny i ani żywego ducha. I choć wojna toczyła się jeszcze przez kilka kolejnych miesięcy, to poddanie Sewastopola wyznaczyło jej rzeczywisty kres. A w marcu zwycięzcy i pokonani zasiedli do stołu rokowań w Paryżu i ustalili warunki pokoju, w tym zakaz utrzymywania floty wojennej i morskich baz wojskowych na Morzu Czarnym dla Rosji i Turcji. Traktat zatwierdził więc klęskę Rosji i zatrzymał jej pochód na południe.

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski odetchnął, gdy podpisano traktat paryski i obce wojska definitywnie opuściły Krym. Wprawdzie jego Teodozja została nietknięta, ale w czasie działań wojennych dało się słyszeć odgłosy wystrzałów i wybuchów armatnich, a przepływające na horyzoncie angielskie i francuskie okręty parowe budziły lęk – nikt nie mógł mieć pewności, czy nie przybiją do portu i nie wysadzą tu swoich żołnierzy. Kiedy więc ogłoszono pokój, Iwan miał ochotę otworzyć butelkę szampana, choć jednocześnie, jak wszystkim, towarzyszyło mu poczucie smutku, żalu i upokorzenia. Admirałowie odpowiedzialni za obronę Sewastopola zginęli – nie tylko Kornilow, lecz także Paweł Stiepanowicz Nachimow, gdy próbował odeprzeć ostatni szturm Francuzów. Na sewastopolskim cmentarzu w zbiorowych mogiłach pozostały setki tysięcy bezimiennych ciał.

A kiedy nieprzyjacielskie statki opuściły wody Morza Czarnego, Krym znów stał się ulubionym miejscem wypoczynku rosyjskich elit, a gościnny dom Iwana Konstantynowicza znów przyciągał licznych przyjaciół: malarzy, poetów, wojskowych i wysokich urzędników z północy. Jedni przyjeżdżali z czystej przyjaźni i sympatii dla gospodarza, innym imponowała znajomość z podziwianym artystą, a wszyscy po prostu uwielbiali krymską riwierę; dość, że gości nigdy nie brakowało. Wieczorami obszerny salon, obity oliwkowozielonym jedwabiem, udekorowany nowymi płótnami artysty, rozbrzmiewał muzyką fortepianu i skrzypiec, Julia czarowała gości modnymi toaletami i uśmiechami zza wachlarza, a towarzystwo bawiło się, chłonąc atmosferę sztuki przy kawie, koniaku i wyśmienitych tortach, z których słynęła Teodozja. Ale w ciągu dnia, kiedy goście zasiadali do późnego śniadania na obszernym tarasie i raczyli się niespiesznie rogalikami z masłem i konfiturami, rozmowa nieuchronnie schodziła na temat powszechnego poczucia klęski, a nawet wstydu z powodu porażki.

Któregoś poranka wśród zgromadzonych przy takim śniadaniu gości siedział urlopowany oficer, który przeżył obronę Sewastopola za murami miasta i z tej racji był otaczany szczególnym poważaniem. Wszyscy patrzyli z uszanowaniem na medale zdobiące jego pierś, cenili relacje naocznego świadka, choć nieco męczyło to, że nie potrafił mówić o niczym innym.

– Proszę państwa, jak mieliśmy wygrać tę wojnę, skoro nasze karabiny strzelały na odległość trzystu kroków, a ich na tysiąc dwieście?  
– pytał dramatycznie, jakby czuł się osobiście odpowiedzialny za przegraną. – Mogli strzelać do nas ze swych okopów jak do kaczek, a nasze kule nie były w stanie ich dosięgnąć.

– Tak, tak, wszyscy wierzyliśmy, że nasza armia wciąż jest najpotężniejsza w Europie, a tu taki blamaż – dodał inny gość.

– Nie chodziło tylko o karabiny. Mówił mi dobrze poinformowany przyjaciel, że transport z uzupełnieniem braków jechał z Moskwy wozami zaprzężonymi w woły trzy miesiące, podczas gdy francuskie i angielskie statki dowoziły zapasy drogą morską w trzy tygodnie. Choć to my walczyliśmy we własnym kraju!

– Przydałaby się kolej. Koleją byłoby szybciej.

– Ba, kolej! Rosja to taki potężny kraj, lecz to, co zawsze było naszym atutem, te wielkie przestrzenie i połączenia, które zgubiły kiedyś Napoleona, to obróciło się przeciwko nam. Przykro to mówić wprost, panowie, ale Rosja okazała się kolosem na glinianych nogach. A żeby ten kolos nie upadł i nie rozbił się do cna, trzeba go reperować.

– Łatwo powiedzieć. Ale jak?

Starszy jegomość w mundurze wyższego urzędnika państwowego podkręcił węża.

– Że trzeba Rosję naprawiać, to widzi każdy. A wiecie, panowie, gdzie leży klucz do naprawy? Na wsi! Nowy car rozumie, że epoka wymaga zniesienia poddaństwa chłopów. Byłem w Moskwie, kiedy najjaśniejszy pan przemawiał do przedstawicieli szlachty. Sam słyszałem, jak mówił, że choć nie chce uwolnienia stanu chłopskiego, to jednak wie, że żyjemy w takim wieku, że z czasem musi do tego dojść. Dlatego znacznie lepiej, żeby dokonało się to odgórnie niż oddolnie.

– Tak, tak – dodał ktoś inny – najwyższe wartości moralne w Rosji są przechowywane przez prosty lud w szczerym wyznaniu prawosławia. A Zachód hołduje zgubnym wartościom, tam się liczy tylko zysk.

Inny elegancko ubrany gość przytaknął.

– Właśnie wróciłem z zagranicznej podróży. Przyglądałem się Europie, oglądałem wystawy i wróciłem przekonany, jak nigdy dotąd, o odrębności Rosji, o jej szczególnej roli. Na Zachodzie wszystko, co się

liczy, to mamona: merkantylizm, kupiectwo, banki. Rosja jest inna. To nie Rosja potrzebuje Europy, tylko Europa Rosji. Bo to Rosja, nieskażona tą chorobą pożądania mamony, przechowała w sobie czyste, proste wartości, w prawosławnym ludzie. Bóg kocha Rosję. Nasza droga jest inna: prawosławie, samowładztwo, lud.

– O to, to. Utrafiłeś pan w sedno! Nasi chłopci żyją blisko natury i Boga, są prości, niezepsuci, dlatego noszą w sobie wartości moralne i duchowe. Ale pojawia się pytanie: uwalniać ich czy nie? Jeśli tak, to z ziemią czy bez niej? Jak to zrekompensować obszarnikom?

– Słyszałem w Petersburgu, że blisko dworu krąży pomysł ustanowienia wspólnoty ziemskiej. Według tego pomysłu chłopci dostaliby ziemię, ale nie na własność, tylko na rzecz wspólnoty, która razem uprawiałaby grunty. To by zapobiegło jednostkowej chciwości i ocaliło czystość i niewinność naszego ludu. To byłaby własna droga rozwoju Rosji, odrębna od zachodniego zepsucia.

– Tak, zawsze uważałem, że kapitalistyczne bogacenie się jest głęboko niemoralne. Niektórzy pragnęliby zrobić z Rosji Anglię i nasycić nas angielską dojrzałością gospodarczą, ale my jej nie chcemy, bo nie trawi jej rosyjski żołądek.

Goście siedzieli i dalej rozprawiali o tym, które reformy były najpotrzebniejsze i co powinien uczynić najjaśniejszy pan, gdy na taras weszła Julia. Była w ciąży z trzecim dzieckiem. Jej brzuch, już wyraźnie zaokrąglony, ledwo się mieścił pod seledynową suknią. Na jej widok panowie wstali z uszanowaniem. Julia ledwie skinęła im głową; wyraz twarzy miała zacięty, nieuprzejmy. Widząc towarzystwo, wycofała się bez słowa i trochę za głośno zamknęła drzwi na taras. Wtedy Iwan pomyślał po raz pierwszy, że te ciągłe wizyty mogą być dla niej uciążliwe. Nie chciał jednak rezygnować z utrzymywania przyjaznych stosunków – nie mieszkał w stolicy, ale zależało mu, żeby stolica bywała u niego. Pensjonat. Idealnym rozwiązaniem byłby pensjonat położony gdzieś w pobliżu, w którym mogliby się zatrzymywać jego goście, nie naruszając tak często prywatności domu. Iwan postanowił, że rozejrzy się za czymś odpowiednim. Tylko komu mógłby powierzyć prowadzenie takiego miejsca?

## Rozdział XIII

### Pietia i rewolucja

Pietia wyjechał do Petersburga. Nie było go cały miesiąc. W tym czasie prawie przestałam malować. Czytałam odezwy, artykuły i manifesty, które mi zostawił. A z każdej przeczytanej strony patrzyła na mnie jego twarz – szerokie czoło, mocne szczęki z jasnym zarostem i szaroniebieskie oczy, pełne uniesienia i entuzjazmu dla nowych czasów. Tęskniłam za nim strasznie. Zrozumiałam, że zupełnie niechcący zakochałam się w Pieti i w jego rewolucji. Bo Pietia i rewolucja złączyli mi się w jedno. I wciąż czułam na wargach jego wilgotny, gorący pocałunek, od którego dreszcz przeszedł całe moje ciało. Wieczorem śniłam o nim, a w dzień chodziłam zamyślona albo czytałam jego gazety. Mama patrzyła na mnie podejrzliwie, ale nie miałam ochoty z nią o tym rozmawiać. Za to któregoś wieczoru odważyłam się zapytać ciocię Nadire:

– Ciociu, czy ty byłaś kiedyś zakochana?

Cała zeszywniała, popatrzyła na mnie przenikliwie, jakoś tak mrocznie.

– Nie – odpowiedziała ostro.

– Ale dlaczego? Myślałam, że każdy...

– Nie każdy – przerwała mi. – Uważaj, dziecko. Mężczyźni to ból.

Wyszła z kuchni, potrącając stojącą przy drzwiach miotłę, która upadła z hukiem.

Nie uwierzyłam jej. Dalej czekałam na Pietię i zaczynałam się zastanawiać, czy pod jakimś pretekstem nie mogłabym pojechać do Petersburga, żeby móc go widywać w czasie jego studiów. Wiedziałam, że w stolicy mieści się akademia sztuk pięknych, w której uczył się kiedyś mój mistrz. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że mogłabym tam studiować malarstwo.

Po miesiącu Pietia wrócił z Petersburga odmieniony. Wydawało mi się, że zmężniał, nabrał większej pewności siebie, a jego poglądy, jak się okazało, stały się jeszcze bardziej radykalne. Kupił sobie studencką czapkę i nosił ją z dumą. Kiedy przyszedł do mnie po powrocie w tej czapce i w białej koszuli, miałam ochotę rzucić mu się na szyję.

– Długo cię nie było – odezwałam się zamiast tego.  
– Tak, ale już jestem. Chodź ze mną na spacer, wszystko ci opowiem.

Włożyłam słomkowy kapelusz od słońca i już byłam gotowa. Pietia poprowadził mnie nie nadmorskim bulwarem do centrum miasta, tylko w przeciwną stronę – wzdłuż dzielnicy tatarskiej, ku wzgórzom, winnicom i podmiejskim sadom, gdzie było mniej ludzi. Zaczął mówić szeptem.

– Mów głośniej, chcę cię słyszeć dokładnie – poprosiłam.  
– Trzeba uważać. Za takie poglądy można iść pod sąd – odpowiedział poważnie. – Widzisz, Masza, Rosja jest więzieniem, które trzeba zburzyć jak bastylię!

– Nie bój się, Pietia, tu nikt nas nie zdradzi, tu przecież sami swoi – zapewniłam go lekko.

Szalenie mnie pociągał ten rewolucyjny zapał Pieti, lubiłam, kiedy oczy mu błyszczały i mówił z takim przejęciem. Nie byłam wprawdzie pewna, czy cały świat rosyjski wymagał koniecznie zburzenia – prawdę mówiąc, nie miałam poczucia jakiegoś strasznego zniewolenia, ale być może to dlatego, że jak mówił Pietia, żyłam wśród ludzi uprzywilejowanych i nie miałam pojęcia o nędznym położeniu biedoty.

– Poznałem w Petersburgu kółko młodych rewolucjonistów i nauczyłem się od nich trochę zasad konspiracji – wyjaśnił z przejęciem, kiedy wyszliśmy poza miasto. Pośród pól i winnic nikt nie mógł nas usłyszeć. – Nie możemy rozmawiać tak otwarcie jak dotąd, bo wszędzie pełno jest wrogów rewolucji, tajniaków i donosicieli. U nas to się jeszcze nie zdarza, ale w stolicy dochodzi do wielu aresztowań.

Miałam wrażenie, że Pietia zaczyna popadać w jakąś paranoję, ale cieszyłam się, że już jest przy mnie.

Za miastem wziął mnie za rękę.

– A wiesz, Masza, że w tym kółku było też parę dziewcząt? – opowiadał dalej. – I to z dobrych domów, nawet szlacheckich. Była też córka wysokiego urzędnika z carskiego dworu. I wszyscy gotowi burzyć stary świat, choć rodzice wielu z nich świetnie w tym świecie prosperują. Czy to nie wspaniałe?

– Tak, Pietia, wspaniałe. Ale jak ty sobie właściwie wyobrażasz to

burzenie świata? Wszędzie czytam: „rewolucja, rewolucja”, ale co to właściwie ma znaczyć konkretnie? – zapytałam.

– „Co można rozbić, trzeba rozbijać, co wytrzyma uderzenie, jest coś warte, co się rozleci na drobne kawałki, jest nic niewarte, w każdym razie bij na prawo i lewo, od tego szkody nie będzie i nie może być” – wyrecytował.

Roześmiałam się. To brzmiało jak żart.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię. Jeśli będzie trzeba, jesteśmy gotowi przelać krew, jak francuscy jakobini. Ale będziemy trzy razy bardziej skuteczni od nich. Świat nie może pozostać taki, jaki jest teraz. niesprawiedliwy i zniewolony.

Pietia pociągnął mnie w bok, pod rozłożyste drzewo granatu. Oparł mnie plecami o jego pień i zanim się zorientowałam, co zamierza, już całował mnie mocno, gorącymi wargami. Inaczej niż za pierwszym razem. Wtedy jego pocałunek był ostrożny i delikatny. Teraz – zdecydowany i śmiały. Podobało mi się to, ale przez głowę przemknęła mi myśl, że być może odważne uczestniczki tajnych kółek z Petersburga uczyły go nie tylko zasad zachowania konspiracji. Ręka Pieti wędrowała wyżej wzdłuż mojej talii, aż natrafiła na pierś. Wstrzymałam oddech.

– Och, Masza, zobaczysz, przyszłość będzie należała do nas – szeptał z ustami tuż przy mojej twarzy. – Tylko muszę wiedzieć, czy jesteś ze mną w sprawie rewolucji.

W tej chwili, kiedy mnie całował, byłam z nim w każdej sprawie.

– Tak, Pietia, oczywiście, jestem z tobą – mówiłam, zanurzając palce w jego włosach.

Ścisnął moją pierś tak mocno, że prawie krzyknęłam.

– Małżeństwo to przesąd, Masza, będziemy żyli wolną miłością...

Nie do końca wiedziałam, co ma na myśli, ale byłam odurzona jego namiętnością. W tej chwili wydawało mi się wspaniałe to, że można się cieszyć bliskością młodego mężczyzny, bez tej całej hecy ze ślubem, białą suknią i przysięgami do końca życia. Rzeczywiście, nowy świat Pieti coraz bardziej mi się podobał.

– Uważam, że małżeństwo to przesąd – oznajmiłam przy kolacji, kiedy razem z mamą i z ciocią Nadire siedziałyśmy nad talerzami

barszczu w naszej kuchni, bo weranda była pełna gości. Usługiwała im nasza służąca Anuszka.

Mamie łyżka wypadła z ręki na podłogę. Ciocia Nadire się zaśmiała.

– Mądra dziewczynka – pochwaliła. – Ja też sądzę, że mężczyźni nie są do niczego potrzebni i świat bez nich byłby lepszy.

– Nie o to mi chodziło, ciociu. Mężczyźni bywają wspaniali, jak... wujek Iwan na przykład, tylko małżeństwo jest przeżytkiem. Spójrzcie na nich: widać, że Julia od dawna go nie kocha, a jednak mieszkają razem dla zachowania pozorów. Po co?

Widziałam, że mama była pod wrażeniem moich słów. Podniosła łyżkę, położyła ją na stole i patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Co ty mówisz, Maryniu? Nadire nie ma pojęcia o życiu w małżeństwie. A ja ci powiem, że te dwanaście lat, które przeżyłam z twoim ojcem, to najszcześniejsze lata w moim życiu i dałabym wiele, by ten czas trwał dłużej.

– Nic nie wiem o swoim ojcu, bo nigdy mi o nim nie mówisz. Ale wiem, że bez niego radzisz sobie doskonale. I wiem też, że ja sama nie zamierzam wychodzić za mąż, bo to przeżytek. Nadchodzą nowe czasy, zupełnie inne, zobaczycie – oznajmiłam.

Mama uśmiechnęła się pod nosem.

– Ależ, Maryniu, nikt cię nie będzie siłą wydawać za mąż – odrzekła. – Przyjdzie pora, zobaczysz, że spotkasz odpowiedniego mężczyznę i wtedy sama będziesz chciała połączyć się z nim na zawsze. Ale masz jeszcze na to czas, teraz możesz się spokojnie zająć malowaniem albo nauką prowadzenia pensjonatu. Ja w twoim wieku zupełnie nie myślałam o mężczyznach...

Pozostawiłam mamę z tą naiwną wiarą, że mężczyźni mnie nie interesują. Po kolacji poszłam sprawdzić, czy gościom na werandzie niczego nie brakuje, bo mamie zależało, żebym uczyła się powoli samodzielnego prowadzenia pensjonatu, który zamierzała mi kiedyś przekazać. Przy herbacie siedziało młode małżeństwo w podróży poślubnej, zapatrzone w księżycową poświatę na morzu, grupa oficerów grała w karty przy butelce wina, był też starszy emerytowany żołnierz w mundurze z odznaczeniami za obronę Sewastopola, ostatnio często do



nas zaglądał. Zobaczyłam, że Anuszka poradziła sobie świetnie – wszyscy mieli pełne filiżanki albo kieliszki, a na ich talerzykach leżały okruszki czekoladowego tortu, który upiekła dziś rano. Taka sprawna i oddana służąca to skarb! Przyjęłam pieniądze od tych gości, którzy chcieli już zapłacić, i poszłam na górę do swojego pokoju, by przeczytać nowy artykuł Czernyszewskiego o emancypacji kobiet zostawiony mi przez Pietię.

Mój ukochany przychodził często i zabierał mnie na długie spacerunki po plaży albo pośród pól i winnic. Gdy byliśmy sami, poza zasięgiem wzroku przypadkowych przechodniów, całował mnie i dotykał z rosnącą namiętnością, która udzielała się i mnie. Nie mogłam sobie wyobrazić, co będzie, kiedy wyjedzie w październiku do Petersburga. Wreszcie któregoś sierpniowego popołudnia Pietia przyszedł do mnie z bukietem polnych maków. Wstawiłam je do wody i zaraz wyszliśmy, żeby zejść z oczu domownikom i gościom.

W pełni sezonu plaże były zatłoczone, więc skierowaliśmy się w przeciwną stronę, ku wzgórzom porośniętym winoroślą. Szliśmy polną drogą, nad którą unosił się kurz. W nasyconym słońcem powietrzu słyhać było tylko brzęczenie pszczoł i much. Milczeliśmy długo, pełni powagi, jakbyśmy przeczuwali, że dziś wydarzy się coś nieuchronnego. Jak nigdy, żadne z nas się nie odzywało, ale czułam, że nasze myśli krążą wokół tego samego. Wreszcie znaleźliśmy się na szczycie wzgórza, skąd widzieliśmy całą okolicę: miasto w dole sięgające aż do błękitnego morza, zatłoczone plaże i winnice Agabeja. W pobliżu nie było nikogo. Pietia wziął moją rękę i wprowadził mnie pomiędzy zielone krzewy tak głęboko, by nikt przechodzący drogą nie mógł nas zobaczyć. Wiele lat temu, gdy byliśmy dziećmi, bawiliśmy się tu w chowanego razem z Irą i Dajdżanem. Choćbym nie wiem jak dobrze się ukrywała, Pietia zawsze mnie znajdował. Teraz jednak nie zamierzałam się przed nim chować. Przeciwnie.

Usiedliśmy na zielonej trawie pomiędzy równymi rzędami krzewów, które uginały się pod fioletowymi kiśćmi wczesnej odmiany winogron. Słońce prażyło. Pietia zerwał najdojrzalszą kiść i uniół ją nade mną, jakby chciał mnie nakarmić. Otworzyłam usta, uniosłam głowę, a wtedy on przesunął rękę z owocami niżej i dalej za mną, tak że

podążając za słodkimi gronami, dotknęłam plecami trawy. Pochylił się nade mną, wciąż siedząc. Zerwał jeden nabrzmiały owoc i przegryzł go na pół. Trzymał w palcach ociekającą sokiem połówkę winogrona, dotknął nią lekko moich warg i zaczął wodzić delikatnie wokół ust, aż poczułam słodki smak i złapałam owoc zębami. Wtedy rozgryzł następny, ale nie podał mi go do buzi, tylko wycisnął trochę soku na mój dekolt, a potem przesuwał rozgniecionym owocem po moich policzkach, czole, brodzie, szyi. Pod wpływem tego dotyku i leciutkich muśnięć jego ręki zadrżałam. Zamknęłam oczy, a Pietia pochylił się jeszcze niżej i koniuszkiem języka zlizywał winogronowy sok z moich policzków i dekoltu. Było mi tak dobrze, że zaczęłam cichutko jęczeć. Szukałam jego ust, ale Pietia przesuwał się niżej, całując moją szyję i obojczyk. Nagle poczułam, że moja sukienka zsuwa się z ramion, razem z batystową bielizną, a moich piersi dosięgają po raz pierwszy gorące promienie słońca. Czułam jakąś słodką niemoc, leżałam tak z zamkniętymi oczami i czekałam na następny ruch Pieti. A on po chwili chwycił obiema garściami pełne kiście winogron i wycisnął z nich sok wprost na moje piersi. A kiedy jego usta zaczęły spijać ten sok, zalała mnie nieznana dotąd fala rozkoszy, która rozeszła się drzeniem po całym ciele. „Mój Boże – pomyślałam resztkami świadomości – jeśli tak ma wyglądać ten nowy świat Pieti, to tak, niech nadejdzie jak najszybciej”.

Tego popołudnia kochaliśmy się po raz pierwszy. Nasze nagie ciała leżące w słońcu pośród słodkich owoców winnicy Agabeja przypominały mi rajskie obrazy dawnych mistrzów, które oglądałam w albumach wujka Iwana. Pomimo bólu, jaki czułam za pierwszym razem, byłam szczęśliwa – Pietia otworzył przede mną świat nowych doznań, które przewyższały nawet obcowanie ze sztuką, tak przede mnie kochaną. W tamtej chwili jednak kochałam przede wszystkim Pietię. I choć on sam nigdy tego nie powiedział, myślę, że tamtego lata on także mnie kochał.

Zaczęłam ukrywać nasze spotkania przed mamą, bo czułam, że to, co robimy, by się jej nie spodobało i byłaby gotowa zabronić mi wychodzenia z domu. Uważałam ją za niezależną, a dzięki temu dość nowoczesną kobietę, ale nie była przecież rewolucjonistką i nie uważała małżeństwa za przeżytek tak jak my. Dlatego mówiłam, że idę do Iry, do

siostr albo na spacer, a najczęściej wymykałam się z domu niezauważona i dopiero na wzgórzach, w winnicy, spotykałam się z Pietią.

Byłam oszołomiona i zachwycona tym stanem, żyłam swoją miłością i to mi wystarczało, bo prawie przestałam jeść. Do życia potrzebowałam tylko Pieti, słońca, wody i trochę winogron. Jednak po paru tygodniach uświadomiłam sobie, że musiałam przesadzić z tą dietą, bo moja miesiączka nie pojawiła się o czasie. Wiedziałam, że tak się może zdarzyć przy wycieńczeniu, chociaż nie czułam się wycieńczona. Coś jednak musiało mi być, bo zdarzały mi się zawroty głowy i mdłości. I ciągle chodziłam senna. Nie chciałam niepokoić mamy i wzywać naszego doktora z miasta, ale kiedy złe samopoczucie nie ustępowało, postanowiłam odwiedzić starą Wasylisę, zielarkę, która mieszkała w chatce za miastem i leczyła ludzi mieszankami zbieranych przez siebie ziół. Mama kupowała od niej zioła do przyrządzania naparów i do przyprawiania dań, a płaciła jej jedzeniem i naszymi wypiekami. Pobiełam do jej chatki któregoś ranka, o świcie, jeszcze przed spotkaniem z Pietią. Ulice miasta były puste, powietrze – przesycone wilgocią i chłodem morza, a ja wciąż czułam w sobie gorący dotyk Pieti.

Wasyliśa nosiła kwiecistą chustę, spod której wymykały się kosmyki siwych włosów. Miała pobrużdżoną twarz z dużą brązową brodawką na lewym policzku i naszyjniki przypominające amulety. Niektórzy się jej obawiali jak prawdziwej czarownicy, ale ja znałam ją od lat. Jej czarne oczy budziły zaufanie. Jak wtedy, kiedy swoimi miksturami wyciągała mnie z dziecięcych chorób. Jej drewniana chata stojąca na skraju lasu miała ściany osmalone od dymu, u sufitu wisiały pęki suszących się ziół, a na glinianym piecu buzował ogień. Warkocze czosnku, cebuli i ostrej papryczki zdobiły ściany kuchni, obok glinianych garnków i miedzianych kociołków. Lubiłam ten dom, bo zawsze pachniało tu intrygująco i miło.

– Maszeńka! – zawołała na mój widok znad dużego garnka, w którym mieszała drewnianą łyżką. – Co tam? Zabrakło wam moich ziół?

– Nie, Wasyliśo, chodzi o mnie.

Powiedziałam jej o swoich dolegliwościach. Wasyliśa obejrzała

dokładnie mój język, źrenice, zbadala puls, przyłożyła ucho do mojego serca i do brzucha. Długo patrzyła mi w oczy z nieodgadnionym uśmiechem. Wreszcie posadziła mnie na ławie przy drewnianym stole, usiadła naprzeciwko i zapytała:

– I kto ci to zrobił, Maszeńka? Kto?

Nie zrozumiałam.

– Nikt mi nic nie zrobił. Po prostu słabo się czuję i ciągle chce mi się spać. Może dasz mi coś na wzmocnienie? I na apetyt, bo prawie nic nie jem.

– Ech, Maszeńka... – westchnęła. – Szkoda, żeś do mnie nie przyszła zawczasu. Kto to był? Dajdżan? Sierioża? Czy, nie daj Boże, jakiś marynarz z portu?

– O czym ty mówisz, Wasyliso?

– O dziecku, Maszeńka. Musiałś z kimś pofiglować i będziesz miała dziecko – odrzekła, patrząc mi w oczy. – Chyba że... bardzo nie chcesz i po to do mnie przyszłaś.

Jakby piorun strzelił tuż koło nas. Dziś nie wiem, jak to możliwe, że nie wzięłam pod uwagę takiej okoliczności, ale wtedy wiadomość o ciąży kompletnie mnie zaskoczyła i niemal zwała z nóg. Musiałam wyglądać na zupełnie zdumioną, bo Wasylisa patrzyła na mnie wzrokiem trochę rozbawionym, a trochę współczującym.

– Mama ci nie powiedziała, skąd się biorą dzieci? I czego się wystrzeżać, jeśli nie chcesz popaść w tarapaty? – zapytała.

– Powiedziała... – odrzekłam ledwo słyszalnie. Ale jakie to miało teraz znaczenie? W ogóle o tym nie myślałam, kiedy leżeliśmy w winnicy pośród zapachu winogronowego soku.

Dziecko Pieti. Nosłam w sobie dziecko Pieti, który uważał małżeństwo za przeżytek, więc zapewne nie zamierzał się ze mną ożenić. Tylko co myślał o dzieciach? Tego nie wiedziałam, bo rozmawialiśmy o rewolucji i o przyszłym społeczeństwie, a nie o naszej przyszłości. Zakręciło mi się w głowie. Mój Boże, dopiero sama byłam dzieckiem, a już miałam zostać matką? Nie byłam na to gotowa. Wasylisa, jak gdyby czytała w moich myślach (niektórzy mówili nawet, że to jasnowidząca), pogłaskała moją rękę i powiedziała:

– Na szczęście istnieją na to sposoby. Nie wszystkie kobiety są

gotowe na przyjęcie dziecka. Te, które nie są, przychodzą do mnie i proszą o pomoc. To oczywiście kosztuje. Czasem im pomagam i pozbywają się kłopotu. Ale czasem się nie udaje. Więc jak będzie z tobą?

Jak będzie ze mną? Sama chciałam wiedzieć. Oszołomiła mnie ta wiadomość. Musiałam się z nią oswoić, a przede wszystkim podzielić się tym z Pietią. Jak on zareaguje? Czy wyjedzie do Petersburga, tak jak planował? Czy weźmie mnie ze sobą? Co powie mama, kiedy się dowie? A wujek Iwan? Czułam, że bardzo ich wszystkich rozczaruję. Wiedziałam, że to, co robiłam z Pietią, było bardzo lekkomyślne, ale nie żałowałam ani jednej spędzonej z nim chwili.

Wasyliśa patrzyła na mnie wyczekująco.

– Czy jesteś tego pewna? – zapytałam ją cicho.

– Znam się na tym. Widziałam setki kobiet równie przerażonych jak ty. Te, które czekają na potomka u boku męża, wzywają doktora. Te, które mają problem, przychodzą do mnie. Zastanów się; mogę ci pomóc pozbyć się kłopotu, ale im szybciej, tym lepiej. Potem będzie za późno.

Podziękowałam jej i zostawiłam pół placka, który upiekła wczoraj Anuszka. Wasyliśa zawsze lubiła nasze wypieki.

Wyszłam z jej chatki na miękkich nogach. Szłam jak w transie drogą prosto ku morzu. Plaża o tej porze była zupełnie pusta, a morze lśniło jasnym błękitem poranka. Lubiłam płótna Ajwazowskiego przedstawiające tę porę – błękit przenikał się na nich z różnymi odcieniami bieli i żółci. Ale sama nie umiałam namalować tego tak dobrze. Teraz jednak nie myślałam o malowaniu. Myślałam o moim dziecku. Położyłam się na plecach wprost na nadmorskim żwirze i słuchałam delikatnego plusku drobnych fal. Trzymając ręce na brzuchu, próbowałam wyczuć obecność tej istotki, którą nosiłam w sobie. Powoli, powoli oswajałam się z myślą, że moje życie nieodwracalnie się zmieni. Wysłuchana w szum morza, z rękami głaszczącymi brzuch, poczułam się częścią wielkiej natury, która wciąż tworzy nowe życie. Zaczął do mnie docierać sens słów Wasyliśy, która zaproponowała mi „pozbycie się kłopotu”. Z jednej strony to było kuszące – jakieś proszki czy mikstury i wszystko byłoby jak dawniej. Z drugiej – wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Przede wszystkim musiałam powiedzieć Pieti.

Ale ani tego dnia, ani następnego Pietia nie mógł się ze mną zobaczyć. Przyjechał do niego w odwiedziny kolega z gimnazjum, który także wybierał się na studia do Petersburga. Pietia zabrał gościa na wycieczkę po okolicy. I jak go znałam, pewnie omawiał z nim jakiś świeży artykuł z prasy literackiej. Dlatego te dwa dni spędziłam spokojnie w domu, głównie w swoim pokoju, nie rozmawiając z nikim. Wyobrażałam sobie najbliższą przyszłość. A zwłaszcza reakcję Pieti. Czy się ucieszy? Czy jednak uzna, że w tej sytuacji powinien się ze mną ożenić? Czy zabierze mnie do Petersburga? A może wyjedzie i nie będzie chciał mnie znać?

Dopiero trzeciego dnia wieczorem Pietia przyszedł do naszego pensjonatu. Robiło się już ciemno, więc nie miałam ochoty wychodzić. Grupa naszych gości właśnie opuściła werandę i poszła na wieczorny spacer nad morze. Anuszka sprzątała po nich puste filiżanki i talerzyki. Usiedliśmy z Pietią przy stoliku pod ścianą, od strony ogrodu. Nasza służąca postawiła przed nami filiżanki z gorącą herbatą i talerzyk z konfiturami z wiśni. Nie wiedziałam, jak zacząć tę rozmowę, więc mieszałam konfitury w herbacie małą łyżeczką i słuchałam, jak Pietia opowiadał wesoło o planach swego przyjaciela, który zamierzał studiować medycynę i przez pięć dni w tygodniu leczyć bogaczy, a szóstego – biedaków za darmo. Oprócz jego głosu słyszałam brzęczenie cykad i dochodzące z nad morza śmiechy rozbawionego towarzystwa. Wieczór był uroczy: ciepły, pachnący jabłkami i lawendą, tylko ja czułam coraz większy ciężar nieuchronnego wyznania, które miało wszystko zmienić.

Ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, usłyszeliśmy ciężkie kroki podkutych butów, rozchodzące się echem po nadmorskim bulwarze. Po chwili na oświetloną werandę weszło trzech żandarmów. Po twarzy Pieti przemknął niepokój. „Ale to przecież niemożliwe, żeby przyszli po niego. Nic złego nie zrobił” – pomyślałam, ściskając nerwowo palce.

– Czy to pan...? – Tu jeden z żandarmów wymienił jego pełne imię i nazwisko, choć znał dobrze jego ojca diakona.

– Tak, to ja – odpowiedział Pietia, błędąc lekko pomimo opalenizny.

– Musimy pana aresztować – poinformował go żandarm spokojnie, a w jego głosie brzmiała nieuchronność postanowienia, ciężka jak głaz.

– Nie! – krzyknęłam rozpaczliwe, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Pietia stał blady i zmieszany. Patrzył z niedowierzaniem na żandarma, który był jego dalekim sąsiadem i którego w dzieciństwie nazywał wujkiem.

– Jest pan oskarżony o działalność wywrotową przeciw państwu i przeciw najjaśniejszemu panu, carowi Aleksandrowi.

– Ale dlaczego? Na jakiej podstawie? – zapytałam.

– Był donos – odpowiedział żandarm. – Zbadamy sprawę.

Mama przybiegła z góry zaalarmowana hałasem i zamieszaniem.

– Co tu się dzieje? Dlaczego zabieracie tego chłopca?

Żandarmi nie uznali za konieczne tłumaczyć się ze swoich działań. Sprawnie skuli więźniowi ręce kajdankami. Pietia posłał mi spojrzenie, które mówiło, że jest gotowy dołączyć do ofiar despotyzmu. To znaczy chyba chciał, żeby tak to wyglądało, bo jednak gdzieś na dnie jego spojrzenia widziałam strach. Widmo Syberii mroziło odwagę nie takich śmiazków jak on.

– Emilio Emiliewno, to wywrotowiec! – rzuciła z nienawistnym błyskiem w oku Anuszka, która stała spokojnie przy samowarze z rękami założonymi na piersiach. – Sama słyszałam, jak mówił Maszy, że w Rosji źle się dzieje przez cara. Toż to obraza boska! Batuszka car kocha swój lud, a nam trzeba się za niego modlić, ot co!

Popatrzyłam na nią z przerażeniem. W jednej chwili zrozumiałam, że to ona, nasza wierna i niezawodna służąca, którą zatrudniamy i żywimy od lat, złożyła donos na Pietię. Na ojca mojego dziecka. Tylko ona słyszała nasze „wywrotowe” dyskusje na werandzie. To była ostatnia myśl, jaką pamiętam. Bo potem poczułam silny skurcz w brzuchu i ból przeszywający mnie na wylot. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Moje kolana nagle zmiękły, nie mogłam się na nich utrzymać. Poczułam się słabo, bezwolnie, osunęłam się na drewnianą podłogę werandy, a wszystko wokół ucichło i ogarnął mnie mrok.

## Rozdział XIV

### Pamiętka po mężu

Emilia obudziła się w łóżku w maleńkim pokoiku pielęgniarskim, który dzieliła z Nadire. Zapadł już wieczór. Z daleka dochodził odgłos wystrzałów, ale nie ciężkich armatnich pocisków, tylko pojedynczego ostrzału karabinowego.

Bolała ją głowa. Silna, nieznośna migrena pulsowała bólem w jej skroniach. Siedząca obok Nadire podała jej kubek wody.

– Miałam straszny sen – powiedziała Emilia, masując skronie. – Gdzie jest Zakir?

Nadire wzięła głęboki oddech.

– Emilio, to nie był sen – odparła cicho. – Zakir zmarł na cholere.

W oczach Emilii odmalowało się niedowierzanie, a zaraz potem przerażenie.

– Następnego ranka po tym, jak pojechałaś z tym Anglikiem, przywieźli go do nas. Był już siny na twarzy. I jeszcze chudszy, jakby wysuszony. Miał gorączkę, majaczył. Podobno w tureckim obozie cholera się nasiliła, ich szpital był przepełniony. Dlatego przywieźli go do nas. Albo... albo chciał cię zobaczyć. Starłam się... – Głos Nadire się załamał, ale po chwili mówiła dalej przez łzy: – Starłam się go uratować, uwierz mi. Dawałam mu czystą wodę, podawałam tę mieszankę Florencji, chłodziłam czoło okładami. Natychmiast wezwałam lekarza. Ale było za późno. Wiesz sama, że cholera rozwija się błyskawicznie, czasem w ciągu kilku godzin. Tylu ludzi już zabrała. I jego też...

Emilia opadła bezwładnie na materac. Jakby życie z niej uszło. Tylko ten świdrujący ból pod czaszką. Wpatrywała się w sufit, po którym łąziło kilka much. Słońce nadal świeciło oślepiającą białością, ale jej wydawało się, że zgasło. Jak gdyby otoczyła ją czarna noc i zniknął wszelki sens. Ból. Wypełniał ją nieznośny ból.

Tyle razy traciła już bliskie osoby, że właściwie powinna być oswojona ze stratą. Ale czy do tego można się przyzwyczaić? Ojciec, matka, Malwina, Selim, William, i znowu ojciec – odnaleziony... wszyscy znikali z jej życia, kiedy tak bardzo ich potrzebowała. A teraz



Zakir – najważniejszy i najpotrzebniejszy z nich. Jak ma teraz żyć? I po co?

Nadire bezszelestnie wysunęła się z pokoju, zostawiając ją samą.

Myśl Emilii pobiegła do domu, do małego Kemala. Serce ścisnęło jej się z żalu. Kto teraz nauczy jej małego synka, jak być tureckim mężczyzną? Jak Kemal poradzi sobie w życiu bez ojca, którego uwielbiał i podziwiał? Nie może przecież pozostać w haremie na zawsze. Odłożyli uroczystość jego obrzezania ze względu na wojnę. Jak można urządzić ją teraz?

Te pytania tłukły się w jej głowie jak ptaki w klatce. Czowała dojmujący ciężar. Jakby ktoś położył głaz na jej piersi.

I dalej: jak powie o tym Gülşen? Przecież przyjechała tu, żeby być blisko męża i zaopiekować się nim w potrzebie. A kiedy zachorował, zabrakło jej przy nim.

I wreszcie: jak ma dalej żyć?

Drzwi skrzypnęły. Do pokoju weszła Nadire, a za nią lekarz.

– Bardzo mi przykro z powodu pani męża – powiedział. – Proszę przyjąć moje szczerze kondolencje. Naprawdę nic już nie mogłem zrobić.

Nie miała siły odpowiedzieć, skinęła tylko głową.

Lekarz wyciągnął z torby butelkę z ciemnego szkła, odmierzył porcję płynu i podał Emilii na łyżce.

– Proszę to wypić. To pani dobrze zrobi.

Poczuła w ustach mentolowy smak laudanum. Zrobiło jej się lekko, lekko, jakby miała się unieść w powietrzu niczym balon. I znowu zasnęła.

Obudziła się po dwóch dniach ciężkiego snu. Ale nie miała siły wstać z łóżka. Dni mijały. Nadire przynosiła jej posiłki, na które Emilia w ogóle nie miała ochoty. Straciła apetyt. Nie chciała z nikim rozmawiać, choć i Florencja Nightingale, i William Russell, i Fred O'Brian przyszli, by ją odwiedzić. Leżała blada, wyczerpana i milcząca. Nie jadła. Zaczęła wymiotować. Spała długo, w nocy i w ciągu dnia. Lubiła spać, bo wtedy, we śnie, spotykała Zakira takiego, jakim był dawniej, przed wojną. Ale moment przebudzenia, kiedy uświadamiała sobie prawdę, okazywał się straszny. Przestała się odzywać.

Wreszcie Nadire, zaniepokojona jej stanem, znowu wezwała

lekarza. Ten przyszedł, zbadał ją dokładnie.

– Droga pani, kiedy miała pani ostatnio swoje miesięczne krwawienie? – zapytał.

– Nie pamiętam – odrzekła obojętnie.

– Za wcześnie, by wyrokować z całą pewnością, ale wydaje mi się... że jest pani w ciąży. Może to niezręcznie w tej sytuacji, ale jednak serdecznie gratuluje...

Emilia usiadła na łóżku, gdy sens jego słów do niej dotarł.

– Jak to: w ciąży? To niemożliwe! – zaprotestowała, wspominając słowa swojej akuszerki.

– A jednak – powiedział lekarz. – Za pozwoleniem, przecież widywała się pani z mężem przed jego chorobą.

Widywała się? No tak. Czyżby tych parę pospiesznych zbliżeń w ruinach spowodowało ten cud, na który na próżno czekali przez ostatnie lata? Emilia wiedziała, jak bardzo Zakir pragnął mieć z nią kolejne dzieci. Kiedyś nawet zapytała go żartem, czy nie chce wziąć sobie drugiej, młodszej i płodniejszej żony. Zamknął jej wtedy usta pocałunkiem. Teraz, na myśl o tym, że umarł, nie wiedząc nawet, że jego żona nosi w sobie drugie dziecko, wybuchnęła ogromnym, niepowstrzymanym płaczem. Szlochała gwałtownie, wprawiając lekarza w zakłopotanie.

– No już... niech pani tak nie rozpacza. Będzie pani miała dla kogo żyć.

Ale Emilia musiała wypłakać swój żal i tęsknotę za mężem.

Wiadomość o dziecku zwolniła w niej jakąś tamę i łzy zaczęły się z niej wylewać niepowstrzymanym potokiem. Lekarz już chciał zaaplikować jej kolejną porcję laudanum, ale odmówiła i dała mu znak, by wyszedł. Szlochała i szlochała w samotności, aż poczuła, że nie została w niej ani jedna łza.

Nadire wróciła ze swego dyżuru w szpitalu. Weszła do pokoju z trochę niepewną miną.

– Już wiem – odezwała się.

Emilia popatrzyła na nią przytomniej niż przez ostatnie dni.

– Nadire, moje dziecko nigdy nie zobaczy swojego ojca – szepnęła.

– Tak. Ale dziecko to zawsze błogosławieństwo. Nie będzie znało

ojca, ale ma wiele kobiet, które je pokochają. To ważniejsze – zapewniała Nadire z przekonaniem i usiadła obok niej na łóżku.

– Och, Nadire, jak to dobrze, że przyjechałaś tu ze mną – wyznała Emilia i przytuliła się do niej.

Nadire objęła ją ramionami i głaskała po plecach.

– Zawsze będę przy tobie. A teraz musimy wracać do Stambułu. Gülşen o ciebie zadba. Tu jest zbyt niebezpiecznie.

– Dlaczego? – Emilia w odróżnieniu od Nadire nie bała się Rosji, przecież urodziła się jako poddana cara.

– A tyfus? A cholera? Mało ci tego, że epidemia zabrała twojego męża? Musisz uciec jak najdalej stąd, żeby dziecko urodziło się zdrowe. To w ogóle nie jest miejsce dla kobiety. Ale dla kobiety w ciąży w żadnym wypadku.

Nadire miała rację. Kiedy ta skrzywdzona dziewczynka wyrosła na takiego mądrego człowieka? Ale Emilia nie miała siły jechać do Stambułu. Miałyby wrócić do haremu, w którym nie będzie Zakira? Miałyby spędzać czas na pielęgnowaniu ciała, które nie ogrzeje już jego łoża? Trawić beczynne godziny, plotkując z Gülşen i wspominając swoje małżeństwo? Nie była na to gotowa. Nagle harem bez Zakira wydał jej się złotą klatką. Gorzej – więzieniem skazującym na beczynność. Choć przez lata nie buntowała się przeciwko zasłanianiu twarzy, teraz ten wymóg wydał jej się nieskończenie głupi. Skoro nie może już zachować widoku swej twarzy tylko dla oczu męża, dlaczego miałyby wciąż się zasłaniać? Emilia zrozumiała, że bez Zakira nie będzie w stanie spełniać wymogów tureckiego życia. Mogła to robić dla mężczyzny, którego kochała. Ale dla kogo miałyby naginać się teraz – dla Gülşen? To przecież absurdalne. Nie mogła spędzić reszty życia na spełnianiu oczekiwań swojej teściowej, która nazwała ją kiedyś chrześcijańską znajdą i bez skrępowań wyrzuciła z domu. Był jeszcze Kemal. Tak, jej słodki synek Kemal, duma Zakira... Musi go odzyskać.

Wydało jej się teraz, że turecki okres życia to jedynie sen. Piękny, zmysłowy, miłosny, ale sen. Była tam prawdziwie szczęśliwa – z Zakirem. I nagle z całą jasnością zdała sobie sprawę, że już tam nie wróci. Bez Zakira życie w haremie straciło sens. Miała trzydzieści pięć lat, stała się dojrzałą kobietą. I wolną. Mogła zaczynać nowy rozdział.

Tylko jak? I gdzie?

I wtedy przypomniało jej się uprzejme zaproszenie malarza o łagodnym uśmiechu: „Proszę mnie koniecznie odwiedzić, gdy będzie pani w Teodozji”. W tej chwili ów malarz wydał jej się najbliższą ze wszystkich osób, które spotkała w czasie tej wojny.

## Rozdział XV Pieriedwiżnicy

Mijały lata. Iwan Konstantynowicz Ajwazowski przyglądał się życzliwie reformatorskim działaniom nowego cara, który także zaszczycał go swoją przyjaźnią, podobnie jak jego zmarły ojciec Mikołaj. Car Aleksander chętnie kupował kolejne obrazy największego marynisty Rosji i zawsze się z nim spotykał, będąc na Krymie. A nawet zorganizował wspólną podróż swoich dzieci, młodych Romanowów, z Iwanem Ajwazowskim do Konstantynopola. Iwan był lojalnym poddanym i nigdy nie krytykował carskich posunięć. Ba, podziwiał szczerze ich rozmach. Uwolnienie chłopów z wielowiekowego poddaństwa uważał za akt odwagi i zarazem wielkoduszności monarchy. Ograniczenie cenzury – za śmiałe przyzwolenie na głosy krytyki w życiu publicznym. A reformę sądów przyznającą im niezależność – za dobrowolne zrzeczenie się części absolutnej władzy, jaką car sprawował nad swoim imperium i obywatelami. No, a zniesienie kar cielesnych – to już czysty humanitaryzm!

Iwan cieszył się więc przyjaźnią i zaufaniem cara, ale na jego osobistym szczęściu coraz częściej pojawiały się rysy. Julia urodziła mu cztery córki i wciąż była piękną kobietą, ale jej miłość do niego zaczynała stygnąć, a temperatura w ich sypialni spadała, coraz częściej ziębiąc ją północnym chłodem.

– Jakże tu nudno w tej prowincjonalnej dziurze! – narzekała coraz częściej żona Iwana. – Czy nie moglibyśmy jak ludzie na poziomie zamieszkać w Petersburgu albo chociaż w Odessie? Za kogo tu wydamy nasze córki? Za rudych synów piekarza?

Ale Iwan kochał Krym i kochał swoją Teodozję. Nie zamierzał przenosić się na północ.

– Moja droga, widziałem wiele europejskich i rosyjskich miast, ale w żadnym z nich nie czułem się tak dobrze jak tutaj. Teodozja jest piękna i ciekawa, wystarczy się w nią zagłębić i w niej rozsmakować – przekonywał.

– Nie znoszę prowincji! Jak niby mam się zagłębić w towarzystwo ludzi, którymi pogardzam? – pytała zirytowana.

– Ha, jeśli nie podobają ci się ludzie, to rozmawiaj z kamieniami. Ta ziemia kryje w sobie wiele skarbów i tajemnic. – Iwan dostrzegł ślad zainteresowania w jej oczach. – Myślałem o tym, żeby rozpocząć badania archeologiczne, bo muszą tu być jakieś ślady starożytnych miast: greckich kolonii, rzymskich portów, bizantyjskich i genueńskich kupców. Bardzo by mi się przydała ładna asystentka. Co ty na to?

I choć Iwan nie liczył na wiele, to jednak udało mu się zapalić Julię do nowego pomysłu. Zaczęli przemierzać razem wzgórza i doliny, uzbrojeni w małe kilofy i łopaty, i odnajdywali ślady dawnych cmentarzy, świątyń i fundamentów. Julii spodobała się ta zabawa i każde nowe znalezisko witała z entuzjazmem. Z czasem przytaszczone przez nich płyty nagrobne, skorupy naczyń, monety i fragmenty ozdób wypełniły cały przeznaczony na to pokój, a jeszcze później znalezisk było tak wiele, że pomyśleli o otwarciu muzeum archeologicznego. To ich na pewien czas ponownie zbliżyło. Ale nie na długo. Gdy Julia nasyciła się nową zabawą, znowu zaczęła narzekać na prowincjonalną nudę i coraz częściej wyjeżdżała samotnie do Odessy i do Petersburga pod pretekstem wyboru nowych sukien i kapeluszy.

A Iwan, pozostawiany sam sobie, malował, spacerował nad morzem, rozmyślał i czytał w gazetach o dalekosiężnych reformach cara, które miały zmienić Rosję. Musiał przyznać, że Aleksander okazał się godnym następcą swoich wielkich poprzedników – jego śmiałe, przełomowe decyzje można by uznać za przyjęcie ograniczonego partnerstwa między społeczeństwem a władzą carską. Nie sposób było tego nie doceniać. Dlatego Iwana irytowały głosy krytyki, których nie brakowało. Narzekano, że chłopci nie dostali ani swojej ziemi na własność, ani pełnej wolności, zdarzały się nawet zamieszki chłopskie, tłumione krwawo przez wojsko.

W tym klimacie, określanym czasem mianem odwilży posewastopolskiej, do głosu doszło nowe pokolenie artystów, którzy nie chcieli być sługami państwa. Czując lekki powiew swobody, pragnęli niezależności i nie kierowali się już jedynie nakazami Akademii. Dzięki zelzeniu cenzury radykalni publicyści z Hercenem i Czernyszewskim na czele mogli upowszechniać poglądy i domagali się, by artyści mieli prawo przedstawiać rosyjską rzeczywistość. Pisali, że sztukę należało

wyzwolić, tak jak wyzwolono poddanych chłopów. W całej Europie panował już realizm, zrywający z kryteriami akademickimi, przestano wierzyć, że najdoskonalsza sztuka to taka, która naśladuje dzieła dawnych Greków. To, co idealne, ustąpiło temu, co realne.

Zresztą nie chodziło tylko o kanony estetyczne. Młodzi twórcy, wychowani w klimacie przyzwolenia na pewną krytykę państwa, chcieli być niezależni od Akademii, która była częścią aparatu biurokratycznego. Przez nadawanie absolwentom czynu, czyli rangi urzędniczej, Akademia zrównywała artystów z urzędnikami i oficerami, a przy braku prywatnych klientów była głównym mecenasem sztuki, przez co uzależniała malarzy od państwa. I przeciw temu uzależnieniu malarze ci zaczęli się buntować.

Iwan Ajwazowski początkowo miał z tym pewien kłopot. Szczerze doceniał rozkwit sztuki rosyjskiej w ostatnim stuleciu możliwy właśnie dzięki Akademii, która przekazywała studentom zachodnie wzorce. Wiedział, że jest wielkim beneficjentem, a nawet dłużnikiem Akademii. Był jej wdzięczny za pomoc w swoim rozwoju artystycznym. Ale rozumiał też argumenty młodszych kolegów. Zapraszał ich chętnie do siebie na Krym i słuchał z uwagą, kiedy pełni pasji i niezachwianej pewności mówili: „Akademia uczy malarzy tylko warsztatowego kopiowania zachodnich wzorów, a rosyjska sztuka powinna wyrastać z ducha rosyjskiego narodu”. „W zachodnich wzorcach w kompozycji panują chłód i sztywność. Nie musimy małpować Francuzów i Włochów, możemy malować rosyjski lud i rosyjską ziemię jak Rosjanie. Możemy uchwycić i oddać rosyjską duszę”. „Musimy zacząć tworzyć własną sztukę na miarę naszych czasów i na miarę wielkości rosyjskiego ludu”.

I choć Iwan sam nadal malował najchętniej wzburzone fale albo spokojną taflę wody w księżycową noc, to jednak przyglądał się z uwagą, jak jego młodszy koledzy tworzą nowy kierunek – malarstwo rodzajowe przedstawiające sceny z życia rosyjskiego społeczeństwa. Sam wiedział, że jego talent jest oryginalny i jedyny w swoim rodzaju, uznawał więc prawo innych do poszukiwania własnego niepowtarzalnego stylu.

Bunt młodych wobec zaleceń Akademii narastał. Pewnym echem

odbił się w Rosji francuski Salon Odrzuconych, wielka wystawa zorganizowana przez malarzy, których płótna nie zostały zakwalifikowane przez jury oficjalnego Salonu Paryskiego. Gazety uznały to wydarzenie za przywrócenie wolności sztukom. A kiedy w Rosji zbliżała się setna rocznica utworzenia Akademii, jej absolwenci ubiegający się o wielki złoty medal wystosowali do władz petycję z prośbą, by pozwolono im na swobodny wybór tematu (spór dotyczył bowiem nie tylko tego „jak”, lecz także tego, „co” malować). Jednak władze odrzuciły tę prośbę i zażądały obrazów przedstawiających ucztę Odyna i bohaterów według mitologii skandynawskiej. Słyszając tę odpowiedź, przywódca grupy Iwan Nikołajewicz Kramskoj oświadczył, że warunki są nie do przyjęcia, i wraz z kolegami wycofał się z konkursu.

– Gdyby to się zdarzyło wcześniej, to wszystkich was wzięliby w żołdacy! – powiedział mu wtedy jeden ze starszych profesorów.

Zbuntowani malarze utworzyli Zrzeszenie Wolnych Artystów. Taki akt nieposłuszeństwa nie mógł pozostać bez odpowiedzi. Dano im miesiąc na spakowanie się i wyprowadzenie z budynków Akademii. Kramskoj wynalazł dom, w którym niepokorni artyści zamieszkali wspólnie, a gospodarstwo prowadziła jego żona. Malowali portrety na zamówienie, udzielali lekcji rysunku, a część dochodów oddawali do wspólnej kasy.

– Wiesz, Iwanie, przyjacielu – wyznał niedługo potem Kramskoj zaproszony przez Ajwazowskiego do Teodozji – że dzień utworzenia Zrzeszenia był najszczęśliwszym dniem w moim życiu? Zawsze marzyłem o niezależności. Dla człowieka nie ma nic cenniejszego niż wolność, nawet w Rosji, a może zwłaszcza w Rosji.

– Masz na myśli wolność artystyczną?

– Nie tylko. Każdą wolność.

Ale Ajwazowski, ulubieniec Akademii i carskiego dworu, opływający w dostatek i przywileje, podziwiany i hołubiony przez władze, pozostał sceptyczny.

– Wolność powiadasz... Ale z czego będziecie żyć, jeśli nie ze zleceń i z pensji Akademii?

– Będziemy malować portrety.



– Portrety? Na co ludziom zamawiać portrety, skoro wynaleziono fotografię? Mam znajomego fotografa, nie może się opędzić od zleceń.

– Wiem, sam pracowałem dawniej w zakładzie fotograficznym jako retuszer. Ale obraz to co innego: zawsze znajdują się ludzie dość próżni, by zamówić swój portret – odpowiedział Kramskoj.

– Wspomnisz moje słowa: uważam, że robicie błąd i wróćcie do Akademii.

Rzeczywiście, okazało się wkrótce, że utrzymać się samodzielnie z malowania nie było łatwo. Wolni artyści klepali biedę. W ich gorących dyskusjach wciąż powracał temat: jak Rosjanie mają kochać i kupować swoją sztukę, skoro jej nie znają?

Uznali, że sztuka rosyjska powinna być bliska rosyjskiemu społeczeństwu, powinna wyjść mu naprzeciw. Dlatego utworzyli Towarzystwo Objazdowych (pieriedwiżnych) Wystaw Artystycznych.

„Dlaczego obrazy narodowych twórców miałyby być pokazywane tylko publiczności w Moskwie i w Petersburgu? – pytali. – A co z pozostałymi guberniami? A Kijów, Charków, Kiszyniów, Odessa? W jaki sposób rosyjski lud ma pokochać swoją sztukę, skoro w ogóle jej nie widuje?”

„Będziemy jeździć z wystawami po kraju! – wymyślili. – Pokażemy nasze obrazy w miastach gubernialnych! Będziemy je sprzedawać bogatym kupcom, oficerom i urzędnikom na dalekich rubieżach”

Ajwazowski nadal nie podzielał ich entuzjazmu.

– Nic z tego nie wyjdzie. Lud Rosji nie jest gotowy do odbioru sztuki – przekonywał. – Lud kocha i czci ikony, ale malarstwo rodzajowe uważa za zachodni wymysł. To sztuczny przeszczep z Zachodu, którego lud nie rozumie.

– Nie rozumie, bo nie zna – ripostował namiętnie Kramskoj. – Dlatego trzeba mu pokazywać obrazy. Nasz lud jest wrażliwy na piękno. Zobaczy i pokocha. A wtedy kupi. Jedziemy do Kiszyniowa i do Odessy.

Iwan uśmiechnął się do niego.

– Nic tam nie sprzedacie. Wspomnisz moje słowa.

Miał rację. Ani w Kiszyniowie, ani w Odessie nikt nic nie kupił. Wszystkie obrazy kupiono w Petersburgu i Moskwie, żadnego

w miastach prowincjonalnych. Ale przełom się dokonał. Rosyjska sztuka wyszła do swojej publiczności. Pod wpływem wystaw niektóre miasta otworzyły pierwsze muzea i galerie sztuki. Malarze zarobili co nieco na sprzedaży biletów i albumów.

Członkowie Towarzystwa, nazywani od jego nazwy pieriedwiżnikami, nie poddali się ani nie zrezygnowali ze swoich przekonań. Chcieli tworzyć sztukę narodową i ją popularyzować. Pragnęli, by ich obrazy ukazywały rzeczy ważne: biedę ludu, zacofanie Rosji, prześladowania polityczne. I by przemawiały do całego społeczeństwa. Kolejne wystawy objazdowe organizowali co roku, obserwując z satysfakcją rosnące zainteresowanie publiczności.

Oczywiście, nie zabrakło i krytyków tego przedsięwzięcia. Byli tacy, którzy wciąż trzymali stronę Akademii. Ich zarzuty dotyczyły tego, że płótna pokazywane na obwoźnych wystawach są banalne, a więc nie spełniają wymogów stawianych dziełom sztuki, które powinny uszlachetniać i uwznioślać widzów.

Na szczęście znalazł się człowiek, który zrozumiał i docenił ich wysiłki. A do tego dysponował pokaźnym majątkiem. Paweł Michajłowicz Trietiałow, moskiewski kupiec i przedsiębiorca, posiadał przedziałnie, w których zatrudniał kilka tysięcy ludzi, a przy tym kochał i rozumiał sztukę. Początkowo kolekcjonował malarstwo holenderskie, ale jako szczerzy rosyjski patriota postanowił wspierać głównie sztukę rodzimą. Zaczął kupować obrazy rosyjskich malarzy i tworzyć z nich nową narodową kolekcję. Pieriedwiżnicy znaleźli w nim najwierniejszego odbiorcę swoich obrazów, prawdziwego mecenasa, który nie tylko uczestniczył we wszystkich wystawach grupy i kupował najlepsze płótna, o ile nie ubiegł go dwór carski lub któryś z wielkich książąt, lecz także zamawiał obrazy na zadane tematy. W ten sposób stał się współtwórcą rozwoju narodowego malarstwa. Jego marzeniem było utworzenie galerii otwartej dla publiczności. Z tą myślą gromadził obrazy i zamawiał kolejne, zwłaszcza portrety wybitnych rosyjskich pisarzy, kompozytorów i ludzi nauki. Choć, jak na kupca przystało, targował się zawzięcie, to jednak dzięki jego zamówieniom wielu pieriedwiżników miało środki do życia, a ich malarstwo zyskiwało uznanie i popularność.

Iwan Ajwazowski przyglądał się działaniom pieriedwiżników z życzliwością. Wiedział, że nie pochwalają jego niezmiennie romantycznego stylu i uważają, że warto malować jedynie problemy społeczne w sposób realistyczny. Ale wolał pozostać wierny sobie i estetyce przyjętej w młodości, niż podążać z duchem czasu i kierować się gustami innych. To było jego pole wolności – malować według własnych upodobań ulubione motywy. Uważał, że każdy malarz potrafi namalować chłopca pańszczyźnianego stojącego z żalosną miną przed ubogą chatą. Ale nie każdy potrafi pokazać blask księżyca na wzburzonych falach, tak że niemal chce się wyciągnąć rękę, by ochłodzić palce w słonej wodzie.

## Rozdział XVI

### Pójdę z nim!

Obudziłam się rano w swoim łóżku. Nie miałam pojęcia, kto mnie tam zaniósł i przebrał w nocną koszulę. Czułam się dziwnie słabo. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam siedzącą przy mnie ciocię Nadire. Jej twarz miała wyraz takiej troski, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widziałam.

– Co się stało? – zapytałam niepewnie.

– To ty mi powiedz, co się stało. Kiedy zeszłam wczoraj na werandę, leżałaś nieprzytomna w kałuży krwi.

– O Boże... – jęknęłam.

– Twoja mama posłała w nocy po doktora. Powiedział, że przeżyłaś silny szok i musisz wypocząć. Miał wrócić rano. Powiesz mi, co ci dolega?

– Co z Pietią?

– Zabrali go do aresztu. Podobno był donos, że jest wywrotowcem. To prawda?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo przerwało nam skrzypnięcie otwieranych drzwi, w których zobaczyłyśmy mamę obok lekarza.

Doktor Strumiłow przychodził zawsze, gdy któraś z nas chorowała poważniej, a domowe receptury zawodziły. Nie darzono go sympatią, ale był świetnym lekarzem. Mieszkał niedaleko nas, w jednej z nadmorskich willi. Dużo liczył za wizytę, ale od mamy brał mniej, bo to jego wzywała do chorujących gości pensjonatu. Doktor Strumiłow nosił druciane okulary i jasną brodę, był wysoki i chudy, a przy tym poruszał się dość sztywno. Czułam się przy nim bardziej skrępowana niż przy Wasylisie, chociaż jego też znałam od dziecka.

– No i co, moja panno? – zapytał, gdy zostaliśmy sami.

Byłam kompletnie zmieszana i zagubiona. Zastanawiałam się szybko, czy powiedzieć mu o ciąży. Nawet nie zdążyłam wyznać tego Pieti! Ani mamie. Byłam teraz nie tylko nieletnią, niezamężną matką, ale i matką samotną, bo ojca dziecka właśnie aresztowano. Gdybym leżała w pokoju sama, chyba zaczęłabym płakać w głos nad swoim losem.

Strumiłow wziął mnie za rękę i zbadał mi puls. Chwilę liczył,

patrząc na cyferblat swojego złotego zegarka, po czym ściągnął kołdrę z mojego łóżka i rzucił ją na fotel.

– Podciągnij koszulę, muszę cię zbadać – rzucił krótko.

Co? Byłam przyzwyczajona, że przy ciężkim przeziębieniu osłuchiwał moje piersi, ale jeszcze nigdy nie badał mnie w ten sposób.

– Co za fochy? Przecież to nie pierwszozna... – mruknął pod nosem.

Wydało mi się to grubiańskie, ale kobieta w koszuli nocnej czuje się taka bezradna wobec mężczyzny ubranego w czarny surdut i muszkę. A zwłaszcza kobieta w koszuli podciągniętej do pasa. Doktor Strumiłow nie tylko zajrzał między moje nogi, ale także włożył tam palec, a nawet jakieś zimne metalowe narzędzie. Zaciskałam mocno powieki, żeby nie płakać z upokorzenia.

– Tak przypuszczałam... – mruknął, kiedy skończył badanie i miłosiernie opuścił moją koszulę. – Poroniłaś, moja panno.

– Co?!

– Poroniłaś. Byłaś w ciąży, a pod wpływem silnego szoku zemdliałaś i straciłaś dziecko. Czasem tak się dzieje. W twoim przypadku to może nawet lepiej... – Popatrzył na mnie surowo.

Ta diagnoza odebrała mi mowę. Dopiero co byłam przerażona perspektywą wczesnego macierzyństwa. Ale gdzieś na dnie duszy zaczęłam już sobie wyobrażać nasze szczęśliwe życie: ja z Pietią i maleńkim słodkim dzieckiem. Zaczynałam już kochać tę małą istotkę. A teraz nie miałam ani Pieti, ani dziecka. Poczucie nagłej pustki okazało się nie do zniesienia.

– Muszę powiedzieć twojej matce – usłyszałam słowa doktora. – Obowiązuje mnie wprawdzie tajemnica lekarska, ale ty jesteś niepełnoletnia. Więc lepiej się zastanów, jak jej to wyjaśnisz, moja panno.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy mamy, kiedy weszła do mnie po rozmowie z doktorem Strumiłowem. Najchętniej schowałabym się w mysią dziurę – tyle było w jej oczach żalu, wyrzutu, rozczarowania, smutku.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem.

– O czym? O Pieti czy o ciąży? – zapytałam niewiele głośniej.  
– O wszystkim.  
– Ty też nie o wszystkim mi mówisz...  
– Kochałaś go? – Teraz w jej oczach malowało się już głównie współczucie.

– Tak... – odrzekłam i mój Pietia stanął przede mną jak żywy. Na myśl, że miałabym go więcej nie zobaczyć, serce prawie przestało mi bić. – Mamo...

– Tak?

– Jeżeli go skazają na Sybir, pójdę razem z nim.

Teraz mama popatrzyła na mnie przytomnie. Ani z żalem, ani ze współczuciem, tylko zupełnie trzeźwo.

– Nawet mowy nie ma – oznajmiła stanowczo.

– Przecież mówiłam ci: kocham go. Chcę być z nim. Jestem mu to winna.

– Maryniu, nic mu nie jesteś winna.

– To nasza służąca go wydała.

– Anuszka? Skąd wiesz? Dlaczego?

– Nie mam pewności, ale tak przypuszczam. Ona kocha cara, jakby był świętym. I tak nie mogłabym żyć z nią pod jednym dachem. Wolę żyć z Pietią, choćby na Syberii.

– Nie wiesz, co mówisz. Syberia to białe piekło. Nie puszczę cię tam.

– Wystarczy, że się przyznam, że z nim współpracowałam – zagroziłam buńczucznie, a mama wyglądała, jakby ją ktoś ugodził nożem.

Długo próbowała przemówić mi do rozsądku i odwieść od moich zamierzeń, jednak pozostałam nieugięta. Wiedziałam, że sprawiam jej ból, ale myślałam też o bólu Pieti, który za swoje niewinne gadanie mógł zostać zesłany do białego piekła. Czy nie było moim obowiązkiem pójść tam za nim?

Wreszcie, kiedy ani mama, ani ciocia Nadire nie zdołały mnie przekonać, kolejnego ranka odwiedził mnie wujek Iwan.

– Maszeńka, dziecko, co ty chcesz zrobić? – zapytał z dobrotliwym uśmiechem.

– Jeśli Pietię skazą na Sybir, to pójdę z nim – odpowiedziałam.

– Bo?

– Bo go kocham!

– Ten rewolucjonista zawrócił ci w głowie, bo to ładny chłopiec, ale jesteś przecież rozsądną dziewczyną, nie wierzysz w te wichrzycielskie hasła.

– Przeciwnie, wujku. Zgadza się z Pietią, że w Rosji panują despotyzm i ucisk. Jego aresztowanie tylko to potwierdza.

Wujek Iwan zamyślił się i popatrzył w dal.

– W twoim wieku łatwo się zakochać, ale odkochać też łatwo. A co będzie, jeśli pójdziesz na ten Sybir i tam się odkochasz? Albo jeszcze po drodze? Stamtąd wrócić trudno.

– Myślicie, że to dziecinny kaprys, który zaraz przejdzie? Nie!

Wujek Iwan patrzył na mnie tak, jakby rzeczywiście kochał mnie jak własną córkę. Widziałam, że naprawdę się o mnie martwi. Długo zastanawiał się w milczeniu.

– Ech, Maszeńka, ludzka miłość może nas zwieść i rozczarować, miłość Boga i sztuka nigdy. A co będzie z twoim malarstwem? – zapytał wreszcie, patrząc mi prosto w oczy. – Możesz zostać dobrą artystką, malować piękno świata. Sztuka jest ważniejsza od rewolucji, bo rewolucja niszczy, a sztuka tworzy dzieła. Masz prawdziwy talent po to, by przekazywać ludziom piękno na płótnie, by tworzyć rzeczy dobre dla nich. A z twojego poświęcenia nie będzie nic dobrego, tylko zmarnujesz życie, unieszczęśliwisz siebie i nas.

Nigdy nie mówił do mnie w ten sposób. To znaczy nigdy jeszcze mi nie powiedział, że mam talent i że mogę stać się prawdziwą artystką. Owszem, kochałam malowanie obrazów, ale traktowałam to jak hobby, jak przyjemność i pasję. Moim „zawodem” miało być w przyszłości prowadzenie pensjonatu. Teraz po raz pierwszy zaświtała mi myśl, że malarstwo mogłoby być główną treścią mojego życia. I wydało mi się to bardzo pociągające.

Po tygodniu dotarła do nas wiadomość, że Pietia został skazany na dziesięcioletnie zesłanie w głąb Syberii – nie na katorgę, nie do pracy w kopalni, tylko na osiedlenie. Poza donosem Anuszki nie było przeciw niemu żadnych dowodów, ale obawiam się, że w czasie śledztwa Pietia

mógł wyrażać swoje sądy z taką odwagą czy też raczej z taką bezczelnością, że rozwścieczeni sędziowie woleli odizolować go od grup młodzieży z Petersburga i Moskwy jako potencjalnego buntownika i spiskowca. Ten wyrok oznaczał, że Pietia nie skończy wymarzonych studiów. Ale oznaczał też, że nie straci zdrowia i życia w kopalni i być może wróci do nas po dziesięciu latach. Postanowiłam na niego czekać. Przez kilka nocy płakałam w poduszkę z żalu nad losem Pieti, nad naszym dzieckiem i nad naszą przerwana miłością. Było mi trochę wstyd przed sobą, że dałam się przekonać wujkowi Iwanowi do bezpiecznego pozostania na Krymie. Ale potem wytłumaczyłam sobie, że przez te lata będę wierna Pieti i przygotuję nam miejsce do wspólnego życia. Nauczę się prowadzić pensjonat, w którym zamieszkamy, a wolny czas poświęcę sztuce – stanę się świetną malarką i może nawet wyjadę do Petersburga na studia w Akademii. Kiedy Pietia wróci, kto wie, może będę sławna, a wtedy przyjmę go z otwartymi ramionami i zapewnię spokojne życie po trudach zesłania.

Ostatniego dnia, kiedy Pietia miał odjechać w kibitce na północ, na plac przed budynkiem aresztu przyszło parę osób. Ira i Dajdżan przynieśli mu gruby barani kozuch i pled z wielbłądziej wełny. Jego matka Praskowia zalewała się łzami i wciąż się żegnała, nie mogąc uwierzyć, że jej jedyny syn rozpoczyna swoje dorosłe życie w ten sposób. Przyniosła mu tobołek z osobistymi rzeczami i trochę zapasów na drogę. Jego ojciec, diakon, miał dla niego słowa błogosławieństwa i srebrny krzyżyk, który Pietia nieoczekiwanie założył. Widać pomimo deklarowanej wiary w światopogląd naukowy wołał na wszelki wypadek mieć i Pana Boga po swojej stronie. A ja przyniosłam mu swój mały autoportret, żeby nie zapomniał o mnie przez te długie dziesięć lat. Strażnicy pozwolili mu pożegnać się z bliskimi. Kiedy już matka wypuściła go ze swych rozszlochanych objęć, kiedy pożegnał się z ojcem, Irą i Dajdżanem, podeszłam do niego na końcu. Wydawało się, że przez te tygodnie aresztu przybyło mu kilka lat. Nie chodziło o to, że się postarzał, bo wciąż był młody i piękny, nie chodziło nawet o zmęczenie i bladość, ale o jakąś nową dojrzałość w jego oczach. Tak bardzo nie chciałam się z nim rozstawać! Już zaczynałam żałować, że stchórzyłam i dałam się przekonać do pozostania na miejscu. Przez



ostatnie dni wciąż się zastanawiałam, czy powinnam mu wyznać to, czego nie zdążyłam przed jego aresztowaniem. Wreszcie uznałam, że ma prawo wiedzieć.

– Pietia... – szepnęłam mu do ucha, kiedy trzymał mnie w objęciach na pożegnanie.

– Tak, Masza? – zapytał ochryple.

– Muszę ci coś wyznać.

– Tak, wiem, Masza: kochasz mnie – odparł trochę oschle, jakby to już nie miało wielkiego znaczenia.

– To też, Pietia, ale jest coś jeszcze... Nosiłam twoje dziecko.

Pietia wypuścił mnie z objęć i spojrzał mi w twarz kompletnie zaskoczony.

– I co?

– I... straciłam je. Tego wieczoru, kiedy cię aresztowali. Pamiętasz? Zemdląłam...

Pietia złapał się za głowę, a potem przygarnął mnie do siebie w mocnym, niedźwiedzim uścisku i trzymał tak długo. Boże, jak bardzo chciałam w tamtej chwili wskoczyć do kibitki razem z nim! Czułam, że kocham go całym sercem i że on też mnie kocha i potrzebuje.

– Więc jesteśmy rodziną, Maszeńka... Będziesz na mnie czekać?

– Będę! – zapewniłam go żarliwie i poczułam na policzkach gorące łzy, które obmywały nam twarze, trochę moje, a trochę Pieti.

Wcisnęłam mu do ręki swój autoportret. Pietia popatrzył na owalny obrazek w drewnianej ramce, potem na mnie i uśmiechnął się serdecznie, szeroko, pierwszy raz tego dnia.

– Koniec pożegnań, jechać! – krzyknął strażnik, wepchnął Pietię do środka, zaciął konie biczem i kibitka ruszyła.

Upadłam na kolana i płakałam, patrząc na oddalający się pojazd, który niósł w nieznane mojego ukochanego. Dopiero kiedy zniknął za zakrętem, podeszła do mnie Ira i delikatnie podniosła mnie z ziemi. Jej wzrok przepełniało współczucie.

– Nie miałam pojęcia, że się kochaliście... – powiedziała smutnym głosem.

Nie wiedziałam, czy smuciła się ze względu na los Pieti, na naszą rozłąkę, czy na zawód jej brata. W tej chwili było mi wszystko jedno.

Spojrzałam na Dajdzana. Odwrócił wzrok, ale zdążyłam jeszcze uchwycić wyraz głębokiego zranienia w jego oczach.

Wróciłam do domu. Na parterze w holu, przy recepcji naszego pensjonatu natknęłam się na Anuszkę. Miałam ochotę rzucić się na nią z pięściami. Jej pełen satysfakcji uśmiech działał na mnie jak płachta na byka.

– Czy to ty napisałaś donos na Pietię? – zapytałam, stając nad nią z założonymi rękami.

Była niższa ode mnie o głowę.

– Przecież ja nie umiem pisać, panienko – odpowiedziała chytrze. – Umiem tylko gotować i sprzątać.

– Mogłaś komuś powiedzieć.

Anuszka wzięła się pod boki i spojrzała na mnie hardo.

– A tak! Powiedziałam. Poszłam na posterunek żandarmów i powiedziałam im, że to obraza boska, żeby syn diakona znieważał najświętszą Cerkiew i najjaśniejszego pana. Żeby gadał o rewolucji. Jego ojczulek mówi, że to Antychryst do rewolucji podjudza, a synalek na nauki posłany co? Przeciw własnemu ojcu i własnemu carowi się zwraca? Obraza boska! Nie może tak być!

– Wynoś się stąd. Wynoś się natychmiast z mojego domu – wysyczałam cicho, powstrzymując wybuch furii.

Mina jej zrzędła.

– No co też panienka? To nie panienki dom – odezwała się już mniej pewnym głosem.

– Nie będę mieszkać z tobą pod jednym dachem, donosicielko. Zniszczyłaś mu życie. I mnie. Wynoś się stąd.

Anuszka spojrzała na mnie nienawistnym spojrzeniem. Ze schodów zeszła właśnie moja mama.

– Emilio Emiliewno, chyba mnie pani nie wyrzuci po tylu latach. Gdzie ja pójdę? – zapytała żałośnie.

– Mamo, nie będę z nią mieszkać pod jednym dachem – powtórzyłam spokojnie.

Mama zmarszczyła brwi. Przenosiła wzrok z Anuszki na mnie i z powrotem. Czekaliśmy obie na jej decyzję. Wreszcie sięgnęła po żółtą, haftowaną sakiewkę, którą dostała kiedyś od mamy Iry, wyjęła z niej

kilka srebrnych rubli i wręczyła Anuszcze.

– To zapłata za dwa miesiące z góry – stwierdziła. – Dziękuję za twoją pracę, ale dłużej nie będziemy cię już potrzebować. Idź z Bogiem, Anuszeko.

Anuszeko wzięła ruble, spojrzała na mamę takim samym nienawistnym wzrokiem jak wcześniej na mnie i splunęła jej pod nogi. Poszła do swojej izdebki przy kuchni, spakowała tobołek i wyszła bez słowa, trzaskając drzwiami. Więcej jej nie widziałam.

Odejście służącej oznaczało dla nas więcej obowiązków, przynajmniej do czasu znalezienia nowej pomocy domowej. Mama uważała, że skoro to ja nalegałam na odprawienie jej, to powinnam teraz uczestniczyć w jej pracach, dlatego musiałam sprzątać pokoje, zmieniać gościom pościel i gotować obiady. Ale nie narzekałam – zajęta nowymi obowiązkami miałam mniej czasu na rozmyślanie i tęsknotę. Kiedy jednak znajdowałam wolną chwilę, stawałam przy sztalugach. A tam spod mojego pędzla nie chciało wyjść nic innego, jak tylko kolejne portrety Pieti, które malowałam z pamięci. Bo ciągle miałam go przed oczami. Pietia z książką, Pietia na werandzie, Pietia z profilu, Pietia uwożony kibitką... Namalowałam siedem takich portretów. Najlepszy, najwierniejszy z nich podarowałam Praskowi.

To była bardzo smutna zima. Samotne wieczory wypełniały mi wspomnienia minionego lata, tęsknota za Pietią i dzieckiem, które straciłam, a także marzenia o tym, jak piękne mogłoby być moje życie, gdyby nie podłość naszej służącej.

Jednego z takich wieczorów, gdy mroźny wiatr dał w ciemną noc, zacinając ukośnie deszczem i śniegiem, w pensjonacie było pusto, a my siedziałyśmy w saloniku przy kaflowym piecu, usłyszałyśmy nagle pukanie do drzwi. To był Dajdżan. Całkiem przemoczony. Chciał ze mną porozmawiać w cztery oczy, więc zaprosiłam go do kuchni i dałam gorącą herbatę z sokiem z malin.

– Masza, wiem, że wybrałaś Pietię – powiedział, patrząc mi w oczy. – Żałuję, że nie dałaś mi tej szansy. Ja bym jej nie zmarnował i nie wpakował ciebie ani siebie w takie tarapaty. A teraz jego wywieźli, to tak, jakby już nie żył. A i ty, jak słyszałem... nie jesteś już taka jak dawniej.

Słuchałam go w milczeniu. Zastanawiałam się, kto roznosi po mieście plotki na mój temat. Suwriłow? Anuszka?

– Więc, Masza, on jakby już nie żył, a i tobie... nie będzie łatwo znaleźć męża. Wiesz, jacy są ludzie i co gadają.

Nie wiedziałam, co ludzie gadali, i nic mnie to nie obchodziło.

– Dlatego chciałem ci powiedzieć, że jeśli chcesz, to... ja się z tobą ożenię.

Powiedział to takim tonem, jakby składał u moich stóp ofiarę ze swego życia. Ale ja nie chciałam jego ofiary. Choć doceniałam, jak wielkoduszna była ta propozycja.

– Dziękuję ci, Dajdżan, ale zasługujesz na dziewczynę, dla której to ty będziesz całym światem. A o mnie się nie martw. Nie zamierzam wychodzić za mąż. Będę czekać na Pietię. I będę malować.

Przez następne lata trzymałam się tej deklaracji.

## Rozdział XVII

### Kemal

Choć Emilia kochała swojego męża całym sercem, po jego śmierci, gdy było już wiadomo, że Rosjanie przegrają tę wojnę i gdy podjęła brawurową decyzję, że nie powróci do Stambułu, jakiś wewnętrzny głos kazał jej zataić to, że została żoną Turka. Wyczuwała, że rosyjska дума narodowa, głęboko zraniona przegraną wojną, nie pozwalała Rosjanom widzieć w Turkach zwykłych ludzi, lecz jedynie znieawidzonych wrogów, którzy zamiast ulec rosyjskiej przewadze, zyskali wsparcie zachodnich potęg. Emilia szybko się zorientowała, że tym, co najboleśniej dotknęło Rosjan, była nie sama przegrana, która na wojnie jest zwykłą kolejną rzeczą, lecz bezlitośnie odsłonięta słabość państwa, jego zacofanie i zapóźnienie wobec Europy. Brak linii kolejowych, brak telegrafu, słabe uzbrojenie, niski poziom techniki i ewidentnie niski poziom cywilizacyjny, uświadomione Rosjanom brutalnie przez tę klęskę, były szokujące dla ludzi, którzy od urodzenia wierzyli w potęgę i wszechmoc cara. I wtedy, nieoczekiwanie, ci Rosjanie, których nienawidziła kiedyś za to, że zabrali jej rodziców i dom, stali jej się dziwnie bliscy w swojej słabości. Język rosyjski, którego nie używała od lat, a który teraz otaczał ją zewsząd, wydał jej się delikatny, melodyjny i miękki. Poczła się nie tyle Polką, ile Słowianką, spokrewnioną dalekimi więzami z tymi pokonanymi ludźmi. Dlatego nie chciała im mówić o swojej tureckiej przeszłości. Pytana o męża odpowiadała tylko, że zginął pod Sewastopolem, co nieodmierne wywoływało współczucie i sympatię. Kobiety, słysząc to, kiwały głowami i gładziły ją po brzuchu, gdy zrobił się już widoczny. Jej słowiański wygląd nie budził podejrzeń.

Emilię niepokoiło jedynie to, że jej nienarodzone jeszcze dziecko może ulec złudzeniu, że jego ojcem był rosyjski żołnierz, zapewne oficer. Zastanawiała się, czy ma prawo nie wyjawić prawdy i odciąć je od pamięci o domu Zakira. Co jednak, jeśli w nowym otoczeniu byłoby wciąż napiętnowane z racji pochodzenia? Ostatecznie uznała, że będzie dla wszystkich bezpieczniej, jeśli nie ujawni swoich związków z krajem nieprzyjaciela, przynajmniej świeżo po wojnie. Wiedziała, że rejestrując urodzenie dziecka, będzie musiała podać imię jego ojca, by zgodnie

z rosyjskim zwyczajem stało się częścią oficjalnego nazwiska potomka. Imię Zakir nie brzmiało ani trochę po słowiańsku. Postanowiła posłużyć się imieniem Andrzej czy też Andriej, które brzmiało równie dobrze po polsku i po rosyjsku, oraz własnym nazwiskiem panięmskim: Konarska.

Emilia z Nadire dotarły z Bałakławy do Teodozji drogą morską – zabrał je jeden z brytyjskich okrętów patrolujących północne wody Morza Czarnego. Podróż wzdłuż krymskiego wybrzeża pozwoliła Emilii zobaczyć i odczuć dzikie piękno tego rejonu. Błękitne morze na tle gór i bujnej zieleni zachwycało intensywnością barw. Kiedy stanęły w porcie w Teodozji, rezydencję Ajwazowskiego wskazał im pierwszy napotkany człowiek. Willa w stylu włoskiego renesansu była chyba najokazalszym budynkiem w mieście. Emilia się zawahała – wtargnięcie do cudzego domu bez uprzedzenia wydało jej się obcesowe i nietaktowne. Już chciała się wycofać, gdy Nadire przytrzymała ją za rękę.

– Nie masz wyboru. Skoro nie chcesz wracać do Gülşen, musisz spróbować. Nie po to mnie tu przywlokłaś, żeby teraz uciec!

Emilia nacisnęła dzwonek. Po chwili schludna pokojówka zaprowadziła je do obszernej sieni i kazała tam poczekać.

– Pan teraz maluje – powiedziała. – Pani zaraz zejdzie.

Emilia już chciała wycofać się w popłochu, bo cóż miałyby powiedzieć jego żonie, ale silne ramię Nadire znowu przytrzymało ją w miejscu. Patrzyły na misternie rzeźbioną marmurową balustradę schodów, po których płynęła kobieta o długich czarnych włosach, spowita w żółtą jedwabną suknię. Była blada, a jej okrągły brzuch wypinał się pod jedwabiem. „Może nasze dzieci będą się kiedyś bawić razem” – przemknęło Emilii przez myśl, ale gdy dostrzegła wyniosły, zniecierpliwiony wyraz jej twarzy, szybko porzuciła tę wizję. Czuła się niezręcznie.

– Proszę wybaczyć to najście – zaczęła po francusku, bo kobieta nie wyglądała na Rosjankę.

– Co panie sprowadza? – zapytała żona malarza chłodno, nie siląc się na uśmiech.

– Przybywamy prosto z Sewastopola – przemówiła Nadire pewnym głosem. – Pani Emilia Konarska właśnie straciła męża na froncie, a pan Ajwazowski zapraszał ją do Teodozji. Licząc na jego

łaskawą życzliwość, przyjechałyśmy.

Julia wzniosła oczy do sufitu.

– Ta jego wieczna litość – mruknęła pod nosem, jednak na tyle głośno, że Emilia to dosłyszała.

Była gotowa wstać i opuścić ten dom. Poczuli się jak natrętny intruz. Wtedy jednak boczne drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki mężczyzna z długimi bokobrodami, ubrany w poplamiony farbą fartuch.

– Co za niespodzianka! Jak miło panią widzieć! – wykrzyknął na widok Emilii, a jego twarz emanowała szczerą radością i ciepłym, łagodnym uśmiechem, który zdołał rozproszyć chłód spotkania z jego żoną.

Emilia opowiedziała mu o tym, że została wdową i że nie chce wracać do domu męża, dlatego jest gotowa rozpocząć nowe życie.

– Chyba Anioł Stróż mi panią zesłał – rzekł ciepło. – Właśnie nabyłem willę z przeznaczeniem na pensjonat. Szukam odpowiedniej osoby, która mogłaby go prowadzić. Nie znamy się długo, ale artyści wyczuwają ludzi; a ja jestem przekonany, że jest pani najlepszą osobą, jaką mogłem znaleźć. Czy zgodzi się pani zamieszkać tu, po sąsiedzku, i zająć prowadzeniem pensjonatu? Byłbym szczęśliwy, bo moja żona źle znosi nadmiar gości w domu, a mam wielu przyjaciół, którzy lubią mnie odwiedzać.

Emilia w najśmielszych marzeniach nie spodziewała się tak korzystnego obrotu sprawy. Znalazła nie tylko dach nad głową, ale także zajęcie i źródło utrzymania na lata. Okazało się wprawdzie, że willa wymaga remontu, ale i tak perspektywa zamieszkania tuż nad morzem wydała jej się wspaniała. Wkrótce razem z Nadire włączyły się aktywnie w prace remontowe i urządzenie pensjonatu, który miał się stać ich nowym domem.

Po niedługim czasie Emilia miała więc prawie wszystko, o czym mogła marzyć, by móc rozpocząć nowe życie. Brakowało jej tylko jednego – syna.

Wybrała się po niego do Stambułu późnym latem. Dwudniowa podróż morską minęła szybko i wygodnie. Nie próbowała zawierać znajomości na pokładzie, myślała o tym, co ją spotka w dawnym domu Zakira. Odzwyczajona od zakrywania twarzy, ze zdziwieniem zauważyła

szczelnie pozasłaniane kobiety kupujące świeże ryby od rybaków w porcie. Niechętnie założyła zasłonę na twarz – bez przekonania, jedynie po to, by uniknąć niemiłych zaczepk. Odczuła równie mocno, jak za pierwszym razem, że wkroczyła do zupełnie innego świata, i ku swojemu zdziwieniu poczuła jego obcość, choć przecież przez tyle lat był to jej świat.

Dawniej wykorzystałaby okazję, żeby pospacerować po którymś z bazarów, teraz jednak chciała jak najszybciej zobaczyć swego syna. Kupiła w porcie jego ulubioną czekoladową chałwę i wynajęła łódkę, która dowiozła ją wprost na miejsce. Cisnęły jej się przed oczy wspomnienia dawnych dobrych chwil spędzonych w tym domu.

Emilia chciała jak najszybciej uściskać Kemala, ale go nie zastała – Murat zabrał go na wycieczkę do Sztambułu.

Gdy zobaczyła Gülşen, z trudem ją poznała. Matka Zakira postarzała się o kilka lat – jej włosy zupełnie zbieleły, a w oczach zgasła iskra, która płonęła jeszcze przed wyjazdem Emilii na front. Twarz Gülşen wyrażała nie tylko żalobę i smutek. Wyrażała taką rozpacz, jakby jej życie straciło sens. Emilia doświadczyła już śmierci rodziców, ale patrząc na swoją teściową, zrozumiała, że śmierć własnego dziecka jest po stokroć gorsza. W pierwszym odruchu chciała ją objąć i przytulić, ale wyczuła w niej rezerwę i chłód, a nawet jakąś niezrozumiałą niechęć.

– Nie spieszyłaś się z powrotem. Twój mąż umarł parę miesięcy temu. Mało ci było tej wojny? – zapytała Gülşen z przekąsem.

Emilia nabrała powietrza.

– Gülşen, ja nie wróciłam. Przyjechałam tylko po Kemala. Wezmę swoje rzeczy i odpływam na Krym – odparła, patrząc jej prosto w oczy.

– To nie jest dobra pora na żarty.

– To nie są żarty. Postanowiłam zostać na Krymie. Dlaczego miałabym mieszkać tutaj, skoro mojego męża już tu nie ma?

Gülşen patrzyła na nią jak na obłąkaną.

– Może dlatego, że tu jest twój dom, twoja rodzina, a przede wszystkim twój syn? Czy to przestało się liczyć?

– Nie. Dlatego przyjechałam po Kemala. Wezmę swoje dziecko i wrócimy do Rosji. Obiecuję, że będziemy przyjeżdżać do was w odwiedziny, żebyś widziała, jak rośnie.



Gülşen przyglądała jej się w napięciu, jakby nie mogła zrozumieć tych słów. Milczała, a jej spojrzenie stawało się coraz twardsze.

– Nigdy ci go nie oddam. Jego miejsce jest tu. Kemal nie pojedzie do żadnej przeklętej Rosji! Wystarczy, że Zakir tam pojechał! – Gülşen podniosła głos.

Emilia wiedziała, że nie będzie łatwo. Ale dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że być może Gülşen podświadomie pragnie mieć nowego syna, w miejsce tego, który umarł.

Dobrze rozumiała ból matki, przynajmniej tak jej się wydawało, ale nie zamierzała poświęcać swojego dziecka dla ukojenia tego bólu.

– Gülşen, nie możesz mi go zabrać, to moje dziecko. Kemal potrzebuje matki.

– Mylisz się. To ty nie możesz mi go zabrać. Kemal potrzebuje ojca. Teraz jego ojcem będzie Murat. Chłopiec musi mieć rodzinę, dom i otrzymać religijne wychowanie zgodne z naszą tradycją. I potrzebuje starszego mężczyzny, który wprowadzi go w życie.

– Ale ja nie mogę żyć bez niego! Ani on beze mnie. Przecież to rozumiesz.

– Rozumiem. Dlatego nikt cię stąd nie wygania. Możesz nadal mieszkać pod naszym dachem. Ale miejsce Kemala jest tutaj.

Gülşen była już zupełnie spokojna. Wiedziała tak samo dobrze jak Emilia, że prawo jest po jej stronie – w mieszanych małżeństwach w przypadku rozstania rodziców dzieci zostawały przy ojcu i jego rodzinie. Żadna siła nie mogła wyciągnąć chłopca z muzułmańskiego domu i oddać matce – samotnej kobiecie, do tego chrześcijance. Nawet miłość. Emilia wiedziała, że tak jest w przypadku rozwodu rodziców, ale nie przewidziała, że Gülşen nie zechce jej oddać Kemala po śmierci Zakira. Nie chciała rozdrażniać teściowej, wołała zastanowić się spokojnie, co dalej.

– Mogę się tu zatrzymać na parę dni? – zapytała.

– Oczywiście, nawet na zawsze. To wciąż twój dom.

Emilia wyszła z haremu Gülşen i udała się do swojego domu. Było w nim pusto i cicho. Serce ścisnęło jej się z żalu, gdy przekroczyła próg sypialni. Najlepsze chwile spędzone tu z Zakirem stanęły przed nią jak żywe. Wydało jej się przez moment, jakby jej mąż był tu z nią. A może

to jego duch przebywał w miejscu, które za życia znał i kochał? Położyła się na łożu, wtuliła twarz w jedwabne prześcieradła i wdychała resztki zapachu ich dawnego życia. Zasnęła, marząc o przeszłości.

Obudził ją radosny krzyk Kemala.

– Mama! Wiedziałem, że wrócisz!

Porwała go w objęcia. Urósł przez te miesiące. Jak przyjął wiadomość o śmierci ojca, gdy jej przy nim nie było? Ścisnął ją tak mocno, jakby się bał, że i ją utraci.

– Widziałas się z tatą, zanim umarł? – zapytał, gdy już wypuściła go z objęć.

– Tak. Mówił, że jest dumny z takiego wspaniałego synka jak ty – zapewniła go i powróciło do niej wspomnienie Zakira odurzonego wojną.

– To czemu do mnie nie wrócił? – spytał Kemal płaczliwie.

Emilia przytuliła go znowu i gładziła po ciemnych, wijących się włosach.

– W tej wojnie zginęło bardzo wielu ludzi. Jeszcze więcej zmarło na różne choroby. Niestety, tata był jednym z nich. Dlatego pamiętaj: wojny nie mają sensu.

– A ja nienawidzę Rosjan! – wybuchnął nagle chłopczyk. – Murat mówi, że jak urosnę, będę mógł wstąpić do wojska i z nimi walczyć. Wtedy pomszczę śmierć taty.

Ta zawziętość syna była dla Emilii czymś nowym. Rozumiała jego ból, ale wcale jej się nie podobało to planowanie zemsty.

– Twój tata był przeciwnikiem wojny, wierzył w pokój, w reformy i w porozumienie między ludźmi – przypomniała mu.

– To czemu zginął? – Miał smutny głos.

– Widocznie Allah tak chciał. – Nie znalazła innego wytłumaczenia.

Emilia obdarowała Kemala chałwą, zapytała o postępy w nauce pisania i czytania. Zorientowała się, że Murat i Gülşen dobrze opiekują się chłopcem i starają się zapewnić mu dobre życie. Nie był tak zrozpaczony i przybity, jak się tego obawiała, może dlatego, że zdążył się przyzwyczaić do nieobecności ojca, zanim się dowiedział, że Zakir już nigdy nie wróci.

Kiedy Kemal oswoił się już z jej obecnością po długiej rozłące, powiedziała:

– Kochanie, postanowiłam, że zamieszkać teraz na Krymie. Mam tam piękny dom nad samym morzem. Spodobałby ci się. Chciałabym, żebyśmy pojechali tam razem. Będziemy tu przyjeżdżać i odwiedzać twoich dziadków tak często, jak tylko zechcesz. Dobrze?

Synek patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, w których malował się ogromny zawód. Nie mogła tego znieść.

– Dopiero wróciłaś. Nie możesz zostać tu ze mną? – zapytał błagalnie.

Przez chwilę Emilia pomyślała, że to właśnie powinna zrobić – zostać przy swoim dziecku, w bezpiecznym dla niego i znajomym otoczeniu. Zacisnąć zęby i znosić kąśliwe uwagi Gülşen. Powrócić do haremowych zajęć i przyjemności. I patrzeć, jak jej syn rośnie i staje się podobny do swojego ojca. W tym odnaleźć radość i nowy sens.

Ale jednocześnie wiedziała, że nie chce takiego życia. Smak wolności, który poczuła z dala od haremu, był upojny. Swoboda decydowania o sobie, swoboda rozmów, kontaktów z ludźmi, podróżowania i zarabiania własnych pieniędzy kusiły ją jak nowa przygoda. Do tego rozumiała, że to muzułmańskie życie, które wiodła u boku męża, nie było wcale zgodne z jej naturą, z tym, kim jest naprawdę. Pośród chrześcijańskich Europejczyków pod Sewastopolem dotarło do niej, że w głębi serca jest i zawsze pozostanie chrześcijanką, Słowianką i Polką. I choć muzułmanie byli dla niej dobrzy, życzliwi i okazali jej wiele serca, to jednak nigdy nie osiągnie z nimi takiego porozumienia jak z ludźmi, z którymi łączy ją wiara, przekonania i wspólna kultura.

– Zostanę... na trochę. Ty się zastanów i ja się zastanowię – odpowiedziała synowi.

Z okazji jej powrotu Gülşen urządziła uroczysty obiad, pełen przysmaków tureckiej kuchni. Zjedli go wspólnie. Kemal siedział przy stole pomiędzy dziadkami. Dopiero wtedy Emilia mogła zobaczyć, jak bardzo był z nimi zżyty i jak chętnie oboje weszli w rolę jego zastępczych rodziców. Przy Kemalowi rozpacz wypisana na twarzy Gülşen ustępowała radosnemu ożywieniu. Emilia patrzyła, jak jej teściowa

wybiera z półmisków najlepsze kąski i nakłada je wnukowi. Jak Murat uczy go właściwego trzymania sztućców. I jak dobrze i swobodnie Kemal czuje się wśród nich. I wtedy, z bólem w sercu pomyślała, że być może nie ma prawa go stąd zabierać.

Po południu poszła razem z Gülşen do hammamu. Cudownie było znów poddać się działaniu gorącej pary i wprawnych dłoni niewolnic. Jak zawsze podczas masażu Emilia zapadła w błogi półsen.

– Wciąż się zastanawiam, jak możesz chcieć zamieszkać wśród zabójców swojego męża. Nie mogę tego zrozumieć. Czy twój ojciec nie miał ich za wrogów? – Słowa Gülşen wyrwały ją z tego stanu.

– To prawda, jednak to nadal mój kraj. Przecież stamtąd tu przyjechałam. Wybacz, Gülşen, ale nikt tam nie każe kobiecie zakrywać twarzy. Mam tam więcej wolności.

Teściowa popatrzyła na nią z odcieniem pogardy w oczach. Jak wtedy, kiedy spotkały na ulicy lorda.

– Nie chcę wiedzieć, co robisz z tą wolnością. Przyzwoita kobieta czci pamięć swego męża. Ale cóż, szczerze mówiąc, co do twojej przyzwoitości zawsze miałam pewne obiekcje...

– Och, Gülşen, nie zaczynaj znowu – prychnęła Emilia z irytacją w głosie. – Przyjechałam tu do swojego syna. Ale jeśli nie jestem mile widziana...

– Och, nie, zostań. Wybacz mi. Zakir był światłem moich oczu. Z jego śmiercią moje szczęście zgasło. Został mi po nim tylko Kemal.

Wybierając się do Stambułu, Emilia zamierzała powiedzieć Gülşen o tym, że nosi dziecko Zakira. To miało być pocieszenie, jakby prezent z za grobu – ukochany syn odszedł, ale zostawił w niej, w swojej żonie, nowe życie. Ale teraz Emilia przestraszyła się, że teściowa uzna swoje prawo także do tego nienarodzonego jeszcze dziecka. Jej brzuch trochę się zaokrąglił, ale nie był na tyle widoczny, by sygnalizował ciążę, nawet w hammamie. Zresztą Emilia uchodziła za niezdolną do posiadania kolejnego dziecka. Dlatego nie podzieliła się tą nowiną z matką swojego męża. Zamiast tego, jeszcze zanim ubrała tę myśl w słowa, w głębi duszy dokonała wyboru: zostawi im Kemala, ale drugie dziecko będzie należało już tylko do niej.

Gdy żegnała się z nimi, przytuliła swojego synka do serca,

ukradkiem ocierając łzy. Kemal płakał. Zacisnął jej ręce na szyi i nie chciał puścić. Trzymała go mocno w objęciach.

– Nie jedź, nie jedź... – błagał, szlochając.

– Kochanie, nie wyjeżdżam na zawsze – mówiła łagodnym głosem, gładząc go po plecach. – Będę do ciebie przyjeżdżać, obiecuję. A może i ty odwiedzisz mnie kiedyś na Krymie? Możecie przyjechać wszyscy razem, w każdej chwili...

– Dość tego! – przerwała ostro Gülşen. – Nikt z nas nie będzie jeździł do tej przeklętej Rosji! Przestań mącić dziecku w głowie. Ty też nie będziesz tu przyjeżdżać i zostawiać go we łzach. Zabraniam ci wracać! Skoro nie chcesz żyć przy nim i wolisz być wyrodną matką, niech lepiej o tobie zapomni. Nie wpuszczę cię więcej do tego domu.

Emilia poczuła się tak, jakby miało z niej ujść życie. Czy Gülşen może być tak okrutna, by zabronić jej widywania się z synem? Wiedziała, że tak.

– Pozwól mi chociaż pisać do niego listy...

Gülşen nie odpowiedziała.

Emilia ostatni raz uścisnęła Kemala, szepnęła mu do ucha, że zawsze będzie go kochać i że na pewno jeszcze się spotkają, choć nie wie kiedy i gdzie. Odeszła pochylona, jakby dźwigała na plecach ciężar ponad siły. Jak w transie dotarła do portu i wsiadła na statek. Nie opuszczała swojej kabiny. Przepłakała całą dwudniową podróż.

## Rozdział XVIII

### Dlaczego się nie buntujesz, wujku?

Maszę uratowało od depresji malarstwo – o tym Iwan był przekonany. Ta miła, utalentowana dziewczyna uległa chłystkowi – zabrakło jej ojca, który by go przepędził na czas. Iwan złapał się na przelotnym uczuciu, że tego młodego wywrotowca spotkała zasłużona kara – nie tyle za zgubne wolnomyślicielstwo, ile za skrzywdzenie Maszy. Iwan kochał ją niemal jak piątą córkę. Jego żona Julia stawała się coraz zimniejsza, coraz bardziej obca, coraz bardziej się oddalała. Choć nie mówili o tym otwarcie, oboje wiedzieli, że są ze sobą jedynie ze względu na dzieci. A one rosły i już gotowały się do wyfrunięcia z domu. Zresztą Julia spędzała poza Teodozją coraz dłuższe okresy i często zabierała dzieci ze sobą. Woląла mieszkać w Odessie albo w Petersburgu, bo jak twierdziła, tylko tam mogła znaleźć odpowiednie partie dla swoich córek. Zatem Iwan najczęściej przebywał w domu sam; posyłał tylko żonie co miesiąc pięćset–sześćset rubli na utrzymanie.

Za to Masza jako jedyna ze wszystkich bliskich mu kobiet prawdziwie interesowała się jego sztuką i traktowała go jak mistrza, a nie jak bankiera. Dlatego Iwan postanowił wprowadzić ją nieco głębiej w świat rosyjskiego malarstwa. Wierzył, że sztuka ma moc uzdrawiania duszy i że może napęłnić artystę poczuciem spełnienia i szczęścia, jeśli w życiu osobistym tego zabrakło. Poza prywatnymi lekcjami, służącymi doskonaleniu techniki, Ajwazowski zaczął zapraszać Marię na spotkania z odwiedzającymi go malarzami pieriedwiżnikami, dzięki czemu miała okazję być w samym centrum dyskusji o współczesnej rosyjskiej sztuce. Początkowo trochę onieśmiewało ją ich towarzystwo, ale Iwan widział, że słuchała pilnie wszystkiego, co mówią.

W czasie tych spotkań słowo „realizm” było odmieniane przez wszystkie przypadki. Zgodnie z duchem czasu wszystko w sztuce miało być realistyczne. Iwan czuł na sobie presję ze strony pieriedwiżników, aby i on zaczął malować w ten sposób. W czasie dyskusji toczących się pod jego dachem często słyszał słowa, które brzmiały jak aluzja do jego twórczości: „Nie uznajemy obrazów, które chcą jedynie cieszyć oko, czyli pozbawionych znaczenia. Sztuka powinna służyć nieco wyższym

celom niż upiększanie życia i dostarczanie rozrywki. A obraz powinien przekazywać jakąś ideę”. „Obraz będzie dobrze namalowany wtedy, kiedy doskonale wyraża myśl bez komentarza”. „Należy nie tylko dobrze rysować i malować, lecz także jasno i wyraziście wyłożyć w obrazach myśl, bez tendencji i moralizowania, tak by wniosek sam się narzucał, inteligentnie i z uczuciem, pouczająco i pięknie”.

Ale on, Iwan, nie miał ochoty ulegać nowym modom. Pozostał wierny swojemu stylowi. Zupełnie nie pociągało go malowanie smutnych chłopów w łapciach i siermiężnych koszulach, choć był gotowy współczuć ich doli. W sztuce bardziej liczyły się dla niego liryczne przeżycie, utrwalone piękno, nastrój i urok morskiego pejzażu niż manifesty społeczne.

Zdarzało się czasem, że wierność stylowi przyjętemu przez Ajwazowskiego w młodości narażała go na zarzut konformizmu. Działo się tak dlatego, że coraz bardziej radykalna inteligencja tego czasu głosiła, że funkcją literatury i sztuki jest demaskowanie kultury „burżuazyjnej”, a przez to torowanie drogi nowemu i bardziej sprawiedliwemu łaadowi społecznemu. W kręgach, które uważały się za postępowe, oczekiwano rewolucji społecznej oraz upadku caratu i chętnie wykorzystywano do tego współczesną sztukę. Iwana szczególnie rozbawiło, kiedy przeczytał, że Aleksander Hercen uznał słynny obraz Karła Briułłowa Ostatni dzień Pompei za ilustrację rychłego upadku caratu. To dzieło, które odbiło się niegdyś głośnym echem w całej Europie, otrzymał w prezencie car Mikołaj II, po czym ofiarował je Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, by kolejne roczniki adeptów malarstwa mogły się nim inspirować. Gdyby car dostrzegł w nim to, co Hercen, prędzej kazałby je spalić, niż naśladować. Iwan także zawsze widział w sztuce sztukę, a nie manifest polityczny. Jednak lewicowi publicyści domagali się od artystów krytyki porządku społecznego. A choć malarze nie zawsze tworzyli pod wpływem idei politycznych, władze, sugerując się opiniami radykałów i liberałów, miały tendencję do uznawania sztuki pieriedwiżników za wywrotową i czasem zakazywały wystawiania obrazów, w których dopatrywały się podtekstów.

– Tobie to łatwo, Iwanie Konstantynowiczu, ty malujesz swoje

fale, księżyc i okręty i żadna cenzura nic do ciebie nie ma. A jak ja namaluję rosyjskiego chłopca, sól tej ziemi, w jego pracy i znoju, to cenzor mi mówi, że chcę obalić ustrój! – skarżył się kiedyś jeden z młodych pieriedwiżników z odcieniem pretensji w głosie. – Tyś się, Iwanie Konstantynowiczu, wygodnie ustawił nad tym morzem: płyniesz na jego falach.

Ajwazowski uśmiechnął się jak dziecko.

– Ja kocham morze i światło na wodzie, to nie grzech. Że innym się to podoba i kupują moje obrazy, to dobrze; dlatego mogę was tu gościć. Ale nie zazdrość, mój drogi, tylko sam maluj to, co ty kochasz.

Jego ulubiona uczennica siedziała cicho w kącie w czasie rozmów starszych malarzy, nie zabierała głosu, ale jej skupiona mina wskazywała na to, że słucha uważnie. Iwan przyglądał się czasem dziewczynie i wyczuwał, że pomimo całego podziwu dla jego sztuki Maszę bardziej przekonywały słowa pieriedwiżników. Rozumiał, że młode serce było wrażliwe na poruszane przez nich kwestie społeczne, szczególnie wobec jej sympatii do tego rewolucjonisty. Ale nie spodziewał się, że radykalizm Maszy może iść tak daleko. Zwłaszcza że ciesząc się łaskawą przyjaźnią i uznaniem cara, nie bardzo rozumiał, o co chodziło tym wszystkim buntownikom. Dlatego zdziwił się, kiedy po którejś lekcji, kiedy omówili już jej ostatnie obrazy, Masza zadała mu pytanie:

– Wujku Iwanie, czemu ty, człowiek szlachetny i wpływowy, nie buntujesz się, czemu nie pójdziesz ze skargą do cara? Przecież widzisz niesprawiedliwość dookoła, słyszysz krytykę rzeczywistości i argumenty tych, którzy chcą lepszego świata.

Iwan pomyślał z rozczuleniem o jej naiwności. Wiedział, że wypływa ona ze szlachetnego serca, które wciąż bardzo mało wie o świecie.

– Maszeńka, jak sądzisz: czy lepiej mi być buntownikiem i skończyć na Sybirze, czy lojalnym artystą, który maluje morze, jak twierdzi wielu, jak nikt na świecie? Nie mam wyrzutów sumienia, jeśli o to pytasz, bo pomagam, ile mogę, także twojej matce.

Marynia się zarumieniła. Rzeczywiście, ich spokojne życie było możliwe głównie dzięki niemu i jego gościom.

– Wybacz, nie chcę wam niczego wypominać. Uważam tylko, że



większa jest korzyść z mojego życia tutaj, niż gdybym zamarzył w drodze na Sybir w konsekwencji jakiegoś gestu. Zresztą po co miałbym czynić jakieś gesty, skoro szczerze podziwiam i cenię cara? Jestem dumny z jego przyjaźni. Nie chciałbym go rozczarować.

Marynia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę nie razi cię niesprawiedliwość w Rosji? I dola niższych warstw?

Iwan spojrzał na nią z uśmiechem. Miał ochotę pogłaskać ją po głowie jak małą dziewczynkę.

– Wiesz, kiedy byłem wiele lat temu we Francji, spotkałem w Paryżu pewnego markiza, który wrócił niedawno z podróży po Rosji – powiedział. – Pracował nad książką. Interesowali go Rosjanie, a sądził, że za granicą będą rozmawiać swobodniej niż w ojczyźnie. Wciąż mnie pytał, dlaczego zamierzam wrócić do Rosji, tego kraju despotyzmu, przemocy i zimna, zamiast zostać we Francji, gdzie z moim talentem mógłbym świetnie prosperować. Uważał, że cała Rosja jest więzieniem, do którego klucze dzierży car.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Prawdę. Widzisz, ja kocham Krym. Teodozja to moje miejsce na ziemi. Nie odczuwam tu ani despotyzmu, ani przemocy. Ani nawet zimna. – Uśmiechnął się.

– No tak, ale wiesz, że twoja pozycja jest wyjątkowa. Ty tu żyjesz jak król, a tysiące ludzi cierpią w niewoli, zamierzają na Syberii, tracą życie w kopalniach.

Iwan westchnął ciężko.

– Bardzo mi ich żal. Ale czy z ich powodu mam przestać malować?

Maria zamyśliła się na chwilę.

– Mój Pietia powiedziałby, że tak – odparła. – I kazałby ci drukować ulotki i odezwy. Ale ja wiem, że to byłoby głupie. Takiego talentu jak diament nie wolno poświęcać.

Iwan Konstantynowicz był przyzwyczajony do komplementów, a nawet hołdów dla swej twórczości. Ale rzadko wzruszały go one tak bardzo jak szczerze uwielbienie jego młodej przyjaciółki.

## Rozdział XIX

### Ira i Karim

Od Pieti nie miałam żadnych wieści. Czekałam na jego listy, ale albo nie chciał, albo nie mógł do mnie pisać. Ja też nie pisałam – nie znałam jego adresu. Tęskniłam za nim strasznie. Czasem czyniłam sobie wyrzuty, że zabrakło mi odwagi, by na przekór wszystkim pójść za nim do miejsca jego przeznaczenia. Owszem, Syberia jest mroźna, przepastnie wielka i dzika, ale przecież jacyś ludzie tam żyją, powstają osady i miasta. A nawet mówi się o budowie linii kolejowej. Pietia, który nie był katorżnikiem, tylko zesłańcem, mógł dostać jakiś drewniany domek do zasiedlenia. Czasem zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, jak mieszkamy w tym domku razem z Pietią i naszym malutkim dzieckiem, i łzy same płynęły mi spod zamkniętych powiek.

Żeby uciszyć trochę żal i niepokój sumienia związane z pozostawieniem Pieti jego losowi, całą uwagę i energię skierowałam na malowanie. W domu wujka Iwana poznałam kilku malarzy pieriedwiżników, którzy obwozili swoją sztukę po całej Rosji, by zbliżyć ją do ludu. Pieti na pewno spodobałby się ten pomysł. Zwłaszcza że wybierali takie tematy, jakby ich obrazy miały służyć za ilustrację postępowych artykułów.

Na przykład na ostatniej obwoźnej wystawie poruszenie wywołał obraz Grigorija Miasojedowa W ziemstwie jedzą obiad. Deputowani, dawni poddani chłopci i ich niegdysiejsi właściciele, posiadacze ziemscy, zasiadają teraz wspólnie w samorządzie ziemskim, zwanym ziemstwem. Na płótnie Miasojedowa ośmiu ponurych chłopów wyszło właśnie na przerwę obiadową przed budynek obrad, bo niepodobnym było dla nich siadać do stołu razem z dawnymi panami – woleli posilić się chlebem z cebulą, siedząc na gołej ziemi, wśród dziobiących kur. Przez okno widać, jak kelner wyciera talerze i karafki – brodaci chłopci w łapciach nawet nie umieliby się nimi posługiwać. Są przyzwyczajeni do prostego jedzenia. „I na cóż cała ta szumna reforma rolna – powiedziałyby Pietia – skoro widać tu jak na dłoni nieprzekraczalną przepaść dzielącą chłopstwo od zeuropeizowanej elity? Przepaść, którą stworzyły stulecia historii Rosji i której nie zasypie jeden dekret carski o uwłaszczeniu

chłopów”.

Zobaczyłam ten obraz w katalogu wystawy obwoźnej, który wujkowi Iwanowi przysłał Kramskoj. On sam pokazał na wystawie swojego Chrystusa na pustyni, nad którym pracował od pięciu lat. To dla tego obrazu przyjeżdżał tak często na Krym – studiował tu pustynny krajobraz. Jego Chrystus siedzi samotnie na kamiennym pustkowiu w tak ciężkiej zadumie i taki zmartwiony, że od razu pojawiły się komentarze w postępowej prasie, że Zbawiciel musi być chyba zatroskany kondycją współczesnej Rosji.

Oglądając obrazy pieriedwiżników zebrane w katalogu, musiałam przyznać Pieti rację – rzeczywiście, sztuka ma siłę poruszania myśli, uczuć i sumień odbiorców. Te dzieła wyglądały tak, jakby chciały potwierdzić obrazem to, o czym pisała i dyskutowała rosyjska inteligencja – że Rosja wymaga zmian, że ciężko pracujący lud rosyjski jest solą tej ziemi i że przepaść dzieląca go od elit nie powinna być aż tak wielka. Pietia miał rację: nie warto malować samych ładnych widoczków. Trzeba się w sztuce odnosić do spraw i problemów realnego świata. Więc chociaż kochałam mojego nauczyciela i mistrza, postanowiłam, że będę malować jak pieriedwiżnicy – pokazywać sprawy ważne i trudne. I choć nie wątpiłam w mistrzowski talent Ajwazowskiego, zaczęłam marzyć o prawdziwych studiach w Carskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Czy nie byłoby cudownie znaleźć się kiedyś w gronie prawdziwych rosyjskich malarzy? Malować płótna przedstawiające sprawy ważne społecznie, z których mój Pietia byłby dumny? Wtedy pokazałabym sobie i jemu, że dobrze zrobiłam, zostając w domu, że moja sztuka ma większą wartość, niż miałyby moje syberyjskie poświęcenie. Od tej chwili moim wielkim marzeniem, choć tajonym i niewyjawionym nikomu, stało się ukończenie studiów malarskich w Akademii, a potem przyłączenie się do towarzystwa pieriedwiżników. Wiedziałam, że droga do tego daleka, bo oni wszyscy byli wykształconymi malarzami z dyplomami Akademii, a ja zaledwie amatorką. Ich umiejętności techniczne od moich dzieliła przepaść. Byłam tego świadoma, ale wiedziałam też, że mistrzostwo wyrasta tylko na glebie solidnego rzemiosła. Dlatego postanowiłam poświęcić teraz całą swoją energię na solidną naukę malarskiego warsztatu. Czyż nie

miałam przy sobie najlepszego nauczyciela z możliwych?

Z zapalem oddalam sie wiecej nauce malarstwa. W Akademii uczono, ze jego podstawa jest doskonale opanowanie rysunku. Dlatego na duzych kartkach papieru szkicowalam, co tylko wpadlo mi w oko: nasz kredens z samowarem i serwisem porcelany, kanapy i fotele w salonie obite zielonym pluszem, wazon z bukietem roz, jablon rosnaca pod moim oknem, dojrzone kiscie winogron, Nadire pochylona nad rondlem, w ktorym smazyła konfitury, mamę czytającą list z Ameryki, kota grzejącego się na słońcu. Wujek Iwan czasem korygował moje szkice, zwracając mi uwagę na błędy, ale coraz częściej chwalił je i zauważał postępy.

Tymczasem moja przyjaciółka Ira dawno już zdążyła wyhaftować komplet podarunków dla narzeczonego. Miała rację, mówiąc, że wkrótce do jej ojca przyjdą kolejni ojcowie pretendentów do jej ręki. Jej uroda, powszechna sympatia, jaką cieszył się Dajdżan, oraz spory majątek ich rodziców zachęcały niemal wszystkich młodych Tatarów z okolicy do ubiegania się o jej rękę. Naprawdę miała z kogo wybierać!

Po wielu miesiącach częstych wizyt ojców tatarskich młodzieńców Agabej stracił cierpliwość i powiedział swojej córce, żeby wreszcie kogoś wybrała, bo on musi się już zająć winnicą, a nie tylko jej swatami. Inaczej tegoroczne plony winogron przepadną i nie będzie wina z tego rocznika, a wtedy nie będzie też pieniędzy ani na suknię, ani na wesele. Iry nie trzeba było długo przekonywać. Wiedziałam, że już dokonała wyboru, a dalsze spotkania tylko łechtały jej próżność. Jej wybrankiem został Karim, przyjaciel Dajdżana. Mieszkał w głębi ładu, blisko Starego Krymu, i pochodził z religijnej rodziny. Jako nauczyciel w tatarskiej szkółce dla dzieci wystarał się o posadę tu, w Teodozji. Karim był łagodnym i ciepłym mężczyzną, wpatrzonym w Irę jak w obraz. Poznali się przed rokiem, kiedy odwiedził Dajdżana w ich domu, i już wtedy roześmiana siostra przyjaciela zawróciła mu w głowie. I choć ojciec Karima miał dla niego upatrzoną inną dziewczynę, syn przekonał go, że jeśli nie Ira, to żadna inna nie zostanie jego żoną.

Rodzice postanowili, że po ślubie młodzi zamieszkają w Teodozji, w pobliżu domu rodziców Iry. Cieszyłam się, że moja przyjaciółka nie musi odjeżdżać do domu męża w Starym Krymie, wolałam mieć ją

wciąż w odległości krótkiego spaceru.

Na swoim weselu Ira wyglądała prześlicznie – obwieszona oprawionymi w srebro klejnotami, w bajecznie kolorowej haftowanej sukni promieniowała szczęściem i świeżą urodą swoich siedemnastu lat. Była roześmiana, zaróżowiona z emocji i piękna, a w tańcu poruszała się płynnie, z gracją, choć jednocześnie w jej ruchach wyczuwało się ukryty temperament. Jej mąż wodził za nią rozmarzonym wzrokiem, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pozwolą mu zabrać ją z tego tłumu gości i zostać z nią sam na sam. Ale wesele trwało i trwało, a zabawom, tańcom i śmiechom nie było końca. Życzyłam Irze jak najlepiej i cieszyłam się jej szczęściem, a jednocześnie trochę jej zazdrościłam. Nie tyle pięknej sukni i tej wspaniałej uroczystości, ile obecności ukochanego i perspektywy życia u jego boku. A zwłaszcza szansy na spokojne, bezpieczne macierzyństwo.

W tłumie wesołych biesiadników raz po raz napotykałam smutne spojrzenie Dajdzana, które mówiło mi, że jego oferta jest wciąż aktualna.

Córeczka Iry i Karima przysłała na świat niespełna rok po ich ślubie. Nazwali ją Marinka. Śliczna, żywiołowa, uwielbiałam ją. Ilekroć na nią patrzyłam albo brałam ją na ręce, tylekroć nie mogłam odpędzić od siebie myśli, że mogłaby być moim dzieckiem, moim i Pieti. Miała błyszczące czarne włoski i różowe usteczka, jej buzia śmiała się radośnie, gdy tylko widziała czyjąś twarz. Była żywa jak iskierka, a jej pulchne ciało kręciło się z ciekawością w moich ramionach. Kiedy trochę podrosła, siadywałam z nią na kolanach przy stole i rysowałam jej ołówkiem różne zwierzątka: kury, koniki, wielbłądy, kotki, a ona zachwycona klaskała i śmiała się głośno.

– Jednak myliłam się wówczas, gdy ci mówiłam, że twoje obrazki są bezużyteczne – odezwała się kiedyś Ira z uśmiechem. – Oto do czego mogą się przydać!

– Masz rację, może nie ma nic ważniejszego na tym świecie od szczęścia dziecka – odparłam i pocałowałam ciepłą główkę Marinki.

„Ciekawe, jakim ojcem byłby Pietia” – zastanawiałam się. Czy taka urocza, mała istotka jak Marinka zdołałaby go odciągnąć trochę od spraw rewolucji? Miałam nadzieję, że tak.

## Rozdział XX

### Nowy mężczyzna

Emilia wróciła do Teodozji przygarbiona, z oczami podpuchniętymi od płaczu. Widząc ją samą, idącą wolno i ledwie powłóczącą nogami, Nadire od razu domyśliła się, co zaszło.

– Nie chciała ci go oddać, co? Tak myślałam... – powiedziała, przytulając Emilię na powitanie.

– Jak mam żyć bez niego? – wyszeptała Emilia ledwie słyszalnie.

– Normalnie. Pomyśl sobie, że i tak musiałby za chwilę odejść z haremu. Murat na pewno dobrze się nim zaopiekuje, nie gorzej niż Zakir. Zresztą co Kemal miałby tu robić? Zostać Rosjaninem? Gülşen ma rację: jego miejsce jest tam. – Głos Nadire był spokojny i pełen pewności.

– Więc może powinniśmy tam wrócić...?

Nadire patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

– Jeśli tak zdecydujesz, wróć tam z tobą choćby jutro. Ale znam cię: nie chcesz tego. Chcesz nowego życia. I dostałaś tu szansę, jaka nie zdarza się co dzień. Staniesz mocno na nogi, zamiast umierać tam z nudów bez Zakira... I słuchać utyskiwań Gülşen, która nigdy nie zaakceptowała cię do końca.

Miała rację. Który to już raz Emilia dziękowała Bogu za to, że postawił na jej drodze Nadire? Zawsze mogła liczyć na jej pomoc i trzeźwy osąd sytuacji. Gdy Emilia gubiła się w meandrach życia, niezawodna Nadire zawsze wiedziała, co robić. Tak jak teraz.

– Dlatego przestań się użalać nad sobą i nad nim, życz mu szczęścia i zabierz się do urządzania pensjonatu, dopóki twój brzuch pozwala ci się ruszać – poradziła. – Musimy wyposażyć cały dom, póki ten zaklinacz morskich fal się nie rozmyśli. I póki jego nadęta żona nie przepędzi nas na cztery wiatry.

Nieco podniesiona na duchu Emilia skupiła się więc na budowaniu bezpiecznego i wygodnego życia dla siebie, swojego nienarodzonego jeszcze dziecka i Nadire. Chodziły wspólnie po sklepach, bazarach i eleganckich magazynach, by wybrać tkaniny, meble i dywany do nowego domu. Wciąż od nowa przekonywała siebie, że jej syn będzie

szczęśliwy w rodzinnym domu pod opieką dziadków. Starła się planować przyszłość, zamiast myśleć o przeszłości, choć smutna buzia synka stawała jej przed oczami w najmniej spodziewanych momentach.

Któregoś dnia serce zabiło jej mocniej, kiedy po paru tygodniach nadszedł list ze Stambułu. Może Gülşen zmieniła zdanie? Może Kemal chce ją odwiedzić? Rozerwała pospiesznie kopertę, ale w środku znalazła tylko zapieczętowany list zaadresowany na jej dawny turecki adres ręką Ludwika Śniadeckiej. Gülşen odesłała go na Krym bez słowa od siebie.

Konstantynopol, jesień 1855 roku

Kochana Emilio!

Jakże podziwiam Twoją odwagę! Zrobiłaś to, o czym ja marzyłam dwa razy w życiu – być na froncie blisko ukochanego mężczyzny. Tylko że ja biadałam nad losem, a Ty wsiadłaś na statek i popłynęłaś. I jakże zniosłaś tę frontową atmosferę, widok rannych i śmierci wokół? Tak często o Tobie myślę! Czekam niecierpliwie na Twoją relację. Bo skoro Sewastopol upadł, to chyba niebawem powrócisz? Ty i Zakir. Ja oczekuję Sadyka lada dzień.

A tymczasem i ja mam dla Ciebie wieści, niestety smutne i tragiczne. Nie wiem, czy dochodzą do Ciebie gazety; jeśli nie, to pewnie nie wiesz, że Adam Mickiewicz nie żyje! Zmarł nagle, tu, u nas, w Stambule, a przyjechał z misją od księcia, by godzić Sadyka z Zamoyskim. Co za tragedia! Był u mnie, rozmawialiśmy szczerze, pokochałam go serdecznie. Ale po kolei.

Na początku roku po długiej chorobie zmarła w Paryżu jego żona, więc mógł Mickiewicz wrócić do spraw publicznych. Nigdy nie wiązał się z żadną partią, szukał w skłóconej emigracji kochających synów ojczyzny, wierząc w poświęcenie i czyn, a nie politykowanie. Dlatego zawsze miał sympatię do Sadyka i nie potępił jego przejścia na islam, bo rozumiał dobrze – on jeden – że tylko dla służenia Polsce to uczynił.

Sprawy wojny krymskiej wskrzesiły jego wiarę w 80-milionowy „naród słowiański” i w to, że emigracja polska będzie torować im drogę do wolności. Nasz przyjaciel w Paryżu, Zwierkowski, pracujący także dla księcia, rozmawiał z poetą o naszych sprawach. Mickiewicz powiedział, że jakby miał fundusz, to sam by pojechał do pułku Sadyka, bo cenił czyn i poświęcenie, a nie politykierstwo i intrygi. Hôtel Lambert pochwyił to i zaczął się krzątać wokół wyjazdu Mickiewicza, licząc, że jego nazwisko przyciągnie tłumy pod sztandary. I, jak mi pisał Zwierkowski, na samą myśl o wyprawie do Konstantynopola oblicze mu się wypogodziło. Wiesz, jak go fascynował Orient, a wcześniej był tylko na Krymie. Więc mówił Zwierkowskiemu, że rad pojedzie, byleby rzeczy nie rozłączać, nie dzielić na polsko-katolickie i kozacko-tureckie, ale wiązać, jednoczyć, sprzymierzać. Księżę przyjął z radością gotowość Mickiewicza do służby publicznej, wystarał się u cesarza o zasilek na cele misji naukowej i przeznaczył mu na towarzysza swego młodszego syna, księcia Władysława. Mickiewicz obiecał księciu, że najsolenniej pracować będzie nad pogodzeniem Sadyka z Zamoyskim.

Obawiałam się jego przyjazdu, nie wiedziałam, za kim się opowie i czy mnie znać zechce, czy potępi, jak tylu innych. Niepotrzebnie! Złożył mi wizytę, sam, bez księcia Władysława, był taki serdeczny, miał tyle serca dla Sadyka. Ujął moje obie ręce, oczy mu zaszły łzami, mówił, że rad mnie poznać dla Sadyka, ale i dla mnie samej, bo znał dobrze moich ojca i stryja. Ale jakże był zmieniony! Próżno szukałam znajomych młodzieńczych rysów: twarz miał obrzękłą, oczy podbite, smutek rezygnacji wypisany na zwiędłych wargach. Do tego włosy całkiem siwe opadały na wytarty kołnierz surduta. A i on przyglądał mi się, jakby chciał zobaczyć we mnie młodą dziewczynę, którą widywał u państwa Bécu. Na darmo... Ale choć żeśmy się oboje postarzeni, to przecie wspomnienia z Wilna naszej młodości tak nas zbliżyły, że siedzieliśmy razem, rzewnie, jak para starych przyjaciół.

Na początku października młody księżę i Mickiewicz odpłynęli do Burgas, zawieźli odzież dla 2. pułku. W obozie czternaście sotni kozackich powitało gości, buńczuki powiewały na wietrze. Michał pisał



mi potem, że rzucili się sobie z Mickiewiczem w ramiona. Jedli obiad, słuchali śpiewów narodowych batalionów. Mickiewicz rozpoznał wiele pieśni, które przypominały mu ojczyznę. Życie w obozie kozackim oszołomiło i zachwyciło przybyszów z Paryża egzotyką i swojskością zarazem. Jeździli na polowania – Mickiewicz na najłagodniejszym koniu Krokodylu. Wszystko mu się podobało w obozie: musztry i ćwiczebne przejażdżki, polowania z chartami na stepie, wesołe uczyty i śpiewy polskie, litewskie i ukraińskie – barwne obrazy z historii kozackich i tatarskich wypraw. Lekko było mu oddychać. Pośród starych wojskowych i młodych synów obywatelskich mógł się poczuć jak na łonie ojczyzny. Z górą dwa tygodnie spędził Mickiewicz w obozie, tocząc z Sadykiem długie poufne rozmowy. Zbliżały ich poglądy na sprawę słowiańską, na połączenie różnych wyznań i zjednoczenie ich w Polsce przyszłości, żywili nadzieję na rozpad Austrii i wyzwolenie ludów słowiańskich. Ale potem nagle źle się poczuł.

Po powrocie z Burgas stan jego zdrowia się pogarszał. Bezpośrednia przyczyna – infekcja, pewnie cholera; 26 listopada zamknął oczy w skromnym domku przy Kalyoncu Kulluk, w pokoju pustym, ciemnym i wilgotnym jak nasze karczemne izby. Był przy nim lekarz z Adampolu, doktor Drozdowski. Co za nieszczęście! Kiedy dostałam wiadomość o jego śmierci, przepłakałam dwa dni.

Sadyk, jak się o tym dowiedział, chciał koniecznie pochować Mickiewicza w Adampolu i przekonywał księcia, że ciało wieszczka powinno spocząć na tym jedynym skrawku wolnej polskiej ziemi. Ale ja się z tym nie zgadzałam – on tu zostać nie może i nie powinien, bo tu bieda, nędza, niepewność jutra. Leżałby tu opuszczony, niech lepiej jedzie do małżonki, do dzieci, do Polaków paryskich, którzy czcić go będą. I tak też się stało – popłynął w prostej trumnie statkiem nad Sekwanę do Montmorency...

Ściskam Cię, Emilio, serdecznie i czekam Twego powrotu, brakuje mi rozmów z Tobą – wracaj do nas!

PS Szkoda, że musiałam Ci być zwiastunką wieści tak tragicznej. Oby nam w lepszych okolicznościach następnym razem komunikować się przyszło!

Twoja Ludwika

Emilia także płakała na wiadomość o śmierci swego ulubionego poety. Ale wbrew życzeniom Ludwiki i następny jej list, który przyszedł tą samą drogą po paru miesiącach, nie był wcale utrzymany w pogodniejszym czy bardziej optymistycznym tonie.

Konstantynopol, wiosna 1856 roku

Droga Emilio!

Z wielkim opóźnieniem dotarły do mnie wieści o Twoim nieszczęściu – przyjmij moje najszczerze wyrazy współczucia. Mój Boże, modliliśmy się o tę wojnę, a ona zabrała Ci męża! Czy my, kobiety, zawsze musimy tracić na wojnach tych, których kochamy? Nadal będę powtarzać, że gdyby nam, kobietom, pozwolono rządzić światem, urządziłybyśmy go o wiele mądrzej, niż jest urządzony teraz.

A zatem Bóg wysłuchał naszych modłów i dopuścił do wojny potęg. Pozwolił nawet wygrać sprzymierzonym i pokonać Rosję. I tu koniec Jego łaski dla nas, Polaków. Księżę jest wielce rozgoryczony. Sprawa polska w ogóle nie stanęła na kongresie paryskim! Nikt się nawet nie zająknął o przyznaniu Polakom jakichkolwiek praw! Cóż to za gorzka lekcja ludzkiej hipokryzji i nieczułości. Księżę jest zdruzgotany – widzi teraz z całą jasnością, że jego długoletnie wysiłki dyplomatyczne żadnych nie wydały owoców. Tyle starań, tyle poświęcenia, pracy i wysiłków ludzkich – na nic. Zachód zrobił, co chciał, nie bacząc na wysiłki Polaków ani na swe dawne obietnice. Wszystkie rachuby księcia zawiodły. Szamil, nasz niedoszły sojusznik z Kaukazu, wyraził swoją lojalność wobec Rosji. To koniec marzeń o wolnej Polsce. Księżę czekał

na aprobatę Francji i Anglii na wybuch powstania w kraju – czy jest lepszy czas na powstanie przeciw Rosji niż w chwili jej największej klęski na froncie wojny wschodniej? Ale tej zgody nie było. I kozacy sułtańscy Michała, i dywizja Zamoyskiego w służbie Brytyjczyków – o co walczyli? Jak zawsze, o interesy zachodnich potęg, z których Polakom nic nie przyszło. Ech, jakże żał mi księcia, że musi patrzeć na tak gorzki finał swoich wysiłków. Nie zdziwię się, jeśli zniechęci się księżę do spraw publicznych i wycofa z działań wszelkich.

Piszę wciąż o polityce, ale nie wiem, czy Cię to teraz wiele obchodzi, Moja Droga. Strasznie, strasznie mi przykro, że Cię takie nieszczęście spotkało. Cóż, wracaj co prędzej do nas, do Stambułu. Musisz przeżyć swoją żalobę, ale pamiętaj, że jej czas smutny kiedyś się skończy. Wiem coś o tym. Jesteś wciąż młoda, życie przed Tobą. Wracaj do nas – tu czeka Twój syn, Twoja rodzina, Twoi przyjaciele. Tęsknimy za Tobą.

Ściskam Cię serdecznie

Twoja Ludwika

Emilii brakowało częstych rozmów i spotkań z Ludwiką, z którą bardzo się zbliżyły w jej stambulskich czasach. Jednak kiedy Emilia czytała ten list, pensjonat był już urządzony i pachniał nowością, a w drewnianej kołysce spała jej śliczna, malutka, niedawno narodzona córeczka. Maria Andriejewna Konarska. Pierwsi goście chwalili gościnność i gust gospodyni, pierwsze zarobione ruble dawały jej poczucie niezależności i swobody, a łagodny nadmorski klimat wyraźnie służył i mamie, i dziecku. Emilia zaczynała się dobrze czuć w swoim nowym życiu. Nie zamierzała wracać do Stambułu, choć wciąż śniła o swoim pozostawionym tam synku. Jednak gorzkie słowa Ludwiki o klęsce sprawy polskiej miały wpływ na to, jak wychowywała swoją córkę – choć zdała sobie z tego sprawę dopiero później. Mając świadomość tej klęski, nie chciała uczynić z Maryni szermierza sprawy

przegranej i nadmiernie pobudzać jej polskiego patriotyzmu. Wiedziała dobrze, jak łatwo w kraju takim jak Rosja każdy przejaw buntu wobec państwa mógł zaprowadzić na mroźny Sybir, z którego najczęściej nie było już powrotu.

Przez kolejne lata życie Emilii płynęło spokojnie. Pensjonat zapewniał jej stabilne utrzymanie i kontakt z niebanalnymi ludźmi. Pod jej dachem bywali artyści, dziennikarze, podróżnicy, którzy przywozili ciekawe wieści ze świata. Marynia rosła zdrowo, a jej ciemnokawowe oczy i włosy co dzień przypominały Emilii o zmarłym mężu. Miała oddanych przyjaciół: niezawodną Nadire i dobroczyńcę Iwana Ajwazowskiego. Mogła się cieszyć spokojnym, dostatnim życiem, a zarazem swobodą i niezależnością. Tylko ta tęsknota... Emilia tęskniła za pozostawionym w Turcji synem, choć wciąż mówiła sobie, że jest tam szczęśliwy. Tęskniła też za mężczyzną u swego boku.

Jeśli chodzi o Kemala – próbowała sprowadzić go ze Stambułu, choćby na wakacje. Wielokrotnie pisała do Gülşen, błagając ją o zgodę na spotkanie z synem albo chociaż o informacje na jego temat. Jak żyje? Czy urósł? Czy bardzo się zmienił? Czy jest szczęśliwy? Jak wygląda? Czym się interesuje? Czy wspomina ją czasem? Jakie ma plany na przyszłość? Czy nie choruje? To wszystko Emilia chciała wiedzieć, ale ze strony Gülşen spotykało ją tylko wzgardliwe milczenie. Nie mogąc nawiązać z nią kontaktu, pisała listy bezpośrednio do syna. Starła się dostosować treść do jego wieku – w prosty sposób mówiła mu, że go kocha, że za nim tęskni, że często o nim myśli. Przywoływała dawne, szczęśliwe chwile, gdy żył Zakir i byli jedną rodziną. Miała nadzieję, że Gülşen pozwala mu je czytać. Nie była tego jednak pewna, bo Kemal nie odpowiadał.

A jeśli chodzi o mężczyznę – przez długie lata po śmierci Zakira Emilia chciała na zawsze dochować mu wierności. Wydawało jej się, że już nigdy nie mogłaby pozwolić się dotknąć nikomu innemu. Jednak nawet najdłuższa i najszczerza żałoba kiedyś się kończy. Pewnego dnia Emilia zaczęła dostrzegać, że niektórzy mężczyźni patrzą na nią z zainteresowaniem. Dojrzała, ale wciąż atrakcyjna wdowa, niezależna finansowo i potrafiąca radzić sobie samodzielnie w życiu, budziła ciekawość i przyciągała uwagę wielu mężczyzn w średnim wieku.

A nawet niektórych młodych. Zdarzało jej się otrzymywać mniej lub bardziej zawołowane propozycje od samotnych gości pensjonatu. Z jednej strony uważała, że reputacja jej domu nie może ucierpieć i że nie wolno jej dopuścić do powstania plotek i podejrzeń. Z drugiej strony dojrzałe, wciąż piękne i jędrne ciało Emilii domagało się porcji czułości.

Kiedy była już gotowa na to, by zacząć myśleć o innym mężczyźnie, jej uwagę zwrócił pewien cierpliwy adorator, który od dawna zabiegał o jej względy. Był to emerytowany wojskowy, Rosjanin, który z dumą nosił srebrny medal za obronę Sewastopola. Wydawał się spokojnym i statecznym mężczyzną. Mieszkał w Teodozji samotnie i często przychodził do pensjonatu na herbatę i rogaliki nadziewane konfiturą z pigwy. Gawędził miło z Emilią, interesował się jej życiem i przeszłością, przynosił świeże plotki z miasta. Był uprzejmy. Czasem obdarowywał ją pudełkiem czekoladek, bukietem kwiatów albo tomikiem wierszy. Jego adoracja była nienachalna, dyskretna i miła. Siergiej Michajłowicz Łazarin – tak się nazywał. Miał szerokie siwe wąsy i przenikliwe szare oczy. Zakończył już karierę wojskową, ale nadal pozostawał w służbie państwa – nosił mundur urzędnika średniego szczebla.

Któregoś dnia siedział sam na werandzie, a Emilia podała mu osobiście filiżankę herbaty. Kiedy postawiła przed nim talerzyk słodkich rogalików, niespodziewanie nakrył jej rękę swoją dużą, ciepłą dłonią. Tak dawno nie czuła męskiego dotyku, że nie cofnęła ręki na tyle szybko, na ile nakazywałaby przyzwoitość. Pozwoliła mu pogłodzić swoją dłoń, a potem podnieść ją do ust i pocałować.

– Emilio Emiliewno, pani tak ciągle sama, niechże pani ze mną usiądzie i wypije herbatę.

Wzięła filiżankę z kredensu i usiadła naprzeciw niego.

– Jest pani jeszcze młoda, a ciągle sama i sama... Nie przydałby się pani bliski przyjaciel, serdeczny opiekun albo i nowy mąż? – zapytał, zaglądając jej głęboko w oczy.

„Mąż: niekoniecznie, bliski przyjaciel: dlaczego nie” – pomyślała. Czyżby Siergiej Michajłowicz był chętny do tej roli? Nie wytrzymał oczywiście porównania z Zakirem, ale i ona nie była już przecież pierwszej młodości. Nie odegnała myśli o ewentualnym związku, ale

spokojnie ją rozważała, siedząc naprzeciwko niego w milczeniu i patrząc mu w oczy z lekkim uśmiechem. Przypomniała sobie wtedy swą dawną francuską przyjaciółkę markizę Jacqueline de Verneille, która przed laty potrafiła się cieszyć towarzystwem najpiękniejszych mężczyzn Stambułu, nie rujnując przy tym swojej reputacji. Jak ona to robiła? Emilii nie przyszło do głowy zapytać o to w czasach swego szczęśliwego małżeństwa, zanim Jacqueline wróciła do Paryża, gdy zaczęła chorować na żołądek i wolała powierzyć swoje zdrowie francuskim lekarzom.

– Jak pani się pięknie zamyśla. Dużo bym dał, żeby wiedzieć, na jaki temat.

– Siergieju Michajłowiczu, lepiej, żeby niektóre myśli samotnych kobiet pozostały ich sekretem – zauważyła z odrobiną kokieterii.

– Odkrywanie sekretów to moja druga natura – odparł natychmiast Siergiej.

I tak od słowa do słowa stanęło na tym, że Siergiej Michajłowicz zapowiedział się z wieczorną wizytą.

Emilia przygotowała się starannie. Wzięła pachnącą kąpiel, wmasowała w ciało trochę olejku różanego, naszykowała świeżą pościel i zapowiedziała Nadire i Maryni, że wieczorem chce być sama. Nie żeby nagle zakochała się w Siergieju Michajłowiczu. Nic z tych rzeczy. Ale po latach samotności czuła, że musi zadbać o potrzeby swego ciała. Czas spędzony w haremie oduczył ją myślenia o tych sprawach w kategoriach grzechu. Uważała, że miłość cielesna jest boskim darem dla małżonków. Ale gdy jedno z nich odchodzi wcześniej, drugie ma prawo dzielić ten dar z kim innym.

Siergiej Michajłowicz zjawił się punktualnie o jedenastej wieczorem, z bukietem konwalii i szampanem. Szybko porzucili konwenanse, wiedząc dobrze, po co się spotkali. Emilia zaprowadziła go po drewnianych schodach na górę, do swojej sypialni, w której świeża pościel, przytłumione światło lampy naftowej i zapach róż w powietrzu tworzyły miłą nastrój. Siergiej wszedł, rozejrzał się, postawił szampana na toalecie. Wodził za Emilią rozmarzonym wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że taka kobieta zgodziła się przyjąć go w swojej sypialni.

– Siergieju Michajłowiczu, tylko jeden warunek: nikt się o tym nie dowie – zastrzegła Emilia.

– Oczywiście, królewno, nikt się nie dowie – szeptał, rozpinając guziki munduru, a w jego głosie brzmiała namiętność.

Podszedł do Emilii w samych spodniach i sięgnął ustami do jej ust, łaskocząc ją przy tym trochę węsami, a jego ręce ześlizgnęły się z jej pleców na pośladki.

Cóż, może brakowało mu finezji Zakira, ale jednak był żywym mężczyzną. Jego ciało było silne, a ruchy zdecydowane. Emilia wróciła do miłości fizycznej jak do dawno opuszczonego ulubionego domu, w którym natychmiast się odnalazła i poczuła bezpiecznie. Długie lata spędzone w haremie i częste obcowanie z hammamem oswoiły ją z nagością i uleczyły z wszelkiej pruderii. Dobrze się czuła w swojej skórze i lubiła bliskość nagich ciał. Siergiej był zachwycony jej otwartością i kunsztem. Namiętność poniosła ich tak szybko, że nie zdążył nawet otworzyć szampana. Dopiero gdy leżeli obok siebie zdyszani po pierwszym akcie, sięgnął po butelkę, odkorkował ją i nie szukając nawet kieliszków, podał Emilii, by mogła ugasić pragnienie, po czym sam pociągnął spory łyk. Gdy szampan uderzył im do głowy, kochali się znowu, z jeszcze większą swobodą i zapamiętaniem. Siergiej chętnie pozostałby w łóżku Emilii do rana, ale ona wyprawiła go do domu przed świtem, zdecydowana ukrywać tę relację.

– Królewno, jesteś niesamowita – powiedział na odchodnym, całując ją w rękę. – Nie wiem, gdzieś się tego nauczyła, ale mam nadzieję, że pozwolisz mi odwiedzić się jeszcze.

Emilia czuła błogość zaspokojenia, przeciągnęła się jak kotka w słońcu.

– Pielęgnuj tę nadzieję w sercu, drogi Siergieju, a kto wie, może twoje marzenie się spełni – odpowiedziała.

Kiedy została sama, dopiła reszkę szampana wprost z butelki, świętując zakończenie wieloletniego celibatu. Pomyślała, że wprawdzie wszyscy opiewają znaczenie miłości w życiu kobiety, ale jej przyjaciółka Jacqueline miała rację: wolność i niezależność są także nie do przecenienia. Postanowiła spotykać się z Siergiejem od czasu do czasu, ale na własnych warunkach i tylko wtedy, kiedy sama będzie miała na to ochotę. Błogosławiła dzień, w którym zdecydowała się nie wracać do Stambułu.

Jej tajemne schadzki z Siergiejem Michajłowiczem trwały kilka lat. Przez ten czas Emilia odmłodziła, jej cera nabrała blasku, a ciało – dawnej gibkości. Czasem spotykali się kilka razy w miesiącu, czasem rzadziej. Początkowo Emilia, zauroczona odzyskaną przyjemnością dotyku, rozważała nawet, czy ponowne małżeństwo nie byłoby dobrym dopełnieniem jej życia. Ale potem uznała, że jej rosyjski przyjaciel nie nadaje się do tej roli: nie tylko brakowało mu finezji, nie tylko zdarzało mu się bywać trochę brutalnym i nadużywać swej siły, ale przede wszystkim nie był na tyle interesujący, by Emilia miała ochotę przebywać w jego towarzystwie poza chwilami cielesnych uniesień. Zresztą i te z czasem zdarzały się rzadziej. Po pierwszym zachwycie, gdy jego muskularne ciało już jej spowszedniało, Emilia coraz częściej wykręcała się od kolejnych spotkań. Aż wreszcie doszło do tego, że zaczęła się zastanawiać, czy definitywnie nie skończyć tej relacji. Ten romans niewątpliwie dodał jej pewności siebie i przywrócił jej życiu trochę żaru namiętności, ale najwidoczniej nie było mu pisane przekształcić się w trwałą wartość. Błogosławiona wolność wyboru dojrzałych kobiet! Emilia właśnie zamierzała z niej skorzystać i uprzejmie, ale stanowczo pożegnać Siergieja.

Wtedy jednak zdarzyło się coś najmniej spodziewanego pod słońcem.

– Siergieju, nasza relacja od początku była dość... niezobowiązująca i taka miała pozostać – zaczęła Emilia którejś nocy, kiedy leżała pod kołdrą, patrząc, jak kochanek wciąga spodnie w przytłumionym świetle lampy. Nigdy bowiem nie pozwalała mu zostać u siebie do rana.

Siergiej przysiadł na fotelu i spojrzał na nią uważnie. Wyraz jego twarzy nie spodobał się Emilii – jakby na jego dnie czaiła się groźba.

– Dlatego też chciałam cię prosić, żebyś już więcej do mnie nie przychodził – dokończyła spokojnie. – To znaczy zawsze chętnie poczęstuję cię herbatą na werandzie, ale nie będę cię już przyjmować jak dotąd. Przecież niczego sobie nie obiecywaliśmy, prawda?

Oczy Siergieja zwężyły się w szparki. Wstał, podszedł do łóżka i stanął nad nią.

– Toś ty myślała, kobieto, że Siergieja Michajłowicza można



wyrzucić jak stary pantofel? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – O nie, to Siergiej ma cię w ręku, a nie ty jego, Anastazjo Pietrowna!

– Co ty mówisz? Chcę to już zakończyć, to wszystko.

– Będę tu przychodził, kiedy zechcę, a ty będziesz dla mnie miła jak dotąd, rozumiesz? – syknął, a w jego głosie zabrzmiało coś złowieszczonego.

– Nie. Nie zmusisz mnie do tego. Wyjdź już – odparła zirytowana.

Ale on ani myślał wychodzić. Przybrał teraz chłodny, prawie urzędowy ton, jak gdyby indagował ją w sądzie. Zaczął się wolno przechadzać po pokoju, nie spuszczać jej z oczu.

– Anastazja Pietrowna, tak się pani nazywa, czy może Emilia Emiliwna? A jeśli nie Anastazja, to dlaczego tak się pani przedstawia przy wejściu do obleżonego miasta? Jest pani katoliczką czy prawosławną? A jeśli katoliczką, to czemu nosi pani prawosławny krzyż na piersi? Po co ta maskarada? Żeby zmylić wartowników i zażartować ze starego żołnierza? Ale po co? A może po to, żeby szpiegować dla wroga, który od dziesięciu miesięcy nie może zdobyć miasta? Jest pani obcym szpiegiem, a ja panią przejrzałem, ot co!

Emilia usiadła na łóżku i podciągnęła kołdrę pod brodę, bo nagle zrobiło jej się zimno. Zbladła. Słowo „szpieg” w Rosji nie miało w sobie ani trochę lekkości, przeciwnie – brzmiał w nim ciężar żelaznych łańcuchów i mroźny chłód Syberii.

– Tyś na mnie nawet nie spojrzała – mówił dalej, stojąc nad nią w rozkroku, z założonymi rękami, jak nad swoją ofiarą. – Ale ja na ciebie patrzyłem i patrzyłem. Stałem wtedy na warcie przy bramie, kiedyś weszła do miasta z tym swoim koszykiem. „To na barszcz!”, powiedziałaś. Akurat, pomyślałem, te białe rączki na pewno nie rwą same buraków z ziemi. Ale weszłaś, ani się na nas obejrzałaś. Od razu wiedziałem, że jesteś nowa, często tam stałem, a taką kobietę bym zapamiętał. No i co? Wojnę szczęśliwie przeżyłem, medal dostałem, i skierowali mnie tu, do Teodozji. Przyjeżdżam, rozglądam się po mieście, patrzę, a tu moja Anastazja Pietrowna pensjonat prowadzi i ma protekcję samego Iwana Konstantynowicza Ajwazowskiego! A do tego ma malutką córeczkę. A gdzie mąż? „Mąż zginął”, mówi. Pod Sewastopolem. Wszyscy kiwają głowami, a ja się pytam: a w którym to

pułku służył szanowny małżonek? A ona, co na to, ta Anastazja Pietrowna, która już się nazywa Emilia Emiliewna? „A nie wiem, nie mówił mi dokładnie”... No jakże to tak, żeby żona nie wiedziała, w którym pułku mąż służy?! Może głupiec jaki w to uwierzy, ale nie ja. Więc zacząłem się przyglądać tej Emilii-Anastazji. A ona listy pisze. A dokąd? Do Stambułu, do Adampolu, a nawet do Ameryki!

Emilia robiła się coraz bledsza, brakowało jej tchu.

– Czytałeś moje listy? – szepnęła.

– To mogły być szpiegowskie meldunki. Ale nie, ja jestem prosty żołnierz, nie czytam po polsku ani po francusku. Ale mamy takich, którzy znają języki, nawet Polaków. Więc wszystko już wiemy: miałaś tureckiego męża, wysoko postawionego na dworze sułtana, masz tam syna, utrzymywałaś kontakty z polskimi wywrotowcami w Stambule... Wiem o tobie dosyć, by wysłać cię w kibitce daleko na północ i daleko na wschód. Chyba że... nadal będziesz miła. I pamiętaj, że zawsze mogę zmienić zdanie.

„Szantaż. To się nazywa szantaż” – uświadomiła sobie Emilia. Jak przez mgłę przypomniała sobie scenę sprzed lat, kiedy na prośbę Russella zgodziła się wejść do oblężonego Sewastopola. Jeden z wartowników, ten młodszy, coś do niej zagadał, ale na drugiego w ogóle nie zwróciła uwagi. To musiał być Siergiej. Kto mógłby przypuścić...? To, co powiedział, oznaczało, że był nie tylko żołnierzem, ale i tajniakiem. Musiał od lat ją śledzić i zbierać o niej dane. Bóg jeden wie, czy już się z kimś nie podzielił tą wiedzą.

Emilia patrzyła na niego z przestraczeniem w oczach, zastanawiając się, jak daleko będzie gotowy się posunąć. Zobaczyła, że ściąga włożone niedawno spodnie.

– Rozmyśliłem się – powiedział z jadowitym uśmiechem. – Chcę jeszcze.

Podszedł i zdarł z niej kołdrę. Przez chwilę sycił oczy widokiem jej nagiego, przestraszonego ciała. Czy tego właśnie pragną wszyscy szpicle i szantażyści świata? Widoku bezsilności i przerażenia w oczach swojej ofiary? Siergiej zbliżył się do Emilii i mimo jej protestów siłą wymusił to, co dotąd dostawał dobrowolnie, a czego właśnie chciała mu odmówić. Nie było w nim śladu dawnej czułości, tylko triumf

zwycięzcy. Emilia gryzła palce, żeby nie krzyknąć, a z oczu płynęły jej łzy. Czy to kara za to, że nie dochowała wierności mężowi i zostawiła syna?

Siergiej przychodził jeszcze przez kilka miesięcy. Emilia czuła się bezradna. I poniżona jak nigdy dotąd. Nie znalazła dobrego sposobu, by się z tego wyplątać. Nie pójdzie przecież na policję, skoro z tajnym pracownikiem policji ma do czynienia. Wiedziała dobrze, że jego groźba stanowi dla niej realne niebezpieczeństwo. Potężne mocarstwa nie wybaczą szpiegom, nawet domniemanym. Miała ściśnięty żołądek, była blada i prawie przestała jeść. Jej życie straciło niedawny urok i stało się pełnym udręki oczekiwaniem na wizyty kochanka, który zmienił się w oprawcę.

W końcu któregoś wieczoru usłyszała słowa, na które czekała od dawna.

– Mam cię dosyć – zakomunikował, zapinając spodnie. – Starzejesz się, straciłaś ochotę na te rzeczy.

Emilia pomyślała z ulgą, że wreszcie ta gehenna się skończy.

– Ale masz jeszcze córkę.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Nic ci do niej – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Przeciwnie. Chętnie bym spróbował młodego ciała. Daję ci tydzień na przekonanie jej.

– Ty draniu! Nie będę rajfurką własnej córki!

– O, Emilia-Anastazja się unosi. Ale Siergiej Michajłowicz jest mądrzejszy i już ma gotowe pismo do przełożonych z ciekawostkami z życia Emilii-Anastazji. A wróble ćwierkają, że kto wie, może będzie następna wojna rosyjsko-turecka. I jak myślisz, jak władze potraktują tureckiego szpiega? Więc lepiej przekonaj swoją córeczkę. A zresztą słyszałem, że nie taka ona święta...

Emilia ścisnęła w rękach szklany flakon z perfumami i przez chwilę walczyła z chęcią rzucenia nim z całej siły w jego głowę.

– Idź już – powiedziała zamiast tego.

Jak mogła się wplątać w tak haniebną zależność?!

Gdy wreszcie wyszedł, poczuła taki ciężar, jakby przygniotło ją całe wzgórze z winnicą nad miastem.



## Rozdział XXI

### Iwanie, ratuj...

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski siedział na tarasie przy popołudniowej herbacie i palił ulubioną fajkę – prezent od dowództwa floty. Jego żona i córki znów przyjmowały krawcową, by mieć nowe suknie najmodniejszego kroju, a on rozmyślał o tym, jak rozmaite mody w sztuce przychodzą i odchodzą. W czasach młodości Iwana romantyczne malarstwo święciło triumfy, jego wzburzone fale rozbryzgujące się o skały i rozbitkowie uczepieni belki miotanej sztormem trafiali idealnie w gusta epoki. Ale potem zapanowała moda na realizm – chłopci na roli, znój ciężkiej pracy, bury krajobraz rosyjskiej wsi zagościły na płótnach postępowych malarzy i głosiły swoją „prawdę” o życiu. Iwan nie lubił tego stylu. Wolał wierność estetyce młodości. Bywał za to krytykowany – choćby ten publicysta, jak on się nazywał, Fiodor Dostojewski, potępiał go za uprawianie pustej estetyki zamiast krytyki społecznej. Ale dlaczego pustej? Przecież w jego obrazach zawsze chodziło o wolność, o nadzieję, o wiarę w lepszą przyszłość, na przekór sztormom i burzom. Każdy mógł pod symbole żywiołów podkładać takie treści, jakie były mu bliskie, nawet społeczne i polityczne. Co więcej, uważał to wolnościowe przesłanie, któremu służył, za uniwersalne i ponadczasowe, trwalsze od chwilowej mody na brudnych chłopów. Nie zamierzał więc ulegać naciskom i zmieniać swego stylu. To była z kolei jego wolność: malować tak, jak lubił i jak mu się podobało, a nie tak, jak tego oczekiwały postępowe gazety.

Z tych rozmyślań wyrwał go głos pokojówki, która zapowiedziała wizytę Emilii Emiliewny Konarskiej. Iwan zdziwił się trochę, bo jego przyjaciółka rzadko odwiedzała go u niego w domu, to raczej on zaglądał do jej pensjonatu, zachodząc na herbatę w czasie swoich spacerów. Ale się ucieszył. Jego żona oddaliła się od niego tak bardzo, że ledwie mówili sobie rano dzień dobry, córki były zajęte umizgami kawalerów, więc czuł się trochę osamotniony w tym domu pięciu kobiet. Emilia zawsze budziła w nim ciepłe uczucia, podobnie jak jej utalentowana córka. Ale teraz weszła tak blada i przestraszona, że poważnie się zaniepokoił.

– Stało się coś, moja droga Emilio? – zapytał troskliwie, kiedy usiadła z nim przy stole.

– Ach, Iwanie, zrobiłam straszne głupstwo i bardzo się boję o Maszę! – powiedziała.

– O Maszę? A co się może stać mojej najmilszej uczennicy?

– To moja wina... Nie wiem, co robić.

Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie, nawet wtedy, kiedy świeżo owdowiała, w ciąży z Maszą stanęła przed nim i błagała o pomoc w rozpoczęciu nowego życia. Teraz ręce jej się trzęsły.

– Nie wierzę, że zrobiłaś coś naprawdę złego. Znam cię, masz dobre serce.

– Moje serce nie ma tu nic do rzeczy. Oszukałam was...

Iwan patrzył na udrękę w jej oczach i miał ochotę ją przytulić. Ta kobieta zawsze budziła w nim jakieś rozczenie. Patrzył z podziwem, jak radziła sobie sama, bez pomocy męża, z prowadzeniem pensjonatu i wychowywaniem córki.

Teraz słuchał, jak walcząc z poczuciem wstydu, czyniła mu wyznanie: nie była wcale żoną rosyjskiego oficera, jak wszyscy wierzyli, tylko żoną tureckiego dyplomaty! A niech to szlag, Iwan nie znosił Turków. Czuł się bardzo związany ze swoją ormiańską ojczyzną, a dochodziły do niego głosy, że Ormianie, licznie zamieszkujący północno-wschodnie krańce imperium osmańskiego, są traktowani coraz gorzej. Rodził się tam turecki ruch nacjonalistyczny, w którym Iwan widział realne zagrożenie dla swoich rodaków. Ale zaraz...

– Skoro w wojnie krymskiej byłaś po stronie tureckiej, to co robiłaś w Sewastopolu? – zapytał i ciężkie podejrzenie przemknęło mu przez myśl.

– Iwanie, ty też myślisz, że pracowałam jako szpieg? Nie!

Widok cierpienia w jej oczach był trudny do zniesienia, ale fakty świadczyły przeciwko niej. Tak, Iwan tak właśnie pomyślał – że była tureckim szpiegiem. I odruchowo odsunął swoje krzesło trochę dalej od niej.

A ona opowiedziała mu wtedy o umowie z brytyjskim dziennikarzem, o jego obietnicy znalezienia jej męża i o zebraniu paru obserwacji do artykułu. Rzeczywiście, Iwan przypomniał sobie, że po

powrocie z Sewastopola ktoś przysłał mu numer londyńskiego „The Times” z artykułem o życiu mieszkańców oblężonego miasta i o jego wystawie w tym mieście. Zachodził wtedy w głowę, skąd Anglicy mogli o tym wiedzieć.

– No dobrze, ale czemu mówisz mi o tym teraz? To dawne dzieje.

– Jestem szantażowana... Rozpoznał mnie wartownik, Siergiej Michajłowicz.

– Chce pieniędzy?

– Nie. Chce Maszy...

Gdyby Siergiej Michajłowicz przechodził teraz ulicą, Iwan pewnie wybiegłby z domu i przy całej łagodności swego charakteru obiłby mu głowę.

– A to swołocz! – wykrzyknął zamiast tego. – Ale jak on śmiał przyjść do ciebie i ni stąd, ni zowąd zażądać twojej córki?! Toż to niespotykana czelność!

Zobaczył zażenowanie na twarzy Emilii, jakby jego przyjaciółka chciała się zapaść pod ziemię.

– Zostaliśmy... kochankami – dopowiedziała ledwie słyszalnie.

Iwan myślał, że się przesłyszał. Ale spuszczone wzrok Emilii utwierdził go w przekonaniu, że jednak nie. W ciszy, która zaległa między nimi, słyhać było przelatującą muchę. Iwan przechadzał się długo po tarasie, jakby obmyślał plan.

– Dobrze, spróbuję pomóc ci wyplątać się z tej historii. Ale mam jeden warunek: musisz powiedzieć jej prawdę.

Emilia popatrzyła na niego z udręką w oczach.

– O jej ojcu. Nie o twoim kochanku – dodał dla wyjaśnienia, a słowo „kochanek” zabrzmiało ostro jak brzytwa.

Bo też wyznanie Emilii zabolalo go jak nagłe ukłucie. Od dawna miał słabość do tej kobiety, a jeszcze większą – do jej córki. Ale choć jego uczucie do żony dawno się wypaliło, a jej północny chłód zalegał w sypialni od lat, nigdy nie przyszło mu do głowy, by próbować nawiązać z Emilią bliższą relację o charakterze intymnym. Jej uwagi o tym dawnym perskim poecie czyniły z niej w oczach Iwana osobę uduchowioną i niemal idealną. Odkrycie, że wdała się w banalny romans z tak nieciekawą figurą jak jakiś podrzędny tajniak, było mu naprawdę

niemiłe. I rozczarowujące.

Jednak wiedział, że mimo pewnej niechęci, którą odczuwał teraz do Emilii, musi zadbać przede wszystkim o bezpieczeństwo Maszy. A dla niej był gotów na wiele. Stała mu przed oczami nędzna postać Siergieja Michajłowicza. Iwan byłby gotów napluć mu w twarz. Dobrze znał ten typ drobnych donosicieli i szantażystów; pogardzał nimi, ale wiedział, że mogą się okazać groźni. Biurokratyczna machina kontroli całego społeczeństwa imperium opierała się w dużej mierze na donosach i tajnych meldunkach sporządzanych przez takich jak on. I nikt w całej Rosji nie mógł się czuć w pełni bezpieczny, od prostego chłopca, przez zwykłych urzędników, mieszczan, obszarników i inteligentów, aż po prominentnych arystokratów u dworu. Najmniejsze podejrzenie o nielojalność wobec najjaśniejszego pana, samodzielnicy Wszechrusi, mogło skutkować nieodwołalnym nakazem przesiedlenia do odległych wschodnich guberni. Kara ta była wymierzana często, bo ogromne połacie półdzikich terenów przyłączanych systematycznie do wschodnich rubieży państwa domagały się zasiedlenia białymi osadnikami.

Po wyjściu Emilii Iwan Ajwazowski zaczął się zastanawiać, który z jego wpływowych przyjaciół i wielbicieli mógłby być tu najbardziej przydatny. Po namyśle odrzucił burmistrza, dowódcę garnizonu i księcia Golicyna, który nabył właśnie winnice i zamierzał się tu przenieść z Moskwy. Wytypował naczelnika tajnej policji, czyli przełożonego Siergieja. Naczelnik od dawna zabiegał o jego przyjaźń, ale Iwan za nim nie przepadał i raczej nie zapraszał na przyjęcia w swoim domu. Teraz jednak postanowił obdarować go swoim obrazem i wpisać na listę gości sobotniego przyjęcia. Bo choć Julia nie miała już dla niego ciepłych uczuć, to jednak uwielbiała bale i przyjęcia, a do tego wciąż myślała o swoim podstawowym obowiązku macierzyńskim, czyli dobrym wydaniu córek za mąż, dlatego ich życie towarzyskie nadal kwitło.

Iwan wziął kapelusz, zapakował jeden ze swoich mniej udanych obrazów i poszedł na popołudniowy spacer w kierunku siedziby carskiej policji. Za swoją nagłą życzliwość wobec komendanta oczekiwał tylko jednej przysługi: rozkazu natychmiastowego wysłania Siergieja Michajłowicza do pracy w dalekich guberniach wschodnich. Może



Irkuck? Może Władywostok? A gdyby Siergiej Michajłowicz przed wyjazdem chciał złożyć jakiś raport, Iwan spodziewał się, że komendant raport ten niezwłocznie podrze na strzępy i wyrzuci. Albo lepiej – spali.

## Rozdział XXII

### Dom mego ojca

Ta wiadomość okazała się dla mnie jeszcze większym szokiem niż aresztowanie Pieti.

Tego popołudnia mama była blada jak papier w moim szkicowniku. Gdy przyszła do pokoju na poddaszu, który przerobiłam na pracownię, zastała mnie przy sztalugach. Od dawna nie malowałam portretów Pieti ani nie robiłam szkiców ołówkiem. Zainteresowały mnie kolor i kompozycja. Teraz studiowałam światłocien i martwą naturę. Na moim stole były rozłożone jabłka, ćwiartka arbuza i gliniany dzban, po którym ślizgało się światło. Najtrudniej było uchwycić właśnie ten słoneczny promień na połyskliwym owalu naczynia.

Mama weszła do pracowni z przestraczem na twarzy, jakiego dawno u niej nie widziałam. W ogóle ostatnio była jakaś nieswoja, co dopiero teraz sobie uświadomiłam. Usiadła na fotelu i nerwowo zaciskała palce.

– Stało się coś? – zapytałam, nie przerywając malowania.

Zawsze uważałam, że za bardzo się przejmuję mało ważnymi rzeczami, na przykład tym, że nie zamierzałam wychodzić za mąż.

– Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć... od czego zacząć... – odparła, a głos jej się łamał.

Do tej pory raczej unikała mówienia mi tego, co chciałam wiedzieć, więc byłam tak zaintrygowana, że odłożyłam pędzel, wytarłam ręce i usiadłam naprzeciwko niej na wysokim malarskim taborecie.

– Coś się stało? Bankrutujemy? Jesteś chora?

– Nie. Nic się nie stało. To znaczy stało się, ale dawno temu... – I mama zaczęła opowieść o swojej przeszłości, która była zupełnie inna, niż dotąd sądziłam.

Młodości wcale nie spędziła w białym dworku z kolumnami i z klombem herbacianych róż, tylko w klasztorze! Jej ojciec nie zginął w powstaniu listopadowym, jak mi się wydawało, tylko po aresztowaniu i służbie na Kaukazie został tureckim niewolnikiem. Ale największą rewelacją mama zostawiła na koniec: moim ojcem nie był Rosjanin ani Polak, żaden Andrzej czy też Andriej Konarski, tylko Turek! Odebrało

mi mowę. Turcja nic mnie nie obchodziła. Czytałam w gazetach o napięciu rosyjsko-tureckim, które miało grozić kolejną wojną. Chodziło o jakąś Serbię, o której też nie wiedziałam zbyt wiele.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?! Co mam teraz zrobić z tą wiedzą? – zapytałam ze złością, a mój głos brzmiał ostrzej i bardziej zaczepnie, niż zamierzałam. Nikt przecież nie lubi być oszukiwany.

– Maryniu, urodziłaś się tuż po wojnie krymskiej. Myślałam, że tak będzie dla nas bezpieczniej – usprawiedliwiała się żałośnie.

– A teraz jest być może tuż przed kolejną wojną. I co to zmienia?

Czułam się oszukana i zdradzona. Nie mogłam na nią patrzeć. Wybiegłam z pokoju prosto na plażę. Biegłam długo wzdłuż brzegu, aż padłam zmęczona na piasek. W głowie miałam pustkę. Więc nie jestem ani Polką, ani Rosjanką, tylko Turczynką? Byłam wściekła na mamę i nie chciałam jej widzieć. Długo leżałam samotnie na plaży pod ciemniejącym niebem i słuchałam szumu fal morza, łączącego moje miasto z Turcją, o której dotąd nie myślałam, a która okazała się nagle moją ojczyzną czy też półojczyzną. Wróciłam do domu dopiero wieczorem, o ulubionej, księżycowej porze mojego mistrza.

Nadire siedziała sama na werandzie przy świecy, jakby na mnie czekała. Usiadłam naprzeciwko niej.

– Wiedziałaś o tym? – zapytałam.

– Oczywiście.

– Znałaś mojego ojca?

– Tak, od dziecka.

Uświadomiłam sobie, że jej uroda wskazuje na pochodzenie stamtąd.

– Jesteś jego siostrą?

Roześmiała się i zaprzeczyła.

– Jak mogłyście to przede mną ukrywać?

Nadire milczała.

– Jak myślisz, dlaczego od początku mówiłam do ciebie po francusku? – zapytała po chwili.

– Bo nie znasz rosyjskiego. Ani polskiego.

– Kochanie, mieszkam tu od dwudziestu lat. Myślisz, że nie

rozumiem, co ludzie mówią? Mam talent do języków. Ale wiedziałam, że przyjdzie dzień, w którym poznasz swoje prawdziwe korzenie. Chciałam, żebyś mogła wrócić do domu i porozmawiać ze swoją babką. Niezależnie od decyzji twojej matki i ty, i ona macie prawo do tego, by się poznać i porozumieć.

– Tu jest mój dom. Turcja nic mnie nie obchodzi.

– Tu też. Ale i tam. Zobaczysz.

– Uważasz, że powinnam tam jechać?

– Oczywiście, skoro już poznałaś prawdę. A ja chętnie pojedę z tobą.

Milczałam, rozważając ten pomysł. Miałabym pojechać do Stambułu, do obcych ludzi? I co?

– Powiedziała ci o Kemal? – zapytała Nadire cicho.

– Tak się nazywał mój ojciec?

– Nie. Twój ojciec nazywał się Zakir. Kemal to twój brat.

Nie mogłam w to uwierzyć. Przez dwadzieścia lat nie powiedziały mi, że mój ojciec był Turkiem, ani o tym, że mam brata! Wróciła do mnie cała samotność, jaką odczuwałam w dzieciństwie, całe wyobcowanie i tęsknota za większą rodziną. Jak mogły? Wzięłam z kredensu najbliższą filiżankę i cisnęłam nią z całej siły o ścianę werandy. Rozbiła się z hukiem na małe kawałeczki. Pobiegłam do siebie na górę. Nie chciałam ich widzieć, żadnej z nich.

Rzuciłam się na łóżko, ale nie mogłam zasnąć. „Ojciec Turek. Ojciec Turek i turecki brat Kemal” – kołatało w mojej głowie. Mój Boże, ile razy zazdrościłam Irze starszego brata, który zawsze, gdy było trzeba, stawał w jej obronie. I zawsze znajdował się obok, gotowy do zabawy, do rozmowy, do pomocy. Przez całe dzieciństwo marzyłam o starszym bracie. A miałam go! Żył gdzieś w dalekim Stambule i pewnie też nie miał pojęcia o moim istnieniu. Na myśl, że mogłabym go zobaczyć, czułam dziwne mrowienie w całym ciele.

Nad ranem, po bezsennej nocy, powzięłam postanowienie: pojedę z Nadire do Stambułu i poznam rodzinę ojca. Odnajdę brakujące ogniwo swojej historii. Dowiem się wreszcie, kim naprawdę jestem. I poznam Kemala, mojego brata.

Zeszłam na dół na śniadanie z oczami podkrążonymi

z niewyspania. Mama i Nadire już siedziały przy stole. Mama była blada, chyba też nie spała zbyt dobrze.

– Zanim stłuczesz następną filiżankę, usiądź i posłuchaj – poprosiła Nadire.

Usiadłam. Mama zaczerpnęła powietrza.

– Powinnaś usłyszeć o Kemal u ode mnie – zaczęła.

– Tak. Dawno temu – potwierdziłam.

– Zrobiłam to, co wydawało mi się dla nas lepsze. A teraz, kiedy znasz już prawdę, czy chcesz tam pojechać z Nadire?

– Tak. A ty nie chcesz? – zdziwiłam się.

– Ja nie mogę. – Znow wyglądała żałośnie, cierpienie odbijało się w jej oczach. – Ale kiedy spotkasz Kemala, daj mu ten list. I powiedz mu... że bardzo chcę go zobaczyć, że go kocham, że wciąż o nim myślę...

Dwie duże łzy spłynęły jej po policzkach, kiedy to mówiła. Mimo całej złości, jaką do mamy czułam, zrobiło mi się jej żal.

– Jest już dorosły, tak jak ty – dodała. – Zaproś go do nas, niech tu przyjedzie. Powiedz mu, że na niego czekam.

Wzięłam list.

Po tym jak po wojnie krymskiej odebrano Turcji i Rosji prawo do posiadania własnej floty, żeglugę na Morzu Czarnym przejęły europejskie linie. Działały bardzo sprawnie – Krym wciąż był odkrywany przez turystów spragnionych nowych wrażeń, więc statki kursowały regularnie. Bez problemu kupiliśmy z Nadire bilety na bezpośredni parowiec z Teodozji do Stambułu i ledwie po paru dniach przekroczyliśmy nadmorski bulwar, znalazłyśmy się w porcie, a po chwili na pokładzie. Uświadomiłam sobie, że choć od urodzenia mieszkam w pobliżu portu, to jeszcze nigdy nie płynęłam statkiem.

Nadchodziły jesienne chłody, morze było wzburzone, dlatego większą część dwudniowej podróży spędziłyśmy w kabinie; nie wychodziłyśmy na pokład, gdzie wiał przeraźliwie zimny wiatr. Żołądek podchodził mi do gardła, czułam się fatalnie. Nadire znosiła podróż lepiej i opowiadała mi o życiu w haremie w stambulskim domu mojego ojca.

– Ale dlaczego mężczyźni trzymają te biedne kobiety

w zamknięciu? – pytałam.

– Bo chcą je chronić. Nie lituj się tak nad nimi, wcale nie są takie biedne.

– Jak mogłaś tam wytrzymać bez swobodnego wychodzenia na ulicę? – dziwiłam się.

– Zanim tam trafiłam, mieszkałam trochę na ulicy. Uwierz mi: w porównaniu z tamtym życiem harem to raj.

Trudno mi było sobie wyobrazić, by izolowanie kobiet w zamknięciu miało coś wspólnego z rajem, ale widać Nadire też skrywała swoją historię. Jednak mnie interesował teraz tylko własny sekret – jaka jest rodzina mojego ojca, a właściwie: moja rodzina.

Gdy statek zbliżał się do portu w Stambule, była mgła, więc niewiele mogłam zobaczyć. Mama mówiła, że to piękny widok, ale tego dnia mżył drobny deszcz, a mnie nie chciało się stać na pokładzie i moknąć. Zresztą czułam w żołądku jakiś węzeł, jakby ktoś związał mi wnętrzności na supeł. Czekałam w napięciu na spotkanie z kobietą, o której Nadire opowiadała mi po drodze.

Gdy dobiliśmy do brzegu, ciocia zasłoniła sobie i mnie twarz specjalną zasłoną. Poczułam się jak trędowata, którą trzeba izolować od ludzkiego wzroku. Co za pomysł! Potem Nadire wynajęła wąskie czółno, którym musiałyśmy się przepłynąć na drugą stronę cieśniny Bosfor. Milczący siłacz w turbanie porwał nasze bagaże, umieścił z tyłu łodzi i pomógł nam wsiąść do środka. Patrzyłam z niepokojem na wzburzone fale, ale innej drogi nie było. Jego łódeczka płynęła jednak pewnie, aż dobiła do brzegu dokładnie w miejscu wskazanym przez Nadire. Wysiadłyśmy, wzięłyśmy torby i poszłyśmy ścieżką w górę wysokiego brzegu, aż do okazałego drewnianego pałacu o rzeźbionych misternie detalach. Muszę przyznać, że był znacznie bardziej imponujący niż nasz dom w Teodozji. Na spotkanie wyszedł nam jakiś siwy, ciemnoskóry człowiek, który długo przyglądał się Nadire. Wymienili parę zdań, chyba po turecku, po czym oczy mężczyzny błysnęły radością, ale jego ruchy wciąż były powściągliwe.

Nadire od razu poczuła się w tym dziwnym miejscu jak w domu. Biegała po korytarzach, odwiedzała kolejne pokoje, rzucała się na szyję napotykanym kobietom, co chwila słysząc było ich perlisty śmiech

i radosny szczebiot.

Wreszcie doprowadziła mnie przed dumne oblicze kobiety, która była moją babcią, choć przecież nie wiedziała o moim istnieniu. Przyjęła nas w saloniku wyłożonym dywanami, poduszkami i niskimi otomanami. Była już zupełnie siwa, trochę przygarbiona, ale dawniej musiała być prawdziwą piękną. Długo patrzyła na moją twarz. Widziałam w jej oczach, że ta wizyta zrobiła na niej wrażenie.

– Ty musisz być córką Zakira – zwróciła się do mnie po francusku z absolutną pewnością. Nie wyglądała nawet na szczególnie zdziwioną.

– Skąd pani wie? – zapytałam trochę głupio, ale jakoś nie umiałam nazywać tej obcej kobiety babcią.

– Masz jego oczy. I brwi. Możesz mi mówić Gülşen, tak jak twoja matka.

Patrzyła na mnie dziwnym wzrokiem – jednocześnie surowym i tkliwym. Trudno mi było ją rozgryźć i właściwie nie wiedziałam, czy cieszy się z naszego przyjazdu czy nie.

– Długo kazałaś mi na siebie czekać, Marie. Chodź za mną – powiedziała, wstała i zaprowadziła mnie do ogrodu, a dalej wąską ścieżką między drzewami w dół, aż do zarośniętego brzegu.

Stała tam stara, trochę odrapana drewniana altana, do której weszliśmy, i usiadliśmy na ławeczkach twarzami zwrócone do wody. Altanę otaczały zaniedbane stare krzewy różane, które o tej porze już przekwitwały. Ostatnie płatki białych róż wędły na ziemi dookoła nas. Kobieta długo siedziała zamyślona i przyglądała mi się, jakby chciała ustalić, na ile jestem podobna do ojca.

– Gdy twoja matka pojawiła się w tym domu, też ją tu zabrałam. Tylko wtedy była letnia księżycowa noc, a mój syn był w niej zakochany i błagał, żebym pozwoliła jej zostać. A ona, głupia, uciekła pierwszej nocy. Teraz jest jesień, pochmurny dzień, a córka mojego syna patrzy na mnie jak na obcą osobę. Nie tak to sobie wyobrażałam...

– Przykro mi, że jest pani rozczarowana, ale ja nie miałam pojęcia o pani istnieniu, tak jak pani o moim – odparłam, bo nie chciałam przyjmować na siebie odpowiedzialności za jej złe samopoczucie. Już i tak czułam się wystarczająco niezręcznie.

– O nie, Marie. Ja wiedziałam o tobie od momentu twego

urodzenia. I od tamtego dnia czekałam, aż mnie odwiedzisz. Długo kazałaś mi czekać.

– Jak to? Moja mama pisała pani o mnie, a mnie o tym nie wspomniała? – Byłam coraz bardziej zła na mamę, że wplątała mnie w tę sytuację.

– Nie. Ona chciała zatrzymać cię tylko dla siebie. Na szczęście była jeszcze Nadire.

– Więc to ona!

– Tak. Okazała się mądrzejsza i lepsza od twojej matki. Przywiozła cię tu i dzięki temu możesz poznać swój prawdziwy dom. I swoje dziedzictwo... – Popatrzyła na mnie, a w jej oczach błysnął namiętny żar.

„Jakie dziedzictwo? – pomyślałam. – Te zakwefione kobiety zamknięte w haremie, niewolnice swojego pana, nie są żadnym moim dziedzictwem!”. Przecież wierzyłam, tak jak Pietia, w równość ludzi i byłam zwolenniczką emancypacji kobiet. Zamykanie ich w domu i zasłanianie im twarzy wydawało mi się jakimś średniowiecznym przesądem. Nie mogłam uwierzyć, że moja matka dobrowolnie tkwiła w tym świecie więcej niż dziesięć lat.

Mierzyłyśmy się wzrokiem, a wokół nas falowały rozmaite uczucia, które trudno byłoby nam nazwać. Niełatwo pokochać obcą kobietę, widzianą po raz pierwszy, nawet jeśli jest twoją babcią czy wnuczką. A jednocześnie pragniesz tej miłości. Wydaje mi się, że obie miałyśmy poczucie, jakby odebrano nam dwadzieścia lat mojego życia. Czy to da się nadrobić? Chyba nie. Patrzyłam na nią w milczeniu. Czy taką samą obcość będę czuć wobec mojego brata?

– Czy mogłabym zobaczyć... Kemala? – zapytałam, a głos mi trochę zadrżał, kiedy pierwszy raz wymówiłam jego imię.

– Oczywiście. Zjemy razem kolację. Teraz jest w pałacu sułtańskim, poszedł w ślady ojca.

Nie jest też łatwo spotkać rodzzonego brata, gdy przez dwadzieścia lat nie miało się pojęcia o jego istnieniu. Jak będzie wyglądał? Czy będzie do mnie podobny, czy zupełnie mi obcy?

Zobaczyłam go po paru godzinach, gdy wszedł do pokoju, w którym mieliśmy jeść kolację. Pierwsze, co mnie uderzyło, to jego tusza. Był otyły, miał nalaną twarz, ciemne włosy jak ja, ale przy tym



błękitne oczy takie jak moja mama. Może i byłby przystojnym mężczyzną, gdyby nie ten brzuch!

– Nadire! – To były jego pierwsze słowa na nasz widok.

Mnie zupełnie zignorował, za to podbiegł do niej i uściskał ją. Nadire nie była na to przygotowana. Wiedziałam, że nie znosiła, gdy dotykali jej mężczyźni, ale Kemal jej nie krępował, przeciwnie – przytuliła go serdecznie do siebie. Była przecież jego piastunką, tak jak później moją.

– Ale wyrosłeś! – powiedziała po francusku z uśmiechem. – Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Teraz to ty mógłbyś mnie nosić na rękach. Ale poznaj lepiej swoją małą siostrzyczkę Marie.

Kemal popatrzył na mnie znacznie chłodniej niż na nią. Jego rysy stężały.

– Po co ją tu przywiozłaś?

– Żeby mogła was poznać. Ciebie i Gülşen. Ma do tego prawo.

Cóż, Gülşen czekała na mnie, ale Kemal najwyraźniej nie chciał mnie znać. Mimo to podeszłam do niego; z biciem serca.

– Mam dla ciebie list od naszej matki – powiedziałam wciąż lekko drżącym głosem. Widziałam, że dla niego to spotkanie wcale nie było łatwiejsze niż dla mnie. Podałam mu kopertę. Wziął ją ode mnie, po czym bez otwierania podarł list na drobne kawałki i odrzucił je za siebie.

– Niczego od niej nie chcę – skwitował.

Gülşen przyglądała się tej scenie w milczeniu, z drwiącym uśmiechem na twarzy. Jakby uważała, że moja mama zasłużyła na to, by jej syn darł listy od niej bez czytania.

– Siadajmy do kolacji. Zjedzmy ją razem jak to w rodzinie – poleciła.

Usiedliśmy przy stole, na którym służące zaczęły ustawiać półmiski z pysznymi daniami z mięsa, bakłazanów, papryki i pomidorów, do tego dużo ryżu, jogurtu z miętą i białego chleba. Wszystko wyglądało pięknie i pachniało smakowicie, ale trudno było mi przełknąć chociaż kęs. Uświadomiłam sobie, jak bardzo zależało mi na akceptacji Kemala, na zbudowaniu z nim przyjaźni. Nadire paplała o naszym pensjonacie, o krymskich tatarach, o moim malowaniu, żeby trochę przełamać sztywną atmosferę, ale oprócz aromatu smakowitych

dań nad stołem unosił się wyczuwalny żal nad tym, że rodzina została rozbita.

Słuchaliśmy Nadire w milczeniu. Zauważyłam, że mój brat pochłania ogromne ilości jedzenia. Gülşen patrzyła z zadowoleniem, jak dopisuje mu apetyt, i podsuwała wnukowi kolejne półmiski, chociaż ja uważałam, że raczej powinno się przepisać mu dietę. Przyszło mi do głowy, że być może w ten sposób nauczył się wynagradzać sobie ból spowodowany brakiem rodziców.

Gdy doszliśmy do deseru i podano kawę, winogrona oraz ociekającą syropem baklawę, odważyłam się powiedzieć:

– Mama prosiła mnie, żebym koniecznie odwiedziła jedno miejsce. To dla niej ważne; mam złożyć kwiaty na czyimś grobie.

– Adampol? – Kemal się domyślił.

Byłam zadowolona, że jednak nawiązał ze mną jakiś dialog.

– Tak – zwróciłam się do niego. – Byłoby mi różnie, gdybyś pojechał tam ze mną. Zresztą sama nie trafię.

Kemal przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. „Zgódź się, zgódź się – przynaglałam go w myślach – będziemy się mogli lepiej poznać”.

– Nadire zna drogę, była tam – powiedział.

– O nie, ja spędzam jutro cały dzień w hammamie! Czekałam na to latami – odparła szybko Nadire, która w lot pojęła, o co mi chodzi.

– W takim razie zawiezie ją Ali. Wie, gdzie to jest. Ja muszę być jutro w pałacu. Całe Bałkany się buntują, a wojna z Rosją znów wisi na włosku. – Popatrzył na mnie z wyrzutem, jakby to była moja wina.

Szkoda. Jaka szkoda...

Po kolacji Kemal wyszedł do ogrodu. Widziałam przez okno, że skierował się do białego namiotu rozbitego na trawie pod wysokim cedrem. Odczekałam chwilę i poszłam za nim. Siedział wsparty na kolorowych poduszkach, palił fajkę wodną, a nad jego głową unosił się błękitnawy dym o przyjemnym słodkim zapachu.

– Mogę wejść? – zapytałam.

– Wejdz.

Usiadłam na poduszkach rozłożonych na czerwono-błękitnym kobiercu.

– Wiem, że ta sytuacja nie jest dla ciebie łatwa – zaczęłam

ostrożnie. – Możesz mnie nienawidzić za to, że mama była ze mną zamiast z tobą. Ale to przecież nie moja wina... Przez całe lata nie miałam pojęcia ani o tobie, ani o naszym ojcu.

– Więc w ogóle o mnie nie wspominała – powiedział z goryczą. – Zapomniała o mnie.

– Nie. Nie zapomniała. Mówiła, że cię kocha, że często myśli o tobie, że za tobą tęskni – odparłam, patrząc mu prosto w oczy. – Nie przekreślaj nas, Kemal... Byłaby szczęśliwa, gdybyś zechciał przyjechać kiedyś do nas, do Teodozji. Ja też.

Kemal patrzył gdzieś w bok. Zaczął mówić; nie byłam pewna, czy bardziej do siebie, czy do mnie:

– Zostawiła mnie samego. Powiedziała, że teraz Gülşen i Murat będą dla mnie jak rodzice, że u nich będzie mi lepiej... Ale Murat zmarł po dwóch latach. Wszyscy mówią, że załamała go śmierć naszego ojca. Więc zostałem z Gülşen, bez opiekuna w męskim świecie.

– Nie było innych mężczyzn w waszej rodzinie? To znaczy w naszej?

– Tylko paru eunuchów, którzy służyli nam od lat. Murat nie miał braci.

– Musiałeś mieć smutne dzieciństwo...

Wtedy popatrzył mi w oczy, a w jego dojrzałej, męskiej twarzy można było dostrzec cały ból i tęsknotę porzuconego dziecka. Zrobiło mi się go żal i pomyślałam, że ja przynajmniej zawsze miałam przy sobie mamę i Nadire. A on, choć otoczony całym harem kobiet, musiał być naprawdę samotny. Pogłodziłam jego miękką, pulchną rękę. Cofnął ją gwałtownie, jakby nieprzyzwyczajony do kobiecego dotyku.

– Wyobrażam sobie, jakie to było dla ciebie trudne – powiedziałam cicho. – Ale mnie też brakowało większej rodziny. Was. Ciebie... Choć o was nie wiedziałam. Spróbuj jej wybaczyć. Spróbuj do nas przyjechać. Ona wciąż cię kocha. I czeka na ciebie.

Kemal milczał, ale widziałam, że jest poruszony moimi słowami. Z wyrazu jego oczu odczytałam wahanie. A to znaczyło, że jego przyjazd na Krym nie był całkiem niemożliwy.

– Chodźcie chociaż do meczetu? – zapytał po chwili.

– Nie... Chodzimy do kościoła.

– Kim ty właściwie jesteś? Turczynką, Polką czy Rosjanką?

– Dobre pytanie... Sama chciałabym wiedzieć. Nie miałam pojęcia o tym, że mogę być Turczynką – odpowiedziałam. – Kiedyś czułam się chyba Rosjanką. Ale mama mówi, że mam polską duszę. Pewnie jestem wszystkim po trochu... A ty? Czy ty się czujesz chociaż w jakiejś części Polakiem?

– Nie. Jestem Turkiem, Osmanem. W naszym kraju kobiety, nasze matki, mogą pochodzić z różnych stron, ale i tak wszyscy jesteśmy Osmanami – stwierdził stanowczo.

Popatrzył na mnie trochę smutno. Czy pomyślał o tym samym co ja? Czy można uważać za najbliższą rodzinę kogoś, kto uznaje swoją przynależność do innego narodu niż my?

Następnego dnia popłynęłam do Adampolu sama, tylko z Alim, który wiosłował. Nadire przygotowała dla mnie bukiet jesiennych kwiatów, które zabrałam, pomachała mi z brzegu i wróciła na spotkanie swojej przeszłości, a ja umościłam się wygodnie na poduszkach zadaszanej gondoli.

Płynęliśmy w milczeniu. Zastanawiałam się, kim bym była, gdyby mama nie zdecydowała się zostać na Krymie, tylko nadal mieszkała spokojnie pod dachem Gülşen. Próbowalam to sobie wyobrazić. Wtedy moim domem byłby harem, mówiłabym po turecku, wyznawałabym islam, zasłaniałabym twarz i nie znałabym żadnych mężczyzn poza bratem i domowymi eunuchami... Czy to w ogóle byłabym ja? Miałabym w głowie zupełnie co innego niż teraz. Uważałabym Rosjan za wrogów, nie znałabym malarstwa wujka Iwana, nie znałabym Pieti ani miłości. A przecież od takiego życia byłam oddalona ledwie o włos – za sprawą jednej brawurowej decyzji mamy stałam się kimś zupełnie innym, niż miałam być.

Wreszcie dopłynęliśmy. Nadire uprzedzała mnie, że aby dojść do osady, trzeba się przedzierać przez gęste zarośla, ale najwyraźniej czas zrobił swoje – od przystani w górę zbocza prowadził szeroki, wygodny trakt, na którym swobodnie mógł się zmieścić szeroki wóz konny. Ponieważ jednak nie mieliśmy wozu, ruszyliśmy pieszo.

Nadire opowiadała mi o paru nędznych chatkach zamieszkanym przez garstkę oberwanych mężczyzn. Obawiałam się trochę tej osady

widmo. Szliśmy długo leśną drogą, a kiedy las zaczął się przerzedzać, nagle znaleźliśmy się w środku zadbanej, sielskiej wsi, która – nieoczekiwanie dla mnie – tętniła życiem. Główną drogą biegały rozbawione dzieci i ciągnęły na sznurku jakąś klekoczącą drewnianą zabawkę. Wokół nich kręciły się poszczekujące psy. Domy z drewnianych desek, kryte słomianą strzechą, tonęły w sadach pełnych czereśni, jabłoni i śliw. Przydomowe ogródki, jesiennymi kwiatami o intensywnych barwach, zdradzały obecność kobiet dbających o urodę obejść. Na nasz widok dzieci się zatrzymały, ucichły i przyglądały nam się z ciekawością.

– Dzień dobry. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział najstarszy chłopiec, może dwunastoletni, zdejmując czapkę z jasnej czupryny.

Coś mnie ścisnęło za serce. To dziecko mówiące najczystszą polszczyzną na azjatyckim brzegu Bosforu poruszyło we mnie jakąś ukrytą i zapomnianą strunę. Zapytałam chłopca o dyrektora osady, bo tak mnie pouczyła mama.

– A, to pan doktor Drozdowski! Ale nie ma go, nie ma go! Jest w Stambule! – wykrzykiwały dzieci jedno przez drugie. Wreszcie uradziły, że zaprowadzą mnie do jednego ze starszych i bardziej poważanych gospodarzy.

Poszłam za rozkrzyczaną gromadą do okazałego drewnianego domu, przed którym kołysały się na wietrze wysokie różowe malwy. Starzec z siwymi wąsami, słysząc polski język, powitał mnie serdecznie, jakbym była najmilszym, oczekiwanym gościem. Jego rumiana żona w kwiecistej chustce na głowie podała mi zaraz ciepły posiłek – gorący żur z ziemniakami i chlebem własnego wypieku, co po długim marszu smakowało wybornie. Dom urządzone prostymi drewnianymi meblami, na podłodze leżały wełniane kilimy, a całe wnętrze, choć skromne, było czyste i przytulne. Na deser gospodyni podała herbatę, kawałek ciasta i domowe konfitury z wiśni. Kilku sąsiadów, powiadomionych przez dzieci, przyszło niebawem, by mnie zobaczyć i poznać. Wypytywali, co mnie do nich sprowadza. Musiałam opowiedzieć w szczegółach historię pobytu mamy w Adampolu, a nawet dawne dzieje jej ojca. Słuchacze byli poruszeni. Okazało się, że znajdowały się wśród nich osoby

pamiętające jeszcze mamę, a nawet ojca, z którym pojawiła się w Adampolu po raz pierwszy, kiedy szukała dziadka. Wzruszyłam się gościnnością tych ludzi, którzy podjęli mnie życzliwie i obdarzyli uwagą jak najbliższą krewną. Moje przybycie stało się w osadzie małym świętem, przychodzili wciąż nowi mieszkańcy, ciekawi spotkania. Kiedy już opowiedziałam im wszystko, co wiedziałam od mamy i Nadire, zamieniliśmy się rolami – ja słuchałam ich opowieści o dawnych, pionierskich czasach Adampolu. Kilku z nich mieszkało w osadzie od czasu jej założenia i tylko oni pamiętali dawną wizytę mojej mamy z moim ojcem. Inni osiedli tu po wojnie krymskiej, gdy dobiegła końca ich służba w polskich jednostkach walczących po stronie koalicji antyrosyjskiej. Jeszcze inni przybyli jako emigranci po powstaniu styczniowym, by uniknąć ostrych represji carskich. Wszyscy urządzili się tu bezpiecznie, zgodnie z polskim obyczajem i tradycją, kosztem ogromnej pracy, jaką każdy musiał włożyć w ten skrawek ziemi, zanim mógł zacząć żyć z jego plonów.

– Co było dla was najtrudniejsze na samym początku? – pytałam z prawdziwą ciekawością mieszkańców, poruszona ich losem i determinacją.

– Chyba wilki – odpowiedział stary mężczyzna z poorly głębokimi zmarszczkami twarzy. – Zwłaszcza zimą krążyły tu wielkie watahy głodnych wilków. Mój sąsiad wybrał się kiedyś w lutym do sąsiedniej wsi, z dziesięć kilometrów stąd. Nie wracał i nie wracał. Dopiero gdy wiosną stopniały śniegi, znaleźliśmy jego ubrania w strzępach, rozwleczone po okolicy. Musiały go napaść wilki i pożreć żywcem...

– Strasznie ciężko szło też karczowanie drzew, żebyśmy mieli pola uprawne – rzekł inny weteran. – Kto chciał coś zasiać, musiał najpierw wyrąbać las i wydrzeć ziemi korzenie. Ciężka robota...

– No, a kiedy już udało się zasiać i zebrać plony, to znowuż trzeba było uważać na dziki, które stadami podchodziły na pola i niszczyły zasiewy i zbiory. Tośmy musieli pół pilnować dniem i nocą, zwłaszcza stogów zboża. Tyle że dziczyzny przedniej nam nie brakło.

Nigdy nie byłam w kraju urodzenia mamy i zawsze uważałam Rosję, a właściwie Krym, za swoją ojczyznę. A teraz nieoczekiwanie

w tej polskiej osadzie na azjatyckiej ziemi poczułam, że polskość, którą ci ludzie tak żarliwie pielęgnowali, jest też w jakiejś części moją własnością. I coraz częściej – wyborem. Jakby moja polska dusza budziła się w tym polskim otoczeniu i dawała o sobie znać.

Następnego dnia po śniadaniu poprosiłam gospodynię, u której się zatrzymałam, żeby zaprowadziła mnie na cmentarz. Miałam złożyć kwiaty na grobie Ludwiki Śniadeckiej, która kiedyś przysłała mamie tomiki wierszy i dramatów Mickiewicza. Mama wiedziała, że Ludwika zmarła dziesięć lat po zakończeniu wojny krymskiej i że została pochowana w Adampolu. Ale gospodyni nieoczekiwanie popatrzyła na mnie krzywo, spode łba.

– A po co pani iść na cmentarz, skoro ona wcale na cmentarzu w poświęconej ziemi nie leży?

– Jak to nie leży na cmentarzu? Dlaczego? Słyszałam, że tu jest jej grób.

– A jest. Tylko że to poganka była, odszczepieniec, jak ten jej mąż mużułmański Sadyk Pasza. To i ksiądz dobrodziej powiedział, że dla niej miejsca w poświęconej ziemi nie ma. Kto się Kościoła świętego wyrzekł, niech łaski Kościoła nie prosi.

– Więc gdzie jest pochowana? – zapytałam, i nagle jakby powiało chłodem.

– Sadyk wykupił pagórek opodal cmentarza i tam ją pochował. Pomnik jej postawił: złamaną kolumnę. Po mojemu to pęknięta kolumna chrześcijańskiej wiary, której się wyrzekła. Ale on mówił, że to ma być jej życie podzielone na pół, między Polskę a Turcję.

Wyczułam, że kobieta nie miała najmniejszej ochoty odwiedzać grobu Ludwiki, więc nie naciskałam. Zapytałam tylko o kierunek, wzięłam bukiet kwiatów i poszłam w stronę cmentarza.

Dochodząc do nekropolii, tuż obok ogrodzenia, po zewnętrznej stronie zobaczyłam niewielkie wzniesienie, a na nim kamienny pomnik. Na obszernym postumencie rzeczywiście stała wyniosła kolumna przełamana w połowie, a druga jej część leżała na powierzchni grobu. Na kolumnie wyryto herby Polski, Litwy i Rusi oraz rodzinne herby Śniadeckich i Czaykowskich. Przeczytałam na głos napis na płycie nagrobnej:

LUDWIKA ZE ŚNIADECKICH SADYK,  
CÓRKA JĘDRZEJA, SYNOWICA JANA,  
ŻONA GENERAŁA, DOWÓDCY KOZAKÓW  
I DRAGONÓW OTOMAŃSKICH,  
ZMARŁA 22 LUTEGO 1866 ROKU  
W KONSTANTYNOPOLU – POCHOWANA NA ZIEMI  
POLSKIEJ W ADAMPOLU.

Sprzątnęłam z grobu zeschnięte liście i położyłam na płycie piękną wiązanekę z białych chryzantem na gałązkach cyprysu. Zmówiłam za nią modlitwę Wieczne odpoczywanie.

Przez chwilę wydawało mi się, jakby jej duch był tam ze mną, jakby chciała mi coś powiedzieć. Zamknęłam oczy, wsłuchując się w to ulotne odczucie. Ale za chwilę zawiął wiatr i po wrażeniu nie zostało ani śladu... No, może poza jakimś wewnętrznym głosem, który mówił mi, żebym pamiętała, że jestem Polką.

Po wizycie na grobie Ludwiki wróciłam do domu Gülşen, gdzie zostałam jeszcze przez trzy dni. Nadire zapoznała mnie z kobietami z haremu, zabrała do hammamu – jakiejś mocno zaparowanej łaźni (wolę normalną rosyjską banię), a Gülşen obdarowała mnie swoją biżuterią, paroma pięknymi szalami, a także... fotografią mojego ojca. To mnie szczególnie poruszyło. Po raz pierwszy mogłam go zobaczyć. Dotąd sądziłam, że jestem podobna do mamy, ale gdy zobaczyłam jego twarz, zrozumiałam, że babcia miała rację – odziedziczyłam jego oczy i brwi, a także ciemne włosy. W eleganckim mundurze wyglądał na zdjęciu dostojnie i pięknie. Położyłam fotografię na dnie kufra. Mogłam wracać do domu. Pomyślałam, że gdybym wzrosła pod tym dachem, może moje życie nie byłoby tak fatalne, jak wydawało mi się na początku, ale jednak ten świat kompletnie nie był i nie mógł być moim światem. Podziękowałam Gülşen za gościnę i za prezenty, a gdy żegnałam się z Kemalem, nie mogłam się powstrzymać i uścisnęłam mocno brata, przylegając do jego potężnego ciała. Był zaskoczony, ale mnie nie odepchnął. Czy mi się zdawało, czy miał trochę szkliste oczy?

– Czekamy na ciebie na Krymie – szepnęłam mu do ucha. –  
Przyjedź.



Nie odpowiedział. Ale i nie odmówił.

Pożegnałam wszystkich, obiecałam napisać do nich kiedyś i razem z Nadire przepłynęliśmy się czółnem na drugą stronę Bosforu, by wsiąść na statek do Teodozji.

Może to nie było łatwe spotkanie, ale jednak wracałam zadowolona. Tajemnica mojej przeszłości wreszcie się wyjaśniła. Odtąd będę wiedziała, że gdzieś tam, za morzem, jest ktoś mi bliski. Mój brat.

## Rozdział XXIII

### Sprawa polska

Kiedy Marynia i Nadire odpłynęły do Stambułu, Emilia nie była zbyt zajęta, bo letni sezon się skończył i w pensjonacie mieszkał tylko jeden gość – polski oficer w służbie rosyjskiej, który przyjechał na urlop na krymską riwierę.

Po emocjach ostatnich miesięcy Emilia rozkoszowała się nagłą ciszą i spokojem. Brak Siergieja w jej życiu przyniósł niewyobrażalną ulgę – przepełniała ją wdzięczność wobec Iwana Ajwazowskiego, że się go pozbył, choć nie wiedziała, jak tego dokonał. W kraju takim jak Rosja posiadanie wpływowych przyjaciół było na wagę złota. Odzyskany spokój ducha łączył się w niej z silnym postanowieniem, by nie dać się więcej wmanewrować w żadne ryzykowne relacje – Emilia zdecydowała, że poprzestanie na rozmowach z mężczyznami goszczącymi w jej pensjonacie i nikogo nie dopuści do bardziej zażyłych znajomości. Pomyślała mimochodem, że może turecki model, chroniący kobiety szczelnymi ścianami haremu przed tak ryzykownymi związkami jak ten, który jej się przytrafił, był w istocie lepszy, bo zapewniał kobietom jednocześnie bezpieczeństwo i opiekę.

Bez codziennych rozmów z Nadire i z córką Emilia miała dużo czasu na rozmyślania. Ich podróż, w której nie mogła, a może i nie chciała wziąć udziału, napawała ją niepokojem. Jak Marynia zareaguje na haremową rzeczywistość? Jak przebiegnie jej spotkanie z Gülşen? I z Kemalem? Czy zrozumie decyzje swojej matki? I przede wszystkim – czy wybaczy jej zatajenie prawdy?

Wciąż zastanawiała się także nad tym, jakie znaczenie dla niej i jej córki ma kwestia ich narodowości. Dewiza Rumiego mówiąca o ludziach jako falach jednego oceanu zachwyciła ją w młodości. W tureckim domu w Stambule próbowała żyć tak, jak gdyby narodowość nie miała znaczenia. Ale teraz, gdy była już dojrzałą kobietą, jej polski dom wracał do niej w snach. Czytała gazety, więc wiedziała, że w całej Europie kolejne narody upominały się o niepodległość. Zatem dla setek tysięcy ludzi tożsamość narodowa miała tak duże znaczenie, że nie wahali się położyć na szali swego życia. Belgowie, Grecy, Węgrzy, Serbowie,

Bułgarzy, Rumuni, a nade wszystko Polacy byli gotowi ginąć za to, by pośród fal ludzkiego oceanu zaznaczyć i przeżywać swoją narodowość.

Emilia zastanawiała się więc, czym jest dla niej sprawa polska po latach. Język, ziemia, kultura – są jak dom. Czy można żyć bez domu? Czy skazała swoją córkę na bezdomność? Czy na potrójną tożsamość?

Ta sprawa była niełatwa do rozstrzygnięcia. Emilia rozumiała, że powracające natrętnie pytanie Maryni: „Kim jestem?”, było uzasadnione i domagało się odpowiedzi. Ale zgodnie z postanowieniem sprzed lat nie chciała budzić w córce gorącego patriotyzmu, który mógłby zaprowadzić ją w szeregi konspiratorów, a potem na posępny Sybir (choć i tak o mały włos nie trafiła tam z Pietią, a później, kto wie, może i z własną matką, lekkomyślnie romansującą ze szpiclem).

Jak ważne dla Emilii było to, że jest Polką?

Dawniej – bardzo. Jeszcze przed wybuchem wojny krymskiej towarzyszyła w Stambule swoim przyjaciółom Ludwice Śniadeckiej i Michałowi Czaykowskiemu w pracach, które od lat wspólnie prowadzili dla księcia Czartoryskiego i Hôtelu Lambert. Teraz, po latach, Emilia często wracała myślą do życia stambulskiej Polonii. Z mieszaniną podziwu, sympatii i współczucia wspominała zwłaszcza wytrwałe działania Michała Czaykowskiego, który stanął w centrum wydarzeń przed samym wybuchem wojny. A także oddanie Ludwiki, która zawsze trwała przy jego boku i wspierała wszystkie jego działania. Tym większą gorycz Emilia czuła teraz, gdy z perspektywy lat było już wiadomo, że ofiarne działania agentów księcia nie przyniosły żadnego efektu. Ich nadzieje na odbudowanie wolnej Polski spełzły na niczym, choć wydawało się, że wreszcie sytuacja międzynarodowa ułożyła się po ich myśli. Czy byli tak naiwni, czy tak szlachetni, że uwierzyli zwodniczym obietnicom?

Czy zatem teraz, gdy sprawa polska znów upadła, warto było się bić o zachowanie własnej polskości? A jednak Emilia w głębi duszy wiedziała, że chociaż mieszkała w różnych krajach, mówiła różnymi językami, tym właśnie pozostanie już na zawsze – Polką. I żaden Rumi tego nie zmieni.

Rozmyślała o tym, siedząc przy szumiącym samowarze, wsłuchana w odgłos kropli deszczu bębniących o dach, gdy na werandę wszedł jej

jedyny gość, Polak, w rosyjskim mundurze. Emilia ucieszyła się, że będzie mogła porozmawiać z nim po polsku.

– Napije się pan ze mną herbaty? – zaproponowała. – Zrobiło się chłodno przy tym deszczu...

– Bardzo chętnie. Lubię deszcz – odpowiedział, przysiadając się do jej stolika.

Emilia nalała mu herbaty i nałożyła konfitury na spodeczek.

– Nawet na urlopie nie zdejmuje pan rosyjskiego munduru? – nie mogła się powstrzymać.

– To panią razi? – zapytał.

– Nie, zastanawia.

– Cóż, Polski nie ma, a żyć trzeba, prawda? Pani też podejmuje tu Rosjan i trzyma portret cara na ścianie. Zresztą do mnie trafiają te słowianofilskie idee, dlaczego nie? Przecież jesteśmy Słowianami tak jak Rosjanie. Bliżej nam do nich niż do żywiołu germańskiego. Dlatego uważam, że te polskie powstania to samobójcza głupota.

Emilia w pierwszym odruchu obruszyła się na te słowa, jakby oficer naruszył jakąś świętość. Ale za chwilę przypomniała sobie swojego ojca powstańca, który po latach niewoli i tułaczki nazwał siebie życiowym bankrutem.

– Jak pan trafił do armii? – zapytała.

– Bardzo prosto. Rodzice oddali mnie do szkoły kadetów w Petersburgu, gdy miałem jedenaście lat. Mój starszy brat został w rodzinnym majątku na Mazowszu, by przejąć gospodarstwo po ojcu. Mnie rodzice posłali do szkół na oficera, bo majątek dla nas dwóch za mały. Służyłem w wojsku w czasie ostatniego powstania.

Wyłapywaliśmy powstańców po lasach, czasem chłopci sami nam o nich donosili. Myśli pani, że nie krajało mi się serce, kiedy musiałem im zakładać sznur na szyję? Ale co robić? Służba nie drużba, rozkazy trzeba wykonywać. Tylko się modliłem, żebym wśród kolejnych oddziałów, z którymi się potykaliśmy, nie spotkał swego brata... On zawsze był romantyk, mógł przystać do powstania. Pewnie by mi napluł w twarz.

– Nie pisał pan do niego? Nie wie pan, co zrobił? – zapytała Emilia.

– Nie... Nie odzywa się do mnie. Jakby mu wstyd było, że ma brata

Moskala. – Zaśmiał się gorzko. – Wielki patriota z ojcowskim majątkiem w kieszeni!

– Musi się pan bardzo męczyć w tej służbie – stwierdziła ze współczuciem.

– Męczyć? Nie bardziej niż inni. Na służbie jak to na służbie: czasem nudno, czasem straszno, a czasem wesoło. Przyjaźnię się z rosyjskimi oficerami. Żyjemy jak bracia.

– Nie miewa pan żadnych wyrzutów?

– Nie. Zresztą jaka siła miałaby mnie zmusić do tego, by zamiast stać po stronie silniejszych, zwycięzców, zadawać się z grupą straceńców skazanych na klęskę?

– Może honor? – podpowiedziała cicho Emilia.

– Honor! – Roześmiał się gromko. – My w Rosji rozumiemy honor inaczej: jako wierną służbę prawowitemu władcy. Innego honoru tu nie ma.

Następnego dnia Masza z Nadire wróciły do domu. Emilia nie mogła się doczekać ich relacji, a zwłaszcza opowieści o Kemal. Nastawiła samowar i naszykowała trzy filiżanki na pustej po sezonie werandzie.

– I jaki on jest, jaki jest? Mówcie! – nakazała, kiedy podróżniczki rozpakowały się i usiadły nad filiżankami z herbatą.

– Otyły. Samotny. Rozżalony – odparła jej córka.

– Pracuje na dworze sułtana jak Zakir – dodała Nadire, żeby złagodzić gorzki wydźwięk słów Maryni.

Ale twarz Emilii i tak wyrażała ból.

– Myślałam, że Murat dobrze się nim zaopiekował – powiedziała.

– Murat umarł po dwóch latach. Kemal został sam – oznajmiła Marynia twardo, trochę oskarżycielsko. Po chwili zapytała: – Właściwie dlaczego opuściłaś ten dom?

– Myślałam o wolności. Chciałam, żebyśmy były wolne: ty i ja.

– A Kemal?

– Mój Boże, nie dręcz mnie! Wiem, że był nieszczęśliwy – przyznała Emilia. – Ale gdybym tam została, stałabyś się Turczynką i muzułmanką zakrywającą twarz. Wołałabyś takie życie?

Marynia zastanawiała się chwilę.

– Sama nie wiem...

– Zrobiłam to też dla ciebie. Żebyś sama zdecydowała, jak chcesz żyć. Tam nie mogłabyś nawet wybrać męża.

– Tak, ale bylibyśmy rodziną. Kemal miałby przynajmniej matkę i siostrę.

Emilia popatrzyła na nią uważnie. Jakże łudziła się kiedyś, myśląc, że swoją decyzją zasłuży na wdzięczność córki!

– Masz do mnie żal? – zapytała.

– Tak – rzuciło twardo jej dziecko. – Za to, że mnie oszukiwałaś przez tyle lat. Maria Andriejewna! I za Kemala. Mamo, jak mogłaś nie powiedzieć mi, że mam brata?! Tęskniłam za nim całym latami. – Łzy cisnęły jej się do oczu, ale nie wyglądały na łzy wzruszenia, tylko wściekłości.

– Co ty możesz wiedzieć o tęsknocie...? – wyszeptała Emilia nieskończenie smutnym głosem. – Nawet nie wiedziałaś, że Kemal istnieje.

– A jednak. – Córka się upierała. – Zawsze czułam... Trudno to wyjaśnić... Czułam jakiś brak, jakąś pustkę. Jakby gdzieś tam była część mnie, mojego świata, do której nie mam dostępu, a która należy do mnie.

Emilia popatrzyła na nią chłodno.

– Czy ty trochę nie wymyślasz? Nigdy nie mówiłaś o żadnej pustce.

– Ty też nie mówiłaś zbyt wiele – odparowała natychmiast. – I co, nigdy nie zamierzałaś powiedzieć mi o przeszłości? Chciałaś zabrać do grobu prawdę o moim ojcu i moim bracie? Chciałaś, żebyśmy się nigdy nie spotkali z Kemalem? Dlaczego?!

Głos Maryni był pełen agresji, jak nigdy dotąd. Emilia przestraszyła się złowrogich błysków, lśniących w jej kawowych oczach. Czy znając prawdę, córka znienawidzi ją za to zatajenie?

– Dlaczego ci nie powiedziałam? Rozważałam to setki razy. Gülşen zabroniła mi wracać, więc i tak nie mogłam cię tam zabrać. Pisałam do niej, błagając, żeby pozwoliła Kemalowi przyjechać do nas. Ale ignorowała moje listy. Co mogłam zrobić?

– Powiedzieć mi prawdę. Tylko tyle.

Od tego dnia Emilia myślała o swoim synu jeszcze częściej. Otyły.

Samotny. Rozżalony... Tak strasznie chciała go zobaczyć. Wyrzuty sumienia dręczyły ją teraz jeszcze częściej niż dawniej, kiedy łudziła się, że jest szczęśliwy. Teraz jego samotność była cierniem w jej sercu. Dlaczego się nie ożenił? Ach, prawda, przecież nie mógł sam wybrać sobie żony. To powinność rodziców. To matka powinna wybrać mu żonę, wypytać o nią inne kobiety. Obejrzeć jej ciało w hammamie, ocenić, czy ma dość szerokie biodra, by urodzić dzieci, dość obfite piersi, by je wykarmić, i dość gładką skórę i miłe usposobienie, by zadowolić syna. Emilia rozumiała, że i tu zawiodła Kemala. Skazała go na samotność nie tylko w dzieciństwie, ale i w dorosłym życiu. Czy można to jeszcze naprawić? Ale jak, skoro Gülşen powiedziała wyraźnie: „Idź precz i nie wracaj tu więcej!”.

## Rozdział XXIV

### Książę Golicyn

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski siedział na tarasie swego domu przy poobiedniej kawie i przeglądał gazetę. Znów fatalne wieści z Petersburga! Jacyś młodzi szaleńcy kolejny już raz usiłowali przeprowadzić zamach na najjaśniejszego pana. Ajwazowski zupełnie nie mógł zrozumieć, czemu ci ludzie, uważający się za orędowników postępu, chcą zabić akurat tego cara, który wprowadził najwięcej zmian i radykalnych reform w Rosji w całym stuleciu. Znał przecież Aleksandra osobiście, cieszył się jego uznaniem i przyjaźnią i szczerze szanował jego wysiłki zmierzające do modernizowania Rosji. Tych młodych buntowników uważał nie tylko za szaleńców, lecz także za głupców.

Nagle usłyszał dzwonek u bramy. Jego stara służąca była trochę przygłucha, ale Iwan przywiązał się do niej i nie chciał jej zmieniać. Odłożył więc gazetę i poszedł osobiście ogrodową ścieżką, by otworzyć furtkę. Zobaczył wysokiego, świetnie ubranego mężczyznę, lat około trzydziestu, którego twarz wydała mu się znajoma, choć nie pamiętał, kto to taki. Obok niego stał służący, który dźwigał w rękach skrzynkę szampana.

– Książę Lew Siergiejewicz Golicyn – przedstawił się mężczyzna.  
– Poznaliśmy się kiedyś na pańskiej wystawie w Moskwie. Jestem admiratorem pana talentu. Przyniosłem panu w prezencie pierwszy szampan z mojej winnicy w Nowym Świecie. Mam nadzieję, że zechce go pan przyjąć.

– Drogi książę, co za niespodzianka – odpowiedział Iwan tylko trochę zaskoczony. – Słyszałem, że nabył pan winnice na Krymie, ale nie miałem okazji zaprosić tu pana osobiście. Cieszę się, że pan przyszedł.

Służący wniósł skrzynkę, a gospodarz polecił schłodzenie jednej butelki lodem i podanie dwóch kieliszków. Po chwili siedzieli obaj na tarasie przy kawie, a gość opowiadał z pasją o swojej nabytej niedawno plantacji winorośli.

– Jestem zachwycony Krymem – mówił książę Golicyn, a w jego oczach płonęły namiętność i pasja, którą Iwan zawsze cenił u ludzi. – Tu



są idealne warunki do uprawy wina! Wiem, że Tatarzy zajmowali się tym od wieków, ale ja chciałbym stworzyć prawdziwe zagłębie produkcji wina i szampana dla całej Rosji. Wie pan, podziwiam pana talent, a odkąd zobaczyłem w Moskwie pana obrazy, stwierdziłem, że malowanie morza jest pańską misją. A moją misją jest wino!

– Tu się urodziłem, więc lubię krymskie wina. Ale Rosjanie z północy wolą chyba mocniejsze trunki, nie sądzi pan? – zapytał gospodarz.

– Właśnie! I to jest nieszczęście naszego kraju. Uważam, że wino musi się dzielić duszą z miejscem, które je zrodziło, i z uprawiającym je człowiekiem. Te okolice są wspaniałe, a i ja całą swą duszę wkładam w to przedsięwzięcie. Interesuje mnie stworzenie wina prawdziwie krymskiego. Teraz eksperymentuję z odmianami, które tu zastałem, ale wiem, że z czasem będę musiał wyhodować własne odmiany winorośli. Jeśli to mi się uda, uczynię z Rosji prawdziwe imperium winiarskie!

– To wspaniała wizja, życzę panu sukcesu. Ale naprawdę pan sądzi, książę, że to będzie możliwe przy zamiłowaniu Rosjan do mocnej wódki?

– Drogi Iwanie Konstantynowiczu, żeby otrzymać dobre wino, trzeba umieć je robić, potrzebne do tego piwnice, ale najważniejsze jest to, aby tworzyć ludzi, którzy warci są wina. Ile będzie wart człowiek, tyle warte jego wino. Wierzę, że moje wino i szampan będą w stanie odmienić naród i państwo rosyjskie. To jest moim celem.

– Ciekawe. Tyle środowisk myśli o zmianie naszej ojczyzny – powiedział Ajwazowski z zadumą. – Moi przyjaciele malarze wierzą, że pomogą Rosji, malując realistyczne obrazy pokazujące nędzę ludu. Lewicowcy i rewolucjoniści chcą walczyć z samodzierżawiem, rzucając bomby i strzelając na oślep. A wasza książęca mość chce zmieniać Rosję szampanem.

– Niechże mnie pan nie porównuje do tych nihilistów! – obruszył się gwałtownie książę Golicyn.

– Przepraszam, nie chciałem pana urazić.

– Ci wszyscy narodnicy i nihiliści to banda złodziei, wyrzutków państwa, awanturników i niepoprawnych marzycieli. Wie pan, wpadła mi niedawno w ręce ta kuriozalna książka Czernyszewskiego, tego ich

idola, w której niejaki Rachmietow sypiał na gwoździach, bo chciał ponieść najwyższą ofiarę dla dobra ludu. Co za absurdalna idea swoją drogą! Bardzo to mierna rzecz literacko, ale zdziwiony jestem, że cenzura pozwoliła na jej druk w „Sowriemienniku” lata temu. To rzecz wywrotowa i wielce niebezpieczna.

– Ma pan rację, książę. Te idee mogą zainfekować najniewinniejsze umysły. Moja uczennica, o sporym talencie malarskim i złotym sercu, sama poddała się we wczesnej młodości tym zgubnym wpływom.

– Cóż, młodość ma swoje prawa, wszyscy byliśmy młodzi. Ale ci wichrzyciele tracą wszelki umiar. Żeby nawoływać do zabicia cara?! To niepodobieństwo!

– Oni chcą obalić nasz porządek, ale nie potrafią stworzyć nic nowego. Burzenie wydaje się łatwe, ale zostają po nim tylko ruiny i pustka.

– Byłem niedawno w Szwajcarii – powiedział książę Golicyn. – Miałem poczucie, że Zachód jest pod wrażeniem rosyjskiego rewolucjonizmu-terroryzmu. Wie pan, jak nazywają adeptów tej akcji? Bezinteresownymi pracownikami nicości.

– Strach pomyśleć, co by się stało z naszą Rosją, gdyby ich plany się powiodły. Co za nicość ogarnęłaby naszą ojczyznę? – Ajwazowski westchnął.

– Mam nadzieję, że tego nie dożyję – odpowiedział Golicyn. – To swoją drogą zdumiewające zjawisko: poświęcają dziełu śmierci życie wypełnione nędzą, wyrzeczeniami, prześladowaniami, i to bez nadziei na nagrodę, z samej tylko zwierzęcej woli niszczenia. Zrywają więzi rodzinne i wyrzekają się życia osobistego. Nie umiem tego zrozumieć. Dlaczego wolą niszczyć, niż tworzyć, i jeszcze są z tego dumni?

– Ja też ich nie rozumiem, książę. Ludzie tacy jak pan i ja wolą tworzyć i w tym widzą sens. Ja tworzę obrazy, a pan wino.

– Nie tylko wino. Sprowadziłem robotników z Grecji, którzy budują drogę z Sudoka, a w Nowym Świecie kują ścieżki i specjalne groty w skałach. Wie pan, że butelki powinno się przechowywać w temperaturze od sześciu do ośmiu stopni? Zatrudniam łącznie kilkaset osób przy budowie przetwórnicy, grot skalnych i zakładaniu winnic,

inwestuję w to mnóstwo pieniędzy, a ci „postępowcy” i tak mają mnie pewnie za burżuja darmozjada. A, czort z nimi!

Szampan włożony do wiaderka z lodem zdążył się już schłodzić. Książę Golicyn wstał, osobiście wytarł go serwetką i odkorkował, po czym nalał do obu kieliszków pienisty, delikatnie kremowy płyn. Panowie unieśli kieliszki do ust i spróbowali.

– Wspaniały! – pochwalił szczerze Iwan. – Ciekaw jestem, ile będzie kosztował. Taki ekskluzywny smak jest wart każdych pieniędzy.

– Nie więcej niż dwadzieścia kopiejek za butelkę – oznajmił niedbałym tonem Golicyn.

– Taki znakomity szampan?! Czemu to, książę, cenisz go tak nisko? Ledwie dwadzieścia kopiejek? Przecież w niczym nie ustępuje francuskim szampanom.

– O to chodzi, że nie ustępuje. Dlaczego rosyjski szampan miałby być gorszy od francuskiego? Ale widzisz, Iwanie Konstantynowiczu, chodzi mi o to, by każdy w Rosji mógł sobie pozwolić na butelkę dobrego wina. Dlatego moje wino nie będzie kosztować więcej niż dwadzieścia kopiejek, jak paczka papierosów.

– Zatem nie chcesz być, książę, kapitalistą i zrobić na swym szampanie dobrego interesu?

– Interes? To dobre dla kupca. Mnie chodzi o co innego. Nienawidzę wódki i tego, że Rosjanie upijają się nią jak zwierzęta. To degeneruje nasz naród. Uważam za swoją misję to, żeby dać Rosjanom wino i szampan zamiast wódki. Wierzę, że wyszlachetnieją, pijąc szlachetne trunki.

– To bardzo piękna idea, książę. Ale jeśli wino ma być tak tanie, to czemu jest takie znakomite? Może nasz lud zadowoliliby się i pośledniejszym trunkiem.

– Być może, mój panie. Ale życie jest za krótkie na słabe wino!

## Rozdział XXV

### Zadanie

Po powrocie ze Stambułu wróciłam do malowania. Bajecznie kolorowe dywany, kilimy, poduszki i tkaniny, które wypełniały dom Gülşen, podziały na moją malarską wyobraźnię. Próbowałam odtworzyć z pamięci bogate wzory orientalnych tkanin, tworzyłam na palecie ciepłe odcienie czerwieni, rdzy, brązu, przełamane dla równowagi kroplą błękitu, chłodnego jak jesienne wody Bosforu. Próbowałam odmalować stambulski pejzaż albo chociaż ogród Gülşen z połyskującym w dali Bosforem. Najtrudniej szło mi uchwycenie wody. Nigdy nie umiałam dobrze jej namalować. Albo uwierzyłam, że tylko Ajwazowski to potrafi.

Któregoś razu pod koniec jesieni, w ostatnich słonecznych dniach listopada, wzięłam sztalugi na pustą plażę, rozstawiłam je na brzegu i próbowałam namalować morze z natury. Wycisnęłam z tubek na paletę trochę błękitu, lazuru, zieleni i żółci. Wsłuchałam się w szum morza, wystawiłam twarz na chłodny wiatr, żeby poczuć nastrój, który miałam utrwalić. I zaczęłam nanosić na płótno drobinki złota i błękitu, które widziałam przed sobą, błyski, blaski i krople wody, białe grzywki fal, szare kamyczki na brzegu. Pracowałam w zapamiętaniu, całkowicie skupiona na moich kolorach. Ale nagle poczułam, że ktoś stoi za moimi plecami. Nie wiem, od jak dawna. Odwróciłam się. I zamarłam.

– Więc nadal bawisz się w malowanie obrazków, Masza – powiedział mężczyzna z brodą, w szarym płaszczu i czapce.

Poznałam ten głos. I te oczy. To był Pietia. Pietia!

Nie mogłam wydobyć słowa.

– Co, nie poznajesz mnie? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. To nie zjawa, to ja. – W jego głosie brzmiały jakieś nowe tony, których nie było wcześniej. – Nie widać, żebyś się specjalnie cieszyła.

– Pietia! Witaj! – Zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się do niego. – Wybacz. Po prostu... nie spodziewałam się ciebie jeszcze. Minęło dopiero pięć lat.

– Dla mnie to o pięć lat za długo. – Ścisnął mnie mocno.

– Uciekłeś? – Przestraszyłam się.

– Nie... Car okazał łaskę. – Zaśmiał się szyderczo. – Skrócili wyrok. Car łaskawy...

Moje serce zadudniło. Myślałam, że przede mną jeszcze pięć długich lat samotności, a tymczasem mój ukochany już wrócił! Bardzo byłam ciekawa, czy czas go odmienił.

– Pietia, przejdźmy się nad morzem. Opowiedz mi wszystko. Nie pisałeś listów... Tylko pomóż mi zanieść sztalugi do domu.

Tak zrobiliśmy. Po chwili spacerowaliśmy pustą plażą. Cieszyłam się, że jest przy mnie, ale jednak te pięć lat oddaliło nas trochę od siebie. Dziwnie było znów mieć go przy sobie.

– Dawno wróciłeś? – zapytałam.

– Przed tygodniem – odpowiedział. – Zbierałem się, żeby pójść do ciebie. Spacerowałem pod twoimi oknami, nasłuchując krzyku dziecka albo głosu męża. Ale nic takiego nie usłyszałem.

– Jak tam było? – zapytałam.

– Długo. Pusto. Samotnie. Chociaż nie, to na początku. Potem spotkałem towarzyszy, innych skazańców. Katorżników po wyrokach, skazanych na osiedlenie. Mieliśmy dużo czasu, żeby rozmawiać. I czytać zakazaną literaturę.

– Nie miałeś dość tych lektur? Pietia, na świecie jest tyle rzeczy ważniejszych niż rewolucja...

– Nie! – prawie krzyknął. – Nie ma nic ważniejszego. Tylko rewolucja daje nadzieję na odrodzenie ludzkości, na odrodzenie Rosji.

Zobaczyłam, że wzrok zaczyna mu się zapalać. Jakby ogarniała go gorączka. Jeszcze gwałtowniejsza niż przed laty. Bez cienia uśmiechu.

– To co według ciebie należy robić? – zapytałam.

– Przede wszystkim trzeba zabić cara – odpowiedział twardo. – A razem z nim najwyższych funkcjonariuszy państwa.

– Zabić cara? Dlaczego?!

– Bo tylko krwią można okupić nędzę ludu. – Głos Pieti był bezwzględny, a spojrzenie jak ze stali. Gdzie się podziały jego dawna czułość i poczucie humoru? – Chociaż lud nie jest jeszcze gotowy do rewolucji. Dlatego inicjatywa postępu i przemian musi wyjść od inteligencji. Liczy się każdy przykład. Także twój.

– Mój?

– Tak. Nasze zadanie to uprzątnąć ruiny starego świata. Własnymi rękami zdusić życie tych, którzy przeszkadzają dziełu burzenia.

– Pietia, to przecież jakieś szaleństwo, nie widzisz tego? Nie można wyzwać jednych przez zabijanie drugich – zauważyłam przerażona jego niezachwianą wiarę w te chore idee. To niemożliwe, żebym dawniej brała je na serio.

– Dlaczego nie? Wyobraź sobie, że pewnego dnia znikną wszyscy ministrowie, arystokraci, obszarnicy. Rosja nawet nie zauważy tej straty. Ale będzie wolna. Trzeba wyrznąć część, żeby reszta ludzkości miała szansę na szczęście.

To była jakaś obłądna logika. Groźna. Wiedziałam jednak, że Pietia nie jest jedynym, który ją wyznawał. Od jakiegoś czasu w Rosji zdarzały się zamachy terrorystyczne wymierzone przeciw wysokim urzędnikom państwa, a nawet przeciw samemu carowi. W różnych miastach zamachowcy strzelali do szefów policji, żandarmów, prokuratorów, ministrów, atakowali ich sztyletami na ulicy. Jakby mieli plan terroryzowania całej administracji. A niedawno Wiera Zasulicz, która postrzeliła generała-gubernatora Petersburga, została uniewinniona przez ławę przysięgłych. Na szczęście fala rewolucyjnego terroru nie doszła do Teodozji, czytaliśmy o tym tylko w gazetach.

– Trzeba zniszczyć ducha despotyzmu – powtarzał Pietia. – Przemoc wymierzona przeciw przemocy jest usprawiedliwiona.

Poczułam przypływ wdzięczności wobec wujka Iwana, który powstrzymał mnie przed łaty przed głupim gestem. Kim bym się stała, gdybym rzeczywiście dobrowolnie pojechała z Pietią na zesłanie? Czy powtarzałabym jak on za Czernyszewskim, że duch burzenia jest duchem tworzenia?

Szliśmy obok siebie w milczeniu, każde z nas pogrążone we własnych myślach i wspomnieniach. Zostawiliśmy daleko za sobą miasto i nadmorski bulwar. W tym miejscu plaża łączyła się bezpośrednio z dziką roślinnością – karłowate sosny i krzewy pozbawione już liści dochodziły aż do żwiru wybrzeża. Oprócz nas nie było nikogo. Nagle Pietia wziął mnie za rękę, pociągnął w stronę zarośli i oparł plecami o pień niskiej sosny. Zanim się obejrzałam, przywarł do mnie i zaczął mnie całować. Jego oddech był gorący, a wargi

niecierpliwe.

– Czekalaś na mnie? – zapytał szeptem.

– Czekałam...

Poczułam, że jego ręka przesuwana się w dół, po moim biodrze i udzie, i gdzieś w okolicy kolana zaczyna podciągać spódnicę.

– Pietia, co ty robisz? Nie tutaj... – zaprotestowałam. Po pięciu latach rozłąki potrzebowałam jednak trochę więcej czasu.

– Chcę się z tobą kochać – wyszeptał mi do ucha. – Czekałem na to całe lata... Nie odmawiaj mi...

Więc nie odmówiłam. Ale chociaż naprawdę wzruszył mnie jego powrót, byłam skrupowana tą sytuacją i nic nie czułam poza jego mechanicznymi ruchami.

Kiedy skończył, poprawiliśmy ubrania i usiedliśmy na pochylonym, niskim pniu sosny. Pietia oddychał głęboko, odprężony. Wyciągnął się na drzewie z rękami pod głową, gryzł suche źdźbło trawy i patrzył na mnie przymrużonymi oczami.

– Masza, Masza... – powiedział z uśmiechem. – Umiałaś na mnie czekać, to dobrze. A umiesz dochować tajemnicy?

– Oczywiście – odparłam zaintrygowana.

– Mam zadanie.

– Jakie zadanie? Od kogo? – zapytałam pełna złych przeczuć.

– Rewolucyjne. Od organizacji. – Podniósł się z pnia drzewa i zaczął chodzić przede mną.

– Od jakiej organizacji? Przecież byłeś na zesłaniu!

– Tak. Ale towarzysze są wszędzie, a zwłaszcza tam. Wiesz, że kilka razy próbowali zorganizować ucieczkę Czernyszewskiego? Niestety, nie udało się i biedak dalej podupada na zdrowiu.

– Pietia, nie wiem, czy chcę słuchać o twoich zadaniach...

– Jak to nie? Potrzebuję twojej pomocy. Chyba nie przestałaś wierzyć w rewolucję? – Stał przede mną z rękami na biodrach i spojrzał ponuro, a na dnie jego spojrzenia czaiła się groźba.

– Pietia, wtedy byliśmy tacy młodzi. Dorośliśmy. Czas na normalne życie.

Mierzył mnie wzrokiem.

– Moje normalne życie to walka o lepszą przyszłość Rosji.

A twoje?

„Ledwie przyjechał, już się ode mnie oddała – pomyślałam z żalem. – Ale nie mogę go zwodzić”.

– A moje życie to sztuka – odparłam. – Wierzę, że jest ważniejsza od rewolucji.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Nic nie jest ważniejsze od rewolucji! – prawie krzyknął. – Chcesz zdradzić jej ideały? Chcesz zostać zwykłą burżujką? Teraz, gdy upadek systemu jest tak blisko?!

– Chcę żyć normalnie, mieć rodzinę, malować... – usłyszałam swój głos.

Mnie samą zaskoczyły te słowa. Czy to osamotnienie Kemala, czy może szczęście Iry każało mi uwierzyć, że najważniejsza jest w życiu pełna szczęśliwa rodzina?

Cofnął się o krok. Patrzył na mnie, dysząc ciężko. Co było w jego spojrzeniu? Na pewno rozczarowanie. Może nawet pogarda.

– Nie kochasz Rosji tak jak ja – zarzucił mi.

– Nie jestem Rosjanką tak jak ty – odparłam. – Mam w żyłach polską krew.

I turecką, chciałam dodać, ale się powstrzymałam. Nie wszystko naraz.

– Właśnie! Wy, Polacy, katolicy, buntownicy, nie chcecie być Rosjanami i nie kochacie Rosji!

Od dawna zdawałam sobie sprawę z tego, że Polacy i Rosjanie czują do siebie głęboką niechęć, jeśli nie nienawiść. Nie mogłam być jednym i drugim. Polka i Rosjanka we mnie nie mogły się nienawidzić, bo to prosta droga do obłędu. Musiałam wybrać. Ale dlaczego tak było? Zapytałam Pietię. Powiedział, że Polacy jako jedyni obcy panowali na Kremlu i rosyjska duma nie może tego znieść. Jako jedyni zmusili cara do hołdu lennego po zrzuceniu tatarskiego jarzma. Ale też uparcie wpatrywali się w Zachód, zgnili i zepsuty, zamiast przytulić się do Rosji. Niby krewni, ale wieczni zdrajcy. Sprzymierzeni z Napoleonem i wszystkimi wrogami Rosji. Podstępni spiskowcy, buntownicy...

– Judasze... – dodałam.

– Właśnie! – podchwycił z pasją. – A Rosja jest niezwykła, jest



wyjątkowa, ma unikatową misję. Rosja przyniesie światu rewolucję.

Popatrzył na mnie w uniesieniu i wyrecytował:

– „Nie sposób pojąć jej rozumem,  
Nie sposób zwykłą miarką mierzyć.  
Ma w sobie tyle skrytej dumy,  
Że w Rosję można tylko wierzyć”.

Przemyśl to, Masza – rzucił.

I bez jednego słowa wyjaśnienia odwrócił się na pięcie i poszedł szybkim krokiem pomiędzy gęste krzewy i sosny. I zniknął mi z oczu. Zostawił samą.

Wróciłam do pensjonatu brzegiem morza. Fale zmoczyły kraj mojej sukni, ale nie zwracałam na to uwagi. Myślałam o spotkaniu z Pietią. Był wciąż taki piękny, dojrzałość tylko dodała mu uroku. Ale też budził mój niepokój. Bałam się jego determinacji. I jego przekonań.

Chciałam go lepiej poznać, pobyc z nim trochę, żeby zobaczyć, czy jeszcze pasujemy do siebie po tych pięciu latach, które przecież zmieniły każde z nas. Z jednej strony przyzwyczaiałam się do swojej samotności, z drugiej – miałam jej już dość. Pietia był już inny, to prawda, ale jednak cudownie było znowu iść plażą u jego boku. Czekałam na niego.

Kazałam naszej służącej przygotować jego ulubione pielmieni z nadzieniem z jesiotra. Utrzymywałam wrzątek w samowarze, choć nie mieliśmy żadnych gości. Ale Pietia się nie pojawił. Przez całe trzy dni.

Czwartego dnia wróciłam do malowania. Chciałam dokończyć stambulski pejzaż. Wyniosłam sztalugi do ogrodu, żeby lepiej uchwycić perspektywę, barwę odległych wzgórz i kolor nieba na horyzoncie. Malowałam zatopiona w myślach, tworząc na palecie odpowiednie odcienie sinego błękitu i przyszarzałej zieleni, gdy nagle usłyszałam ten niewiarygodny huk. Pogłos wybuchu i brzęk tłuczonego szkła dochodził od strony miasta. Coś musiało wybuchnąć całkiem niedaleko od nas, w pobliżu koszar, w których stacjonował miejscowy garnizon. Czyżby przypadkowy wybuch ładunku?

Mama i Nadire wybiegły do ogrodu, by zobaczyć, co się stało.

– Więc już i do nas dotarła ta rewolucyjna zaraza! – powiedziała mama i przeżegnała się ukradkiem.

Gdy ucichł pogłos wybuchu, usłyszałyśmy krzyki i zawodzenie

rannych, lamentey kobiet. Niedaleko koszar mieściła się miejska studnia z ujęciem wody dla mieszkańców, a dalej piękny park, więc zawsze było tam sporo ludzi, zwłaszcza dzieci. Sama lubiłam się tam bawić w dzieciństwie. Teraz płacz i krzyki dzieci słyhać było pośród innych głosów. Byłam przerażona. Nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że to rzucenie bomby mogło być owym rewolucyjnym zadaniem Pieti. A jednak ta myśl wciąż narzucała mi się uparcie.

Po chwili usłyszałyśmy zawodzenie młodej kobiety, która nadchodziła od strony koszar do naszego domu. Znałam ten głos. Wyrzesałam na ulicę. To była Ira! Niosła w ramionach swoją córeczkę. Zobaczyłam, że Marinka ma nienaturalnie odrzuconą do tyłu głowę.

– Zabili mi ją! Zabili mi ją, bandyci! – zawodziła Ira.

Poczułam lodowaty skurcz w okolicy serca. To niemożliwe.

Wprowadziłam Irę na naszą werandę. Posadziłam przy stole. Wciąż ścisłała Marinkę kurczowo, kołysząc się z nią w tył i w przód. Byłam przerażona. Mama też. Najprzytomniej, jak zwykle, zachowała się Nadire. Nalała Irze herbaty, podeszła do niej, pogładziła po plecach i delikatnie wzięła z jej ramion Marinkę. Uniosła dziecko, jakby chciała spojrzeć mu w oczy, a wtedy zobaczyłyśmy, że dziewczynka ma wbite w czoło dwa odłamki, spod których płyną dwie strużki krwi, brudząc jej twarz, szyję i błękitną sukienkę. Oczy Marinki były nieruchome. Martwe. Chciałam krzycheć, ale z całej siły zasłoniłam sobie usta obiema rękami. Nadire ułożyła ciało na stole, wzięła płócienną szmatkę i zaczęła obmywać dziecku buzię z krwi. Ira płakała coraz głośniej, a jej płacz przechodził w jakieś potworne, zwierzęce wycie. Zwabiona hałasem przybiegła nasza służaca, a mama posłała ją szybko po Karima. Chciałam przytulić Irę, ale odepchnęła mnie, jakby wolała zostać sama ze swoją rozpaczą.

– Co to było właściwie? Co się stało? – zapytała mama, gdy Ira trochę ucichła, zmęczona płaczem.

– Ktoś rzucił bombę pod pojazd komendanta garnizonu. Miał jechać z rodziną. Mówili, że coś mu wypadło i w powozie byli tylko jego żona i syn. Zginęli na miejscu. A Marinka pobiegła akurat za kotem... – Ira znowu załala się łzami. Usiadła przy stole, na którym leżało ciało córeczki, i gładziła jej stygnącą rączkę, aż do czasu, kiedy przybiegł

Karim.

Był poszarzały na twarzy. Przytulił bez słowa swoją żonę, a potem wziął Marinkę na ręce. Przytrzymał ją jednym ramieniem, drugim objął Iry i wyszli razem, nie mówiąc do nas ani słowa. Patrzyłam na nich, jak oddalali się wolno w kierunku dzielnicy tatarskiej. Wcześniej byli taką szczęśliwą rodziną! Dlaczego tak krótko?

– Co za drań bez sumienia, bez czci i wiary mógł zrobić coś tak potwornego? – zastanawiała się głośno mama.

A ja bałam się poznać odpowiedź na to pytanie.

Przez resztę dnia nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Nie było mowy o malowaniu. Wciąż miałam przed oczami zakrwawioną buzię Marinki, szloch Iry i poszarzałą twarz Karima.

Pietia przyszedł do mnie w nocy, gdy wszyscy już spali. Wspiął się po starej jabłoni, która rosła tuż przy domu, i wsunął się przez otwarte okno na poddasze.

– Ty to zrobiłeś – stwierdziłam. Podejrzewałam to już wcześniej, ale teraz zobaczyłam prawdę w jego rozgorączkowanych oczach. Tylko on mógł rzucić bombę, która zabiła Marinkę.

– Muszę uciekać. Jedź ze mną do Moskwy! – rzucił, dysząc ciężko.

– Oszalałeś? Zabiłeś córeczkę Iry. Mam żyć z mordercą?

Jak mocno musiała go znieczulić Syberia albo jak silnie zaczadziły teksty politycznych idoli, skoro w ogóle się tym nie przejął. Machnął nawet lekceważąco ręką. Wtedy po raz pierwszy poczułam do niego wstręt.

– Mówiłem ci już: rewolucja wymaga ofiar. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą – zauważył bez troski.

– Więc córeczka Iry to dla ciebie wiór, który poleciał przy wyrąbywaniu przyszłego szczęścia? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak – odpowiedział twardo.

– Jesteś szalony. Opętała cię nienawiść.

– To nie jest nienawiść, tylko miłość. Miłość do ludu. Robimy to dla ludu Rosji i jego przyszłej wolności. Kiedyś to zrozumiesz.

– Nigdy tego nie zrozumiem. Z miłości do ludu rzucasz bomby, które zabijają niewinne dzieci?!

Znów machnął ręką, przechodząc do porządku nad moją

niedojrzałością polityczną.

– Sentymenty... – mruknął pod nosem. – Jedź ze mną do Moskwy! Nie mamy wiele czasu. Pakuj się.

Ale ja siedziałam na łóżku nieruchomo. Patrzyłam na niego, jakbym go widziała po raz pierwszy. Miałabym żyć z człowiekiem, który miał na rękach krew niewinnych ludzi? Krew Marinki?

Owszem, kochałam go w młodości. Wtedy pragnęłam dzielić z nim życie, a nawet jego poglądy. Ale teraz przekonania Pieti nie były już moimi. Nie potrafiłam uwierzyć, że rewolucyjny terror może służyć przyszłemu szczęściu. Czy to moja polska dusza sprzeciwiała się temu? Polacy także walczyli o wolność, organizowali kolejne powstania, ale nie rzucali bomb w niewinne dzieci.

– Na co czekasz? – ponaglał mnie Pietia niecierpliwie. – Przecież mnie kochasz, czekałaś na mnie.

– Czekałam – przyznałam spokojnie. – Ale na Pietię, którego znałam kiedyś: pełnego ideałów optymistę wierzącego w wolność. A nie na mordercę, dla którego śmierć dziecka to wiór rewolucji. Wybacz, Pietia, ale nie pojedę z tobą do Moskwy. Nie mogę.

Stał nade mną i miażdżył mnie wzrokiem. Myślałam, że mnie uderzy, tak dzikie było jego spojrzenie. Wciąż dyszał ciężko, jakby toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę. Wreszcie splunął mi pod nogi.

– Durna ty... – mruknął pod nosem, odwrócił się, zarzucił plecak na jedno ramię i wyszedł przez okno, tak jak wszedł.

Usłyszałam trzask łamanej gałęzi naszej jabłonki.

Zniknął w ciemności. I tyle go widziałam.

Padłam na łóżko i długo płakałam. Nad Marinką, nad sobą i nad końcem naszej miłości. Nad tym, co się stało z tym pięknym i szlachetnym chłopcem, któremu przed laty oddałam swoje serce i ciało w winnicy Agabeja, pośród słodkiego zapachu soku z winogron.

Po wyjeździe Pieti długo czułam zupełną pustkę. Jakby mnie ktoś wydrążył z wszelkich myśli, pragnień i emocji. Jakbym przestała czuć.

Cała Teodozja gubiła się w domysłach, kim mógł być zamachowiec, którego bomba zabiła siedem osób i raniła dwadzieścia. Żaden ze świadków zdarzenia nie zauważył nikogo podejrzanego. Nikt nie domyślał się prawdy. Może poza matką Pieti, ale ona milczała jak

grób. Ja też.

Nieszczęsny komendant garnizonu, który miał być celem ataku, a stracił w nim żonę i syna, zupełnie się załamał. Czuł się winny śmierci tylu ludzi, a do tego w każdej chwili spodziewał się kolejnego zamachu. Nie mogłam przecież pójść do niego i powiedzieć, że jego prześladowca jest już w Moskwie. Więc pił codziennie od samego rana, żeby zagłuszyć rozpacz i strach przed śmiercią. Wkrótce jego przełożeni zorientowali się, że stracił zdolność dowodzenia garnizonem, i odwołali go ze stanowiska. W tym sensie Pietia osiągnął swój cel – wyeliminował kolejnego przedstawiciela aparatu władzy państwowej.

A ja wpadłam w czarną dziurę, tak jak pięć lat temu po jego aresztowaniu. Wiedziałam, że nigdy nie będę mu mogła wybaczyć śmierci Marinki. Ani nie przyłączę się do jego spiskowych działań. Nasze drogi nieodwołalnie się rozeszły.

I tak jak pięć lat temu, tak teraz znów znalazłam ukojenie w sztuce. Skoro miraż życia z Pietią się rozwiął, pozostało mi malarstwo. Przez kolejne miesiące doskonaliłam technikę pod okiem wujka Iwana. Czułam, że coraz pewniej operuję pędzlem. Aż wreszcie któregoś dnia, gdy oglądałam swoje ostatnie prace, pomyślałam, że kto wie, może nadszedł już czas na to, by urzeczywistnić swoje dawne marzenie – odbyć studia malarskie na Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu.

## Rozdział XXVI

### Wujku, chcę studiować malarstwo

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski siedział samotnie przy poobiedniej kawie. Było zbyt zimno na siedzenie na tarasie, więc wybrał swój ulubiony fotel w pobliżu białego pieca kaflowego, w centralnej części domu. Teraz ogarniało go przyjemne ciepło. Renesansowa willa, którą wzniósł w młodości z takim rozmachem, była dla niego stanowczo za duża, odkąd Julia z córkami wyniosły się na dobre. Brakowało mu kobiecych głosów, którymi dawniej rozbrzmiewał jego dom. Tak często czuł się samotny. Przypomnił sobie smukłą postać ślicznej ormiańskiej dziewczyny, którą co niedziela spotykał w cerkwi. Stała z rodzicami w głównej nawie i przyglądała się wizerunkom świętych, które Iwan wymalował na ścianach przed laty. Zawsze wtedy nachodziła go smutna myśl: trzeba mu było wziąć za żonę ormiańską dziewczynę zamiast tej zimnej Angielki z północy.

Westchnął głęboko, wypił łyk ciepłej kawy i otworzył gazetę. Znowu niepokojące wieści! Wszystko wskazywało na to, że zbliżała się kolejna w tym stuleciu wojna rosyjsko-turecka. Iwan nie lubił wojen, wolałby, żeby świat nauczył się żyć i rozwijać w pokoju, ale jednocześnie czuł nieodpartą niechęć do Turków. Wcale się nie dziwił prawosławnym Słowianom, którzy buntowali się przeciw władzy sułtana, bo wiedział, że są w podobnym położeniu jak jego ormiańscy rodacy. Awans i kariera w strukturach imperium osmańskiego były dla nich możliwe tylko za cenę wyrzeczenia się swojej tożsamości narodowej i religijnej. Całym sercem popierał dążenia Rosji do wsparcia prawosławnych chrześcijan zatopionych w tym morzu tureckiego islamu. Ale ilekroć o tym myślał, tylekroć uświadamiał sobie z przykrością, że przecież w żyłach jego ulubienicy, Maszy, płynie również turecka krew. Jej rodzina wciąż mieszka w Stambule. Jeśli dojdzie do wojny – po czyjej stronie opowie się Masza?

Iwan pomyślał, że chciałby, aby jego „piąta córka” poczuła się bardziej Rosjanką. Przecież nawet nie była dotąd w Petersburgu! Pamiętał doskonale, jak wielkie wrażenie zrobiło na nim to miasto we wczesnej młodości. Widząc je, nie sposób się nie ugiąć pod naporem

wielkości, siły i splendoru Rosji.

Popołudniową ciszę przerwał dzwonek do bramy. Czasem, gdy był w ogrodzie, otwierał bramę osobiście, ale teraz nie miał ochoty oddalać się od ciepłego pieca, więc pozwolił starej służącej poczłapać wolno do drzwi. Po chwili zobaczył w nich Maszę.

– Maszeńka, to ty! – ucieszył się.

– Jest taki ziąb! Pomyślałam, że nie będziesz chciał dziś spacerować, więc przyszłam, bo koniecznie muszę ci o czymś powiedzieć, wujku.

– Masz dla mnie nowiny?

– Tak. Postanowiłam... to znaczy chciałabym... – Na chwilę zabrakło jej tchu. – Chiałabym studiować malarstwo w Akademii w Petersburgu! Tak jak ty. Myślisz, że miałabym szansę?

Masza z zaróżowionymi policzkami wpatrywała się w niego w oczekiwaniu na jego opinię.

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski zastanawiał się nad odpowiedzią. Z zadowoleniem zauważył, że ostatnio Masza zabrała się do malowania z nowym entuzjazmem. Jej szkice ołówkiem były coraz lepsze, umiała już trafniej niż dawniej oddawać proporcje przedmiotów, a jej kreska nabrała pewności i siły wyrazu. Nie traciła zapału do pracy. Także jej eksperymenty z kolorem i kompozycją stawały się coraz lepsze. Pomyślał sobie, że gdyby była mężczyzną, mogłaby się śmiało ubiegać o przyjęcie do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. Iwan spotkał w niej wielu studentów, którzy malowali gorzej niż Masza. Zastanawiał się, czy czasy zmieniły się już na tyle, by Akademia dopuściła do studiowania sztuki kobietę. Słyszał o dziewczętach z dobrych domów ubiegających się o możliwość nauki na uniwersytetach w Petersburgu i w Moskwie. Niestety, żadna z jego córek nie zdradzała takich inklinacji. Iwan był przekonany, że w tych czasach ciągłego postępu uczelnie wyższe któregoś dnia otworzą swoje podwoje dla kobiet, ale nie wiedział, kiedy to nastąpi. Nie chciał jednak odbierać Maszy nadziei.

– Maszeńka, jesteś utalentowana i swoją pracą już osiągnęłaś wysoki poziom – powiedział. – Myślę, że twoje umiejętności zupełnie wystarczą, żeby tam studiować. Ale czy cię przyjmą? Uczciwie powiem:

nie wiem. Napiszę ci list polecający do rektora, może to coś pomoże.

– Dziękuję, wujku! Twoje zdanie liczy się dla mnie najbardziej. Wobec tego jadę do Petersburga! – postanowiła Masza.

– Nie tak szybko, Maszeńka. Teraz tam zimno i ciemno. Poczekaj lepiej do wiosny, i tak początek roku dopiero w październiku. No i trzeba zgromadzić tęczkę prac.

Masza podziękowała mu serdecznie i od tego dnia zaczęła sumiennie pracować pod jego kierunkiem nad swoimi rysunkami i płótnami do teczki.

Wczesną wiosną Iwana ponownie odwiedził młodszy przyjaciel Kramskoj. Zanim jeszcze Iwan zapytał go o ostatnią ekspozycję Towarzystwa Obwoźnych Wystaw Artystycznych, zadał nurtujące go od dawna pytanie:

– Jak myślisz, mój drogi, czy Akademia, która przez wasz bunt musiała nieco odstąpić od swoich niewzruszonych zasad, jest już gotowa na to, by przyjąć na naukę w swych murach kobiety?

Kramskoj się uśmiechnął, a w jego brązowych oczach widać było, że w lot pojął, co jego rozmówca miał na myśli.

– Chodzi ci o Maszę! Też myślałem już dawno, że z jej talentem i pasją powinna studiować w Akademii. Wiele kobiet próbuje malować, ale bardzo nieliczne robią to z takim oddaniem jak ona. Nie jestem jednak pewien, czy nasz zmurszały system edukacji jest już na to gotów. Nie słyszałem jeszcze o żadnej studiującej kobiecie.

– Któraś musi być pierwsza. Dlaczego nie Maszeńka? – zapytał Ajwazowski.

– A ona chciałaby tego? Nie woli wyjść za mąż i rodzić dzieci?

– Żyje skromnie jak mniszka. Kiedyś sam ją przekonywałem, że warto poświęcić życie sztuce. Nie myślałem, że weźmie to sobie aż tak do serca.

– Ha, skoro tak, to może warto spróbować. Kobieta wystawiająca razem z nami na wystawach obwoźnych... to by dopiero świadczyło o postępie w rosyjskiej sztuce!

– Dlatego chciałem cię właśnie zapytać, mój drogi, czybyś się nią nie opiekował w Petersburgu, gdyby chciała tam pojechać.

Napisałbym list polecający do rektora, swego czasu mnie cenił. Nie



wiem, czy to przyniesie jakiś skutek, ale spróbować warto.

Kramskoj zgodził się zaopiekować Maszą i solennie obiecał pokazać jej miasto.

A po południu, o ulubionej spacerowej porze Ajwazowskiego, wyszli obaj przejść się nadmorskim bulwarem i wstąpili po drodze do pensjonatu Emilii, w którym zatrzymał się Kramskoj.

Masza układała właśnie kwiaty w wazonach zdobiących stoły na werandzie.

– Cóż to za malarski widok! – wykrzyknął Kramskoj. – Gdybym był Francuzem, zaraz bym cię namalował: dziewczyna w białej sukni układa pierwsze żonkile w wazonach z błękitnego szkła. Na szczęście jestem Rosjaninem, więc możemy rozmawiać poważnie: Masza, sztuka i Rosja czekają na ciebie!

– Iwanie Nikołajewiczu, miło pana widzieć, ale mówi pan do mnie zagadkami.

– Maszeńka, nalej nam herbaty, bo musimy porozmawiać – wtrącił Iwan Ajwazowski i zdjął kapelusz, co oznaczało, że panowie zabawią dłużej.

Masza uwinęła się szybko i po chwili siedzieli we troje nad filiżankami z herbatą, której mocny aromat mieszał się z zapachem żonkili i świeżego ciasta.

## Rozdział XXVII

### Petersburg

Moje serce wciąż było ściśnięte żalem za Pietią. Zastanawiałam się czasem, jak mu się wiedzie w Moskwie, czy rzuca bomby pod kolejne powozy, czy może został aresztowany i znów trafił na Sybir. Nie wiedziałam, bo nie dał znaku życia. Staralam się mniej myśleć o nim, a więcej o studiach malarskich, które już wkrótce miałam rozpocząć!

Pojechaliśmy do Petersburga w maju. Zabrał mnie tam Iwan Kramskoj, który wracał do stolicy po pobycie w Teodozji. O tej porze na Krymie są już upały, chodzimy w letnich jasnych sukniach. A stolica przywitała nas tak lodowatym wiatrem, jaki u nas wieje tylko zimą. Ten wiatr przesuwiał po niebie ciężkie sinoołowiane chmury, z których raz po raz spadał zimny, rzęsy deszcz. Do tego, podczas gdy Teodozja cała tonęła już w kwitnących bzach i świeżej zieleni, tu gałęzie drzew wciąż były nagie jak w środku zimy. No i światło. Byłam przyzwyczajona do jasnego, oślepiającego słońca Krymu, a tu to samo przecież słońce świeciło jakimś szarym, nieomal brudnym światłem. Nic dziwnego, że wujek Iwan nie chciał tu zostać i wołał naszą Teodozję. Jest mała, skromna, ale ciepła i o tyle przyjemniejsza!

Chociaż muszę przyznać, że Petersburg, gdy już się oswoić z jego zimnem i ciemnością, robi imponujące wrażenie. Klasyczne budynki rozmieszczone wzdłuż obu nabrzeży Newy, pięknie zdobione pałace równej wysokości, tworzą wrażenie bogactwa, potęgi, a zarazem dyscypliny – ponad linię dachów wznoszą się jedynie złote iglice oraz kopuły cerkwi i soborów. (Dowiedziałam się, że to car Mikołaj zabronił wznosić w Petersburgu budynki wyższe od Pałacu Zimowego, dzięki czemu cała zabudowa tworzy wyrównaną, harmonijną panoramę). Szeroko rozlane wody Newy, długie ulice, rozległe place – wszystko to jakby chciało podkreślić ogrom przestrzeni tego wielkiego kraju.

Napisałam „tego kraju”? To dziwne. Dawniej na pewno powiedziałabym „mojego” albo „naszego” kraju. Czyżby po wizycie w Adampolu i po spotkaniu z Pietią Rosja stała się mniej „moim” krajem niż dawniej?

Zanim poszliśmy do Akademii, mój towarzysz i opiekun Iwan

Kramskoj wcielił się w rolę przewodnika po stolicy. Pokazywał mi najważniejsze budynki: pałace, cerkwie, sobory, i objaśniał, co się w nich mieści.

– Architektura powinna wyrażać siłę władzy, tak uważali kolejni architekci Petersburga i kolejni carowie – mówił, kiedy spacerowaliśmy w lodowatych podmuchach wiatru wzdłuż Newy, oglądając rozłożone na obu jej nabrzeżach pałace, uniwersytety i budynki administracji państwowej.

Jeśli tak, to carska władza musiała się czuć prawdziwą potęgą, bo rzeczywiście centrum miasta olśniewało rozmachem.

– Piotrowi I przyświecała wielka idea: chciał stworzyć wspaniałe miasto na bagiennym pustkowiu, gdzie wcześniej mieszkały tylko watahy wilków. Miał tak niezłomną wolę, że nic go nie mogło powstrzymać – powiedział Kramskoj z podziwem w głosie.

– Tak, rzeczywiście. Nawet tysiące chłopów pańszczyźnianych, którzy stracili życie przy wbijaniu pali w te bagna – dodałam, przypominając sobie opowieści nauczyciela o budowie nowej stolicy.

– Och, Masza, to przykre, ale miasto jednak stoi. Vitae brevis, ars longa... Piotr był wielkim wizjonerem, wrzucił w to miasto wiele idei, które żyją do dziś, dał impuls do rozwoju całego państwa, którego serce bije teraz tu, w Petersburgu – mówił z przekonaniem mój przewodnik.

Obejrzelśmy paradę wojskową na Polu Marsowym, wspaniałą fasadę Pałacu Zimowego, kapiące od złota i lśniące marmurem wnętrze soboru Świętego Izaaka, z jego kolumnami z zielonego malachitu i freskami wymalowanymi przez profesorów Akademii, eleganckie wystawy i barwny tłum na Newskim Prospekcie. Patrząc na te wszystkie wspaniałości, widziałam w oczach otaczających nas Rosjan (a może tylko wyczuwałam) ogromną dumę z potęgi swojego imperium, z bogactwa Cerkwi prawosławnej, z siły rosyjskiej armii.

I zastanawiałam się, czy nadal, tak jak w dzieciństwie, podzielam tę dumę. Ja – córka Polki i Turka, którzy wspólnie uważali kiedyś Rosję za głównego wroga i Polski, i Turcji. Czasem miałam żal do rodziców, a zwłaszcza do mamy, za to, że swoimi decyzjami zafundowała mi taki los – potrójną narodową tożsamość, z którą trudno mi było sobie poradzić. Oglądając wspaniałości Petersburga, próbowałam patrzeć na to

miasto jak Polka. I co widziałam? Stolicę potężnego imperium. Jego ambicję, pychę, dążenie do panowania nad innymi narodami. Ostatniego króla Polski omotanego przez carycę Katarzynę (tak samo jak ostatni chan Krymu). Testament Piotra, nazywanego zgodnie Wielkim, nakazujący ekspansję i powiększanie terytorium. A do tego – wielkie obszary przyłączane w Azji, domagające się zasiedlenia białymi osadnikami. I tysiące zesłańców wysyłanych w kibitkach lub pieszo do białego piekła, na wschód.

A przecież nauczono mnie w szkole kochać Rosję, czcić i podziwiać jej wielkość i siłę.

Stanęliśmy akurat pod słynnym pomnikiem Miedzianego Jeźdźca. Rumak cara Piotra Wielkiego spinał się do skoku przed siebie, deptając tylnymi nogami węża zdrady i oporu przed zmianami. A na granitowym głazie prosty napis: „Piotrowi Pierwszemu – Katarzyna Druga”. Patrzyłam na ten pomnik, symbol imperialnej idei państwa rosyjskiego, a w uszach dźwięczały mi słowa Mickiewicza:

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,  
Widać, że leciał tratując po drodze,  
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.  
Już koń szalony wzniosł w górę kopyta,  
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,  
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały.  
Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,  
Jako lecąca z granitów kaskada,  
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie –  
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie  
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,  
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?

No właśnie, cóż się stanie z kaskadą tyraństwa, skoro tacy jak Pietia, chcący się tyranii przeciwstawić, w imię wolności zabijają niewinnych ludzi? Czy sami nie stają się tyranami?

Iwan Kramskoj chyba wyczuł moje myśli albo jako świetny portrecista wyczytał je z mojej twarzy, bo nagle zapytał:

– Widzisz, Masza, rosyjska kultura jest naprawdę wspaniała i wielka. To także twoja kultura. Urodziłaś się w Rosji, więc jesteś Rosjanką. Po co ci być Polką?

– Polką-Judaszem? – Obelgi synów piekarza z czasów powstania styczniowego znów przypomniały o sobie.

– Polacy są skazani na rozpuszczenie w kulturze rosyjskiej, która jest silniejsza. Tylko popatrz: car Piotr wprowadził do Rosji zachodnie sztuki i umiejętności. I teraz nasze malarstwo, architektura, muzyka, balet, literatura, cała rosyjska sztuka rozwija się wspaniale, bo w dużej części korzysta z mecenatu państwa i arystokracji.

– I pan to mówi? Pan, który walczył o niezależność od państwowej Akademii?

– To co innego. Walczyłem też o rosyjskie tematy w rosyjskiej sztuce. Bo kocham prawdziwą Rosję i nie uważam, byśmy musieli naśladować dawno martwych Greków. Wolę, żeby nasi malarze malowali rosyjski krajobraz i rosyjski lud. Ale Rosja jest żywym, bijącym źródłem naszej kultury. A Polska? Polski nie ma. Są za to polscy buntownicy. Są też polscy lojalni poddani. Uważam, że ci drudzy są mądrzejsi. Ot, i wszystko.

Kramskoj zajął się mną życzliwie i udzielił gościny w swoim domu w Petersburgu. Lubiłam go i nie chciałam mu robić przykrości. Może dawniej przyznałabym mu rację. Wciąż bolała mnie niezasłużona obelga „polski Judasz”. Ale po wizycie w Adampolu, a zwłaszcza po lekcji rosyjskiej miłości do ludu, jakiej udzielił mi Pietia, czułam coraz wyraźniej, że moja rosyjska świadomość była jedynie cienką zewnętrzną warstwą, narzuconą na mnie niczym kwiecista rosyjska chusta, pod którą w utajeniu biło jednak polskie serce. I ono podpowiadało mi teraz: „Jesteś Polką”. Jakby pozostał we mnie testament Ludwiki Śniadeckiej, który prawie usłyszałam przy jej grobie: „Jesteś Polką. Pamiętaj o tym”.

Pierwszy dzień pobytu w stolicy poświęciliśmy na zwiedzanie miasta i oswojenie się z jego klimatem. Kiedy wieczorem dotarliśmy do domu, który Kramskoj wynajmował do spółki z kilkoma innymi malarzami, czułam się już porządnie zmęczona. Było to obszerne, wielopokojowe mieszkanie na poddaszu, z dużą pracownią oświetloną specjalnymi oknami w dachu, umeblowane przyzwoicie, ale skromnie,

bez ekstrawagancji. Żona Iwana, miła, pulchna brunetka w brązowej sukni, pełniła funkcję gospodyni i gotowała dla wszystkich. Podała nam pyszną rozgrzewającą soliankę i pieczone pierożki nadziewane mięsem, a na deser kisiel żurawinowy z białym kleksem śmietany. Zjedliśmy przy dużym stole w jadalni, w gronie kilku domowników. Wyobrażałam sobie przez chwilę, że należę do tego grona znanych rosyjskich malarzy nie tylko na prawach gościa. Ach, to by było fantastyczne! Po kolacji odpoczęłam trochę przy szumie ogromnego samowara, wypiliśmy herbatę i poszłam obejrzeć płótna rozwieszone w obszernej pracowni, w której o tej porze wciąż było jasno. Część z nich wisiała na ścianach, część znajdowała się na sztalugach. A na samym środku stały sztalugi, na nich zaś umieszczony był jeszcze wilgotny od farby obraz przedstawiający uśmiechniętą spacerującą młodą kobietę – lekki, słoneczny, wyraźnie różniący się od pozostałych, znacznie poważniejszych w nastroju płócien. Podobał mi się.

– Jakim cudem namalował coś takiego? – Kramskoj się skrzywił, patrząc na obraz. – Tak niepoważna treść dobra jest dla Francuza, ale Rosjanin ma przecież lepsze tematy!

– A mnie się podoba ten obraz – stwierdziłam. – Jest taki radosny. I włosy tej dziewczyny oddane są wspaniale.

Gospodarz popatrzył na mnie jak na dziecko, które powiedziało jakieś głupstwo.

– Sztuka powinna służyć wyższemu celom niż tylko upiększaniu życia i dostarczaniu rozrywki – pouczył mnie. – Artysta służy prawdzie za pośrednictwem piękna. Obraz nie ma pieścić oka czy bawić, ale wyrażać prawdę lub ideę.

– Jaką ideę?

– Przez ideę rozumiem niekoniecznie polityczne czy społeczne przesłanie mające ujawniać cierpienia ludu, ale jakiś motyw filozoficzny lub moralny, który zachęca oglądających do zastanowienia się nad życiem. A to jest jedynie banalny obrazek. Mówię: to dobre dla Francuzów, ale nie dla nas...

– To co według pana powinni malować Rosjanie? – zapytałam.

– Sztuka, żeby była ważna dla ludzi, musi być im bliska – odparł takim tonem, jakby wygłaszał wykład. – W Akademii uczyli nas

naśladować antyk. Ale dlaczego Rosjanom miałyby być bliskie zmagania herosów w zbrojach, antyczne ruiny czy bogowie dawnych mitologii? Co innego zwyczajne życie; jeśli chcemy, żeby nasze obrazy miały znaczenie i były kupowane, musimy malować to, co Rosjanie znają i rozumieją: zwykłe rosyjskie życie, rosyjski pejzaż, ale i rosyjską historię. Może wtedy ludzie zechcą kupić nasze obrazy i powiesić je sobie w salonie.

– Iwanie Nikołajewiczu, czy panu bardziej chodzi o edukację rosyjskiej publiczności, czy o możliwość sprzedawania obrazów?

– O jedno i drugie. Tu nie ma sprzeczności. Niech nas znają, rozumieją, kochają... i kupują! Wtedy nasz bunt będzie miał sens.

Przyglądałam się długo pozostałym obrazom wiszącym we wspólnej pracowni, która pełniła jednocześnie funkcję ekspozycji. Wiele było znakomicie namalowanych technicznie. Widząc prace zgromadzone razem, niemal jak na wystawie, miałam wrażenie, że rzeczywiście pokazują Rosję – jej krajobrazy pełne przestrzeni, szerokich rzek, błota i śniegu, jej skomplikowaną historię, jej religię z kolorowymi procesjami i złotymi kopułami cerkwi. A nade wszystko jej mieszkańców: społeczeństwo różnych stanów i profesji, od zarośniętych chłopów w siermiężnych koszulach po eleganckie arystokratki w jedwabnych sukniach i klejnotach.

Następnego dnia po śniadaniu mieliśmy się wybrać do Akademii na spotkanie z rektorem. Jeszcze raz przejrzałam swoją teczkę z rysunkami i płótnami, naszykowałam list polecający wujka Iwana i układałam sobie w głowie przemowę do rektora. Nie mogłam się doczekać. Czułam, że jestem o krok od spełnienia mojego wielkiego marzenia.

Gmach Akademii Sztuk Pięknych położony jest na Nabrzeżu Uniwersyteckim nad samą Newą, a wejścia do niego strzegą dwa potężne sfinksy sprowadzone z Teb, cierpliwie znoszące szkicowanie ich przez pokolenia studentów. Podziw dla doskonałości sztuki starożytnych wyczuwa się także wewnątrz gmachu Akademii – ściany wysokich, wąskich korytarzy ozdobione są płaskorzeźbami i rysunkami adeptów, imitującymi egipskie, greckie i rzymskie oryginały, wizerunki bogów i herosów z ich atrybutami. Przez uchylone drzwi pracowni widziałam

potężne gipsowe odlewy antycznych głów i popiersi. Wiedziałam, że studenci kopiują je tak długo, aż osiągną perfekcję w rysunku, która – jak wierzą profesorowie – ma gwarantować doskonałość w malarstwie. Nie mogłam oderwać oczu od rozstawionych w pracowniach sztalug, ale niestety nie widziałam płócien, bo stały przodem do okien.

Na korytarzach mijaliśmy studentów, którzy nosili pod pachą swoje obrazy. Och, jak im zazdrościłam! Ale byli to sami mężczyźni. Jedyna kobieta, jaką spotkałam, miała na sobie chustę i fartuch i zmywała podłogę w korytarzu.

Iwan Kramskoj zaprowadził mnie przed oblicze rektora. Był to starszy mężczyzna z siwiejącą brodą i połyskującym monoklem w oku. Surdut z trudem dopinał mu się na wydatnym brzuchu. W gabinecie wisiały portrety jego poprzedników i pachniało dymem z cygar. Przywitał nas uprzejmie, po czym przedstawiłam się i wyłożyłam swoją prośbę: chciałam studiować malarstwo w jego Akademii. Położyłam na dębowym biurku teczkę z moimi szkicami i rysunkami, a także list polecający od Ajwazowskiego. Rektor rzucił okiem na jedno i drugie, uśmiechnął się pod wąsem i powiedział:

– To nawet ładne, choć nad perspektywą trzeba by popracować. Ale niestety, droga pani, nie przyjmujemy tu kobiet.

Tego się właśnie najbardziej obawiałam, chociaż chciałam wierzyć, że czasy się zmieniły.

– Ale dlaczego? Uważa pan, że kobiety nie potrafią malować równie dobrze jak mężczyźni? – Może mój ton był nieco wyzywający, ale uważałam, że bronienie młodym kobietom dostępu do edukacji to głupi przesąd, z którym czas już skończyć.

– Nawet jeśli potrafią, to dla zabawy, dla salonowej rozrywki. Powołanie kobiety jest inne – odpowiedział rektor, trochę zniecierpliwiony.

Nie chciałam dać za wygraną. Coś się we mnie wzburzyło na te słowa, bo ja nie malowałam tylko dla zabawy, traktowałam swoją sztukę poważnie.

– Czyżby żadna z dobrze urodzonych dziewcząt, które od dziecka uczono sztuki rysunku, nie pragnęła rozwijać swego talentu pod okiem mistrzów? – zapytałam, patrząc rektorowi w oczy. – Któż powiedział, że



tylko mężczyźni mają talent wart szlifowania, a kobiety mogą się zajmować malowaniem jedynie dla zabawy? Czy nie jest to epoka powiększania wolności? Przyznawania swobód nie tylko chłopom i artystom, ale i kobietom? Dlaczego więc Akademia nie dopuszcza do studiowania kobiet? I wreszcie: czy rekomendacje samego Iwana Ajwazowskiego nie mają już mocy? – Wzburzenie sprawiło, że wygłosiłam tę przemowę trochę głośniejszą i dobitniejszą, niż planowałam.

Kramskoj patrzył na mnie z odcieniem podziwu w oczach, ale rektor wydawał się raczej zgorszony niż porwany moją przemową. Wstał zza swojego biurka, spojrzał na mnie groźnie, już bez uśmiechu, i zaczął mówić o ton głośniejszym niż dotąd:

– Droga pani, to prawda, najjaśniejszy pan uwolnił chłopów, nasi artyści pod wodzą obecnego tu pana Kramskoja uwolnili się sami od związków z Akademią i wcale nas już znać nie chcą, lecz na miły Bóg, nie wszystko naraz! Niechże kobiety jeszcze poczekają. Może kiedyś to nastąpi, ale nie za mojej kadencji. Dla mnie kobiety w Akademii to zgorszenie i obraza sztuki. Młodzi malarze muszą być skupieni na rysunku, szlifować umiejętności, a głowę mieć zajętą kształtem greckich posągów, a nie, pani wybaczy, kształtami koleżanek malarek. Sztuka to poważna rzecz, potrzebna naszej ojczyźnie; trzeba się dobrze nauczyć rzemiosła, a nie bawić we flirty i romanse z młodymi kobietami. A zresztą reputacja tych kobiet mogłaby jeszcze bardziej ucierpieć niż nauka mężczyzn. Dla własnego dobra kobiety powinny siedzieć w domu i wyglądać męża, a nie przebywać w tłumie młodych mężczyzn. To niemoralne. Tak uważam i zdania nie zmienię.

Może Pietia miał jednak rację, mówiąc, że ten świat trzeba zburzyć i zbudować nowy, oparty na wolności dla wszystkich, a szczególnie dla kobiet?

Kiedy opuściliśmy gmach Akademii, poczułam się tak, jakby rektor podciął mi skrzydła i jakbym już nigdy nie miała wzbić się do lotu. Dwa tebańskie sfinksy siedziały na swych kamiennych postumentach nieporuszone jak dawniej. W swoim długim życiu widziały już nie takie nieszczęścia jak zawiedzione nadzieje młodej malarki. Czy raczej aspirantki do tytułu malarki. Nawa za nimi miała kolor ołowiu – znów nadciągnęły sinoczarne chmury, a z nimi zimny

wiatr i zacinający z ukosa deszcz.

– Jeżeli w Petersburgu zawsze jest tak zimno i ponuro, to może i lepiej, że mnie tu nie chcą – powiedziałam do Kramskoją ze złością.

– On ma rację: nie wszystko naraz. Ale czas, kiedy kobiety będą mogły studiować malarstwo i wystawiać swoje obrazy na równi z mężczyznami, nadejdzie, zobaczysz.

– Tylko czy ja tego doczekam?

– I tak masz dużo szczęścia. Mieszkasz obok Ajwazowskiego, który chce cię szkolić. To prawdziwy geniusz. Większy niż wielu naszych akademików i profesorów. Ucz się od niego.

– Ale ja nie umiem malować wody tak jak on. To jego temat, nie mój.

– A jaki jest twój temat, już wiesz? Możesz się nauczyć techniki u mistrza, ale swój temat musisz znaleźć sama, tak jak każdy. Chodzi o to, żeby malować prawdziwe życie i ludzi, a nie kopiować sztukę antyczną sprzed tysięcy lat, bo po co?

Zamyśliłam się przez chwilę nad swoim tematem.

– Do tej pory najbardziej lubiłam malować kwiaty i pejzaże...

– Kwiaty! Oczywiście, można. Ale wierzę, że trzeba malować rzeczy ważne i trudne. Rzeczywistość. A rzeczywistość w Rosji uwiera i boli.

– Mówi pan jak Pietia – wyrwało mi się.

– Kto to jest Pietia?

– Nieważne. Przepraszam.

Co mnie najbardziej w Rosji uwiera i boli? Poglądy Pieti są tylko jego poglądami. A moje? W tej chwili najbardziej denerwowało mnie nierówne traktowanie kobiet i mężczyzn. Może to był mój temat? Może powinnam malować los kobiet? Stała mi przed oczami żona piekarza, która krzyczała wieczorami, gdy piekarz wracał do domu pijany. Na drugi dzień często miała podbite oko albo rozciętą wargę. Albo Wala – młodziutka sierota, której rodzice zginęli w pożarze domu, a ona została sama z młodszą siostrą. Wkrótce po tym nieszczęściu zaczęła się malować, nosić wyzywające suknie i polować na zamożnych turystów. Spacerowała wieczorami też koło naszego pensjonatu. Mama wzięła ją kiedyś na rozmowę i powiedziała, że nie może się tu kręcić w takim

stanie, ale że mogłaby dostać u nas pracę w kuchni – było to niedługo po odejściu Anuszki. Jednak Wala się roześmiała i odparła, że ciałem zarobi więcej. Po dwóch latach zginęła, pobita i uduszona przez jednego ze swoich klientów. A Ira niosąca martwą Marinkę na rękach? Więc może powinnam malować kobiety, które czekały na swój czas w kolejce do wolności?

Z tą myślą wróciłam do Teodozji. Iwan Kramskoj wsadził mnie do pociągu jadącego bezpośrednio do Symferopola na Krymie. Teodozja wciąż nie miała jeszcze własnej stacji kolejowej, choć Ajwazowski zabiegał u władz o jej budowę. W Symferopolu czekała na mnie na stacji Nadire i razem pojechałyśmy powozem pocztowym do domu.

Właściwie z przyjemnością wróciłam z tej zimnej północy. Krym przywitał mnie buchającą wiosną w pełnym rozkwicie, pełną słońca, zapachu kwiatów i brzęczenia pszczoł wokół kwitnących na biało i różowo drzew owocowych. Pomyślałam, że jednak wolę nadal studiować sztukę tu, w naszej pięknej i ciepłej Teodozji, niż w kamiennej, lodowatej stolicy. Wróciłam do pensjonatu uspokojona. Skręciłam po drodze na plażę – o tej porze nie było jeszcze letników, ale dzieci z całej Teodozji już biegały, wesole, zanurzając bose stopy w chłodnej wodzie, tak jak ja z moimi przyjaciółmi przed laty.

A wieczorem, kiedy porządkowałam w głowie wrażenia z tej wyprawy, okazało się, że najlepszy temat do mojego cyklu o losie współczesnych kobiet znalazłam pod własnym dachem.

Zeszłam bezszelestnie do kuchni po szklankę wody i usłyszałam rozmowę toczoną za uchylonymi drzwiami do jadalni.

– Dziękuję ci, kochana Nadire, że pojechałaś po Marynię do Symferopola – powiedziała moja mama. – Jesteś naszym aniołem.

– Nie jestem żadnym aniołem, jestem zła – odparła nieoczekiwanie Nadire.

Nie było moją intencją podsłuchiwać ich rozmowę, ale to oświadczenie Nadire, którą uważałam za najlepszą osobę pod słońcem, kazało mi wyteńczyć słuch.

– Co ty mówisz? Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką mogłam mieć – protestowała mama.

– To ja go zabiłam.

– Kogo?!

– Lorda Gainfula...

Nigdy nie słyszałam tego nazwiska, ale wizja Nadire zabijającej kogokolwiek wydała mi się niedorzeczna. Zamarłam i niewidoczna dla nich, słuchałam w napięciu jej słów.

– Pamiętasz, jak wróciłaś z Sewastopola, a William nagle zniknął? – mówiła. – Pojechałaś z tym dziennikarzem do miasta. A on przyszedł do ciebie. Nie wiem, czego chciał. Ktoś go przysłał do mnie. Zobaczyłam go wtedy i wszystko do mnie wróciło. Cały ten koszmar, o którym latami próbowałam zapomnieć. Znowy byłam dwunastoletnią dziewczynką, którą gwałcił aż do krwi... Więc powiedziałam mu, że wiem, gdzie jesteś, i że go do ciebie zaprowadzę. Nie mam pojęcia, czy mnie rozpoznał. Poszedł za mną ufnie, tak jak ja za nim wtedy. Zapadał już zmierzch. Zaprowadziłam go w pobliże baszty, na skraj urwiska. A gdy stanął tyłem do mnie, patrząc na morze, z całej siły pchnęłam go w przepaść. Nawet nie krzyknął. Po chwili usłyszałam plusk. Myślałam, że morze wyrzuci ciało, ale nie; nikt o nim więcej nie usłyszał.

Mama musiała być równie wstrząśnięta jak ja, bo długo nie wypowiedziała ani słowa.

– I co, poczułaś się lepiej? – zapytała wreszcie zdławionym głosem.

– Nie na tyle, żeby mieć ochotę kiedykolwiek zadać się z mężczyzną. Ale przynajmniej już się nie boję, że znowy go kiedyś spotkam. A do tego wiesz co? Uważam, że mu się to należało. Kto inny miałby go ukarać? Na pewno nie tylko ze mną tak postąpił... Wybacz, musiałam ci to w końcu wyznać. Nosłam ten sekret przez tyle lat, ale już dłużej nie mogę.

Cisza aż dźwięczała w uszach po tym wyznaniu. Mama chyba nie wiedziała, co powiedzieć. Może szukała słów potępienia, albo przeciwnie: zrozumienia, rozgrzeszenia i wybaczenia? Ale jakie miała prawo rozgrzeszać Nadire z zabójstwa?

– W mojej religii od takich spraw jest spowiedź – odezwała się po dłuższym milczeniu. – Idziesz do kapłana, wyznajesz mu swoje grzechy i przewiny, a on ci je odpuszcza w imieniu samego Boga.

– I co, ludzie zapominają o tym, co złego zrobili?

– Nie wiem, czy zapominają, ale dostają rozgrzeszenie, jeśli szczerze żałują. I mogą się czuć oczyszczeni.

– Więc to nie dla mnie. Ja nie żałuję – orzekła Nadire, gwałtownie wstała z kanapy i wyszła z salonu.

Usłyszałam trzaśnięcie wejściowych drzwi.

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Poczułam na policzkach gorące łzy.

Następnego dnia usiadłam obok Nadire przy stole w kuchni, gdy kroїła cebulę.

– Słyszałam – przyznałam się.

– Co słyszałaś? – Popatrzyła na mnie czujnie.

– To, co powiedziałaś wczoraj mamie. O tym lordzie. Kto to był?

Nadire odłożyła nóż, odsunęła deskę z cebulą. Westchnęła.

I zaczęła opowieść o małej Beduince, sprzedanej przez matkę wędrownego karawanie kupców. Dziewczynka miała trafić do zamożnego stambulskiego domu, nauczyć się prac domowych i po latach wyjść dobrze za mąż, ale zamiast tego trafiła w łapy brytyjskiego lorda, który ją brutalnie wykorzystał i wyrzucił na ulicę. Moja babcia Gülşen przyjęła ją pod swój dach i dała pod opiekę mamie. I tak Nadire jest z nami od lat, ale kiedy jej dawny prześladowca znów stanął na jej drodze, nie zawahała się. Jej zimne opanowanie trochę mnie przerażało, a trochę mi zaimponowało.

– Czy mogłabym to namalować? – spytałam.

– Co?

– Jak masz dwanaście lat, a on kupuje cię na targu.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Tak. Ale pod jednym warunkiem: jeśli namalujesz drugi obraz, jak go strącam ze skały.

W ten sposób w kolejnych tygodniach powstały dwa pierwsze obrazy mojego cyklu o kobietach Krymu. Na pierwszym mała Nadire w piaskowym zawoju idzie ufnie za wysokim białym mężczyzną z mahoniową laską w dłoni, a w tle pyszną się orientalne kramy pełne dywanów – studia nad tkaninami z domu Gülşen bardzo się teraz przydały. Na drugim młoda Nadire stoi samotnie na brzegu urwiska, a w morskiej wodzie w dole, pośród ostrych kamieni widać ogromne

poruszenie, jakby coś ciężkiego właśnie spadło do wody. Malowałam je z taką pasją, że czuło się w nich prawdziwe napięcie. Ajwazowski bardzo je chwalił, a mama powiesiła w salonie na honorowym miejscu. I tylko my trzy wiedziałyśmy, jaka historia się za nimi kryje.

## Rozdział XXVIII

### Znowu wojna

Emilia z rosnącym niepokojem śledziła doniesienia o kolejnych buntach prawosławnych poddanych w imperium osmańskim. Rosyjska prasa podkreślała uciemnienie i desperację braci Słowian, jakby chciała zbudować klimat poparcia dla przyszłej interwencji Rosji. Słowianofile od dawna przekonywali, że wyzwolenie chrześcijan spod tureckiego jarzma oraz zdobycie Konstantynopola to historyczna misja Rosji. Słuchając rozmów gości, które toczyli wieczorami na werandzie, Emilia uświadomiła sobie, że znaczna część Rosjan popiera te dążenia. Wielu z nich wierzyło, że powołaniem ich ojczyzny jest stworzenie nowej cywilizacji narodów słowiańskich, która starłaby się z gnijącą cywilizacją zachodniej Europy.

Na Bałkanach od dawna wrzało. I kiedy Serbia i Czarnogóra wypowiedziały wojnę Turcji, Emilia wiedziała, że kolejne starcie sułtana z carem jest tylko kwestią czasu. Słaba armia serbska nie poradzi sobie z wyszkolonymi wojskami tureckimi, a Rosja nie będzie się beczynn timer przyglądać jej klęsce. Wreszcie nadszedł dzień, w którym car Aleksander II ogłosił, że jego obowiązkiem jest wziąć w swoje ręce sprawę uciśnionych chrześcijan. Społeczeństwo gorąco poparło ideę ocalenia braci Słowian przez rosyjską armię. Wybuchła kolejna wojna rosyjsko-turecka.

Emilia drżała o swojego syna. Gdy widziała go przed dwudziestu laty, odgrażał się, że pomści kiedyś śmierć ojca w Rosji. Właśnie nadarzyła się okazja. „Mój Boże, czy jest jeszcze na tym świecie coś równie głupiego jak wojna?” – myślała. Dlaczego jej syn ma się znaleźć po drugiej stronie frontu jako jej wróg? Nie zniosłaby, gdyby coś mu się stało. Ale w żaden sposób nie mogła go powstrzymać. Nawet nie wiedziała, czy wstąpił do wojska, czy nie. Ta niepewność była straszna. Próbując dowiedzieć się czegokolwiek, znowu, jak przed laty, kupowała codziennie gazety i czytała regularnie doniesienia z frontu. A właściwie z dwóch frontów, na jakie podzieliły się walki: z Kaukazu i z prowincji dunajskich. Ale informacje ani o przekroczeniu Dunaju przez armię rosyjską, ani o ciężkich walkach na bałkańskich przełęczach, ani

o podejściu Rosjan na przedpola Stambułu nie powiedziały jej nic o losach Kemala.

Odetchnęła z ulgą, gdy zimą ogłoszono podpisanie rozejmu. Gdyby Kemalowi stało się coś złego, Gülşen z pewnością dałaby jej znać. Emilia nie przypuszczała, że będzie dokładnie na odwrót.

Nastał chłodny lutowy wieczór. W pensjonacie pusto. Marynia malowała u siebie na górze. Emilia siedziała przy kaflowym piecu i wyszywała czerwonym kordonkiem maki na lnianym obrusie. To ją uspokajało. Nauczyła się pięknego dwustronnego haftu od Iry, jeszcze zanim dziewczynę dotknęły te tragedie. Biedna Ira! Jakby nie dość było, że jej córeczka zginęła w zamachu bombowym, to jeszcze jej mąż Karim dostał powołanie do wojska tuż przed wybuchem wojny. Nie chciał walczyć z Turkami, swoimi braćmi w wierze. Ale odmowa nie wchodziła w grę. Jako poddany cara miał obowiązek wyzwalać chrześcijan wraz z innymi, a jego muzułmańskie wyznanie nikogo nie interesowało. Karim trafił do dywizji piechoty, która sforsowała Dunaj, zdobyła bałkańskie przełęcze i szła prosto na Konstantynopol. Lecz zanim jeszcze brytyjskie okręty wpłynęły na morze Marmara, by uniemożliwić Rosjanom atak na stolicę, Karim padł w drobnej potyczce z przygodnym oddziałem, a jego rosyjski mundur zalała krew, lejąca się z rany zadanej turecką kulą. Wcześniej wspominał czasem o wyjeździe na stałe do Turcji, by jego rodzina mogła się cieszyć pełną wolnością i poważaniem pośród innych wyznawców islamu. A teraz przyszło mu pozostać na zawsze w tureckiej ziemi, w anonimowej mogile usypanej pośpiesznie na skraju wsi, bez jednego wersetu z Koranu wypowiedzianego przez życzliwe usta.

Emilia rozmyślała nad nim i nad cichą rozpaczą jego młodej żony, która tak krótko cieszyła się rodzinnym szczęściem i miłością. Ta dawniej żywiołowa, zawsze roześmiana dziewczyna stała się cicha i milcząca, a ból jej serca odbijał się wyraźnie na twarzy. Podwójna żałoba dodała jej lat i powagi. Trudno było rozpoznać w niej dawną Iry.

Nagle Emilia usłyszała jakiś szelest przy drzwiach. Nie spodziewała się gości. Podniosła głowę. I wtedy go zobaczyła. Dobrze zbudowany mężczyzna z wydatnym brzuchem stał przed nią, ściskając w rękę niewielką torbę. Miał na sobie podróżną pelerynę i futrzaną



czapkę. Mógł być zwykłym podróżnym szukającym noclegu, ale na jego widok Emilia poderwała się, zrzucając z kolan zaczęty haft. Patrzyli na siebie w napięciu. Długo.

– Kemal! – krzyknęła Nadire, która pojawiła się w drzwiach prowadzących z kuchni.

Mężczyzna postawił torbę na ziemi, a Nadire podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i uścisnęła go serdecznie.

– Zobacz, Emilio, nasz Kemal przyjechał! – wykrzyknęła radośnie.

Ale powitanie matki z synem po tylu latach nie było takie proste. Emilia czuła wielką ulgę, że jej syn przeżył wojnę, że może go zobaczyć, a jednak stała jak posąg z lnianym obrusem u stóp.

– Przyjechałeś, synku... – szepnęła ledwie słyszalnie przez ściśnięte gardło.

On także stał nieruchomo i patrzył na matkę, którą przez długie lata widywał tylko w snach. Młodą i piękną. Kobieta stojąca przed nim była starsza, ze srebrnymi nitkami we włosach i brzemieniem lat wypisanym na twarzy. Ale jej oczy i jej głos były te same. Za nimi tęsknił tak długo.

– Gülşen umarła – oznajmił.

– Jak? – zapytała Nadire.

– Normalnie. Ze starości. W naszym ogrodzie. Miała osiemdziesiąt lat.

– Ach tak... – Emilia, która latami marzyła o rozmowie z synem, teraz nie umiała powiedzieć nic więcej.

Nadire jak zawsze wiedziała, co zrobić.

– Rozbierz się, siadaj z nami, zaraz nastawię samowar.

I opowiadaj! Wspaniale, że przyjechałeś. Twoja siostra się ucieszy, zaraz jej powiem, że jesteś!

Odebrała od niego pelerynę i czapkę, posadziła go na wygodnej kanapie, rozpałała płomień pod samowarem i pobiegła na górę po Marię.

Emilia przyglądała się twarzy syna. Jak bardzo różniła się od buzi chłopca, którego uścisnęła ostatni raz przed laty! To jej boleśnie uświadomiło, ile przeżył i doświadczył bez niej, ile z jego życia ją ominęło.

– Czy to znaczy, że mi wybaczyłeś? – spytała go wciąż zdławionym głosem, gdy zostali sami.

Kemal siedział na kanapie i rozglądał się po obszernym salonie. Zatrzymywał wzrok na obrazach Marii i Ajwazowskiego, które wisiały na ścianach. Wydawało się, że nie słyszał pytania.

– Porzuciłaś mnie. To boli. I zostawia blizny – odparł po chwili, przenosząc wzrok na matkę.

– Wybacz mi... – Głos Emilii się załamał. – Pisałam listy... – tłumaczyła, czując, jak słaby to argument. Czymże jest arkusz papieru wobec obecności żywego człowieka?

– Znalazłem je dopiero teraz, po jej śmierci – przyznał Kemal. – Dlatego przyjechałem.

Emilia poczuła złość na swoją apodyktyczną teściową.

– Więc Gülşen nie dawała ci nawet moich listów!

– Nie sądz jej zbyt surowo. Kochała mnie. Chciała oszczędzić mi bólu...

– Miłość i ból to nie jest to samo.

– Ale czasem znajdują się zbyt blisko, zwłaszcza przy rozstaniu.

Emilia podeszła do niego i wreszcie zrobiła to, o czym marzyła latami, o czym śniła po nocach. Objęła swego dorosłego syna i mocno przytuliła.

– Czy kiedykolwiek będziesz mógł mi wybaczyć? – szepnęła, głaszcząc go po ciemnych włosach.

Przez chwilę siedział napięty, zaskoczony i znieruchomiał.

A potem, powoli, jego ramiona objęły ją i zamknęły w uścisku. Czuła, jak jego potężnym ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch. Trwali tak przez moment. Kemal pierwszy opuścił ramiona, Emilia usiadła na kanapie tuż przy nim. Zobaczyła jego zaczerwienione oczy.

– Musiałeś mnie znienawidzić przez te lata... – rzekła z obawą w głosie, jakby się bała, że jej syn to potwierdzi.

Patrzył na nią długo, ale z jego pełnej twarzy nie można było nic wyczytać.

– Tak, czasem miałem do ciebie taki żal, że ocierał się o nienawiść... – odparł wreszcie.

Emilia westchnęła tak ciężko, jakby na jej piersiach spoczywał stukilowy głąz.

– Miałeś prawo tak czuć, skoro cię tam zostawiłam, ale...

– Nie chodzi tylko o to – przerwał jej.

– Więc o co?

– Widzisz... przez długie lata nie mogłem ci wybaczyć, że pojechałaś na front, żeby pracować w szpitalu, a mimo to ojciec tam umarł. „Dlaczego go nie uratowała?”, pytałem siebie. Przecież tylko zachorował, nie został zabity. A może wolałaś, żeby umarł, żeby odzyskać tę swoją wolność, z której skorzystałaś tak prędko?...

Emilia poczuła ostre ukłucie w okolicy serca. Naprawdę mógł przypuszczać coś tak potwornego?

– To Gülşen podsunęła ci tę teorię – domyśliła się.

– Tak. Brzmiała prawdopodobnie...

– Uwierzyłeś jej?

– A komu miałem wierzyć? Nikogo innego przy mnie nie było...

– Więc obwiniasz mnie nawet o śmierć swego ojca...

– Już nie. Odkąd przeczytałem twoje listy, widzę to inaczej. Tylko dlatego tu przyjechałem.

Emilia wpatrywała się w jego rysy. Widziała w nich mieszankę rysów swoich i Zakira, a także zastygłe lata smutku i żalu.

Marynia zbiegła po schodach. Przywitała się z nim swobodnie, tak jak Nadire.

– Jednak przyjechałeś – powiedziała radośnie. – Mama umierała ze strachu o ciebie w czasie tej głupiej wojny. Bałyśmy się, że wstąpiłeś do wojska.

– Wstąpiłem – oznajmił. – Na ochotnika.

– Chciałeś koniecznie walczyć z Rosjanami? – zapytała, marszcząc nos.

– Tak... – odrzekł z wahaniem. – Ale już nie chcę.

Wszyscy usiedli, a Nadire podała świeżo zaparzoną herbatę.

– A może jesteś głodny?

– Niedługo kolacja.

– A może wolisz wcześniej wziąć kąpiel? Albo odpocząć po podróży?

Trzy kobiety wypytywały jedna przez drugą, jakby chciały mu nieba przychylić, aż na twarzy Kemala pojawił się uśmiech. Po raz pierwszy tego wieczoru. Odetchnął głębiej, oparł się wygodniej na

kanapie.

Potoczyła się rozmowa. Dowiedziały się, że Gülşen umarła jeszcze przed wojną i wtedy, porządkując jej rzeczy, Kemal znalazł gruby plik listów, z których pierwszy pochodził z 1856 roku. Wcześniej sądził, że matka go nie kochała, chociaż klóciło się to z jego wspomnieniami. Po przeczytaniu jej listów pełnych miłości, tęsknoty i cierpienia z powodu rozłąki Kemal skierował całą swoją złość przeciw Rosji, obarczając ją winą za zniszczenie rodziny. Dlatego gdy tylko nadarzyła się okazja, zaciągnął się do wojska. Chciał zabijać Rosjan, którzy zabrali mu i ojca, i matkę. Walczył na froncie kaukaskim, broniąc twierdzy Kars, która ostatecznie padła i przeszła w ręce nieprzyjaciela. Zabił wielu rosyjskich żołnierzy. Ale nie poczuł żadnej ulgi. Zrozumiał, że jego serce twardnieje, a dusza wcale nie doznaje ukojenia. Przypomniawszy sobie listy matki, zaproszenie siostry na Krym, serdeczność Nadire i pustkę stambulskiego pałacu po śmierci babki. Gdy ogłoszono zawieszenie broni, nie miał ochoty wracać ze swym oddziałem. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko Rosji. Odmeldował się dowódcy, przedostał się samotnie do portu Batumi i znalazł statek płynący do Teodozji. I oto jest.

Trzy najbliższe mu kobiety, choć dotąd tak dalekie, zasypywały go pytaniami, jakby chciały nadrobić czas rozłąki. Opowiadał więc o wojnie, o froncie, o słabnącej Gülşen, o jej pogrzebie. A Emilia siedziała, słuchała go i wreszcie była szczęśliwa. Poszli spać późno. Kemal dostał najlepszy pokój, z balkonem wychodzącym na morze. Emilia długo dziękowała Bogu przed snem, że w końcu pozwolił jej zobaczyć syna.

Następnego dnia usiedli razem do śniadania, tak jakby zawsze byli rodziną i jadali wspólnie.

– Wybrałaś świetną porę na przyjazd – powiedziała Marynia do brata. – Może nie jest tak pięknie jak latem, ale za to przed sezonem mamy dużo czasu, nim przyjadą goście.

Rzeczywiście, mogli celebrować posiłki, nalewać kolejne filiżanki herbaty i niespiesznie, niepoganiani niczym, rozmawiać i rozmawiać.

Tematem znów była wojna. Ale nie ta ostatnia, tylko poprzednia, krymska, ta, od której wszystko się zaczęło.

– I co przyszło z tej wojny, która zniszczyła naszą rodzinę? – pytał

retorycznie Kemal. – Turcja niby ją wygrała. Byliśmy po stronie zwycięzców. Ale czy coś zyskaliśmy? Państwa Zachodu nie pozwoliły nam odbudować floty, tak jak Rosjanom, których pokonaliśmy. Dlaczego narzucili nam te same poniżające ograniczenia co Rosji? Po Morzu Czarnym pływają statki brytyjskie i francuskie. Z księstw naddunajskich, o które toczył się spór, powstało nowe państwo: Rumunia. Narody słowiańskie zaczęły podnosić głowę i buntować się przeciw zwierzchności sułtana, aż doprowadziły do kolejnej wojny z Rosją.

– Więc Turcja była rozczarowana wynikiem wojny krymskiej, którą wygrała? – zapytała Emilia.

Przypomniała sobie dawne rozmowy o polityce z Zakirem. Zauważyła, że ich syn miał teraz sposób mówienia podobny do ojca. To ją wzruszyło.

– Oczywiście. W całym państwie rozpanoszyli się Anglicy, Francuzi i Włosi, którzy traktują nas jak swoją półkolonię. To oni zyskali na tej wojnie najwięcej. Mogą kupować i sprzedawać turecką ziemię, jakby byli u siebie.

– Ale Anglia zawsze była sojusznikiem Turcji.

– Anglia jest gorsza od Rosji. Rosja jest naszym otwartym wrogiem, chce zawładnąć Stambułem i tego nie kryje. A Anglia udaje przyjaciela, stoi niby po naszej stronie, tylko że wszystko, co jest w interesie angielskich kupców, odbywa się kosztem naszych. Chcą z nas uczynić swoją kolonię, tak jak zrobili z Indiami.

Nadire nigdy nie interesowała sprawy wielkiej polityki, więc wstała i zaniósła brudne talerze do kuchni.

– Czy sułtan tego nie widzi? – spytała Marynia.

– Omotali sułtana i jego doradców. Albo przekupili. Machają im przed oczami Europą, Zachodem, swoją cywilizacją i nowoczesnością, udziałem w elitarnym klubie potęg. A cały dwór wije się w tańcu jak kobra, gdy ją fakir zaczaruje grą na flecie.

– A tanzimat, który miał wzmocnić Turcję? – Emilia się zainteresowała.

Kemal machnął ręką.

– Wiem, że ojciec angażował się w reformy tanzimatu. Ale one nie

podniosły państwa z upadku. Ci wszyscy zachodni doradcy! Przejrzałem ich: chodzi im o słabą Turcję, którą łatwo podzielić i zdominować, a nie o silną.

– Myślałam, że Anglia i Francja wspierają Turcję. Przecież ich żołnierze ginęli w wojnie krymskiej – zauważyła Emilia.

– Gdy armia rosyjska opuściła księstwa naddunajskie, wojna straciła dla nas sens; wtedy trzeba było zawrzeć z Rosją pokój. Ale sojusznicy zmusili nas do udziału w kampanii krymskiej. Francuscy i angielscy oficerowie rządzą się jak u siebie. Jakby nie mogąc zdobyć Sewastopola, zagarnęli w zamian Konstantynopol.

Emilię przeszył nagły chłód, gdy uświadomiła sobie, że nie tylko śmierć Zakira nie miała żadnego sensu, ale i całe wielomiesięczne oblężenie Sewastopola, który i tak pozostał przy Rosji.

Ton Kemala stawał się coraz bardziej gorzki.

– Zachód wciąż ma mi nas hasłem równouprawnienia chrześcijan, ale nie chodzi mu wcale o los naszych Słowian, tylko o prawo swoich kupców, bankierów i handlarzy do robienia złotych interesów w Porcie! Ojciec wspierał przed wojną tanzimat, bo chciał, by ogłoszenie reform zapobiegło mieszanemu się zachodnich państw w sprawy naszego imperium. Ale po wojnie nowy akt tanzimatu utrwał już cudzoziemską kuratelę nad Turcją. Prawo posiadania nieruchomości, zakładania banków, budowy dróg i kanałów, rozwoju handlu... Stąd tylko krok do kolonialnej eksploatacji!

Emilia zasłuchiwała się w słowa syna. Pamiętała, że Zakir był pełen nadziei, że reformy tanzimatu pomogą Turcji stać się silnym, nowoczesnym i niezależnym państwem. Ich syn Kemal nie miał już tych złudzeń.

W zamyśleniu popatrzyła na wiszący na ścianie obraz Maryni, na którym młody lord Gainful prowadził za rękę dwunastoletnią Nadire w piaskowym zawoju ulicami Sztambułu. Dziewczynka miała wielkie, ufne oczy. Kemal podążył za wzrokiem matki.

– Ten obraz jest jak metafora – stwierdził.

– Poznajesz, kto to? – zapytała Emilia zaskoczona.

– Oczywiście, to mała Nadire. Wiem, co ją spotkało. Wychowały mnie przecież kobiety z haremu. Dla mnie ten obraz to metafora

działania Zachodu wobec mojego kraju.

Wtedy Emilia przypomniała sobie buńczuczne opowieści Williama Gainfula o zbawiennym świetle brytyjskiej cywilizacji, którymi raczył ją w czasie ich dawnej podróży na Kaukaz, ponad trzydzieści pięć lat temu. Był tak przekonany o tym, że cały świat skorzystałby na kontakcie z brytyjską kulturą. Stało się dokładnie odwrotnie – na kontakcie ze światem korzystali brytyjscy bankierzy, kupcy i przedsiębiorcy. I królowa. A biedne „dzikie” kraje zostawały wykorzystane i zranione. Jak Nadire.

W czasie takich rozmów poznawali się i zbliżali do siebie coraz bardziej.

Aż wreszcie po kilku dniach Kemal powiedział:

– Mamo, przeszłości nie możemy wymazać. Każde z nas nosi w sobie ból straty: ty straciłaś męża, ja rodziców, Marie dziecko, wiem to od Nadire. Ale mamy wpływ na naszą przyszłość. Spróbujmy skleić naszą rozbitą rodzinę jak pęknięty dzban. Może będzie na nim widać rysy, ale znów będzie mógł nosić wodę.

– Co masz na myśli, synku?

Kemal popatrzył jej prosto w oczy.

– Wiem, że Gülşen zabroniła ci wracać. Ale już jej nie ma. Nasz wielki dom stoi prawie pusty. Część niewolnic umarła, części darowałem hojny posag i wolność. Dom potrzebuje kobiecej ręki. Masz już swoje lata, po co ci obsługiwać obcych? Wróc ze mną do Stambułu. Byłaś tam szczęśliwa, pamiętasz? Weź Marie, weź Nadire i wróc do domu, gdzie twoje miejsce. Może chociaż trochę nadrobimy stracony czas.

Emilia słuchała go wzruszona. Zapraszał ją do zamieszkania z nim – to chyba znaczyło, że jej wybaczył. Cudownie było siadać wieczorami w salonie, mając przy sobie dwoje dorosłych dzieci, syna i córkę. Jaki szczęśliwy byłby Zakir, gdyby mógł ich widzieć, usiąść razem z nimi. Czy to mogłoby trwać wiecznie, gdyby nawet wrócili razem? Emilia dobrze wiedziała, że nic nie trwa wiecznie.

– Wahasz się. Podobno chciałaś więcej wolności. Obiecuję, że nie będę was w niczym ograniczał. Niczego wam nie zabraknie. Marie będzie mogła malować tak jak tu – przekonywał Kemal.

Emilia pogłaskała jego dużą, ciepłą rękę.

– Kochanie, jestem bardzo szczęśliwa, że cię widzę i mogę z tobą rozmawiać. Jeśli umiałeś mi wybaczyć to porzucenie, to znaczy, że masz serce równie wielkie jak syn Rumiego, znoszący z pokorą kaprysy ojca. Wiem, że cię skrzywdziłam, i bardzo nad tym boleję. – Popatrzyła mu w oczy z łagodnym uśmiechem. – Ale tobie nie potrzeba towarzystwa matki, siostry i piastunki z dzieciństwa, tylko żony.

Kemal popatrzył na nią z rezygnacją w oczach.

– Więc nie chcesz. Znowu nie.



## Rozdział XXIX

### Polscy jankesi

Kemal jakoś się u nas zadomowił. Byłam bardzo szczęśliwa, że zdecydował się tu przyjechać. Podziwiałam go za to, że zdołał przezwyciężyć urazy. A może po prostu miał dość samotności? Kiedy poczuł się u nas swobodniej i lepiej poznał nasz dom, zaskoczył nas – okazało się, że jest świetnym kucharzem i uwielbia gotować. Czasem wyręczał naszą służącą i przygotowywał dla nas obiad. Wcześniej szliśmy razem na targ kupić świeże mięso, ryby, jarzyny i przyprawy, a ja tłumaczyłam jego pytania na rosyjski. Gdy zobaczył, że wielu sprzedawców to Tatarzy i wyznawcy islamu, którzy pozdrawiają go w imię Allaha, nasz Krym wydał mu się bardziej przyjaznym miejscem. Wybrał się nawet do dzielnicy tatarskiej. Mama, patrząc na niego, odzyskiwała spokój i radość w oczach.

Któregoś dnia, gdy Nadire zabrała Kemala na długi spacer po Teodozji, odwiedził nas listonosz i przyniósł mamie kolejny list z Ameryki. Mama zawsze zatapiała się w tych listach i czytała je po parę razy, ale teraz poderwała się energicznie z fotela i oznajmiła z błyskiem w oku, że czeka nas przyjazd specjalnych gości: dawnej przyjaciółki mamy Malwiny oraz jej syna z amerykańską narzeczoną. Wiedziałam o nich tylko tyle, że ta Malwina wyjechała przed wielu laty do Nowego Świata, a mama cudem spotkała kogoś, kto ją znał. Latami wymieniały listy. Teraz mama przeznaczyła dla nich najlepsze pokoje, te obok Kemala.

– Chciałabym, żebyś wzięła na siebie rolę ich przewodniczki. Przyjeżdżają na miesiąc i będą chcieli zobaczyć coś ciekawego – oznajmiła.

– Zabawiać ich przez cały miesiąc? Nie mam czasu – odpowiedziałam. – Muszę malować. Wiesz, że pracuję nad moim cyklem o kobietach Krymu. Iwan Kramskoj jest nim bardzo zainteresowany.

Nie miałam ochoty na marnowanie całego miesiąca na jakichś pewnych sobie jankesów. Chciałam udowodnić, że mogę zostać świetną malarką, nawet bez łaski petersburskiej Akademii. Chciałam się skupić

na swojej pracy, czyli na malowaniu. Pragnęłam zostać prawdziwą, uznaną malarką, której prace pewnego dnia znajdą się na obwoźnej wystawie pieriedwizników!

– Możesz sobie malować przez całe życie, a Malwina przyjeżdża tylko teraz. – Mama była jednak nieugięta. – Ostatni raz widziałam ją ponad trzydzieści lat temu. I zależy mi na tym, żeby się dobrze u nas czuła. To dla mnie najbliższa osoba na świecie, poza wami oczywiście.

– Dla ciebie może tak, ale ja jej nawet nie znam!

– Więc ją poznaj – odrzekła mama, sięgnęła do drewnianej skrzynki ze srebrnymi okuciami i podała mi gruby plik listów związanych błękitną wstążką. – Możesz je przeczytać, proszę bardzo.

Wiedziałam, że nie wymigam się tak łatwo od ich towarzystwa. Ale coś mnie strasznie irytowało w tej nagłej wizycie. Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że nie mam ochoty przyglądać się szczebioczącej słodko parze narzeczonych, gdy mój związek z Pietią właśnie się rozpadł.

Westchnęłam, wzięłam listy, usiadłam w fotelu przy piecu kaflowym i otworzyłam pierwszą kopertę. Zaczęłam czytać:

Nowy Jork, 1856 roku

Moja Najdroższa Emilio!

Nie wiesz nawet, jak wielką radość sprawił mi Fred O'Brian, gdy przyszedł wczoraj do naszego domu i powiedział od progu, że spotkał Cię pod murami Sewastopola! Uściskałam go z radości. Mój Boże! Przez tyle lat zachodziłam w głowę, jak też potoczyły się Twoje losy na tureckiej ziemi, czy odnalazłaś ojca i co uczyniłaś dalej ze swoim życiem. I oto już wiem wszystko! Gdy Fred dał mi Twój list, najpierw uścisnęłam go serdecznie, a potem zostawiłam go z Johnem, to znaczy z Januarym, i poszłam na górę czytać o tych kilkunastu latach Twojego życia. Cieszę się niezmiernie, że jesteś szczęśliwa. Prawdę mówiąc, byłam pewna, że nie zechcesz wracać do naszego dawnego życia – bo i do czego tam wracać, gdy ma się wolność i świat u stóp? Mój Boże, jakże chciałabym zobaczyć się z Tobą, poznać Twego męża i Twego

syna, zobaczyć te stambulskie cuda i doświadczyć dobrodziejstw hammamu, który tak uwielbiasz! I choć żyjemy na dwóch kontynentach, a między nami rozciąga się potężny ocean, to wierzę, że któregoś dnia będzie to możliwe i nasze rodziny będą się mogły spotkać, poznać i zaprzyjaźnić. Przecież Ty nawet nie znasz mojego męża! No ale zanim to będzie możliwe, pozwól, Kochana Emilio, że i ja opiszę Ci koleje mojego losu od tego dnia, kiedyśmy się pożegnały w Wilnie.

Jak pamiętasz, Twój nieoceniony przyjaciel Selim odnalazł mego brata Olka, który zabrał mnie wprost do Januarego. Wyraz zdumienia w jego oczach na mój widok należy do moich ulubionych wspomnień! Mój narzeczony aż zaniemówił i milczał tak długo, stojąc z otwartymi ustami, jakby zobaczył zjawę, a nie żywą kobietę. Musiałam mu powiedzieć, że to ja, Malwina, że uciekłam do niego i że chcę żyć z nim. Choć prawdę mówiąc, i on się zmienił nie do poznania: wciąż był wychudzony i zarośnięty tak bardzo, że ledwie można go było rozpoznać. Ale jako zbieg z transportu na Sybir musiał wyglądać inaczej niż dawniej, bo żandarmi wciąż za nim węszyli. Dlatego ukrywał się na plebanii u swego starszego brata, który został księdzem. Więc kiedy usłyszał, że to ja, kiedy to do niego dotarło, porwał mnie w ramiona, uniósł jak piórko i obracał w kółko na środku tej izdebki jak szalony. I to jest moje drugie ulubione wspomnienie, które przechowuję jak skarb. Bo trochę się jednak obawiałam, czy mu się co nie odmieniło i czy nadal mnie chce. Ale chciał, i to jak! Choć i ja wyglądałam wtedy okropnie z tymi odrastającymi włosami, sterczącymi każdy w inną stronę. Nalegał nawet, żebyśmy zaraz brali ślub, którego mógł nam udzielić jego brat. My jednak z Olkiem chcieliśmy dać moim rodzicom ostatnią szansę na pojednanie i zaakceptowanie mojego wyboru. Uradziliśmy więc, że Olek pojedzie do domu, powie rodzicom, jak się sprawy mają, i zapyta, czy dadzą nam swoje błogosławieństwo. Jednocześnie brat Januarego, ksiądz, miał się udać do ich rodziców, przezacnych państwa Polesińskich, i zaprosić ich na nasz ślub. Efekt tych dwóch misji był taki, że moi rodzice pozostali nieugięci i oburzeni, choć we łzach, a moi wspaniali teściowie przyjechali wieczorem z prezentami, z pieniędzmi, z białą suknią ślubną matki mojego męża i ze szczerym

błogosławieństwem dla nas. Wzięliśmy cichy ślub, a naszymi świadkami byli mój brat i gospodyni z plebanii. A nasza noc poślubna, kiedy mogliśmy się spotkać i połączyć po tym, jak oboje straciliśmy już nadzieję na wspólne życie, była najwspanialszą nocą mojego ówczesnego życia. Choć potem było ich jeszcze całe mnóstwo.

Wobec oporu moich rodziców, a także wobec ryzyka zdemaskowania Januarego postanowiliśmy opuścić kraj i urzeczywistnić mój szalony pomysł: pojechać do Ameryki! Wydawało nam się, że Nowy Świat jest dla ludzi takich jak my: uciekających z Europy od zagrożenia prześladowaniami, pragnących wolności i szansy na nowe życie. I się nie zawiedliśmy.

Ze względu na dociekliwość carskiej żandarmerii postanowiliśmy udawać niepiśmiennych chłopów pańszczyźnianych, którzy za pozwoleniem swego pana udają się do Ameryki na zarobek. Dlatego wsiedliśmy na statek jako pasażerowie trzeciej klasy i spędziliśmy cały rejs pod pokładem.

Warunki były tam jak ze złego snu, ale nas przepęłniały szczęście i nadzieja, że najlepsze wciąż przed nami. Do Nowego Jorku dotarliśmy po dwóch miesiącach żeglugi pośród prostych ludzi. Jeśli wcześniej zostały we mnie jeszcze jakieś wielkopańskie nawyki i przyzwyczajenia, to pod pokładem statku wyzbyłam się ich kompletnie – zobaczyłam wyraźnie, że szlachetnie i nieszlachetnie urodzeni dokładnie tak samo chorują, marzną i cierpią. Ale kiedy dotarliśmy wreszcie na wyspę Ellis i stanęliśmy w tłumie innych przed obliczem oficera imigracyjnego, który zapytał o nasze pochodzenie, January powiedział przez tłumacza, że jesteśmy polską szlachtą.

„W Stanach Zjednoczonych Ameryki wszyscy są równi – pouczył nas oficer. – Nie mamy tu przywilejów ani żadnych hrabiów i książąt. Jeśli chcecie być amerykańskimi obywatelami, musicie się zrzec swoich tytułów”.

Zrzekliśmy się bez żalu. January powiedział mi, że już dawno przestał się czuć polskim panem – kiedy z postronkami na rękach gnali go jak przestępcę na wschód, na zatracenie. A swój złoty sygnet z rodzowym herbem oddał prostemu chłopu za konia w czasie swojej ucieczki z transportu.

„Jak się nazywacie?” – indagował dalej oficer.

„Malwina i January Polesińscy” – odpowiedzieliśmy.

„Co? To za trudne. Nikt tego nie wymówi. Ty będziesz od dziś John Pol” – stwierdził oficer, wpisał nam nowe nazwisko w papiery i przybił pieczęć.

Tak więc stanęliśmy na amerykańskiej ziemi jako Mr i Mrs Pol, z niewielkim doprawdy bagażem najpotrzebniejszych rzeczy i z garścią pieniędzy, które mój brat i teściowie mogli nam przekazać. Wynajęliśmy pokój w skromnym zajęździe i rozejrzeliśmy się za rodakami.

Sam Nowy Jork jest miastem niezwykłym, zupełnie niepodobnym do Wilna. Szerokie, wygodne aleje biegną wzdłuż, numerowane kolejno ulice w poprzek półwyspu, a na nich tłumy ludzi spieszące do swych zajęć i biznesów. Poruszać się tu łatwo, bo wzdłuż alei biegną dwie koleje żelazne dla wagonów konnych, obok nich szerokie drogi, na których dwa powozy miną się swobodnie, dalej wielkie drzewa dające cień i trotuary dla pieszych. Za nimi wysokie murowane domy z cegły, gdzie na wyższych piętrach mieszkają ludzie, a na parterze mieszczą się rozmaite sklepy, restauracje, bary i piękne wystawy pełne wszelkich produktów. Polubiłam to miasto od razu. Tyle w nim energii, ruchu i nadziei na dobre życie, które każdy może tu sobie wypracować. Tyle udogodnień.

A rodaków spotkaliśmy dość prędko. Wyobraź sobie, że są tu jeszcze Polacy, którzy przybyli po powstaniu listopadowym, zapakowani na statek i dowiezieni przez władze austriackie! Jeden z nich stał się

naszym bliskim sąsiadem i kimś w rodzaju przewodnika w tym nowym świecie. Opowiadał, że większość przybyłych tu rodaków wyobrażała sobie, że władze amerykańskie docenią ich zryw ku wolności i przeznaczą stały fundusz na ich utrzymanie. Jeśli nawet przez chwilę byli romantycznymi bohaterami, to chwila ta szybko minęła. Wysłali delegację do burmistrza Nowego Jorku z pytaniem o swą przyszłość w tym kraju. Bardzo się jednak zawiedli, usłyszeli bowiem odpowiedź, że nie tylko Polacy, ale i wszyscy inni przybyli mogą korzystać z pełnej wolności, w tym ze swobody zarabiania na swe utrzymanie we wszelkich warsztatach, manufakturach i zakładach tego kraju, które są otwarte dla wszystkich. Dla polskiej szlachty, przyzwyczajonej żyć z pracy chłopca, było to zdumiewające; niektórzy poczuli się wręcz obrażeni. Znalazł się wśród nich i taki, który wolał zakończyć swe życie brzytwą, niż najać się do pracy! Jednak nasz sąsiad, opowiadający nam to po dziesięciu latach, zapewniał, że ci jedynie odnieśli szybki sukces, którzy w porę pozbyli się wielkopańskich przyzwyczajień i nie bali się pracy własnych rąk czy głów. Niektórzy z emigrantów, utalentowani, mogli zarabiać, ucząc rysunku, muzyki albo francuskiego czy rosyjskiego, a nawet tańca, inni pracowali w sklepach czy fabrykach albo u farmerów. Wielu ubolewało, że w ojczyźnie umieli tylko rozkazywać, a tu nie ma nikogo, kto by drżał na ich skinienie.

Dlatego my z Januarym powiedzieliśmy sobie od samego początku, że skoro zerwaliśmy więzy z dawnym życiem, to trzeba nam nauczyć się w tym kraju żyć od nowa, respektując jego zasady, żeby wykorzystać szanse, jakie on daje. Zaczęliśmy od nauki języka. Znaleźliśmy amerykańskie małżeństwo planujące podróż do Europy i uczyliśmy się wzajemnie: my ich francuskiego, oni nas angielskiego. Kiedy mogliśmy się już porozumieć, ja zaczęłam dawać lekcje francuskiego dzieciom w zamożnych domach, a January najął się do pracy w drukarni, od podstaw ucząc się tego fachu. Żyliśmy skromnie, ale byliśmy szczęśliwi z tej nagłej odmiany naszego losu, a niebawem zaczęliśmy nawet odkładać w banku oszczędności. Wkrótce zaszłam w ciążę – nasz syn miał się urodzić jako prawdziwy amerykański obywatel! Nazwaliśmy go George, na cześć Waszyngtona, ojca narodu amerykańskiego

i pierwszego prezydenta. Postanowiliśmy zamienić nędzną klitkę na domek z ogródkiem, który wynajęliśmy w dolnej części Manhattanu. Po kilku latach w tym domu urodził nam się drugi syn Tom. A kiedy January został kierownikiem w swojej drukarni, a ja dodatkowo zaczęłam robić domowe przetwory z upraw naszego ogrodu i sprzedawać je sąsiadom, było nas już stać na kupno piętrowego domu z czerwonej cegły w porządnej dzielnicy. Naszym sąsiadem jest właśnie Fred O'Brian, a jego gazetę składa i drukuje mój mąż. Szukaliśmy tylko wolności i swobodnego życia, a znaleźliśmy wygodę, dostatek, przyjaciół i nową ojczyznę.

Mamy szczęście żyć w kraju prawdziwej równości. Ta równość wszystkich obywateli, którą się tu szczycą, jest widoczna gołym okiem – gdy idziesz ulicą, widzisz jeden strój i jeden krój u wszystkich. Nie ma liberii wskazującej, kto pan, kto sługa, nie ma mundurów odróżniających urzędników czy żołnierzy od prywatnych osób. Nie stosuje się żadnych dekoracji ani oznak statusu, a kiedy jakiś polski oficer chodził po ulicach z przypiętym srebrnym krzyżem zasługi, to go spytali z ironią, czy krzyż wywiesił na sprzedaż. Mamy dwóch synków – prawdziwych amerykańskich urwisów, którzy biegają po ulicach Nowego Jorku razem z chłopakami Irlandczyków, Włochów, Francuzów, Niemców, Rosjan i innych nacji, walczących między sobą w Europie od setek lat, a tu razem budujących ten Nowy Świat. I muszę Ci wyznać, Emilio, że chociaż oczywiście kocham nasz kraj rodzinny, to jednak cieszę się bardzo, że moje dzieci urodziły się i rosną właśnie tu, gdzie ludzie wolą wspólnie budować, niż walczyć, gdzie wszyscy są równi i gdzie szanuje się każdego obywatela, nie patrząc na jego pochodzenie, narodowość czy wyznawaną religię. Wydaje mi się to dużo sprawiedliwsze niż w starej Europie, pełnej podziałów, wrogości, uprzedzeń i przesądów.

No, Kochana Emilio, muszę już kończyć, bo mój młodszy synek Tom właśnie się obudził. Napisz mi koniecznie, jak się skończyła Twoja frontowa przygoda, czy dotarliście szczęśliwie do domu. Wyobrażam sobie, jak Wasz Kemal cieszył się po Waszym powrocie! Tak bym chciała, żeby nasi chłopcy mogli się bawić wspólnie... Może to kiedyś

nastąpi, kto wie?

Tymczasem ściskam Cię serdecznie, Emilio, i czekam niecierpliwie na wieści od Ciebie.

Twoja Malwina

Odłożyłam list. Ta Malwina zaczynała mi się podobać. Może nie była rewolucjonistką, jednak jej słowa o wolności i równości wszystkich ludzi były bliskie temu, o czym kiedyś często rozmawialiśmy z Pietią.

Ameryka... Nie tak wiele o niej wiedziałam. Pamiętam, że zatrzymali się kiedyś w naszym pensjonacie amerykańscy turyści, którzy odbywali podróż po Europie swoim ogromnym statkiem. Byli dość głośni, swobodni, weseli, korzystali z pomocy swojego tłumacza. Pamiętam, że sam car zaprosił ich na spotkanie do swego pałacu w Liwadii, gdy przebywał akurat na Krymie, żeby zrobić dobre wrażenie na gościach z tak daleka. Zaczynałam być trochę ciekawa spotkania z tą Malwiną, chociaż nadal nie uśmiechała mi się wizja oglądania jej syna szczebioczącego ze swą narzeczoną.

Nalałam sobie świeżej herbaty z samowara i sięgnęłam po kolejny list.

Nowy Jork, 1857 roku

Najdroższa Emilio!

O mój Boże! Dopiero co cieszyłam się Twoim tureckim szczęściem, a tu dowiaduję się, że Twój mąż zginął! Czy państwa Europy nigdy się nie nauczą, że wojna to śmierć i że lepiej jest żyć, niż umierać? Bardzo Ci współczuję, Droga Emilio, z całego serca. Przyjmij moje szczerze kondolencje. Pomyślałam nawet, że może chciałabyś teraz, gdy zostałaś sama, przyjechać do nas, do Ameryki? Ten kraj każdemu daje szansę na nowe życie. I nie toczy wojen. Owszem, na Zachodzie walczą z Indianami, ale my tu, w Nowym Jorku, jesteśmy bezpieczni.



Chociaż widzę, że i Ty w tej dramatycznej sytuacji zdobyłaś się na odmianę swego życia. Teodozja? To brzmi jak chichot fortuny! Pensjonat nad morzem? Brzmi jak wieczne wakacje. Więc jeśli Ci będzie dobrze na Krymie, to żyj tam tak szczęśliwie, jak tylko się da, a jeśli źle – przyjeżdżaj do nas. A kto wie, może i my, gdy dzieci podrosną, wybierzemy się kiedyś na wakacje do Twego pensjonatu? Na razie chłopcy są zbyt mali na tak długą podróż, zresztą bałabym się, że by mi powpadali do oceanu po drodze.

Wiesz, Emilio, teraz, kiedy moje dzieci osiągnęły wiek szkolny, zastanawiam się często, w jakim duchu je wychowywać. Od urodzenia mówią w obu językach, bo w domu wciąż używamy polskiego, a z innymi dziećmi rozmawiają po angielsku. Chłoną amerykańskie zwyczaje jak własne. Grupa naszych emigrantów utworzyła tu Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich, przy którym jest skromna biblioteka – wypożyczam stąd polskie książki i czytam im, bo nie mogę sobie wyobrazić, by moi synowie nie znali twórczości Mickiewicza! (Co za tragiczna wiadomość, że umarł, i to tak niedaleko od Twego dawnego domu). Kto wie, choć są Amerykanami, może zechcą kiedyś wrócić do ojczyzny...

Dalej następowały długie opisy zachowania jej synów, rozwoju kariery jej męża, powodzenia jej domowych przetworów wśród pań domu w całej dzielnicy i tym podobne. Z tego i kolejnych listów, które przeczytałam, wylaniał się obraz szczęśliwego, spokojnego życia pełnej rodziny, bogacenia się i przygotowywania synów do samodzielnego życia. Wyglądało to wszystko dość idealnie. Aż do pewnego listu, w którym Malwina donosiła mamie z wyraźnym przestraczem, że jej mąż wstąpił do wojska, podziwiany przez nią kraj podzielił się bowiem nagle na dwa wrogie obozy, które rozpoczęły walkę na śmierć i życie.

Nowy Jork, 1861 roku

Kochana Emilio!

Piszę do Ciebie, ledwie mogąc utrzymać pióro, bo nie potrafię opanować wewnętrznego dygotu. Wczoraj mój mąż January opuścił dom, by wstąpić do wojska. Armia Północy ogłosiła nabór ochotników! January uznał, że skoro ten kraj przyjął nas i pozwolił żyć szczęśliwie i dostatnio przez tyle lat, to teraz ma obowiązek służenia mu w potrzebie. Błagałam go, żeby nie szedł, ale powiedział mi tylko, że nie jest tchórzem. To akurat wiem, ale wiem też, że na wojnach giną najodważniejsi. Emilio, tak się boję, żeby wojna mi go nie zabrała, tak jak Twojego męża zabrała Tobie! Cóż nam, kobietom, z legendy bohatera?

Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Cieszyłam się, że nasz kraj nie ma zewnętrznych wrogów, a tymczasem sam się podzielił na dwa wrogie obozy: Północ i Południe. Stany południowe zawiązały konfederację i postanowiły wystąpić z Unii, jakby chciały utworzyć osobny kraj. Nasz prezydent, pan Lincoln, nie mógł na to pozwolić, i wojna gotowa! W tle jest jeszcze sprawa wyzwolenia Murzynów, tych nieszczęśników, którzy muszą w niewoli pracować na plantacjach Południa, zbierając w upale bawełnę czy trzcinę cukrową. Współczuję ich losowi, chciałabym ulżyć ich doli, ale nie kosztem życia Januarego!

To nie do wiary, jak bardzo mężczyźni potrafią być zacietrzewieni i jak bardzo są skłonni do walki o swe przekonania na śmierć i życie. Nam, kobietom, pozostawiają rozdarte serca. Ten podział przebiega u nas nie tylko w poprzek kraju, ale i w poprzek wielu rodzin – znam kobiety, których mężowie służą po jednej, a bracia i kuzyni po drugiej stronie frontu. Wciąż nie tracę nadziei, że skoro dotąd siadali przy wspólnym stole na rodzinnych uroczystościach, to i teraz będą potrafili się porozumieć, zamiast do siebie strzelać...

Ale nie potrafili. Przeczytałam kilka dalszych dramatycznych wojennych doniesień. Malwina wciąż drżała o życie swojego męża, wciąż przekonywała mamę, że to się nie powinno było wydarzyć, że konfederaci popełnili straszny błąd, występując z Unii i że dawno

powinni się poddać i zaoszczędzić krajowi rozlewu krwi. Pisała też, jak trudno jej było samej wychowywać dwóch synów, jak ciężko musiała pracować, choć otrzymywała część żołdu. Wreszcie opisała w dramatycznym tonie zabójstwo prezydenta Lincolna, który opowiedział się za zniesieniem niewolnictwa. O tym akurat wiedziałam – ta wieść szybko przedostała się do Rosji i była nawet pewną inspiracją dla naszych radykalnych grup rewolucyjnych, które zaczęły organizować zamachy na cara Aleksandra II. Do tej pory jednak żaden się nie udał, a prości ludzie wierzyli, że car jest pod specjalną ochroną boskiej opatrności. Pomimo obaw Malwiny jej mąż nie zginął na tej wojnie – wrócił do domu po jej zakończeniu. Ale nie był już tym samym człowiekiem. Trapiła go „żołnierska choroba”. Jego młodszy syn obiecał wtedy mamie, że zostanie lekarzem i uleczy swojego tatę...

Wszystko, co o nich przeczytałam w wielu listach, które Malwina słała latami na Krym, nastroiło mnie trochę przychylniej do tej wizyty. Ostatecznie postanowiłam spróbować zaprzyjaźnić się z narzeczoną Toma, o ile oczywiście będzie znała francuski albo rosyjski, bo na znajomość polskiego nie liczyłam. Pomyślałam nawet, że może podaruję jej piękną rosyjską chustę, całą w kolorowe kwiaty – na pewno nie mają takich w Ameryce.

Kemal się zadomowił, nie spieszył się z powrotem do Stambułu i łatwo dał się namówić mamie na pozostanie u nas aż do ich wizyty, która miała nastąpić w maju. Wreszcie nadszedł dzień przyjazdu gości. Cały dom został wysprzątnany i udekorowany kwiatami. Kemal pomógł nam przygotować pyszne jedzenie. Z kuchni roznosiły się smakowite aromaty jagnięcej pieczeni, pieczonych pierożków, barszczu i ryb duszonych z ziołami i cytryną. W ich pokojach leżała śnieżnobiała pościel skropiona wodą o zapachu kwiatów pomarańczy, a na stolikach czekały misy świeżych owoców, czekoladki i rosyjski szampan z winnic księcia Golicyna w Sudaku.

Wyszliśmy z mamą na ich spotkanie, a Nadire została, żeby kierować pracą pensjonatu. Na czas wizyty gości miała zastępować mamę w doglądaniu wszystkiego. Nastął jeden z tych słonecznych dni, kiedy blask światła odbitego w morzu prawie oślepia, a lekki wiatr chłodzi twarz słoń, wilgotną bryzą. Port był pełen ludzi, głównie

pośredników oferujących turystom noclegi, wyżywienie i transport, samozwańcych przewodników po Krymie, a także tajniaków i granatowych żandarmów. Ogromny amerykański parowiec transatlantycki, którym przyłynęli, okazał się jednym z największych statków, jakie widziałam w życiu. Kłęby pary, którą wypuszczał z komina, przesłoniły na chwilę niebo. Wysypał się z niego kolorowy, rozbawiony tłum jankesów na wakacjach. Szukałyśmy wzrokiem naszej trójki. Bez powodzenia.

– Są! Są! – krzyknęła w końcu mama, jakby chciała obudzić umarłego, i podbiegła w kierunku trapu.

Po chwili trzymała w objęciach trochę niższą od siebie, okrągłą kobietę w fioletowej sukni, która klepała mamę po plecach i śmiała się głośno. Za nimi stał młody mężczyzna w szarym ubraniu i kapeluszu. Wyobrażałam sobie jakiegoś nieokrzesanego kowboja, ale on wyglądał skromnie i zwyczajnie. Gdy zdjął kapelusz, zobaczyłam jego kasztanowe włosy, takie jak u Malwiny. Tylko gdzie narzeczona?

Podeszłam do nich. Matki długo nie zwracały na nas najmniejszej uwagi, wciąż śmiejąc się, całując, klepiąc po plecach.

– No nareszcie!

– W ogóle się nie zmieniłaś!

– Czekałam na to tak długo!

– Chyba was stąd nie wypuszczę!

– Kochana, to już tyle lat!

Wykrzykiwały jedna przez drugą.

Patrzyliśmy na nie z uśmiechem. Wreszcie syn Malwiny chrząknął i wyciągnął do mnie rękę.

– Tom Pol. Dzień dobry. A ty to pewnie Marysia, prawda? – upewnił się spokojnym, trochę cichym głosem.

Marysia! Nikt tak do mnie nie mówił. W jego szarych oczach zobaczyłam spokój i życzliwe zainteresowanie.

– Maria Konarska, dzień dobry. – Uścisnęłam jego ciepłą, dużą dłoń. – A gdzie twoja narzeczona?

– Niestety, zachorowała na szkarlatynę przed samym wyjazdem – powiedział. – Jestem lekarzem, ale nic nie mogłem na to poradzić; poza wsadzeniem jej do łóżka. Co za ironia, prawda? Tak chciała tu

przyjechać.

Myślałam, że będzie mówił po polsku z jakimś okropnym amerykańskim akcentem, kalecząc słowa, tymczasem jego polski był czysty i całkiem poprawny.

– Słyszałam, że zostałeś lekarzem, żeby wyleczyć swojego ojca. – Przypomniałam sobie. – A to ci się udało?

– Rzeczywiście. Plany z dzieciństwa rzadko nam wychodzą. Mój ojciec zmarł niedawno. Nigdy go nie wyleczyłem.

Nasze matki wreszcie się od siebie oderwały. Obie miały roześmiane, zaróżowione twarze i błyszczące oczy; jakby ubyło im lat.

– No, kochani, poznajcie się i chodźcie do nas. Nareszcie jesteście!  
– Mama dokonała szybkiej prezentacji, wzięła Malwinę pod rękę i poszła z nią przodem.

Tom wcisnął dolarowy banknot portowemu chłopcu z wózkiem na kółkach, wskazując na ich kufry podróżne. Poszliśmy do pensjonatu, a bagaże pojechały za nami. Westchnęłam. O czym będę rozmawiać z tym jankeskim doktorkiem bez żadnej dziewczyny do towarzystwa?

## Rozdział XXX

### Tom

Gdy tylko Malwina rozgościła się w nowym domu, gdy wypoczęła po podróży, odespała zmianę czasu i włączyła się w codzienny rytm pensjonatu, Emilia poczuła się przy niej jak młoda dziewczyna. Jakąż siłę kryją w sobie przyjaźnie pierwszej młodości! Niemalże siłę powstrzymywania upływającego czasu. Pomimo srebrnych nitek we włosach, pomimo drobniutkich zmarszczek wokół oczu i ust, pomimo nieco cięższych niż dawniej sylwetek Emilia z Malwiną rozmawiały i śmiały się jak młode dziewczyny, przesiadywały godzinami na werandzie albo spacerowały nad brzegiem morza, wciąż nie mając dość swoich opowieści i wspomnień. Czasem wybuchały śmiechem, czasem ocierały łzę wierzchem dłoni, a czasem jedna gładziła drugą po policzku bez słów. W ciągu tych pierwszych dni obie przeżywały ponownie najważniejsze momenty swego życia, opisując je przyjaciółce. Wracały do najdawniejszych wspomnień: pierwszego spotkania, wspólnego życia pod surowym okiem matki Teodozji, brawurowej nocnej ucieczki z klasztoru. Przywoływały ważne chwile: spotkania z mężczyznami, narodziny dzieci, rozstania. Wspominały także swoje pierwsze doświadczenia w obcych krajach, które powoli zamieniały się w ich nowe ojczyzny. I wspominały wojny – te, w których uczestniczyli ich mężowie.

– Wiesz, Emilio, modliłam się przez wszystkie wojenne lata, by January nie zginął. I Bóg mnie wysłuchał: mój mąż odniósł wiele ran, ale przeżył – rzekła Malwina zamyślona, gdy siedzieli w piątkę na werandzie przy poobiedniej kawie. Dwie przyjaciółki i ich dorosłe dzieci. – Ale gdy wreszcie wrócił do domu, ledwie go poznałam. Odjęli mu prawą dłoń i lewą nogę nad kolaniem. Jeden pocisk roztrzaskał jego rękę, drugi kolano. Bagnet przebił mu lewy bok. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze były jego oczy: puste, obojętne, jakby wyprane z życia i z wszelkiej nadziei. A na ich dnie czaił się obłęd. I rozpacz. Wielu weteranów wróciło w podobnym stanie.

– Chyba wiem, o czym mówisz – stwierdziła Emilia, wspominając Zakira z przedpola wojny krymskiej.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię. Twój mąż nie wrócił z wojny na wpół obłąkanym kaleką, który całymi dniami siedzi przy oknie i milczy, czekając tylko na zastrzyk z morfiny! Nie jęczał z bólu i nie krzyczał po nocach. Nie wył, kiedy kolejny zastrzyk się spóźniał. – Głos Malwiny zrobił się ostry, jak gdyby do tej pory nie mogła się pogodzić z tym, że wojna tak bardzo zmieniła Januarego.

Zrobiło się cicho, gdy zamilkła. Emilia nie śmiała się odezwać. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że może być coś gorszego od śmierci męża na wojnie – jego powrót... jeśli wraca jako zupełny wrak.

– Mama nie miała łatwego życia z ojcem po jego powrocie – przerwał długie milczenie Tom. Wypił łyk kawy, nabrał powietrza i zaczął mówić cichym, spokojnym głosem: – Dopiero później zrozumiałem dlaczego. Na studiach medycznych słuchałem wykładów profesora, który służył w szpitalu po stronie Unii. Od niego wiem, że w czasie wojny lekarze masowo ordynowali żołnierzom opium, uśmierzali nim ból i lęk rannych. A nowoczesne karabiny maszynowe przynosiły potworne rany. Wirujące kule kalibru pięćdziesiąt osiem milimetrów, wystrzeliwane przez karabiny springfield, raniły dużo ciężiej niż dawne okrągłe pociski. Nowe kule deformowały się w kontakcie z ciałem, rozrywając tkanki i roztrzaskując kości. Rany głowy były najczęściej śmiertelne. Rany kończyn nierzadko oznaczały fatalne uszkodzenie kości, naczyń krwionośnych i nerwów. Często jedynym rozwiązaniem okazywała się amputacja. Przystępując do opatrywania ran, żołnierzowi najpierw serwowano alkohol, a następnie podawano tabletkę opiumową lub bezpośrednio posypywano ranę sproszkowanym opium bądź morfiną. Amputację przeżywało około trzech czwartych operowanych. Zostawali pozbawionymi rąk lub nóg kalekami. Tak jak mój ojciec. Aby uśmierzyć ból, po amputacji znów podawano im whisky i opium. Przypuszczam, że podczas leczenia znaczna część pacjentów zdążyła się uzależnić od morfiny lub opium.

Słuchając słów syna Malwiny, Emilia miała znów przed oczami krwawe sceny ze szpitala polowego w Bałakławie, które nawet teraz, po latach, niekiedy śniły jej się w nocy.

– W czasie wojny krymskiej wszystkim żołnierzom podawano laudanum, które zdawało się uśmierzać ból. Czy to coś podobnego do

opium? – zapytała.

– To praktycznie to samo – odpowiedział Tom. – Laudanum to dziesięcioprocentowy roztwór opium w alkoholu. Wciąż używa się tego w wielu dolegliwościach, ale podejrzewam, że to właśnie opium odpowiada za powszechną po wojnie „żołnierską chorobę”. Pamiętam, jak ojciec w jednej z rzadkich chwil przytomności umysłu wspominał słowa żołnierzy doświadczonych pobytem w szpitalu: „Lekarze zabijają więcej osób, niż leczą”, albo: „Nasi lekarze wiedzą tyle, ile dziesięcioletni chłopiec”.

– A jednak wiedząc to, zdecydowałeś się studiować medycynę – zauważyła Marynia. – Dlaczego?

Tom patrzył zaszepconym wzrokiem w resztki kawy w swojej filiżance.

– Choroba ojca położyła się cieniem na mojej młodości. Jako chłopiec przez cztery lata czekałem, by ojciec wrócił z wojny. A gdy był wreszcie z nami, widziałem, jak ogarnia i pochłania go „nostalgia”. Widziałem, że zastrzyki z morfiny, które ordynują ojcu lekarze, uśmierzają jego ból, ale nie leczą. Chciałem poznać nauki medyczne, żeby znaleźć dla niego skuteczniejsze lekarstwo. – Tom spojrzał na nią z pełnym zakłopotania uśmiechem, jakby chciał usprawiedliwić swoją młodzieńczą naiwność.

– Co to za nostalgia? – pytała dalej Marynia.

– Nasza medycyna tak to nazywa. Ten stan daje różne objawy: otępienie, szaleństwo, depresję, bezsenność, ale także częściowy paraliż, epilepsję czy przeszywające bóle serca. Masowo chorują na to weterani wojenni.

– Czy twój ojciec opowiadał wam o tym, co widział w czasie wojny? – zapytała Emilia.

– Prawie nie, chociaż pytaliśmy – odparł Tom.

– Wielokrotnie błagałam go, żeby mi opowiedział, co przeżył – dodała Malwina. – Wierzyłam, że to go uzdrowi. Ale on milczał, machał ręką albo odwracał wzrok. Cierpiałam, bo wcześniej mówiliśmy sobie wszystko. Potem zrozumiałam, że na wojnie dzieją się takie okropności, tyle tam męki, bólu, strachu i śmierci, że człowiek, który tego doświadczył, jest tym naznaczony na zawsze. I nie chce tego przetrzącać



na barki bliskich. Zwłaszcza że oni i tak nie są w stanie tego pojąć. Dlatego patrzyłam bezradnie, jak mój January zapada się w sobie i w swoim świecie złożonym z cierpienia, złych wspomnień i narkotykowego snu. I choć wiem, jak okropnie to brzmi, muszę przyznać, że jego śmierć była dla nas wszystkich wybawieniem, a najbardziej dla niego samego. – Malwina otarła ukradkiem łzę, uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko po tym wyznaniu. – Wybaczcie, że opowiadamy te okropności. To już za nami. Zaczynamy nowy rozdział, bez Januarego. Od tej cudownej podróży na Krym!

Emilia patrzyła na nią z podziwem, a nawet z rozczuleniem. Cała Malwina! Zawsze optymistka, gotowa na nową przygodę. Dołała gościom kawy i przyglądała się, jak wszyscy z apetytem jedzą gryczane bliny ze śmietaną i z miodem, które Nadire podała na deser. Potem, nie wracając już do bolesnych wydarzeń z przeszłości, poszli razem na spacer zwiedzić centralną część Teodozji. Tom zatrzymał się po drodze, by kupić na straganie parę pięknie haftowanych tatarskich trzewików dla narzeczonej.

Emilia chciała uczcić przybycie oczekiwanych gości, więc następnego dnia wieczorem wydała przyjęcie na ich cześć. Razem z Nadire ustawiły stoły w ogrodzie, a kucharka przygotowała mnóstwo przysmaków: bliny ze śmietaną i z łososiem, czeburiki z baraniną, kaszę gryczaną z grzybami, zupę rybną, pielmieni. Nie zabrakło oczywiście teodozyjskich tortów.

Zaprosiła znajomych i sąsiadów: Ajwazowskiego, doktora Strumiłowa, tatarską rodzinę i jeszcze parę osób. Agabej z Dajdżanem przynieśli w prezencie skrzynkę wina ze swojej winnicy, bo wiedzieli, że Emilia nie lubiła podawać gościom wódki. Wino pite na świeżym powietrzu szybko ożywiło nastrój i rozwiązało gościom języki, więc nad stołem fruwały szybko zdania i riposty wygłaszane po polsku, rosyjsku, francusku i angielsku. Jeden z sąsiadów przyniósł harmonię, na której grał rzewne rosyjskie melodie. Emilia i Marynia służyły czasem jako tłumaczki, ale biesiadnicy radzili sobie dobrze i byli zadowoleni z udziału w tym międzynarodowym zgromadzeniu. W pensjonacie często zatrzymywali się goście z Europy, ale Amerykanie stanowili prawdziwą rzadkość.

Kemal i Marynia usiedli razem z Irą i Dajdżanem. Szkolny francuski tatarskiego rodzeństwa pozwalał im się porozumieć z Kemalem, a gdy zabrakło im czasem słowa, ratowali się językiem arabskim, który wszyscy muzułmanie znali ze studiowania Koranu, albo rosyjskim. Dajdżan wypytywał Kemala o życie w Turcji. Wiadomość, że Marynia miała w żyłach trochę tureckiej, czyli muzułmańskiej krwi, podziałała mu na wyobraźnię. Ira siedziała milcząca i słuchała ich rozmowy.

Doktor Strumiłow znał angielski i był bardzo zainteresowany tym, jakie metody leczenia stosują amerykańscy lekarze. Usiadł więc obok Toma i niestrudzenie porównywał z nim diagnostykę i praktykę szpitalną w Rosji i w Ameryce. Tom początkowo odpowiadał życzliwie, ale wkrótce zaczął wyglądać na znużonego. Słuchał doktora jednym uchem i przyglądał się Maryni, która rozmawiała z Dajdżanem.

– Dlaczego taka ładna panna nie wyszła dotąd za mąż? – zapytał nagle Strumiłowa, biorąc go za przyjaciela rodziny.

Lekarz skrzywił twarz w ironicznym uśmiechu.

– Ten Tatar, z którym rozmawia, smalił kiedyś do niej cholewki. Ale ona wolała socjalistę!

– A gdzie ten socjalista?

– Był tam, gdzie ich miejsce: na Syberii. Ale potem wrócił i znowu zniknął. Czort go wie.

Gdy wszyscy byli już dobrze najedzeni, gdy podano lody, owoce i kawę, a ogród zaczął spowijać liliowy zmierzch, Emilia zaproponowała gościom spacer po plaży. Iwan Ajwazowski podniósł się dziarsko, podał jedno ramię Emilii, drugie Malwinie i powiodł je w kierunku morza, opowiadając o historii Teodozji i swoich znaleziskach archeologicznych, a także o muzeum starożytności, które utworzyli dawniej wspólnie z Julią, gdy jeszcze ich małżeństwo wydawało się szczęśliwe i stabilne. Emilia była mu wdzięczna – był ozdobą każdego towarzystwa, z równą swobodą odnajdywał się na cesarskim dworze i wśród zwykłych ludzi. Szli więc we trójkę przodem, a raz po raz dobiegał od nich wesoły śmiech.

Tom podniósł się szybko i wyminął Strumiłowa, mając już dosyć zawodowych dysput – przebywał przecież na wakacjach. Podszedł do

Maryni.

– Starsze pokolenie nas porzuciło, więc jesteśmy chyba skazani na siebie – powiedział do niej z uśmiechem. – Przejdiesz się ze mną nad morze?

Marynia niechętnie odwróciła się od Dajdzana, poleciała jego i Irę opiece Kemala, przeprosiła ich i wstała.

– Rzeczywiście, nie mam wyboru. Więc chodźmy – odparła z mimowolnym westchnieniem.

Wyszli na nadmorski bulwar, w sezonie zawsze pełen spacerowiczów. Szli wolno, w milczeniu.

– Moja matka nie mogła się doczekać przyjazdu. Opowiadała mi o was cały czas. Przed wyjazdem młodniała w oczach... – przerwał milczenie Tom. – Ale ty nie wyglądasz na zadowoloną. To dla ciebie kłopot?

Marynia wahała się przez chwilę.

– Tylko szczerze. Obiecuję, że jej nie powtórzę.

– Właściwie to nie kłopot, jesteśmy przyzwyczajone do gości przez cały sezon. Tylko...

– Tylko co?

– Mama chce, żebym wam przez cały miesiąc pokazywała Krym. A ja muszę malować. Jeśli moje prace będą wystarczająco dobre, mam szansę wziąć udział w następnej wystawie pieriedwiżników!

– Kogo?

– Pieriedwiżników. To rosyjscy malarze, którzy sami organizują swoje wystawy, bez pomocy państwa. Są niezależni! – W jej głosie słychać było ekscytację.

– A dlaczego państwo miałyby im organizować wystawy? Sami malują, więc sami wystawiają. Co w tym dziwnego?

Marynia popatrzyła na niego z ukosa.

– Widać, że nie znasz Rosji – skwitowała. – Tu wszystko jest pod kontrolą państwa. Albo przeciwko niemu, ale to się źle kończy. A im się udało.

– U nas, w Ameryce, jest inaczej. Państwo nie miesza się do życia obywateli, tylko wierzy, że sami o siebie zadbają. Jeśli chcesz niezależności od państwa, powinnaś przyjechać do Ameryki.

– Czy tam są dobrzy malarze? Czy ceni się sztukę?

Tom się zastanawiał.

– Na pewno bardziej ceni się zarabianie pieniędzy. Ale jak już ktoś się dorobi, to owszem, wiesz obrazki w swoim salonie.

– A jakie?

– Hm... niech pomyślę. U nas wiszą portrety Kościuszki, Mickiewicza i Waszyngtona. I jakiś obrazek z krowami na łące. A kiedy odwiedzam pacjentów w domach, to na ścianach najczęściej widzę portrety albo sceny historyczne, albo pejzaże.

– A czy Amerykanie często dyskutują o roli sztuki? O funkcjach sztuki w społeczeństwie? O tym, jakie zadania powinna spełniać? – dopytywała Marynia.

– Nie słyszałem. Ale może nie obracam się w odpowiednich kręgach. Myślę, że dla wielu ludzi podstawowym zadaniem obrazu jest to, by ładnie ozdabiał ich salon. I pasował kolorystycznie do obicia kanapy.

– Wobec tego nic tam po mnie. Dziękuję za zaproszenie, ale nie pojedę do Ameryki.

Tom popatrzył na nią w gęstniejącym zmierzchu.

– Sztuka jest dla ciebie aż tak ważna? – zapytał. – Dlaczego?

– Tak, jest najważniejsza – zapewniła go. – Miałam to szczęście, że wychowałam się u boku Ajwazowskiego, jednego z największych artystów Rosji, który zabawia właśnie nasze matki. To geniusz! To on mnie nauczył, że sztuka jest najważniejsza.

Tom szedł obok, słuchając z uwagą jej słów.

– Mógłbym zobaczyć twoje obrazy?

Marynia uwielbiała to pytanie. Nigdy jeszcze nie miała własnej wystawy ani nie uczestniczyła w zbiorowych pokazach. Wiedziała, że artysta nie istnieje bez swojej publiczności. Dlatego była szczęśliwa, gdy ktoś chciał oglądać jej prace.

– Nawet zaraz – zapewniła go i odwróciła się w pół kroku, zwracając do pensjonatu.

Tom miał chyba ochotę jeszcze pospacerować, ale też odwrócił się na pięcie i wspinał się za nią po drewnianych schodach do jej pracowni na poddaszu.

Zapaliła lampę naftową i zaczęła pokazywać swoje prace: duży obraz przedstawiający kwitnący krzew jaśminu i dwa bajecznie kolorowe motyle – pamiątka po pierwszym spotkaniu z Pietią, kilka pejzaży Teodozji z malowniczej tatarskiej dzielnicy, z kamiennymi domkami i zielonymi winnicami na wzgórzach, studia martwej natury: porozkładane na stole naczynia, owoce i kwiaty w ukośnych promieniach słońca padających z okna na poddaszu.

– Nie znam się zbyt dobrze na malarstwie – powiedział Tom, kiedy obejrzał już wszystkie płótna w migotliwym świetle lampy – ale wydaje mi się, że masz prawdziwy talent. Te obrazy są piękne i... Jak to powiedzieć? Autentyczne! Jest w nich radość życia, a przy tym wrażliwość i subtelność. Chętnie bym patrzył na taki pogodny obraz w swoim gabinecie.

Marynia aż pokraśniała z zadowolenia, chociaż w półmroku nie było tego widać. Ach, artyście nigdy dość komplementów i pochwał! W przypływie wspaniałomyślności powiedziała:

– Wobec tego wybierz sobie jeden z nich i potraktuj jako prezent ode mnie.

– Och, nie to miałem na myśli. Nie chciałem nic wyłudzić, po prostu szczerze mi się podobają.

– Tym bardziej: wybierz jeden i udekoruj swój gabinet. Będzie mi miło. Nawet jeśli wybierzesz obraz pod kolor obicia mebli. – Roześmiała się.

Kolejne tygodnie minęły szybko; gospodarze i goście odbyli kilka wspólnych wycieczek. Dajdżan służył im za przewodnika po Bakczysaraju i Starym Krymie, opowiadając o historii i tradycjach Tatarów krymskich, jak niegdyś jego ojciec. Iwan Ajwazowski zabrał ich do nowego domu księcia Golicyna, który poświęcił się uprawie winorośli w Sudaku, sprowadził najlepsze szczepy winogron z Francji i założył właśnie rozlewnię win i szampanów. Księżę Golicyn zaprosił ich do naturalnej groty, którą wynalazł w swojej posiadłości, gdzie w stałej temperaturze ośmiu stopni przechowywał zielone butelki. Schłodzony półsłodki szampan, degustowany w upalny dzień pod kamiennym sklepieniem naturalnej piwnicy, miał niezrównany, orzeźwiający smak!

Odwiedzili także Sewastopol, który wciąż jeszcze nie podniósł się po wojennych zniszczeniach, był pełen ruin i zgliszcz. Marynia zaprosiła na tę wycieczkę Iry, żeby ta nie siedziała samotnie, rozpamiętując przeszłość. Emilia ze ściśniętym sercem oprowadziła ich po Bałakławie, w której rozpoczął się krymski rozdział jej życia. Teraz Bałakława znów była maleńkim rybackim portem, ale kamienna baszta nadal górowała nad zatoką, przywołując wspomnienia.

– To tam spotykałam się z twoim ojcem – szepnęła Emilia do ucha córki, wskazując głową basztę. – Tam zaczęło się twoje życie.

I choć widok tych miejsc przywołał bolesne wspomnienia, Emilia czuła ulgę, że jej córka знаła już prawdę, że niczego nie trzeba było udawać ani ukrywać.

– A tam był szpital polowy. – Pokazała to miejsce Kemalowi. – Tam pracowałam.

Potem poszli wspólnie na sąsiednie wzgórze, na którym przed laty urządzono cmentarz. W zbiorowych mogiłach grzebano tu ciała zmarłych. Pośród tysięcy anonimowych ciał leżał też Zakir. Jak bardzo brakowało go teraz wśród nich... Stali w zadumie nad przysypanymi ziemią i kamieniami kośćmi poległych, jedni szeptali Wieczne odpoczywanie, inni – odpowiednie wersety z Koranu. Nagle ciszę dookoła przerwał głośny, rozdzierający szloch Iry, która ukryła twarz w dłoniach i głośno płakała. Emilia popatrzyła na swoją córkę, żeby się upewnić, czy Marynia pospieszy ukoić rozpacz przyjaciółki, ale dostrzegła, że przy niej stoi już Kemal. Patrzyła, jak jej syn wyciągnął z kieszeni batystową haftowaną chusteczkę, jak delikatnie odsunął ręce Iry, wytarł jej twarz, a potem przytulił nieszczęsną do swego potężnego ciała i zaczął leciutko gładzić po głowie, osłoniętej czarnym szalem. I widziała, jak szloch Iry uspokajał się w jego ramionach. Trwali tak dość długo. Nikt nie przerywał milczenia. Wreszcie Ira wysunęła się z objęć Kemala, spuściła wzrok i powiedziała cicho:

– Wybaczcie mi ten wybuch, przepraszam. Ale ja nawet nie wiem, gdzie jest mogiła mojego męża...

Emilia czuła łzy pod powiekami. Wzruszył ją pobyt w miejscu śmierci Zakira, los biednej Iry, ale przede wszystkim gest Kemala – pomyślała z nadzieją, że pomimo krzywd i samotności, jakich

doświadczył, jej syn jest jednak zdolny do miłości.

Zacęli schodzić do portu wąską kamienistą ścieżką. Przodem szedł Tom, podając rękę Maryni na większych stromiznach, a potem i na mniejszych, za nimi Kemal z Iżą, a na końcu dwie matki podtrzymujące się nawzajem. Młodzi wyprzedzili je znacznie.

– Piękna para z tych naszych dzieci... – powiedziała Malwina z uśmiechem.

– Naszych? – Emilia się zdziwiła, wciąż myślała bowiem o Kemal.

– No tak, Marysia tak pięknie wygląda u boku Toma i tak się uroczo rumieni, zauważyłaś?

Emilia była tak zaabsorbowana odzyskaną relacją ze swoim synem i tak wyczulona na jego nastroje i samopoczucie, że w ogóle przestała zwracać uwagę na córkę, traktując ją jak oczywisty element świata, niczym słońce i deszcz.

– Przecież Tom ma narzeczoną – przypomniała sobie. – Caroline, tak ma na imię, prawda?

– Ach, nigdy jej nie lubiłam! – oznajmiła Malwina z grymasem na twarzy. – To Szkotka, jest ruda i sucha jak wiór. Jej ojciec to pastor, zresztą wszyscy w tym domu są sztywni i ponurzy. Tom by się z nimi zamęczył, jest taki wrażliwy.

– Ale są przecież zaręczeni.

– Są. Caroline zakochała się w moim Tomie bez pamięci, a jemu to pewnie pochlebiało. Umawiał się z nią, zapraszała go do domu, aż pastor wziął go na rozmowę. Powiedział, że jeśli jest porządnym człowiekiem, to nie będzie panny zwodził, tylko poprosi o jej rękę. Och, Emilio, wiesz sama, że młodym nie zawsze łatwo się rozeznac w własnych uczuciach!

Z tego akurat Emilia zdawała sobie sprawę dość dobrze.

– Są narzeczonymi, ale mam wrażenie, że mój syn nudzi się w jej towarzystwie. Zwłaszcza teraz to widzę, gdy przy twojej Marysi jest taki ożywiony! Jaka piękna byłaby z nich para... A co się dzieje z tym jej rewolucjonistą zesłańcem? – dopytywała Malwina.

– Zwolnili go wcześniej z zesłania. Pojawił się na chwilę w Teodozji i znowu zniknął. Ale nie chciałabym, żeby Marynia wiązała z nim przyszłość. Ta rewolucyjna zaraza dotarła nawet do nas –

powiedziała Emilia i dopiero teraz, słysząc własne słowa, skojarzyła powrót Pieti z zamachem na dowódcę garnizonu. Popatrzyła rozszerzonymi oczami na widoczne w dole plecy Iry, wspartej na ramieniu Kemala.

– Więc niech się lepiej Marysia trzyma od niego z daleka – usłyszała głos Malwiny. – Oczywiście, trzeba dać młodym czas, ale znam swojego syna i widzę wyraźnie, że twoja córka zrobiła na nim wrażenie. Nie mogłabym sobie życzyć lepszej synowej! I pomyśl tylko, Emilio, jakby to było cudownie, gdyby nasze dzieci się pobrały. Miałybyśmy wtedy wspólne wnuki!

– Czy ty nie wybiegasz trochę za daleko? – Emilia studziła entuzjazm przyjaciółki. – Moja córka jeszcze niedawno uważała, że małżeństwo to przesadą, i nie zamierzała wychodzić za mąż. Chciała się poświęcić sztuce. Chyba zresztą nadal chce.

Malwina uśmiechnęła się pobłaźliwie i machnęła ręką z lekceważeniem.

– Wtedy nie znała jeszcze Toma – stwierdziła. – Czuję, że coś z tego będzie, zobaczysz!

Od czasu tej rozmowy Emilia zaczęła się uważniej przyglądać swojej córce. Dostrzegła jej błyszczące oczy i zaróżowioną w obecności Toma twarz. Zauważyła, że choć młodzi często spotykali się w piątkę, to Marynia zwykle zostawiała Iry i Dajdzana pod opieką Kemala, a sama rozmawiała z Tomem. I śmiała się coraz głośniejszymi żartami.

Jednak czas powrotu gości zbliżał się nieubłaganie, a wykupione wcześniej bilety powrotne już czekały.

Ostatniego wieczoru siedzieli na werandzie przy pożegnalnej kolacji. Promienie zachodzącego słońca wślizgiwały się pod dach, głaszcząc twarze dotykaniem ciepła. Widać już było cumujący w porcie ogromny transatlantyk, którym goście mieli odpłynąć jutro rano. Oczy Maryni przepelniał smutek.

– Nie dziwię się teraz, że w starej Europie jest tylu artystów – powiedział Tom. – Tu człowiek styka się ze sztuką na każdym kroku: greckie ruiny, rzymskie porty, bizantyjskie mozaiki, genueńskie twierdze, ruskie cerkwie i ikony, muzułmańskie meczety, tatarskie pałace... Dla nas w Ameryce to jakaś odległa przeszłość, a wy tu stąpacie



po tym na co dzień. Nie wiem, czy cała Europa przypomina Krym, ale wydaje mi się, że lepiej się żyje, gdy człowiek ma związek ze swoimi korzeniami, gdy widzi, skąd się wywodzi. U nas przeszłość jakby nie istniała, wszyscy robią tylko plany na przyszłość. Chyba bardziej odpowiadałoby mi życie w Europie.

– Tom zawsze był marzycielem – orzekła Malwina, patrząc na syna z czułością, jakby wciąż był małym chłopcem. – Zupełnie inaczej niż George. Mój starszy syn to urodzony jankes, z żyłką do biznesu.

– Jeśli chcesz odnaleźć swoje korzenie, powinieneś pojechać do Wilna. – Emilia zwróciła się do Toma. – Marynia też powinna. Nie sądzisz, Malwino, że byłoby cudownie odwiedzić kiedyś Wilno?

– Ach, Wilno! – Malwina się rozmarzyła. – Kiedyś uważałam się za Amerykankę, jednak teraz to Wilno śni mi się częściej niż Nowy Jork. Ale mówiąc o Nowym Jorku... Musicie koniecznie nas odwiedzić w Ameryce. Szkoda byłoby takiej pięknej znajomości...

Następnego ranka trzeba się było pożegnać. Goście, pełni wrażeń i zachwyty, wypoczęci, odprężeni, obładowani pamiątkami i podarunkami, stanęli na pokładzie swojego statku i machali stamtąd Emilii i Maryni żegnającym ich w porcie. Obiecali pisać. Zapraszali do siebie. Powiedzieli, że to była ich najdalsza i najpiękniejsza podróż, że nigdy jej nie zapomną.

Gdy statek z buczeniem syren zaczął się oddalać od portu, Emilia westchnęła z głębi serca.

– Dobry czas płynie tak szybko! Dużo bym dała za to, by mieć ją bliżej siebie.

– Chciałabyś się wybrać do Ameryki? – zapytała Marynia, a Emilii wydawało się, że jej głos był pełen nadziei.

– Nie mogłabym zostawić pensjonatu na tak długo – odpowiedziała. – Zresztą Ameryka mnie nie pociąga, moje życie jest tu. Ale Malwina jest dla mnie jak siostra. A siostra powinna być bliżej niż za oceanem.

## Rozdział XXXI

### Impresjoniści z Paryża

Po wyjeździe Toma i Malwiny nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Kemal wciąż był z nami. Nie spieszył się wcale z powrotem do Sztambułu, ale choć bardzo się cieszyłam, że mieszka pod naszym dachem, nie był w stanie wypełnić pustki po nich. Zresztą najchętniej odwiedzał tatarską dzielnicę. Ira przy nim wreszcie zaczęła się trochę uśmiechać. Byłam mu wdzięczna za to, że potrafił nieco uśmierzyć jej ból po stracie Marinki i Karima.

Za to ja tęskniłam za Tomem. Początkowo traktowałam wizytę naszych jankesów jak nowy męczący obowiązek, ale z czasem sprawiała mi coraz większą przyjemność. Amerykańskie spojrzenie gości na świat było nowe i odświeżające, ich swoboda i życzliwość dla nas ujmujące, a rozmowy z Tomem naprawdę ciekawe. Złapałam się na tym, że zaczęłam go porównywać z Pietią. Może nie miał aż takiej pewności siebie jak Pietia, ale był w nim większy spokój, można było poczuć się przy nim bezpieczniej niż przy tamtym szalonym rewolucjonście. Poza tym był Polakiem – rozmawiałam z nim po polsku, tak jak z mamą, co sprawiało dziwne wrażenie, jakby należał do naszej rodziny. Ale chyba najważniejsze było dla mnie to, że o ile Pietia był gotowy odbierać niewinnym ludziom życie w imię swoich przekonań, o tyle Tom chciał je ratować i z tego uczynił swój zawód. Jego postrzeganie życia jako cennego daru, który trzeba chronić i ratować, było mi znacznie bliższe od wizji Pieti, że to jedynie wiór rewolucji. No a przy tym naprawdę dobrze czułam się w jego obecności i wspólnie spędzony czas upłynął nam szybko i przyjemnie. Tylko ta narzeczona! Czyżbym była trochę zazdrosna?

Myśląc często o Tomie, odłożyłam na jakiś czas swój cykl o kobietach Krymu. Gdy tylko stawałam przy sztalugach, widziałam przed sobą jego twarz i uśmiechnięte szare oczy. Nie padły żadne wzajemne deklaracje, niczego sobie nie obiecywaliśmy, niczego nie planowaliśmy. Ale gdy odjechał, brakowało mi jego towarzystwa. Zaczęłam malować z pamięci portret Toma. Niezbyt dobrze mi wychodził. Potrzebowałam żywego modela.

Trwałam w tym dziwnym stanie przez parę miesięcy, aż przyszedł list. Od Toma. Pobiegłam szybko na poddasze i pospiesznie rozerwałam kopertę. Przebiegłam oczami równe linijki zapisane granatowym atramentem.

Nowy Jork, 1878 roku

Marysiu!

Moja matka z pewnością napisała już do Was list z podziękowaniami za Waszą gościnę i za ten miesiąc, który spędziliśmy u Was na Krymie. Ale ja także muszę napisać. Od siebie.

Gdy wróciłem do Nowego Jorku, brakowało mi słońca i urody Krymu. Trudno mi było znaleźć sobie miejsce. To miasto wiecznie się spieszy, a u Was czas płynie tak spokojnie.

Moja narzeczona wyzdrowiała, ucieszyła się z prezentów i żałuje bardzo, że jej z nami nie było. Ale czy ja żałuję? Spędziłem u Was wspaniały czas i w ogóle o niej nie myślałem.

Moja narzeczona jest miłą dziewczyną, nawet ładną, ale nigdy nie czułem z nią takiej bliskości i takiego porozumienia jak z Tobą. Po powrocie uświadomiłem sobie, że nie chcę spędzić życia z kobietą, która nie mówi po polsku i nawet nie wie, kim był Mickiewicz. Zrozumiałem, że ja także chciałbym mieć polski dom, tak jak moi rodzice.

Powiesiłem Twój obraz w swoim gabinecie i patrzę na niego co dzień. Ten z białymi liliami w glinianym dzbanie. Jest bardzo ładny, ale wolałbym widzieć tu Ciebie zamiast tych lilii. I to nie na obrazie. Nie mogę o Tobie zapomnieć. Już dawno z nikim nie czułem się tak dobrze jak z Tobą. Co to znaczy? Wciąż siebie pytam i szukam odpowiedzi.

Myślałem, że to chwilowe zauroczenie, które zaraz minie, gdy powrócę do dawnego życia. Ale wciąż chodzę ulicami Nowego Jorku,

przyjmuję pacjentów, a za każdym razem, kiedy ktoś puka do drzwi mojego gabinetu, mam nadzieję, że ujrzę w nich Ciebie. Choć wiem, że to przecież niemożliwe.

Mój ojciec, żeby być z moją matką, wrócił pieszo z Syberii, o mało nie ginąc po drodze z głodu, więc czymże jest przy tym odległość oceanu, którą można wygodnie przebyć statkiem?

Dlatego postanowiłem: zamykam swój gabinet, pakuję się i wracam na Krym. Przygotuj mi, proszę, ten sam pokój w Waszym pensjonacie. Chcę Cię zobaczyć jeszcze raz. Muszę się przekonać, czy to tylko zadurzenie, któremu sprzyja odpoczynek i egzotyczna podróż, czy też przeznaczenie mówiące mi w snach, że to Ty będziesz kobietą mojego życia.

Tom

Czytałam ten list raz za razem. Tak! Więc on też myślał o mnie. Poczułam taki przypływ radości, że zbiegłam po schodach, uściskałam Nadire, którą spotkałam po drodze, i wybiegłam z domu w kierunku portu, jakby Tom miał przypłynąć już w kwadrans po przysłaniu listu.

Usiadłam na plaży, zapatrzyłam się w morze i zatopiłam w marzeniach. Jeszcze niedawno myślałam, że czeka mnie wieczna samotność, bez Pieti, bez studiów malarskich, wypełniona jedynie malowaniem obrazów i prowadzeniem pensjonatu. A teraz, kto wie, może przyszłość szykuje dla mnie nieco więcej barw?

W kolejnych dniach odłożyłam malowanie i pomagałam mamie w prowadzeniu pensjonatu. W tym okresie Krym przeżywał prawdziwy najazd turystów, a my miałyśmy najwięcej pracy. Moja mama była coraz starsza i choć radziła sobie świetnie, czułam, że nadchodzi czas, kiedy powinnam powoli zacząć przejmować odpowiedzialność za to źródło naszego utrzymania.

Tego dnia do portu w Teodozji miał przybić parowiec wycieczkowy z Marsylii. Pomimo że od zakończenia wojny krymskiej

minęło już ponad dwadzieścia lat, wyobraźnia Europejczyków wciąż jeszcze pobudzona była doniesieniami z frontu, dramatycznymi listami przysyłanymi przez krewnych i przyjaciół z okopów i barwnymi relacjami oficerów, którym udało się wrócić. Zresztą ostatnia wojna rosyjsko-turecka przypomniała europejskiej publiczności tę poprzednią. Krym kusił i pociągał egzotyką tych, którzy nie odważyliby się zapuścić dalej na wschód. Dawał poczucie względnego bezpieczeństwa ostrożnym turystom, widzącym w nim egzotyczną prowincję choć na poły europejskiego państwa. A dla prawdziwych podróżników, którzy nie lękali się snu pod namiotem Beduinów albo i pod gwiazdami na piaskach pustyni, Krym był obowiązkowym przystankiem w podróży, ostatnim bastionem Europy przed półdzikimi stepami Azji czy pustyniami Afryki. Dość, że regularne rejsy z Marsylii przywoziły dziesiątki podróżnych, którzy wylegali w naszym porcie. Dla nich właśnie pensjonat U Emilii otwierał swe podwoje. Z myślą o nich wymalowałam piękny szyld, na którym widniały szeroka plaża, błękitne morze z żaglowcem na horyzoncie i muszlami na brzegu. Na spokojnej tafli wody kołysał się napis: „Serdecznie zapraszamy” w czterech językach: po rosyjsku, po francusku, po polsku i po turecku. Mama była nim zachwycona i uważała, że żaden z pensjonatów w okolicy nie miał tak pięknego szyldu. I nie zdarzało się, aby z grupy podróżnych ciągnących do miasta z portu nikt się nie zatrzymał i do nas nie zajrzał.

Również tego dnia nie musiałyśmy długo czekać.

– Dzień dobry. Czy dostaniemy tu dwa pokoje? – zapytał po francusku młodzieńczy głos dobiegający z ulicy.

Stałam na werandzie i układałam na srebrnej paterze świeżo upieczone rogaliki z marmoladą. Spojrzałam na ulicę. Parę metrów dalej w pełnym słońcu stali dwaj młodzi Francuzi w kraciastych strojach podróżnych i mrużyli oczy przed światłem.

– Tak, zapraszam panów. Może herbaty? Jest najlepsza na upał – odpowiedziałam.

Młodzieńcy popatrzyli na ocienioną werandę i głębokie fotele. Chłopiec portowy przystanął z wózkiem wyładowanym ich kuframi. Po chwili kazali mu je wtaszczyć do środka. Szybko rozłożyli się w pokojach i wrócili na obiecaną herbatę. Wskazałam im miejsca przy

okrągłym stoliku po lewej stronie, z widokiem na morze. Nalałam herbaty i na każdym spodeczku położyłam świeży rogalik.

– No popatrz, a myśmy myśleli, że jedziemy do dzikiego kraju – powiedział wyższy z nich, z fantazyjnie zawiązanym fularem pod szyją, odbierając filiżankę z moich rąk.

Nie zareagowałam – nieraz słyszałam takie komentarze z ust europejskich gości. Mój Boże, ludzie są tacy przewidywalni. Usiadłam przy innym stoliku, po prawej stronie, bliżej ogrodu. Spróbowałam rogalika i przeglądałam gazetę.

Goście rozglądali się zaintrygowani. Podziwiali widok plaży i portu. Potem oglądali wnętrze werandy z ciekawością turystów w podróży, którzy pragną zanotować w pamięci każdy szczegół, by móc ubarwiać nimi swoje opowieści. Wzrok jednego z gości padł na płótno Ajwazowskiego wiszące nad kredensem. Uwielbiałam ten obraz. Nie był dużych rozmiarów. Przedstawiał pejzaż morski oświetlony blaskiem księżyca – spokojna tafla wody lśniła złotomiedzianymi błyskami, a stroma skała z samotnym cyprysem schodziła ostro do morza. Woda była czarnozielonkawa, skała szarosina, ale światło księżyca nadawało wszystkiemu ciepłą, pomarańczowozłotą poświatę. Wydawało się, że pod tym opiekuńczym światłem nic złego nie może spotkać ani mieszkańca przedstawionej krainy, ani oglądającego obraz.

Przypomniałam sobie, jak będąc kiedyś w pracowni mojego mistrza, stałam długo w zachwycie przed tym obrazem.

– Podoba ci się? – zapytał łagodnym głosem, wycierając pędzle po skończonej pracy.

– Bardzo. Chciałabym się tam przenieść – odpowiedziałam.

– Jesteś tam. To przecież Krym – rzekł rozbawiony.

– Ale piękniejszy.

– Więc weź go. Jest twój – oznajmił z uśmiechem, zdejmując obraz ze ściany.

Uścisnęłam go uszczęśliwiona. Nie znałam swojego ojca, ale w takich chwilach to wujek Iwan był dla mnie jak ojciec.

Młody Francuz podszedł do kredensu i przyglądał się obrazowi.

– Widać wprawna rękę – powiedział. – Ale to stara szkoła, w Paryżu już się tak nie maluje.

Zirytowała mnie ta uwaga.

– Bo w Paryżu nie potrafią tak malować. Nikt w Europie nie umie namalować wody tak jak Ajwazowski – oznajmiłam dobitnie.

Francuz popatrzył na mnie z rozbawieniem.

– Nie o to chodzi. To stara maniera. To bardzo ładne, romantyczne, ale stare. W Paryżu teraz maluje się inaczej.

Irytował mnie jego zarozumiały ton, ale ciekawość zwyciężyła.

– Czyli jak? – zapytałam.

– Pani interesuje się malarstwem?

– Tak, sama trochę maluję...

– Doprawdy? Więc koniecznie musi pani pojechać do Paryża.

Przed wyjazdem widziałem ostatnią wystawę impresjonistów. Coś niebywałego! To prawdziwy przełom w sztuce. Oni malują zupełnie inaczej.

Mój Boże, Paryż!... Dałabym wszystko, żeby móc pojechać do Paryża i zobaczyć na własne oczy, na czym polega ten przełom w sztuce. Dotąd uważałam za przełom malarstwo pieriedwiżników, którzy wprowadzili tematy narodowe i realistyczne. Ale zdaje się, że Francuzom chodziło raczej o technikę, nie o tematy.

– Inaczej, czyli jak? – pytałam niecierpliwie.

– Oni... – Francuz zatrzymał się na chwilę, szukając w natchnieniu odpowiedniego słowa. – Oni wlewają światło do obrazu! Ich płótna są lekkie, świetliste, jakby chcieli zatrzymać ulotną chwilę. Te obrazy są jak szkice, które chwytają w locie umykające sekundy.

– Wlewają światło? To Ajwazowski jest mistrzem światła. Widział pan kiedyś taką poświęcę na morzu u innego malarza?

– To zupełnie co innego. On maluje jak romantyk. Pięknie i dobrze technicznie. Ale oni są nowocześni!

Dobrze pamiętałam prześmiewcze uwagi Kramskoja o impresjonistach. Kpił z nich, jakby byli zupełnie niepoważnymi dyletantami. Oglądał ich obrazy w Paryżu i miał dla nich tylko pogardę. Słuchałam tego od kilku lat. Początkowo przyjmowałam jego punkt widzenia, ale z czasem rosła legenda impresjonistów, która docierała także do Rosji, zaczynała mnie intrygować.

Od tej chwili miałam nowe marzenie. Pragnęłam pojechać do

Paryża, zobaczyć malarstwo impresjonistów i przekonać się sama o jego wartości. A kto wie, może nawet spróbować malować tak jak oni.  
Nowocześnie.



## Rozdział XXXII

### Niepokoje matki

Emilia przyglądała się swojej córce z pewnym niepokojem. W jej wieku od dawna była żoną Zakira i wkrótce miała zostać matką. Wprawdzie Marynia swoje pierwsze doświadczenie miłosne miała już od lat za sobą, ale to wcale nie zmniejszało niepokoju jej matki. Przeciwnie, od nieszczęsnego aresztowania Pieti Emilia martwiła się o sercową przyszłość córki. Ten socjalista, którego pamiętała, jak biegał po plaży w krótkich majtkach, wcale jej się nie podobał. Czuła już dawno, że jego entuzjazm dla rewolucji może się okazać zgubny. Teraz, gdy zaczęła go podejrzewać o jakiś związek z zamachem, cieszyła się, że znowu zniknął z życia jej córki. Miała nadzieję, że na zawsze. Jednak Emilię martwiło, że od tylu lat nie pojawił się nikt, by zająć jego miejsce. Nie chodziło nawet o brak kandydatów. Przez ich pensjonat przewijało się wielu gości, wśród których zdarzali się młodzi, wolni i interesujący mężczyźni, o odpowiednim obyciu oraz majątku. Ale Marynia pozostawała głucha i obojętna na ich zaloty. Emilia obawiała się, że takie podejście może się skończyć dla jej córki staropanieństwem. Tom był pierwszym mężczyzną, na którego Marynia zwróciła uwagę od czasu fascynacji Pietią. Cóż z tego, skoro zaraz odpłynął za ocean. Emilia z westchnieniem uznała, że radosne bajania Malwiny o wspólnych wnukach były jedynie mrzonką.

Któregoś dnia przy obiedzie Marynia oznajmiła:

– Mamo, chciałabym pojechać do Paryża, żeby obejrzeć obrazy impresjonistów. Podobno malują nowoczesnie. Chcę to zobaczyć.

– Do Paryża? Sama? Nie ma mowy! – sprzeciwiła się Emilia.

– Mamo, przecież byłaś młodsza, kiedy pojechałaś do Stambułu. Sama – przypomniała jej córka takim tonem, jakby tłumaczyła rzecz oczywistą mało rozbudowanemu dziecku.

„Tak, i o mało co nie wyszłam za mąż za lorda Williama, gwałciciela małych dziewczynek” – pomyślała Emilia w duchu.

– Ja byłam w innej sytuacji. Nie miałam rodziców. Musiałam...

– Ja też muszę! Chcę zostać malarką. Czy możesz to wreszcie zaakceptować?

– Ależ akceptuję to. Dobrze, bądź malarką. Ale nie możesz jechać sama do Paryża. Może gdy wyjdiesz za męż...

Marynia wzniosła oczy do nieba.

Gdy Iwan Ajwazowski wstąpił do niej na herbatę w czasie swego popołudniowego spaceru, Emilia podzieliła się z nim obawami o córkę. Mówiła o jej samotności i o jej pragnieniu wyjazdu do Paryża. Malarz słuchał uważnie.

– Doskonale ją rozumiem – powiedział. – Ja także pragnąłem w młodości zobaczyć zachodnią sztukę. Myślę, że powinnaś jej pozwolić tam jechać. Jest już dorosła.

– Iwanie, ale przecież nie mogę puścić jej samej! To nie wypada...

– Zapewniam cię, droga Emilio, że w Paryżu uchodzi więcej niż u nas. Nikomu nic do tego. A jeśli tak bardzo troszczysz się o jej cnotę i o jej reputację, to ta troska jest nieco spóźniona, przyznasz... I tak Masza prowadzi się wzorowo od nieszczęsnego incydentu z tym socjalistą. To już tyle lat! Ale jeśli tak dalej pójdzie, to nigdy nie doczekasz się wnuków. A ona zwiędnie wkrótce jako stara panna.

Emilia westchnęła.

– Może masz rację, Iwanie. Jak zawsze w jej sprawach.

– Zresztą jeśli tak się o nią niepokoisz, to mogłaby jechać z Nadire. Albo nawet ze mną, jeśli znów mnie zaproszą z wystawą.

– Och, to by było najlepsze. Wtedy bym się o nią nie bała. Ale powiedz mi, Iwanie, czy ona rzeczywiście ma talent malarski, czy to tylko mrzonki?

– Hm... ma dobrą technikę, bo maluje od dziecka. Ma wrażliwość, dzięki której dostrzega niuanse. Ma wyczucie koloru. Jej osobowość ciągle się kształtuje. Ale ma to, co najważniejsze: pasję i miłość do piękna. Może malować obrazy, które będą się podobać. Niech to robi, bo nie ma lepszego życia niż życie twórcze, pełne pracy, którą się kocha.

– W zasadzie zgadzam się z tobą, ale jednak się o nią niepokoję. Wciąż sobie wyrzucam, że nie dopilnowałam jej wtedy, przed laty.

– Rozumiem. Niewiele mogłaś zrobić. Ale nie możesz jej wciąż chronić przed życiem. Niech zobaczy trochę świata, niech sobie kupi najmodniejszy kapelusz, niech pospaceruje bulwarami nad Sekwaną. Będzie to wspominać do końca swoich dni.

– Iwanie, jak ty dobrze rozumiesz młode kobiety! Twoje córki mają prawdziwe szczęście.

Iwan machnął ręką. Zamyślił się smutno.

– Moje córki nie chcą wcale z tego szczęścia korzystać. Matka przekabaciła je na swoją stronę i nauczyła gardzić tym, co ormiańskie. Mają mnie wszystkie za prowincjusza. Wolałyby mieszkać w Petersburgu, tym zimnym mieście na bagnach, gdzie wiatr hula ulicami przez cały rok, a światło jest szare.

We wrzeźniu przyjechał Tom.

Sam.

To Emilię trochę zdziwiło, bo miała nadzieję zobaczyć się znowu z Malwiną. Tom oznajmił od progu, że wziął w szpitalu urlop bezterminowy, zamknął gabinet do odwołania i przyjechał na Krym zastanowić się nad swoim życiem. Każdy gość był w pensjonacie mile widziany, ale od syna Malwiny Emilia absolutnie nie chciała brać pieniędzy, ani za nocleg, ani za wyżywienie, pomimo jego nalegań. Tom zamieszkał więc w pokoju z balkonem wychodzącym na morze na prawach półdomownika. Po sąsiedzku z Kemalem.

Któregoś wieczoru przy wspólnej kolacji powrócił temat wyjazdu Maryni do Paryża.

Emilia kolejny raz upierała się, że nie puści jej samej, a Marynia powtarzała, że koniecznie musi obejrzeć płótna impresjonistów, bo bez tego nigdy nie będzie malować nowocześnie.

– Chcesz, żeby moje malarstwo było wsteczne, żebyś trzymała się przestarzałej konwencji? – pytała z irytacją w głosie. – Nie rozumiesz, że to Paryż jest stolicą sztuki i każdy malarz po prostu musi tam pojechać?

– Rozumiem. Ale nie zgadzam się, żebyś pojechała tam sama. Może kiedyś Iwan Ajwazowski będzie miał wystawę w Paryżu i będzie mógł zabrać cię ze sobą. Wtedy byłabym spokojna.

– Wiesz dobrze, że miał tam wystawę w zeszłym roku. Nie zaproszą go znowu tak prędko.

Tom przysłuchiwał im się przez chwilę. A potem jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Paryż? Zawsze marzyłem, żeby zobaczyć Paryż. Bardzo chętnie tam pojadę i zaopiekuję się Marysią jak... siostrą – oznajmił z radosnym

błyskiem w oku.

– Och, Tom, mój drogi... To bardzo uprzejmie z twojej strony – powiedziała Emilia zaskoczona – ale nie chciałabym, żebyś się fatygował. To nie jest tak, że cały świat musi spełniać kaprysy mojej córki. Do Paryża jest stąd kawał drogi. A ty masz przecież własne plany.

Emilia dostrzegła w oczach córki radość i nadzieję.

– Kawał drogi? Kochana ciociu, co to za odległość?!

Emilię rozczułało to, że Tom po przyjeździe zaczął do niej mówić „ciociu”.

– To znacznie bliżej niż z Nowego Jorku do Kalifornii! Dla mnie Paryż to kwintesencja starej Europy. Nie przepuszczę takiej okazji. Jedziemy! Zapewniam ciocię, że przy mnie Marysia włos z głowy nie spadnie.

– Widzisz, mamó, mogę jechać z Tomem. Przecież nie będziesz miała nic przeciw towarzystwu syna swojej przyjaciółki. – Marynia natychmiast podchwyciła ten pomysł.

– Dzieci, to nie jest takie proste. Trzeba mieć paszport, uzasadnienie wyjazdu...

– Obywatele amerykańscy podróżują po świecie bez przeszkód. A gdyby Marysia miała problemy z otrzymaniem paszportu, to... mogę powiedzieć, że będę prowadził w Paryżu badania i zatrudniam ją jako swoją tłumaczkę – wymyślił Tom na poczekaniu.

Emilia jeszcze przez chwilę wynajdywała przeszkody, ale zaraz w głębi duszy podjęła decyzję: pozwoli Maryni jechać do Paryża z Tomem. Może jej przyjaciel Iwan Ajwazowski miał rację, że lepiej pozwolić jej zakosztować świata i nowych wrażeń, niż czekać, aż zwiędnie w staropanieństwie. Uśmiechnęła się do siebie w duchu i nawet przez chwilę pozazdrościła córce perspektywy takiej podróży.

## Rozdział XXXIII

### Paryż!

Cóż to za wygoda mieszkać w mieście portowym! A do tego tak blisko portu jak my. Dawniej w ogóle z niego nie korzystałam, a teraz poczułam się tu jak kobieta prawdziwie światowa: rejs do Sztambułu, goście z Nowego Jorku, a dziś (nareszcie!) – podróż do Paryża. Mama w końcu dała się przekonać. A właściwie przekonał ją, jak zawsze niezawodny, wujek Iwan. Powiedział, że jeśli mam się stać nowoczesną malarką, to muszę koniecznie zobaczyć francuskich impresjonistów. Do tego podarował mi trzysta rubli na drogę, dał adresy najważniejszych galerii i kontakty do znajomych marszandów. Kochany wujek! Polecił mi także, żebym koniecznie odwiedziła pracownię Renoira, którego poznał osobiście w czasie zeszłorocznej podróży. Rozmawiał z nim i cenił go najbardziej z całego nowego nurtu.

List Toma, który czytałam tak często, że nauczyłam się go już na pamięć, dodawał tej podróży nowego, ekscytującego wymiaru – oto mieliśmy pojechać wspólnie i przekonać się, czy nasze krymskie zauroczenie sobą nawzajem przetrwa próbę czasu, czy też rozwieje się i pozostaniemy w swoich światach rozdzielonych zimnym oceanem.

Wciąż wspominałam czasem Pietię. A właściwie zastanawiałam się nad swoim związkiem z nim. I dochodziłam do wniosku, że nasze drogi rozeszły się chyba jeszcze, zanim wrócił z Syberii i tym głupim zamachem wszystko zniszczył. Bo nawet podczas swojego zesłania Pietia stawał się dla mnie coraz bardziej wyblakłym wspomnieniem. Niby czekałam na jego powrót, zgodnie z postanowieniem sprzed lat, ale bywały takie miesiące, gdy w ogóle o nim nie myślałam. A może nawet takie lata? Świadomość, że kiedyś wróci i wtedy będziemy żyć razem, blokowała we mnie tylko wszelkie zainteresowanie innymi mężczyznami. A teraz, gdy ostatecznie wyrzuciłam go z serca, wolne miejsce zajął w nim Tom. Natychmiast. Gdy wrócił do nas z Ameryki, witałam go tak, jakby był naszym krewnym od dawna należącym do rodziny, choć przecież przebywaliśmy razem ledwie miesiąc. Ale przez ten miesiąc odżyłam, znowu poczułam radość i przypomniałam sobie, że przecież jestem młodą, atrakcyjną kobietą. I wciąż tak się czułam.

– Dzięki tobie stałem się prawdziwym obieżyświatem – odezwał się Tom, gdy po rozlokowaniu w kabinach spotkaliśmy się na górnym pokładzie. Patrzyliśmy, jak wzgórza Teodozji nikną na linii horyzontu. – Wcześniej prawie nie wystawiałem nosa poza Nowy Jork. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że podróżowanie po świecie jest o tyle ciekawsze od oglądania zakatarzonych dzieciaków.

Stałam zamyślona, oparta o burtę. Myślałam o Kemal, który wyznał mi, żegnając się przed naszą podróżą, że chciałby się zaopiekować Irą. Jej historia była pełna paradoksów: córeczkę o rosyjskim imieniu zabił Rosjanin, tatarski mąż zginął w Turcji z tureckiej ręki, a teraz inny Turek chciał się nią opiekować.

– Wyglądasz na nieobecną duchem. Tworzysz nowy obraz w wyobraźni? Chcesz namalować morze lepiej od Ajwazowskiego? – zażartował Tom, opierając się o burtę obok mnie.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Nie. Myślę o moim bracie.

– Kemal... Lubię go. Chociaż to zabawne, że twój brat jest Turkiem. Ale robi postępy w przypominaniu sobie polskiego.

– Jest zupełnie inny niż ja. Ale bardzo się cieszę, że udało nam się spotkać po latach. I że się u nas tak zadomowił.

Gdy wzgórza mojego miasta zniknęły już za horyzontem, a statek wypłynął na pełne morze, usiedliśmy z Tomem na drewnianej ławce na przodzie pokładu i patrzyliśmy pod słońce, jak nasz parowiec rozpruwa błękitną toń. Kłęby białej pary ulatywały z komina, a wiatr chłodził nam twarze i rozwiewał włosy. Wdychaliśmy tę słoną wilgoć, która unosiła się nad powierzchnią morza.

– Właściwie jesteśmy w podobnej sytuacji: twój brat jest Turkiem, a mój Amerykaninem. George zawsze różnił się ode mnie, chociaż wychowaliśmy się pod jednym dachem – mówił Tom. – Nie lubił nawet mówić po polsku, wołał angielski. Od dziecka starał się być bardziej amerykański niż prawdziwi Amerykanie. Denerwował się, że w naszym domu uroczyściej obchodzimy Boże Narodzenie niż Święto Dziękczynienia. A nawet jakby się wstydził, że akcent naszych rodziców nie był doskonały i zdradzał, że są świeżymi przybyszami. Ale Ameryka jest dla takich jak on: zdecydowanych walczyć o swoje.

– On też jest lekarzem jak ty?

– O nie. Ten zawód wymaga jednak trochę empatii. A George jest typem zdobywcy, który pnie się po szczeblach. I kocha walkę.

– Jest żołnierzem?

– Nie. Pracuje w biznesie. Ale to też walka, chociaż bez karabinów. Skończył szkołę handlową i zatrudnił się u Henry’ego Flaglera. Nasza matka jest dumna z tego, że George robi karierę w prawdziwie amerykańskim stylu! I że zarabia mnóstwo pieniędzy – powiedział Tom z przekąsem. Wyczułam, że byli na tyle różni, że ich relacje nie musiały należeć do najłatwiejszych. – Ten Flagler to jeden z największych bogaczy w naszym kraju. Typowy self-made man, jak się u nas mówi, czyli człowiek, który samemu sobie zawdzięcza swoją fortunę i pozycję. Do spółki z niejakim Rockefellerem założyli firmę Standard Oil, która stała się potentatem naszego przemysłu naftowego. Mają własną rafinerię ropy w Cleveland, ale siedziba firmy mieści się w Nowym Jorku, a Flagler ma rezydencję przy Piątej Alei, jedną z najpiękniejszych w mieście.

– Co twój brat robi dla niego? – chciałam wiedzieć.

– Prowadzi księgi rachunkowe. To znaczy sumuje te niewyobrażalne zyski z ropy. I doradza, w co je inwestować. Czyli robi to, co Amerykę interesuje najbardziej. Przynajmniej w Nowym Jorku.

Coś mnie uderzyło w jego tonie.

– Mówisz o tym z takim dystansem, jakbyś nie czuł się w pełni Amerykaninem. A przecież tam się urodziłeś – zauważyłam.

Tom popatrzył mi w oczy.

– To prawda. Ale o ile George zawsze był prawdziwym jankesem, o tyle ja zawsze czułem się Polakiem. Ciągnęło mnie do polonijnych klubów i bibliotek, lubiłem słuchać opowieści naszych emigrantów, którzy pamiętali jeszcze Polskę. Nigdy tam nie byłem, ale kiedy mama czytała mi polskie książki, a potem gdy sam je czytałem, wydawało mi się, że właśnie tam jest moje miejsce. Owszem, Ameryka to moja ojczyzna, ale gdzieś w głębi wiem, że nie do końca do niej pasuję...

„Wrażliwa dusza z niego” – pomyślałam.

Płynęliśmy z Teodozji do Marsylii w międzynarodowym towarzystwie. Choć wokół było pewnie wiele ciekawych

i sympatycznych osób, nie ciągnęło nas do zawierania nowych znajomości. Rozmawialiśmy całymi dniami o Ameryce, o Rosji, o naszych rodzinach, o byciu Polakami z dala od polskiej ziemi, o medycynie i o sztuce. Gdy po dwóch tygodniach stanęliśmy na lądzie i owiał nas ciepły wiatr Marsylii, niosący zapach kwitnącej lawendy, czułam, że zyskałam w Tomie nowego przyjaciela. Nie wiedziałam, jak potoczą się nasze losy, czy Tom uzna mnie za osobę ciekawszą od swojej dawnej narzeczonej Caroline, ale byłam pewna, że rozumiemy się i lubimy jak para dobrych przyjaciół.

Kiedy znaleźliśmy się w Marsylii, po raz kolejny w życiu błogosławiłam Nadire za to, że dzięki niej mówiłam po francusku równie biegle jak po polsku i po rosyjsku. Bez trudu dotarliśmy na dworzec i wsiedliśmy do pociągu jadącego do Paryża. Mój Boże, ta nowoczesna komunikacja jest takim cudownym wynalazkiem! Miałam poczucie, że nasz świat się zmniejszył – parowce transatlantyckie i kolej żelazna pozwalają dotrzeć szybko w dalekie zakątki świata. I pomyśleć, że moja mama opuszczała Wilno powozem konnym! Wspaniale jest żyć w tej epoce postępu – zgodziliśmy się oboje z Tomem, siedząc w wygodnym wagonie restauracyjnym pociągu mknącego na północ. Za oknami przepływały barwne pejzaże Prowansji – fioletowe plantacje lawendy przeplatały się z żółtymi polami słoneczników i srebrzysto-zielonymi gajami oliwnymi. A nad nimi – jaskrawe, lazurowe niebo. Nic dziwnego, że francuscy malarze, opatrzeni w tych krajobrazach, postawili na prymat koloru przed rysunkiem. Chłonełam te radosne barwy, a w miarę zbliżania się do Paryża rosło moje ożywienie, ciekawość i nadzieja na niezapomniany czas i prawdziwą inspirację w stolicy sztuki.

Paryż przywitał nas słoneczną pogodą późnego lata. Nagrzane mury miasta promieniowały ciepłem, ale można było znaleźć trochę chłodu w cieniu platanów. Zatrzymaliśmy się w niewielkim, uroczym pensjonacie o ścianach w kolorze bzu.

– Masz ochotę odpocząć po podróży? – zapytał Tom.

– Nie mogę się doczekać kontaktu z Paryżem! Szkoda mi czasu na odpoczywanie.

– Mnie też – zapewnił z uśmiechem, więc ledwie wniesiono na górę nasze bagaże, ledwie odświeżyliśmy się i przebraliśmy po podróży,



od razu zeszedliśmy na dół, by zanurzyć się wreszcie w tłumie wypełniającym ulice i place wymarzonego miasta.

Spacerowaliśmy z Tomem po szerokich alejach i bulwarach, rozglądając się ciekawie. O ile ja byłam urzeczona lekkością i radosną, swobodną aurą Paryża, o tyle Toma najbardziej interesowała architektura, a zwłaszcza wiek zabytkowych budowli. Stare pałace i kamienice wzniesione w stylach minionych epok, świadkowie dawnych wieków, robiły na nim wielkie wrażenie. Jak chłopiec na wakacjach interesował się wszystkim i pytał o przybliżony wiek budynków. Znałam albumy i książki poświęcone dziejom dawnej sztuki, więc bez trudu umiałam odróżnić średniowieczną katedrę od barokowego pałacu czy klasycystycznego kościoła. Opowiadałam mu więc o stylach i epokach w europejskiej sztuce.

Podobała mi się jego ciekawość. Tom był zachwycony Europą, mówił, że w Ameryce właściwie nie czuje się przeszłości, bo stare budynki są wciąż wypierane przez nowe: większe, wygodniejsze, nowocześniejsze. Uważał, że pamięć o przeszłości daje ludziom siłę, że zakorzenia ich mocniej w świecie.

Ja też doceniałam i podziwiałam paryską architekturę dawnych czasów, ale najbardziej interesowała mnie sztuka współczesna. Wiedziałam od wujka Iwana, że w Paryżu jest dzielnica artystyczna, ulubiona przez malarzy, gdzie wielu z nich mieszka, tworzy i sprzedaje swoje obrazy. Dlatego gdy wchłonęliśmy już pierwsze wrażenia i zorientowaliśmy się pobieżnie w topografii miasta, tam właśnie skierowaliśmy kroki – ku wąskim i stromym uliczkom Montmartre’u.

Wiedziałam też od wujka Iwana, który gościł tu niedawno, że w tej dzielnicy, przy ulicy Cortot, wynajmował dom Auguste Renoir, jeden z malarzy impresjonistów, zdobywający ostatnio sławę i popularność w Paryżu. Wujek Iwan kazał mi go koniecznie odwiedzić i powołać się na ich znajomość, zawartą przed rokiem. Bardzo chciałam go poznać. Wspięliśmy się więc z Tomem na szczyt wzgórza Montmartre’u, mijając po drodze parę wiatraków i liczne gospody, odnaleźliśmy adres i przez uchyloną furtkę weszliśmy do dużego, trochę dzikiego ogrodu pełnego kwitnących róż, dali i ziół. Okazało się, że dom mieści się w budynkach gospodarczych jakiejś dawnej rezydencji podmiejskiej. Malarz musiał

dostrzec nas przez okno, bo wyszedł na spotkanie energicznym krokiem – ciemnorudy, z brodą, w jasnej koszuli trzepoczącej na wietrze.

– Przepraszam za to wtargnięcie – powiedziałam. – Jestem uczennicą Iwana Ajwazowskiego, który poznał pana w ubiegłym roku. Bardzo ciekawi mnie nowoczesne malarstwo. Czy zechciałby mi pan pokazać swoje obrazy?

Może zabrzmiało to obcesowo, ale wiem dobrze, że malarze uwielbiają pokazywać swoje prace. Czy nie po to malujemy kolejne płótna, by inni mogli je podziwiać?

– Ajwazowski! Wspaniała wystawa, pamiętam. Więc przyjechaliście aż z Rosji, żeby zobaczyć moje obrazy? Jestem zaszczycony! – odparł uprzejmie, ale widziałam, że naprawdę się ucieszył. Uścisnęliśmy sobie ręce.

Cechowała go jakaś szczególna żywość: ciała, spojrzenia, gestu. Był w nieustannym ruchu, żywo reagował na każdy impuls.

– Tu mieści się pańska pracownia? – zapytałam.

Uśmiechnął się, zatoczył ręką szeroki krąg w kierunku widocznej w dole perspektywy miasta.

– Moja pracownia to cały Paryż... – odpowiedział. – Ale tak, tu trzymam swoje obrazy. Zapraszam!

Renoir poprowadził nas ścieżką ogrodową do swojego domu.

– Alino, załóż szlafrok, mamy gości! – krzyknął, przekraczając próg.

Po chwili zobaczyliśmy pulchną kobietę o rozpuszczonych włosach, która ze swobodnym uśmiechem na twarzy wiązała w tali pasek jedwabnego, szarego szlafroka.

– To moja modelka – przedstawił ją malarz.

W jasno oświetlonej pracowni stały sztalugi, a na nich – niedokończony akt, na którym Alina siedziała na krześle, a z jej miękkich ud spływało na ziemię białe prześcieradło. Dziewczyna na obrazie patrzyła gdzieś w bok, nieświadoma podglądających ją oczu, niewinna w swojej nagości. Miała długie rudawe włosy, rozpuszczone na plecach, a jej piersi przypominały dorodne owoce. Widziałam, że Tomowi trudno było oderwać oczy od sztalug.

– Napijcie się z nami wina? – spytał gospodarz, a jego modelka

wniosła na tacy bagietkę, ser i owoce. Zachowywała się naturalnie i swobodnie, zupełnie nieskrępowana tym, że obcy ludzie oglądali na portrecie jej nagie ciało.

Renoir rozlał wino do czterech kieliszków, rozdał je wszystkim i zaczął mnie oprowadzać po pracowni. Wreszcie zobaczyłam jego obrazy! Kilka z nich to portrety Aliny i innych młodych kobiet, a także dzieci. Były też pejzaże pełne kwiatów i drzew – w jednym z nich rozpoznałam ogród otaczający ten dom. Jeszcze inne stanowiły szkice do dużych kompozycji przedstawiających zabawę w parku, pod gołym niebem. Pamiętałam słowa francuskiego turysty, że impresjoniści dokonali prawdziwego przełomu w sztuce. Rzeczywiście, miałam wrażenie, że to zupełnie inne malarstwo niż znane mi dotychczas, ale na czym dokładnie polegała ta nowość? Patrzyłam na fioletowe cienie pod drzewami, przez które słońce prześwietlało swoje promienie, rzucając plamki barwnych błysków na sylwetki ludzi i wszystko wokół. Fioletowy cień? Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Materia tych obrazów była rozedrgana, prześwietlona promieniami, kontury się rozmywały. A przy tym sposób malowania był zupełnie nowy – szybkie, jakby niedbałe pociągnięcia pędzla.

– Widzisz, Marie. – Renoir zaczął mówić do mnie po imieniu, jakbym należała do wielkiej rodziny adeptów sztuki, w której nie obowiązują konwenanse. Podobało mi się to. – Wszystko opiera się na odkryciu, że silne światło odbarwia tony, a siedem promieni pryzmatycznych łączy się w jednym bezbarwnym blasku. Chcemy rozłożyć blask słoneczny na jego promienie, na jego elementy, i rozprowadzić po płótnach, odtwarzając harmonię zabarwień.

Efekt był niezwykły. Im dłużej patrzyłam na jego prace, tym bardziej podobała mi się ta technika. Najchętniej od razu wzięłabym pędzel i paletę, żeby ją wypróbować. Jego obrazy sprawiały też jakieś radosne, pogodne wrażenie, jakby chciał w nich utrwalić nie tylko ulotną scenę, ale i nastrój szczęśliwych, pięknych chwil.

Oglądaliśmy kolejne płótna, popijając wino i przegryzając bagietkę z serem. Renoir opowiadał o powszechnej na początku krytyce ich obrazów, o kpinach i szyderstwach publiczności i wielu krytyków, o tym, jak powoli, powoli ich obrazy zaczęły zdobywać popularność,

a on sam zaczął otrzymywać zamówienia na portrety kobiet i dzieci od członków paryskiej elity finansowej. Słuchałam go zafascynowana. Zarówno w jego ruchach, jak i w jego obrazach było coś tanecznego, jakby pulsowało w jakimś wewnętrznym rytmie. Ale rytm ten nie był wcale nerwowy, był żywy i porywający.

Zostaliśmy tam aż do wieczora. Ja z kolei opowiedziałam mu o rosyjskich pieriedwiżnikach. A on dał mi adresy pracowni swoich przyjaciół, innych członków grupy, żebym mogła zobaczyć także ich prace. Pożegnaliśmy się serdecznie, gdy pomarańczowa kula słońca wisiała już nisko nad miastem. „O nie, Iwanie Nikołajewiczu Kramskoju – pomyślałam, opuszczając pracownię Renoira – impresjoniści nie są żadnymi dyletantami! To wielcy malarze, od których zamierzam się uczyć!”

Ach, jakże inaczej potrafi wyglądać własny kraj widziany z oddalenia! Znałam i kochałam Rosję, była moją ojczyzną, ale nagle, widziana z roześmianego Paryża, wydała mi się ciężka, ponura i duszna od tych niekończących się dyskusji o duszy. Brzemień odpowiedzialności za sprawy wielkie, jakie nakładała na siebie rosyjska inteligencja, wydało mi się ciężarem ponad siły; wcale nie chciałam się pod nim uginać. Zachwyciło mnie to, że bez żadnego poczucia wielkiej misji można po prostu, tak jak Renoir, malować ładne kobiety spacerujące w parku albo podmiejską zabawę pełną roześmianych ludzi. I to jak malować! Kiedy zobaczyłam obrazy innych członków grupy impresjonistów, nie mogłam oderwać od nich oczu. Te rozmyte kontury, barwne plamki zlewające się w kształty dopiero w oku widza, fioletowe cienie wymieszane z punkcikami światła pod koronami drzew i słońce, słońce prześwietlające każdy plenerowy obraz – to był zupełnie inny świat. Musiałam przyznać rację tamtemu turyście – ci francuscy malarze rzeczywiście potrafili wlać światło w swoje obrazy, zupełnie inaczej niż Ajwazowski, mistrz powietrza, blasku księżycy i wody. A może te radosne płótna podobały mi się tak bardzo także dlatego, że odpowiadały klimatem naszemu nastrojowi – czuliśmy się z Tomem szczęśliwi, spacerując beztrąsko po tym pięknym mieście i odkrywając co chwila nowe jego uroki.

Ostatnio stałam się prawdziwą podróżniczką – w niedługim czasie

odwiedziłam Stambuł, Petersburg i Paryż. Każda z tych stolic była wspaniała na swój sposób, ale to Paryż urzekł mnie najbardziej. Wszystko było tu takie eleganckie! Bulwary, wystawy sklepowe, suknie kobiet, powozy. A przy tym wszystko robiło wrażenie niewymuszonej lekkości i wdzięku: młode kwiaciarki sprzedające na ulicach bukietki róż, mali gazeciarze wykrzykujący sensacyjne tytuły, piosenki śpiewane na ulicach przy dźwiękach akordeonu, nawet stada wróbli, którym starsi ludzie sypią okruchy w parkach. Lekkość, radość i przyjemność czerpana z każdej ulotnej chwili wibrowały w paryskim powietrzu, udzielając się i nam. Jakże odległy był klimat tego miejsca od ciężkiej, poważnej i zimnej aury Petersburga! W Paryżu czułam, że oddycham pełną piersią. Kawa wydawała się tu aromatyczniejsza i słodsza, a bagietki delikatniejsze i bardziej chrupiące niż w domu.

Te pierwsze dni w Paryżu uderzyły mi do głowy jak szampan księcia Golicyna. W ogromnych lustrach na wystawach cukierni widziałam swoją twarz – zaróżowioną z radości, z błyszczącymi oczami, promieniejącą poczuciem swobody i szczęścia. Petersburg mnie przygnębił, a Paryż – olśnił i oczarował. Malarstwo impresjonistów roztoczyło przede mną zupełnie nowe perspektywy. Byłam w euforii. Co za szczęście, że przyjechałam tu z Tomem, a nie z wujkiem Iwanem. Bez wątpienia cały urok Paryża można odczuć najlepiej w towarzystwie młodego, miłego mężczyzny u boku. Tom towarzyszył mi w spacerach po wąskich i stromych uliczkach Montmartre'u, po galeriach i pracowniach malarskich, po parkach, bulwarach i kawiarniach. A gdy wieczorem wracaliśmy zmęczeni i po kolacji kładłam się spać, pod powiekami miałam nie paryskie obrazy minionego dnia, ale Toma – jego uśmiech i wpatrzone we mnie mądre szare oczy, w których widziałam jego zainteresowanie i podziw. Jego pogodny uśmiech, opanowanie i skupiona na mnie uwaga sprawiały, że czułam się przy nim bezpiecznie i komfortowo. I zaczynałam marzyć o tym, by tak już zostało na zawsze.

Któregoś dnia, zmęczeni chodzeniem po mieście, usiedliśmy na ławce nad Sekwaną i patrzyliśmy, jak rzeka toczy swoje szare wody.

– Wiesz, Caroline bardzo mnie kocha – powiedział Tom, wpatrzony w przeciwległy brzeg.

Zamarłam. Wyrzuty sumienia?

– Myślałem, że powinienem to odwzajemnić. Próbowałem. Jej ojciec apelował do mojego poczucia przyzwoitości. Mieliśmy pojechać na Krym, zanim ostatecznie poproszę ją o rękę i weźmiemy ślub. Ale zachorowała, pojechałem sam, a tam ty... Zupełnie przestałem o niej myśleć. Zapomniałem, że mam narzeczoną. Czuję się przy tobie wspaniale, jak jeszcze przy nikim dotąd. Nie chciałem wracać. Ale wróciłem. Caroline była już dla mnie jak obca. Chyba nigdy jej nie kochałem. Za to przy tobie czuję, że dopiero teraz żyję naprawdę. Ocaliłaś mnie przed życiową pomyłką, moja Marie... – Tom popatrzył mi w oczy, wziął moją rękę i wolno podniósł do ust. Jego wargi na mojej skórze były jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Zadrżałam od tego dotyku. Kiedy pochylił głowę nad moją dłońią, drugą ręką pogładziłam go po kasztanowych włosach. Z czułością.

– A ty? – ciągnął. – Słyszałem od matki o jakimś Pieti. To ktoś dla ciebie ważny?

– Kiedyś tak – odparłam. – Przed laty. Dziś już nie.

– Więc może dobrze zrobiłem, przyjeżdżając znów do ciebie? – zapytał z uśmiechem. – Może czeka nas jakaś przyszłość razem? Chciałabyś tego?

– Tak! – odpowiedziałam zdecydowanie, patrząc mu w oczy.

Cóż, może Tom nie był typem takiego zdobywcy jak Pietia. Może należało trochę wyjść mu naprzeciw. Ale było warto. Kiedy pocałował mnie na ławce nad Sekwaną, a nasze wargi i języki się połączyły, poczułam taką słodycz, że byłam bliska omdlenia. Jego zapach zawrócił mi w głowie, a pocałunek obudził moje uśpione latami ciało.

Następnego dnia zwiedzaliśmy Luwr. To nagromadzenie największych obrazów świata budziło zachwyt. Kolorowe płótna zaskakiwały coraz nowymi tematami, motywami i stylami, prześcigając się kunsztem artystycznym i pięknem. Spędziliśmy tam cały dzień. Niektóre z obrazów znałam już z albumowych reprodukcji, ale wiele widziałam po raz pierwszy. W takim miejscu miałam ochotę dziękować Bogu za to, że postawił na mojej drodze Ajwazowskiego, który wprowadził mnie wcześniej w świat sztuki. Z całym szacunkiem dla wielkości dawnych mistrzów – byłam szczęśliwa, że mogłam kroczyć tą samą drogą co oni.

Kiedy pełni wrażeń dotarliśmy wieczorem do naszego pensjonatu, właściciel podarował nam do kolacji dzbanek domowego białego wina. Dobrze schłodzone, orzeźwiające, świetnie gasiło pragnienie i szybko uderzało do głowy. Zjedliśmy kruchą tartę wypełnioną leśnymi grzybami, a na deser pieczone morele z lodami. Tom milczał, ale gdy na mnie patrzył, na jego ustach błąkał się jakiś półuśmiech. Kiedy wino zaszumiało mi w głowie, przypomniałam sobie chwile spędzone przed laty z Pietią w winnicy. Wtedy też było późne lato. Słoneczne późne lato, pełne słodczych dojrzałych owoców. Czy może być lepszy czas na miłość? Smakując ciepłe morele z lodami śmietankowymi, myślałam już tylko o tym, jak by to było, gdyby na miejscu Pieti znalazł się mężczyzna, który siedzi naprzeciwko mnie. Tom musiał chyba wyczytać to z mojej twarzy, bo patrzył na mnie tak, że wiedziałam, że ten wieczór będzie inny.

To niezwykle, jak łatwo ludziom, którzy zaczynają dzielić uczucie, porozumieć się bez słów. Mowa spojrzeń i uśmiechów wystarcza. Dokończyliśmy kolację, dopiliśmy wino i poszliśmy na górę. Mieszkaliśmy w dwóch sąsiednich pokojach. Zwykle pod moimi drzwiami Tom życzył mi dobrej nocy, ja mu podawałam rękę i każde z nas znikało w swoim pokoju. Ale nie dziś. Włożyłam klucz do zamka. W pustym korytarzu wyłożonym grubym dywanem, oświetlonym nikłym płomieniem lampy naftowej Tom pochylił się nade mną i bez słowa pocałował mnie w usta. Długo i czule. Przytuliłam się do niego, zanurzyłam palce w jego włosach i poczułam, jak moje piersi prężą się pod dotykiem męskiego torsu. Jego bliskość znów zawróciła mi w głowie. Moje ciało drżało, jakby wibrowała w nim jakaś radosna melodia. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, żeby zaczerpnąć tchu, nagły impuls kazał mi przekręcić klucz w zamku i otworzyć drzwi. Wsunęliśmy się bezszelestnie do mojego pokoju.

Oczywiście, wiem, że szanująca się panna powinna zaczekać z tym do ślubu. Ale, mój Boże, nie byłam dziewicą już od lat, czy miałam ją udawać przed Tomem? Nie chodziło mi przecież o to, by go omamić i złapać na męża. W moim oddaniu Tomowi nie było żadnej kalkulacji, tylko szczere pragnienie. Moje zmysły rozbudzone przez jego ciągłą obecność i przez urok paryskiego życia domagały się zaspokojenia.

Wyłączyłam myślenie o przyszłości. Nie wiedziałam, co dalej. Podałam się urokowi tej chwili i pragnieniom mojego ciała. Teraz myślę, że ciało wie lepiej, co jest dla nas dobre.

Moja namiętność, dojrzewająca latami w ukryciu, wybuchnęła z taką siłą, że zaskoczyła chyba nas oboje. Sama nie mogłam uwierzyć, jak to się stało, że tak długo żyłam samotnie i zdawało mi się, że nie brak mi niczego.

Rano, kiedy otworzyłam oczy, słońce stało już dość wysoko. Nic dziwnego, skoro zasnęliśmy dopiero o świcie. Cudownie było poczuć okrywające mnie nagie ramię Toma, przytulonego przez sen do moich pleców. Przeciągnęłam się lekko, odetchnęłam głęboko i poczułam wtedy ten szczególny zapach. To nie była woń naszej miłosnej nocy, tylko odurzający, intensywny zapach kwiatów. Rozejrzałam się po pokoju i zobaczyłam stojący na podłodze duży wiklinowy kosz, który wypełniał ogromny bukiet białych lilii. Nie miałam pojęcia, jak Tom zdołał go tu sprowadzić. Pachniało obłądnie w całym pokoju. Odwróciłam się twarzą do niego, rozczulona tym gestem. A wtedy on popatrzył mi w oczy, pogładził mnie po policzku i powiedział:

– Kocham cię. Już to wiem. Wyjdź za mnie.



## Rozdział XXXIV

### Ormiańska żona

Iwan Konstantynowicz Ajwazowski czuł się osamotniony pomimo powszechnego szacunku i podziwu, jakie go otaczały. Największy nawet podziw nie zastąpi przecież bliskiej duszy, która swoją życzliwością i ciepłem rozjaśnia codzienność. Po siedmiu latach od złożenia pisemnej prośby do biskupa uzyskał wreszcie zgodę na rozwód ze swoją żoną. Julia od dawna mieszkała już w Odessie, zabrała też córki i zajmowała się intensywnie swatami. I chociaż Iwan wciąż posyłał im pięćset–sześćset rubli na miesięczne wydatki, właściwie przestał je widywać. Tęsknił za nimi, zwłaszcza za najmłodszą Żanną. Smutkiem napawało go szczególnie to, że Julia starała się trzymać córki jak najdalej od wszystkiego, co ormiańskie, jak gdyby razem z byłym mężem znienawidziła też jego narodowość i kulturę. A związek z własnym narodem z czasem stawał się dla Iwana coraz ważniejszy. Znalazł nawet przez swoich pobratymców szlachetnego młodzieńca, ormiańskiego kupca o nieposzlakowanej opinii i widokach na dostatnią przyszłość, z żyłką do interesów i otwartym sercem, prawdziwego Ormianina. Widział w nim idealnego męża dla ukochanej Żanny, ale Julia nie chciała nawet słyszeć o tej kandydaturze i pospieszenie zaręczyła najmłodszą córkę z rosyjskim oficerem z Petersburga. Jakby nie dość było, że powydawała już starsze córki za obcych, nawet nie Rosjan, ale cudzoziemców, którzy w każdej chwili mogli je wywieźć nie tylko do stolicy, ale i za granicę. Iwan nie widywał zatem swoich córek. Miał tylko nadzieję, że gdy urodzą dzieci, chętnie będą przyjeżdżać z jego wnukami nad morze.

Czuł się więc stary i opuszczony, zwłaszcza teraz, gdy jego ulubiona uczennica Masza pojechała do Paryża z tym młodym jankesem. Brakowało mu jej. Entuzjazm Maszy dla nauki malarstwa zawsze go rozczulał, ostatnio zaczął też dostrzegać jej szybkie postępy. Poprawny rysunek opanowała już dawno, ale dopiero teraz w jej obrazach zobaczył kształtujący się własny styl, osobowość, która dojrzewała i szukała odpowiedniego wyrazu artystycznego. Masza zaczęła odważniej operować kolorami, używać czystych, nawet jaskrawych tonów, a tym

samym jej prace kipiały młodzieńczą energią. Pejzaże wibrowały barwami kwiatów i szmaragdową zielenią łąk. Kładła farbę na płótnie z większą swobodą i lekkością niż dotąd, dzięki czemu obrazy sprawiały wrażenie uroczej nonszalancji. Iwan wiedział, że mogą się spodobać. Co więcej, po powrocie ze swej ostatniej wystawy w Paryżu zauważył, że malarstwo Maszy w dziwny sposób podąża w tym kierunku, jaki obrali francuscy impresjoniści: odejście od wyraźnego konturu, wrażenie lekkości, zabawa kolorami. Dlatego uważał, że Masza powinna zobaczyć ich płótna w Paryżu, i dlatego przekonał Emilię, by zgodziła się na ten wyjazd. Teraz siedział samotnie i trochę żałował, że nie zabrał Maszy ze sobą do Francji, gdy zaproszono go do pokazania najnowszych płócien na indywidualnej wystawie rok temu. Emilia z pewnością pozwoliłaby jej jechać. Ale jednocześnie rozumiał, że towarzystwo tego młodego Amerykanina, któremu oczy błyszczały, gdy na nią patrzył, było dla niej znacznie odpowiedniejsze. Wiedział równie dobrze jak jej matka, że czas najwyższy przerwać tę dobrowolną ascezę, zanim ciało Maszy się zestarzeje, zwiędnie i zupełnie straci ochotę do życia i do miłości. Dlatego oboje z Emilią poparli ten wyjazd, a Iwan wskazał jej kilka galerii, które koniecznie powinna odwiedzić.

Często zastanawiał się nad tym, jakie też wrażenie zrobi na niej Paryż. Przy okazji nawiedzała go uporczywa myśl, że jego własne córki prawdopodobnie nie chciałyby odwiedzić żadnej galerii w stolicy sztuki, a jedynie domy mody, kawiarnie i kabarety.

Tego ranka Iwan malował przez kilka godzin płótno dużych rozmiarów przedstawiające krajobraz „ładowy” bez nawet jednej kropli wody. Wieloletnie aluzje i jawne nawoływania pieriedwiżników do tego, by zajął się jak oni malarstwem realistycznym, nie pozostały bez echa. Od czasu do czasu porzucał ukochane morze i brał się do jakiegoś innego tematu, choć rzadko bywał zadowolony z efektu. Uważał, że jego „ładowe” tematy wychodzą zwyczajnie, wręcz przeciętnie, jedynie morze malowane z miłością dotyka czasem wymiaru geniuszu. Ale nie chcąc dawać kolegom malarzom odczuć, że traktuje ze wzdrgadą to, w co wierzą, oddawał się czasem także tematom „realistycznym”. Tak jak dziś. Stał właśnie przed dość dużym płótnem, na którym powstawał pejzaż ukraiński, z bezkresnym stepem i z tą nieszczęsną chłopską chatą,

świadcząca zdaniem niektórych krytyków o postępowych poglądach artysty. Uśmiechając się pod nosem, zastanawiał się, czy jego chata wygląda dość żałośnie, by zadowolić postępowców, ale zarazem dość sielsko i idyllicznie, by nie rozgniewać cara. Wreszcie zmęczyło go malowanie suchych traw na stepie. Wytarł starannie pędzle, odłożył je i poszedł zaczerpnąć świeżego powietrza, przesyconego wilgocią morza.

Dzień był wietrzny i pochmurny. To mu nie przeszkadzało. Nad morzem każda pogoda ma swój urok, a ta wietrzna, gdy skłębione chmury wiszą nisko nad wodą, a białe grzywy fal rozbijają się o brzeg, daje malarzowi więcej wrażeń niż ciche powietrze w bezruchu. Iwan szedł więc nadmorskim bulwarem w kierunku centrum miasta, zerkając raz po raz ku morzu, które ciemniało sinogranatowo pod niebem zasnutym wełnistymi, deszczowymi chmurami. Jak zawsze notował w pamięci to wrażenie, by potem, w zaciszu swej pracowni, uzyskać na palecie najodpowiedniejszy odcień.

Nagle dobiegł do jego uszu stłumiony szloch. Odwrócił się i zobaczył, że od strony miasta przesuwa się wolno kondukt pogrzebowy. Na przodzie szedł ormiański ksiądz, którego dobrze znał, za nim jechał zaprzężony w cztery czarne konie karawan z trumną przystrojoną kwiatami, a dalej snuł się tłum ubranych na czarno żałobników. Iwan przystanął, by się im przyjrzeć. Na początku tej procesji szła młodziutka kobieta, prawie dziecko jeszcze, młodsza od jego córek. Mogła mieć osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Jej smukła sylwetka prężyła się w podmuchach wiatru, jakby dziewczyna się bała, że wiatr ją porwie i uniesie. Czarna koronka żałobnego welonu unosiła się na boki, ukazując bladą twarz i ogromne czarne oczy, pełne smutku, ale i jakiejś szczególnej słodyczy. Gdy kondukt się zbliżył, Iwan rozpoznał w niej dziewczynę, której często przyglądał się w cerkwi. Zapatrzył się w jej oczy, chociaż ona w ogóle go nie dostrzegła. Jej ormiańska uroda i delikatność, wrażliwość wypisana na twarzy i głęboki smutek w oczach ujęły go za serce. „Trzeba mi było wziąć za żonę Ormiankę zamiast tej zimnej, nieczulej Angielki” – pomyślał znowu. Coś kazało mu przyłączyć się do konduktu.

– To córka zmarłego? – zagadnął szeptem starszą kobietę w czarnej pelerynie.

– Nie, to żona! Ledwie miesiąc po ślubie, taka młodziutka, a już wdowa, wyobraża pan sobie? Co za nieszczęście... – Pokręciła głową, jakby nie dowierzając własnym słowom.

Szli wolno w kierunku cmentarza. Iwan przypomniał sobie, jak na mszy w ormiańskiej cerkwi usłyszał ogłoszenie o śmierci i pogrzebie bogatego kupca, który pozostawił młodą żonę. To pewnie on.

Niewiele pamiętał z tego pogrzebu. Przemówienie kapłana było zapewne wzniosłe i pozostawiało w sercach słuchaczy dobre wspomnienia o zmarłym, a także myśl o własnej śmiertelności, ale w pamięci Iwana zostały jedynie wielkie smutne oczy młodej wdowy, w których drżały powstrzymywane łzy i pytania: „Jak mam dalej żyć bez niczyjej opieki?”, „Co się ze mną stanie?”, „Dlaczego moje szczęście się skończyło, zanim się na dobre zaczęło?”. Iwan postanowił, że nie pozostawi jej samej z tymi pytaniami.

Dowiedział się, gdzie mieszka. Następnego dnia poszedł tam z bukietem kwiatów i kupionym w cukierni tortem. Jej słodczy, cichy, łagodny głos i delikatność z miejsca go urzekły. Jakże się różniły od wiecznych pretensji i narzekań Julii, od jej aroganckich uwag z ostatnich lat wspólnego życia! Iwan był oczarowany, a w towarzystwie wdowy znów poczuł się jak młody mężczyzna przy pięknej kobiecie.

– Proszę wybaczyć, że przychodzę niezapowiedziany, ale nie chciałem pozwolić, by samotnie pogrążała się pani w smutku – powiedział, gdy sama otworzyła mu drzwi dużej willi, którą pozostawił jej mąż. – Czy wie pani, kim jestem?

– Chyba wszyscy w Teodozji wiedzą, kim pan jest, a już na pewno wszyscy Ormianie – odpowiedziała, zapraszając go do środka.

Jej mieszczański salonik utrzymany w miodowozłotyach odcieniach sprawiał tak przytulne wrażenie, że chciało się w nim zostać na dłużej. Na zawsze? Iwan zobaczył na ścianie portret przewiązany w rogu kirem: otyły mężczyzna z siwą brodą patrzył z obrazu pewnym siebie, władczym wzrokiem. Kochała go? Czy tylko rodzice znaleźli jej tę „dobrą partię”, by nie zaznała w życiu niedostatku? Czy zostawił jej dość pieniędzy, by miała zabezpieczoną przyszłość, czy może o spadek walczą jego dorosłe dzieci z pierwszego małżeństwa? To wszystko Iwan chciał wiedzieć, ale zamiast tego pytał ją, jak się czuje, czy pochodzi

z Teodozji, czy doszła już do siebie po tej stracie.

Tak, mieszka w Teodozji od dziecka, ma na imię Anna, jej ojciec również był kupcem, przyjacielem i partnerem handlowym zmarłego męża. Co teraz zrobi? Tego nie wie, to wszystko wydarzyło się tak szybko.

Iwan słuchał jej melodyjnego głosu i nagle poczuł z całą obezwładniającą siłą, że ta młoda kobieta mogłaby ukoić jego samotność i przynieść mu szczęście. A on jej. Czuł to samo, co wiele lat temu w petersburskim salonie, gdy młoda Julia grała rzewne melodie na fortepianie, patrząc mu w oczy – że chce poślubić tę kobietę i dzielić z nią życie. Związek z Julią z czasem przyniósł mu rozczarowanie. Oczekiwali czego innego od życia, zbyt się różnili. Ale z Anną będzie inaczej, czuł to. Wrażliwa, delikatna Ormianka, słodka i niewinna, na pewno go nie rozczaruje – był o tym przekonany. A i on dołoży starań, by była szczęśliwa i by niczego jej nie zabrakło.

Wiedział doskonale, jak niestosowne byłyby takie nagle oświadczyzny w dzień po pogrzebie pierwszego męża. Dlatego dał Annie trochę czasu na poznanie go i oswojenie się z jego towarzystwem. Odwiedzał ją codziennie. Wyciągał na przechadzki nad morzem. Wreszcie zaprosił ją do swojego domu i do pracowni. Anna była oszołomiona widokiem tylu pięknych obrazów, elegancją wytwornego salonu, przestrzenią domu. Patrzyła na niego z niekłamanym podziwem w oczach, jak na niespodziewanego dobroczyńcę, który pojawił się w jej życiu wtedy, kiedy sądziła, że wszystko, co dobre, ma już za sobą. Czy trzeba więcej?

Po dwóch tygodniach Anna przyjęła jego oświadczyzny. Po miesiącu wprowadziła się do jego domu jako Anna Nikołajewna Ajwazowska. Ślub był cichy i skromny, ale huczne wesela oboje mieli już za sobą. Dla Iwana rozpoczął się nowy, szczęśliwy czas. Przeczucie tym razem go nie zmyliło. Anna nie zawiodła go nigdy – napełniła jego dom i jego życie swoją słodyczą, była mu oddana i wdzięczna za ocalenie przed losem samotnej wdowy, szczerze podziwiała jego talent, a z czasem pokochała go prawdziwą i wierną miłością. Zrobiła coś jeszcze, za co był jej szczególnie wdzięczny – związała go na powrót z jego ormiańską wspólnotą, od której oddalił się nieco za sprawą Julii.

Teraz, z młodą żoną u boku, powrócił do swoich korzeni jak do rodzinnego domu – i to dawało mu radość i siłę. Wreszcie odnalazł spokój i spełnienie.

## Rozdział XXXV

### Wybór

Gdy nasz pobyt w Paryżu dobiegł końca i gdy znów mieliśmy wsiąść na statek w Marsylii, Tom kupując bilet, poprosił o jedną kabinę, małżeńską.

Dawno nie byłam tak szczęśliwa jak podczas tego dwutygodniowego rejsu. Wiedziałam, że wkrótce nadejdzie pora podejmowania poważnych decyzji – niełatwych, skoro Tom i ja żyliśmy dotąd z rodzinami na dwóch kontynentach. Ale nie chciałam się tym jeszcze martwić. Nie teraz. Chciałam smakować te chwile spędzane z Tomem w zawieszeniu między dwoma błękitami – wody i nieba, chwile wypełnione naszą miłością i szczęściem.

W tym całym upojeniu nową miłością pamiętałam jednak o swoim doświadczeniu sprzed lat i za nic nie chciałam powtarzać swojej ówczesnej wizyty u Wasylisy. Dlatego bez zbędnej pruderii opowiedziałam Tomowi o tamtej sytuacji. Nie wydawał się zaskoczony, choć nie miałam pojęcia, kto mógłby opowiedzieć mu o tym przede mną. Poglądził mnie po włosach i zapewnił, że przecież jest lekarzem i wie doskonale, jak nie narazić mnie na taki kłopot. Choć dodał od razu, że byłby szczęśliwy, gdybym została matką jego dziecka. Ale może raczej trochę później, w bardziej odpowiednim czasie.

Kiedy stanęłam na rodzinnej ziemi w porcie w Teodozji, miałam wrażenie, że od jej opuszczenia minęła cała epoka. Nie było mnie tu zaledwie dwa miesiące, ale czułam, że jestem już w innym miejscu mojego życia: pokochałam Toma, pokochałam francuski impresjonizm, zrozumiałam, że choć wychowałam się w Rosji, to jednak nigdy nie byłam prawdziwą Rosjanką, że bliższy mi jest klimat i duch Paryża niż Petersburga.

Po naszym powrocie okazało się, że gdy bawiliśmy w Paryżu, Kemal poprosił Irę o rękę! A ona zgodziła się nie tylko wyjść za mojego brata, lecz także wyjechać z nim do Turcji. Bardzo się cieszyłam, że tych dwoje bliskich mi, samotnych ludzi dało sobie szansę na wspólne szczęście. Mama nie posiadała się z radości. Z podekscytowaniem mówiła o tym, jakie wspaniałe urządzi im wesele. Słyszając to, Tom

popatrzył na mnie, uśmiechnął się i powiedział:

– To może zrobimy od razu podwójne wesele?

Mama usiadła z wrażenia na najbliższym krześle.

– Co?

Wtedy Tom klęknął na dywanie, wyjął z kieszeni pierścioneńki zaręczynowy, który kupił we Francji, i uroczystym tonem poprosił mnie o rękę. Wiedziałam, że to małe przedstawienie przygotował specjalnie dla mamy, bo my sami czuliśmy się już zaręczeni od pobytu w Paryżu. Ale naprawdę miło było zobaczyć łzy wzruszenia i radości w jej oczach. Moja biedna mama chyba bała się, że zostanie starą panną!

W czasie obiadu mama promieniała. Oto dwoje jej dzieci miało wstąpić jednocześnie w związki małżeńskie. Widać było, że po latach martwienia się o nasz los czuła ogromną ulgę, zwłaszcza że dobrze знаła i lubiła zarówno Irę, jak i Toma.

– No dobrze, moi kochani – powiedziała, gdy pierwsza euforia już opadła. – Kemal zabierze Irę do Stambułu. A wy gdzie chcecie zamieszkać? Chyba nie wywieziesz mi jej za ocean, Tom?

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy ostatecznie. A może chciałbyście zobaczyć Amerykę, zanim postanowimy, gdzie będziemy żyć?

– Tom, byłam już trochę Polką, trochę Rosjanką, a trochę Turczynką – przypominałam. – Nie mogę stać się do tego Amerykanką, zresztą nawet nie znam angielskiego. A ty mówiłeś, że chciałbyś zamieszkać w Europie...

– Tak, ale ja nie mówię po rosyjsku. Jak mam tu leczyć ludzi, jeśli nie rozumiem ich języka?...

Popatrzyliśmy na siebie skonsternowani. Wcześniej byliśmy tak zaabsorbowani sobą nawzajem, że umknął nam ten niuans.

– Chyba mam dla was rozwiązanie – rzuciła mama.

Spojrzyliśmy na nią pytająco.

– Wilno! Pojedźmy razem do Wilna. Zamieszkajmy w Polsce!

– Polski nie ma – odrzekliśmy jednocześnie.

– Ale są Polacy. Tom może ich leczyć, mówiąc po polsku. A ty możesz malować wszędzie. To przecież tam powinniśmy żyć. A jeśli wam się nie spodoba, zawsze możecie wrócić albo wybrać inne miejsce.

W pierwszej chwili ten pomysł wydał mi się szalony. Nigdy nie



myślałam o tym, by opuścić Krym i błogosławione sąsiedztwo Iwana Ajwazowskiego. Ale po namyśle uświadomiłam sobie, że zawsze byłam ciekawa rodzinnych stron mamy. Mój mistrz rozpoczął zupełnie nowe życie ze swoją słodką żoną Anną i nie miał już dla mnie tyle czasu, co dawniej. Ja także wybrałam własny artystyczny styl, zupełnie niezależną od niego drogę. Może nadszedł moment, w którym nasze drogi w naturalny sposób zaczęły się rozchodzić? Mimo to byłam pewna, że nigdy nie zapomnę tego, ile dla mnie uczynił. Tomowi także spodobała się ta idea. Wiedział dobrze, że Malwina od dawna marzyła o powrocie w rodzinne strony. I choć oboje nie potrafiliśmy przewidzieć, co nas tam czeka, byliśmy gotowi podjąć ryzyko i powrócić do naszych korzeni.

Tom zostawił w Nowym Jorku swoje rzeczy: książki medyczne, akcesoria lekarskie, ubrania. Ustaliliśmy, że wróci do domu, spakuje dobytek w kufry, ostatecznie zamknie nowojorską praktykę i przyplynie do mnie z powrotem.

Ta jesień, kiedy czekałam na Toma i wspominałam nasze wspólne chwile w Paryżu, była pełna marzeń, nadziei i uniesienia. Czułam, że wreszcie odnalazłam swoje miejsce w życiu osobistym i artystycznym. Pragnęłam teraz tylko dwóch rzeczy: żyć u boku Toma i spróbować malować jak impresjoniści. Ich malarstwo prawdziwie mnie zafascynowało swoją lekkością, świeżością i niewymuszonym wdziękiem. A także wolnością od dźwigania problemów epoki. O ileż milej utrwałać ulotne piękno lekkimi muśnięciami pędzla, niż mierzyć się z niedolą i nędzą świata, na którą i tak nie mamy wpływu.

Na Nowy Rok do Ajwazowskiego znów przyjechał Iwan Kramskoj z żoną. I tym razem zatrzymali się u nas. Mama zorganizowała uroczysty obiad noworoczny, na który zaprosiła państwa Kramskojów i Ajwazowskiego z jego młodziutką, świeżo poślubioną Anną. (To stanowiło dla mnie największe zaskoczenie po powrocie: gdy ja bawiłam z Tomem w Paryżu, wujek Iwan zdążył poślubić tę ormiańską wdowę – dziewczynę młodszą ode mnie). Gdy panie były zajęte rozmową w zimowej jadalni, Kramskoj dał mi znak, że chciałby obejrzeć moje nowe obrazy. Wymknęliśmy się cicho do pracowni na poddaszu, razem z Ajwazowskim.

To zabawne: spod mojego pędzla znów wychodziły same portrety,

ale tym razem Toma. Próbowałam kłaść farbę tak jak impresjoniści: lekko, pobieżnie, jakby szkicowo, rozbijając promienie światła na barwne plamki. Czasem efekt był pocieszny, ale te nieporadne wprawki dawały mi dużo radości.

Gdy wprowadziłam Kramskoja i wujka Iwana do swojej pracowni, na sztalugach umieszczony był akurat portret Toma stojącego w promieniach słońca nad morzem. Na obrazie, rozedrganym, o niewyraźnym konturze, twarz Toma mieniła się plamkami bieli, fioletu, żółci i czerwieni. Zobaczyłam, że Kramskoj się skrzywił.

– Widzę, że nowa sztuka Francuzów ci się spodobała – powiedział Ajwazowski z uśmiechem, oglądając moje próby naśladowania paryskich malarzy.

– Tak, bardzo! Uważam, że to, co robią, jest genialne – przyznałam z zapalem.

– A ja uważam – odparł ze złością Kramskoj – że impresjoniści to czterdziestoletni faceci, zmęczeni i bezsilni wobec natury, przeprowadzający rozmyślnie dziwaczne eksperymenty. Prawdziwym, autentycznym „impresjonistą” jest piętnastoletni chłopak ze wsi rosyjskiej. Jeśli dać mu całkowitą wolność, to sądzę, że będzie miał dość oleju w głowie, aby wiedzieć, że zmierzchu nie wolno malować tak jak południa.

– Wiem, że pan nie lubi impresjonistów, ale dla mnie ich obrazy są takie świeże, radosne i inne. Ja ich uwielbiam i podziwiam, zwłaszcza Renoira – odpowiedziałam.

Kramskoj popatrzył na mnie ze smutkiem, jakby ta deklaracja bardzo go rozczarowała.

– Masza, współczesne obrazy francuskie są tylko dekoracyjne, malowane w pośpiechu, pozbawione rysunku i barwy, nie mówią już o sensie. To prawda: Francuzi po mistrzowsku opanowali powierzchnię, rozumieją piękno, wiedzą, co to smak. Na powierzchni są głębcy. Ale tylko na powierzchni, bo w gruncie rzeczy są artystami czysto zewnętrznymi. To tylko powierzchowna, zewnętrzna sztuka dla sztuki. Impresjoniści zapomnieli zarówno o człowieku, jak i o jego duszy.

– A ja chcę malować to, co jest piękne i radosne – oznajmiłam. – Dlaczego nie? Czy piękno nie jest pokarmem duszy?

– Ech, Masza – westchnął Kramskoj. – Musisz zrozumieć, że u nas ten rodzaj obrazów, które błyszczą w Paryżu, Brukseli czy Wiedniu: spacerująca kobieta, dziewczyna siedząca i patrząca przed siebie, nie cieszą się żadnym powodzeniem. Na Zachodzie obraz pozbawiony treści nikogo nie oburza. W Rosji oburza wszystkich.

„Tym gorzej dla Rosji” – pomyślałam.

– Moi drodzy, nie ma się o co spierać – wtrącił pojednawczo wujek Iwan. – Artysta musi być wierny tylko sobie i swojemu przeżyciu, własnemu odbiorowi świata, nikomu ani niczemu więcej. Mody nie mają znaczenia. Jeśli Masza chce tak malować, to jej święte prawo. Może to modne, ale ja tak nie potrafię i tak malować nie będę.

– Drogi Iwanie, nie zgadzam się: artysta ma obowiązek wyrażać ducha swojego kraju. – Kramskoj nie chciał ustąpić. – Rosyjski malarz musi malować rosyjską duszą, musi oddawać i kochać rosyjski krajobraz i lud.

– A ja uważam, panowie, że artysta musi kochać piękno, czyste piękno – wtrąciłam się. – I jego szukać w świecie. Paryż jest pełen pięknych obrazów, dlatego jest prawdziwą stolicą sztuki. Te obrazy wręcz uśmiechają się do widza, tak są lekkie, radosne i ładne.

– Zupełnie jak ty, Maszeńka – skwitował wujek Iwan i pogładził mnie po głowie jak dziecko. – Maluj, jak chcesz. A teraz wracajmy już do pań na herbatę, bo się za nami na pewno stęsknią!

Następnego dnia po śniadaniu znów przyszli do nas obaj, niezapowiedziani, już bez żon. Poprosili mamę i mnie o rozmowę.

– Maszeńka, dziś jest twój wielki dzień – zaczął uroczyście Ajwazowski, kiedy nalałam wszystkim świeżej herbaty i kiedy siedzieliśmy we czworo przy okrągłym stoliku w naszym salonie. – Iwan Nikołajewicz ma dla ciebie ważną propozycję!

Popatrzyłyśmy na siebie z mamą, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Kramskoj spojrzał na mnie tak, jakby chował w kieszeni czek na milion dolarów, który zamierza mi zaraz ofiarować. Wstał dla większego efektu, przeszedł się po salonie, wrócił i stanął przede mną pochylony, podtrzymując łokcie na oparciu swojego fotela.

– Masza, znam cię od lat i od dawna obserwuję twoje artystyczne

postępy – rzekł z namaszczeniem. – Widziałem, jak z dziewczynki bawiącej się farbami stałaś się dojrzałą malarką o doskonałej technice. To oczywiście zasługa twojego mistrza, ale i twojej pasji, zaangażowania i talentu. Dostrzegamy to wszystko i dlatego chcemy ci zaproponować coś niezwykłego. Jako pierwsza kobieta możesz wstąpić do naszego towarzystwa i wziąć udział w tegorocznej wystawie obwoźnej! – Kramskoj wyglądał tak, jakby oczekiwał, że rzucę mu się na szyję. Albo padnę do nóg, nie wiem. Ale ja siedziałam nieporuszona.

Obaj mężczyźni byli chyba rozczarowani brakiem mojej entuzjastycznej reakcji.

– Masza, pomyśl tylko: Rosja dała ci tak dużo, wykształciła cię, wychowała na rosyjską artystkę – perswadował Ajwazowski. – Teraz jesteś winna Rosji swoją sztukę, a towarzystwo pieriedwiżników daje ci szansę na pokazanie jej publiczności!

– Czyżby? – zapytałam trochę drwiącym tonem. – Rosja wcale nie chciała, żebym studiowała malarstwo, gdy tego pragnęłam. To ty zawdzięczasz wszystko Akademii, wujku, nie ja.

„No właśnie, co dała mi Rosja?” – zastanowiłam się. Dobre pytanie. Dała mi pierwszą miłość. I zaraz zabrała ją na Sybir. Zwróciła mi terrorystę i mordercę. Czekałam na swojego Pietię przez całą młodość, a on wrócił tak zmieniony, że nie mogłam już z nim żyć.

– Masza, proponujemy ci unikalną pozycję pierwszej rosyjskiej malarki w grupie pieriedwiżników. Zdobędziesz sławę. Przejdiesz do historii rosyjskiej sztuki. Będziesz brać udział w naszych wystawach, tej i kolejnych. Będziesz jeździć z nami po całej Rosji. – Głos Kramskoja brzmiał miękko, jakby opowiadał dziecku bajkę.

To było kuszące. Czy nie o tym marzyłam przez całe lata? Czy nie tego pragnęłam, szlifując godzinami światłocien przy sztalugach albo doskonaląc szkice ołówkiem z natury? Myślałam, że nieprzyjęcie mnie do Akademii przekreśliło na zawsze te marzenia, ale przecież pieriedwiżnicy uniezależnili się od Akademii. Nie potrzebowali mojego dyplomu, by dopuścić mnie do wystawiania z nimi obrazów.

Wystarczyła ich ocena wartości artystycznej moich prac. A Kramskoj doceniał moje postępy. Tylko Tom... Gdzie w tej wizji znalazłoby się miejsce dla Toma? Gdybym związała się z pieriedwiżnikami i zaczęła

z nimi wystawiać, nie byłoby mowy o naszym wyjeździe do Wilna. Musiałabym zostać na Krymie albo nawet przenieść się do Petersburga czy do Moskwy. A co Tom miałby tu robić bez znajomości języka? Czy umiałby żyć w Rosji, wychowany wśród Amerykanów kochających wolność?

– Jeśli weźmiesz udział w wystawie, twoje prace zobaczy cała rosyjska arystokracja, a także Paweł Trietiakow, nasz największy mecenas. Może zakupiłby twój obraz do swojej galerii? Może zamówiłby następne? Stałabyś się sławna. Byłabyś pierwszą znaną rosyjską malarką. Żadna kobieta nie skończyła jeszcze Akademii. Żadna nie studiowała sztuki latami pod okiem takiego mistrza jak Ajwazowski. Możesz przejść do historii rosyjskiej sztuki – kusił dalej Kramskoj.

– Moja córka jest Polką, nie Rosjanką – wtrąciła się nagle mama. – Jeśli miałaby wejść do historii sztuki, to polskiej, nie rosyjskiej.

– A wy ciągle o tej Polsce! – Kramskoj się zniecierpliwił. – Żadnej Polski nie ma na mapie.

– Ale jest w nas – odparła mama.

Kramskoj wzniosł oczy do nieba i dodał:

– Oczywiście, na wystawach pokazywalibyśmy twoje realistyczne prace, na przykład cykl o kobietach, bez tych impresjonistycznych bzdur. Wiesz, co nas interesuje: realizm, rosyjski lud, prawda społeczna, postęp. Poważne malarstwo z czytelną ideą, które służy Rosji.

Musiałam wybrać. Czułam wyraźnie, że muszę zdecydować, czy chcę zostać wśród rosyjskich malarzy i współtworzyć z nimi rosyjską sztukę, czy też wolę powrócić w rodzinne strony mamy, żyć spokojnie z Tomem i odkrywać z nim świat naszych przodków. A także malować, jak mi się podoba. Zrozumiałam, że na bardziej ogólnym planie muszę wybrać między Rosją a Polską.

„Nie sposób pojąć jej rozumem,

Nie sposób zwykłą miarką mierzyć.

Ma w sobie tyle skrytej dumy,

Że w Rosję można tylko wierzyć” – przypomniałam sobie słowa Pieti.

Jego wiara w Rosję była tak silna, że kazała mu rzucić bombę pod powóz naczelnika. Czy ja wierzyłam jeszcze w Rosję tak jak Pietia? Nie.

Już nie.

– Nie, Iwanie Nikołajewiczu – odezwałam się po dłuższej chwili. – Dziękuję wam bardzo, ale nie wezmę udziału w waszej wystawie. Jestem zaszczycona tą propozycją, ale nie wstąpię też do towarzystwa wystaw obwoźnych. Zresztą nie mogłabym. Prawdopodobnie w przyszłym roku będziemy już mieszkać w okolicach Wilna.

Zobaczyłam jednocześnie radość, a może nawet dumę w oczach mamy i głębokie rozczarowanie w oczach Kramskoja. Wujek Iwan załamał ręce w teatralnym geście.

– Oj, Masza, Masza... I po to cię uczyłem przez tyle lat?... Żebyś odrzuciła największą szansę w swoim życiu?

Przykro mi było widzieć zawód na jego twarzy, ale ja upatrywałam swoich szans zupełnie gdzie indziej. To Tom był moją szansą na szczęśliwe życie. I Wileńszczyzna. I impresjonizm. Chciałam te szanse wykorzystać.

Po wielu latach bliskiego kontaktu ze sztuką rozumiałam też, że malarstwo nie jest tak ponadnarodowe, jak mi się wydawało dawniej. Rosjanie malują inaczej niż Francuzi, bo ich stosunek do życia jest inny. A moje malarstwo nieoczekiwanie okazało się bliższe francuskiemu niż rosyjskiemu. Widocznie mojej polskiej duszy jakoś bliżej było do Paryża niż do Petersburga.

Wreszcie wczesną wiosną przyjechał Tom. Nie sam. Przywiózł ze sobą Malwinę, brata George'a, a także chudego jak tyczka dziennikarza Freda O'Briana, który umożliwił naszym matkom nawiązanie kontaktu przed laty. Tom uznał, że Fred powinien być honorowym gościem na naszym ślubie, ponieważ to dzięki niemu mogliśmy się poznać. Bo Tom przywiózł ich wszystkich na nasz ślub!

Zamieszkali w pensjonacie. Malwina także nie posiadała się ze szczęścia, gdy usłyszała o naszej decyzji. Przyznała, że powrót do Wilna był jej wielkim marzeniem. Równie wielkim jak to, żebym zastąpiła „tę rudą pastorównę” w życiu jej syna. Zatem przed nami wszystkimi roztaczała się ekscytująca perspektywa rozpoczęcia zupełnie nowego życia. Ale wesele chciałam mieć w Teodozji, z bliskimi mi ludźmi, wśród których się wychowałam. I do tego razem z Kemalem i Irą. Mieliśmy ich niedługo pożegnać, ale w poczuciu, że po dawnych

dramatach odnaleźli miłość i oparcie w sobie nawzajem.

Do wesela przygotowaliśmy się starannie, bo nie tylko świętowaliśmy nasz podwójny ślub i początek nowego życia w zupełnie innym otoczeniu, lecz także tym przyjęciem żegnaliśmy się z Krymem, z Teodozją i ze wszystkimi, wśród których upłynęły moje dzieciństwo i młodość. Nasz pensjonat nigdy jeszcze nie widział takiej uroczystości! Zastawione przysmakami stoły, butelki wina i szampana z winnic Dajdzana i księcia Golicyna, muzyka harmonii, fortepianu i skrzypiec, na których zagrał nawet wujek Iwan, tłum gości i tańce przy blasku pochodni do białego rana! I ja, i Tom, i Kemal, i Ira, i nasze matki, i wielu naszych gości mieliśmy łzy w oczach – trochę ze szczęścia, trochę ze wzruszenia, a trochę z żalu, że przed nami nieuchronne rozstanie. Ale wiedzieliśmy, że coś się musi skończyć, by mogło się zacząć coś nowego.

Otrzymaliśmy wiele pięknych prezentów. Od wujka Iwana – obraz z widokiem zatoki w Teodozji w księżycową noc; najpiękniejszą pamiątkę, jaką mogłam od niego otrzymać. Od George'a – pokaźną sumę w dolarach amerykańskich, za którą będziemy chyba w stanie kupić nowy dom na Wileńszczyźnie (nie spodziewałam się tak hojnego daru, jednak posiadanie bogatego szwagra kapitalisty ma swoje zalety). Od mamy Iry – komplet pięknie haftowanych obrusów i serwetek. Od Dajdzana – kilka beczek słodkiego krymskiego wina. Książę Golicyn nie przyszedł osobiście, ale przysłał parę skrzynek swojego szampana. Fred O'Brian podarował nam specjalny indiański amulet dla nowożeńców, który otrzymał kiedyś w rezerwacie, gdy pisał reportaż do gazety. Sam nigdy się nie ożenił, ale wierzył w moc amuletu i nie chciał, żeby się zmarnowała. Inni przynieśli wiele drobiazgów, które miały przypominać nam Krym. I tylko przez moment złapałam się na tym, że w tłumie gości próbowałam odnaleźć Pietię. Nie było go oczywiście, i nikt z nas nie miał pojęcia, gdzie jest.

## Epilog

Po naszym ślubie jeszcze miesiąc zajęło nam pakowanie dobytku, wyrabianie dokumentów i organizowanie przeprowadzki. Linii kolejowej wciąż nie doprowadzono do Teodozji. Mieliśmy tak wiele kufrów podróжных i skrzyń, że postanowiliśmy załadować je na statek, dostać się drogą morską do Odessy, a stamtąd koleją przez Kijów i Mińsk do Wilna. Wiele osób przyszło odprowadzić nas do portu. Pożegnania były długie i pełne uśmiechów; rozplakałam się dopiero w ramionach wujka Iwana. Wiedziałam, że za nim będę tęsknić najbardziej.

Wreszcie nasze niezliczone bagaże wniesiono na statek i całą piątką stanęliśmy na pokładzie: my z Tomem, nasze matki i Nadire. Mama dała jej wolną rękę, mogła sama zdecydować o swoim losie, ale powiedziała, że skoro nosiła na rękach Kemala i mnie, to ma jeszcze dość sił, by nosić także nasze dzieci. Cieszyłam się, że Nadire też jedzie – poza nami nie miała przecież nikogo.

To była dziwna podróż. Najbardziej „radikalna”. Wszystkie podróże były ważne i miały duży wpływ na mój los, ale ta dzieliła moje życie na dwie epoki. To nigdy nie jest łatwe. Byłam jednak pełna ciekawości i nadziei. I byłam szczęśliwa jako żona Toma. Nazywałam się teraz Maria Pol. A on postanowił zmienić swoje imię na polskie: był teraz Tomaszem.

Więc kiedy po długiej podróży dotarliśmy wreszcie do Wilna i zatrzymaliśmy się w hotelu, w karcie rejestracyjnej wpisaliśmy: Państwo Maria i Tomasz Pol. Brzmiało cudownie!

Wilno zrobiło na nas bardzo dobre wrażenie. Tchnęło jakąś trudną do opisania „swojskością”. Nasze matki, chodząc jego ulicami, nawet nie próbowały ukrywać łez, które ciągle błyszczały na ich policzkach. Ale po paru dniach pozostawiły nas samym sobie i oddaliły się, by – jak powiedziały – odnaleźć ślady dawnego życia. My z Tomaszem w tym czasie zanurzaliśmy się w klimacie tego pięknego miasta, które znaleźliśmy tylko z opowieści, a w którym prawie wszyscy mówili po polsku, co dla naszych uszu było zupełnie nowym doświadczeniem.

Po kilku dniach moja mama i Malwina zdały nam relację ze swoich



poszukiwań. Okazało się, że rodzinny majątek mojej mamy jest nadal w rękach rosyjskich, w dawnym domu Malwiny mieszka jej brat z żoną i dziećmi, ale za to dwór i majątek ojca Toma – Januarego Polesińskiego – stoi opuszczony i niszczyje, zamieszkiwany tylko przez stareńkiego zarządcę, który przeżył właścicieli. Malwina powiedziała, że brat jej męża, ksiądz, żyje nadal w swojej parafii, ale choć ma prawa do rodzinnego majątku, nigdy go nie sprzedał, bo wierzył, że brat lub jego dzieci mogą kiedyś powrócić z Ameryki. To znaczyło, że mieliśmy własny dom, w którym mogliśmy zamieszkać! Wprawdzie był w opłakanym stanie, ale pieniądze od George’a wystarczały, by go gruntownie wyremontować, urządzić i przyozdobić. I właśnie tym zajmowaliśmy się przez kolejne miesiące.

Nasz dwór był niewielki, ale pięknie położony, na wzgórzu pośród łąk i lasów, a z tarasu roztaczał się widok na błękitne wody Niemna. Od razu pokochaliśmy to miejsce. Odnalazłam w sobie nową pasję – ogrodniczą, i zaczęłam urządzać nasz ogród, by był równie piękny i kolorowy, jak ogrody malowane przez impresjonistów.

Jakiś czas po naszym przyjeździe do Wilna rozeszła się szokująca wieść – kolejny, siódmy już zamach na cara się powiódł! Car Aleksander II, największy reformator Rosji w całym stuleciu, zginął 13 marca 1881 roku w pobliżu Newskiego Prospektu od bomby rzuconej pod jego powóz przez Ignacego Hryniewieckiego, polskiego konspiratora i członka organizacji Narodna Wola. Plotka głosiła, że car miał w kieszeni projekt konstytucji – dzięki niej Rosja mogła się zmienić z samowładczego imperium w monarchię konstytucyjną. Zabójstwo cara nie stało się sygnałem do powstania ludowego, jak zakładali terroryści. Wzbudziło za to zgrozę wśród rosyjskiego ludu, który głęboko czcił ojczulka cara i nienawidził oświeconych rewolucjonistów. A syn zabitego cara Aleksander III cofnął wszystkie demokratyczne reformy ojca i powrócił do polityki despotyzmu i pełnej kontroli społeczeństwa.

My jednak żyliśmy z dala od tych wydarzeń, otoczeni polskim językiem i krajobrazami jak z Pana Tadeusza. Odkrywaliśmy naszą ojczyznę jako dorośli ludzie, wciąż robiliśmy wycieczki po okolicy i zawieraliśmy przymierze z rodzinną ziemią naszych matek.

Wileńszczyzna jest taka piękna. Nic dziwnego, że Mickiewicz tęsknił za

nią przez całe życie. My, przeciwnie niż on, nie znaleźliśmy jej w dzieciństwie, ale mogliśmy się cieszyć jej pięknem i spokojem w dojrzałym życiu.

Kochaliśmy nasz dwór, ale co roku jeździliśmy wczesną jesienią do Paryża. Francuska sztuka rozwijała się szybko, niemal co roku czymś mnie zaskakiwała. Śledziłam z uwagą, jak malarze impresjoniści najpierw rozbili materię i blask światła na drobne plamki i refleksy, a potem scalali je, przywracając kontur i kształt postaciom i przedmiotom. Znajomi marszandzi pokazywali mi najciekawsze kolekcje. Na bieżąco śledziłam rozwój talentów Renoira, Moneta, Degasa, Cézanne'a, Gauguina i tylu innych. Tomasz zawsze mi towarzyszył i z czasem stał się niezłym znawcą współczesnej sztuki. Gdy malowałam kiedyś serię portretów wiejskich dzieci w naszym majątku, potrafił powiedzieć: „Ta dziewczynka ma tyle słodczy i wdzięku, jakby ją namalował sam Renoir”.

On też korzystał na tych wyjazdach, bardzo interesowały go bowiem najnowsze prace pana Pasteura, rektora paryskiego uniwersytetu. Mówił, że to prawdziwy przełom w medycynie. Nauczył się nawet francuskiego i odwiedzał pana Pasteura w jego instytucie. Fascynowało go odkrycie bakterii i drobnoustrojów – tych maleńkich żyjątek, których nie widać gołym okiem, a które potrafią przenosić choroby. Mówił, że gdyby odkrycia Pasteura były znane wcześniej, to na wojnach nie musiałoby umierać aż tylu żołnierzy. Podobno w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej lekarze operowali rannych, nie myjąc nawet rąk przez dwa–trzy dni, bo brakowało wody do picia, a nikt nie słyszał jeszcze o tych maleńkich żyjątkach roznoszących choroby i zakażenia. Gdyby lekarze wiedzieli o tym wcześniej, być może także mój ojciec wcale nie umarłby na cholere na froncie wojny krymskiej. Ale myśl o tym, co wówczas działałoby się ze mną, przyprawiała mnie o zawrót głowy! Bo prawdopodobnie nie miałabym żadnych szans, żeby spotkać męża.

Żyliśmy szczęśliwie, otoczeni Polakami i polskim językiem. Tomasz z czasem zyskał uznanie i sławę świetnego, skutecznego lekarza. Miał duże grono stałych pacjentów i wciąż śledził doniesienia o rozwoju medycyny w prasie angielskiej i francuskiej. Ten wiek

postępu! Mówił, że aż strach pomyśleć, do czego dojdzie ludzkość, jeśli nauka nadal będzie się rozwijać w takim tempie. Nowe wynalazki nas zaskakiwały, a z czasem wkraczały do naszego życia.

Ja także rozwijałam swój malarski talent. Oglądanie francuskiej sztuki inspirowało mnie nieustannie, malowałam z dużą przyjemnością słoneczne pejzaże, bukiety kwiatów, portrety kobiet i dzieci. Dawno pożegnałam się z petersburską mrzonką o naprawianiu świata przez sztukę. Wspomnienie tego, co stało się z rewolucyjnym zapalem Pieti, jak w ciągu zaledwie pięciu lat z młodego idealisty stał się terrorystą gotowym rzucać bomby na lewo i prawo i ryzykować śmierć niewinnych, wyleczyło mnie na zawsze ze złudzeń, że rewolucja może być rozwiązaniem problemów świata. Iwan Ajwazowski, jak zwykle, miał rację, mówiąc przed laty, że sztuka ma większą wartość niż rewolucja, bo tworzy, a nie niszczy dzieła. Dlatego poświęciłam się sztuce. Zyskałam popularność. Wileńskie towarzystwo sztuk pięknych organizowało moje wystawy, na których znaczna część obrazów sprzedawała się od razu. Zawsze po wystawie pojawiało się sporo zamówień na portrety albo dekoracyjne bukiety kwiatów do salonu. Wolałam dostarczać ludziom piękne płótna do domów, by ich życie stało się przyjemniejsze, niż malować zło i niesprawiedliwość świata.

Żyliśmy zatem szczęśliwie. Polska była dla nas nowym miejscem, które czasem nas zaskakiwało, czasem drażniło, a czasem wzruszało. Zdobyliśmy nowych przyjaciół i byliśmy często zapraszani do okolicznych domów, w których losy naszej rodziny budziły niemałą sensację wśród ludzi od pokoleń zasiedziały na wileńskiej prowincji. Staliśmy się więc z początku atrakcją lokalnych spotkań towarzyskich, jak to goście z dalekiego świata, szczególnie latem, kiedy odwiedzali nas krewni ze Stambułu: Kemal z Irą i gromadka ich dzieci. Ale potem nasza historia spowszedniała i włączyliśmy się w normalne sąsiedzkie stosunki.

A zatem w naszym nowym starym kraju nie brakowało nam niczego poza jednym... Nie mieliśmy dziecka! Bardzo pragnęłam, żeby Tomasz został ojcem, byłam przekonana, że tak jak dla mnie był wspaniałym mężem, tak stałby się też wspaniałym tatą. Początkowo zajęliśmy się urządzeniem nowego domu, poznawaniem okolicy

i środowiska, nawiązywaniem relacji, które mogły pomóc w naszych karierach i w życiu towarzyskim. Odwiedzaliśmy Warszawę i Kraków, ugruntowując naszą świeżo odzyskaną polskość. Wreszcie po paru latach czuliśmy się tu jak u siebie, nasze życie było poukładane i dobrze zorganizowane. Tylko dziecko! Wciąż nie mieliśmy dziecka, choć pracowaliśmy nad tym solennie. Tomasz dotarł do najlepszych wileńskich i warszawskich lekarzy, a nawet konsultowaliśmy się ze słynnym profesorem z Paryża w czasie jednej z podróży. Wszystko na nic. Moje poronienie we wczesnej młodości miało ten fatalny skutek, że teraz nowe życie nie chciało się we mnie zagnieździć. Czułam się z tym koszmarne. Wciąż pamiętałam to niezwykle odczucie sprzed lat, gdy usłyszałam od Wasylisy, że zostanę matką, a potem leżałam na plaży i próbowałam się wczuć w odwieczny, życiodajny rytm natury. Bardzo chciałam przeżyć to jeszcze raz, z Tomaszem. Mąż zapewniał, że niezależnie od tego bardzo mnie kocha, ale czasem dostrzegałam cień zawodu w jego oczach, gdy o tym mówiliśmy. A także w oczach naszych matek, dla których ich wspólny wnuk był ulubionym tematem rozmów i największym marzeniem. Ale cóż, przez długie lata nie była nam dana ta radość.

I kiedy wszyscy straciliśmy już nadzieję i pogodziliśmy się z tym, że będziemy się starzeć w samotności – stał się cud. Po wielu latach wreszcie zaszłam w ciążę! Gdy miesięczne krwawienie nie pojawiło się o czasie, pomyślałam, że czas mojej płodności się kończy. Ale Tomasz zachował czujność. Zbadał mnie i po jego uszczęśliwionej minie widziałam, że wreszcie się udało. Czułam się jednocześnie zdumiona, szczęśliwa i przestraszona. Miałam już czterdzieści trzy lata! Ze względu na wiek i dawne poronienie wszyscy obchodzili się ze mną jak z jajkiem. Nie pozwalali niczego podnosić, kazali leżeć i odpoczywać lub spacerować wolno po ogrodzie, karmili odżywczymi bulionami i przecierami z warzyw. Czułam się wspaniale. Jakbym znów miała dwadzieścia lat i żadnych problemów z zajściem w ciążę.

Gdy nadszedł czas, Tomasz osobiście odebrał poród. Powiedział, że skoro od dwudziestu lat czekał na swoje dziecko, to nie odda nikomu innemu przywileju powitania go na świecie. To było niezwykle doświadczenie – rodzić wytęsknione, wyczekiwane maleństwo we

własnym domu, bez obcych ludzi, tylko w towarzystwie męża. Nasza córeczka urodziła się zdrowa i różowa; z miejsca zawojowała wszystkich, stając się ulubienicą całego domu.

Nazwaliśmy ją Lilianna, na pamiątkę białych lilii, od których dwadzieścia lat temu zaczęła się nasza miłość – tych na moim obrazie, który podarowałam Tomaszowi, i tych w wiklinowym koszu, po naszej pierwszej wspólnej nocy w Paryżu.

– To dziecko ma korzenie na trzech kontynentach. Zrobimy z niej światową damę: my z Nadire będziemy do niej mówić po francusku, Tom niech mówi po angielsku, a Marysia po rosyjsku. Wtedy wyrośnie na prawdziwą poliglotkę! – Obie światowe babcie przedstawiły nam swój plan niedługo po jej narodzinach.

– A od kogo nauczy się mówić po polsku? – zapytaliśmy.

Starsze panie wzruszyły tylko ramionami i powiedziały, że skoro mieszka w Polsce, to naturalnie nauczy się polskiego, jeśli ich własne dzieci urodziły się na obczyźnie i mówią doskonale po polsku.

Nasza córka przyszła na świat u progu nowego wieku, jakby witała kolejną epokę – urodziła się dokładnie w 1900 roku... Parę miesięcy później przeczytałam w gazecie, że w Teodozji zmarł największy marynista Rosji Iwan Konstantynowicz Ajwazowski (podobno do końca malował, a ostatniego dnia życia zostawił na sztalugach niedokończony obraz: turecki okręt pod niszczącym ostrzałem rosyjskiej floty). Pomyślałam, że skończyła się jedna historia, a zaczyna druga – zupełnie nowa...